

ZESZYT STO TRZECI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1993

ZESZYT STO TRZECI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTITUT

PARYŻ



LITERACKI

1993

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 479

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0147-9

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Mirosław CZECH

KWESTIA UKRAIŃSKA W III RZECZYPOSPOLITEJ

Problem ukraiński w ciągu kilku stuleci stanowił niezwykle skomplikowane zagadnienie dla władz państwa polskiego. W Rzeczypospolitej Obojga Narodów liczne powstania, konflikty na tle wyznaniowym, socjalnym czy też narodowościowym doprowadziły do rozchwiania struktur państwowych, stając się jedną z przyczyn jej upadku. Dla okresu późniejszego Ryszard Torzecki postawił lakoniczną i bardzo trafną diagnozę: „truizmem dzisiaj byłoby twierdzenie, że kwestia ukraińska stanowiła jeden z wyjątkowo trudnych problemów w polityce III Rzeczypospolitej”. Ukraińcy znaleźli się również w nowych powojennych granicach Polski. Po czterdziestu latach istnienia PRL-u zachowali tożsamość narodową, rozbudowali struktury życia społecznego, kulturalnego i oświatowego, regulowane są sprawy wyznaniowe. W zmieniającą się rzeczywistość początków III Rzeczypospolitej społeczność ukraińska wpisuje zatem własną kartę. Zasadne więc wydaje się podjęcie próby oglądu całości tytułowego problemu i postawienie bodaj wstępnej diagnozy odnośnie stanu kwestii ukraińskiej po trzech latach rządów obozu solidarnościowego w Polsce. Będzie to również próba odpowiedzi na pytanie o perspektywy rozwiązania tej kwestii.

UWAGI WSTĘPNE

Na ustalonym w Jałcie i Poczdamie terytorium Polski w 1944 roku zamieszkiwało ok. 700 tysięcy Ukraińców. 9 września

tegoż roku podpisana została między PKWN-em a rządem Ukraińskiej SSR umowa o wymianie ludności — polskiej do Polski, ukraińskiej na Ukrainę. Do lipca 1946 roku, tj. do końca okresu obowiązywania umowy, za San wyjechało ponad 482 tysiące osób. Pozostało na swoich ziemiach ojczy-
stych ok. 200 tysięcy, z których ok. 150 tysięcy w 1947 roku deportowano w ramach akcji „Wisła” na ziemie północne i zachodnie. Według tajnych instrukcji ówczesnych władz „zasadniczym celem przesiedlenia osadników 'W' jest ich asymilacja w nowym środowisku polskim”. Chodziło więc przede wszystkim o likwidację mniejszości ukraińskiej i o ostateczne rozwiązanie kwestii ukraińskiej w Polsce. Taki kierunek polityki nowych władz w stosunku do Ukraińców wynikał z przyjęcia koncepcji uczynienia z Polski kraju jednolitego pod względem narodowościowym. Podsumowując ten okres, badający omawiane zagadnienia Eugeniusz Miśiło stwierdził: „polityka narodowościowa rządu polskiego lat 1944-1947 dowiodła braku akceptacji dla programu pozytywnego, tożsamego z przyznaniem Ukraińcom praw obywatelskich co najmniej w postaci sprzed września 1939 roku”.

Przemiany zachodzące w Polsce w latach 1955-56 ujawniły na powrót istnienie sprawy ukraińskiej. Powszechnym żądaniem stały się powroty w rodzinne strony, domagano się zagwarantowania pełni praw obywatelskich, swobody rozwijania kultury, nauczania języka ojczystego, wyznawania wiary w obrządku wschodnim. Postulaty te zrealizowano jedynie częściowo, nie przeciwdziałano m.in. powrotowi ok. 20 tysięcy osób na terytorium województwa lubelskiego i rzeszowskiego. Akcja powrotów miała przy tym żywiołowy charakter i w 1958 roku władze ostatecznie zabroniły jej kontynuowania. Powstało koncesjonowane Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, wydające własny tygodnik i miesięcznik, utworzono kilka szkół z językiem ukraińskim, a także sieć tzw. punktów nauczania tego języka. Jednakże, jak skonstatował Miśiło, „powrót do życia politycznego Władysława Gomułki był czynnikiem decydującym o niepowodzeniu realizacji postulatów ukraińskich. Zapoczątkował on nawrót koncepcji z lat 1944-1948, których był autorem”.

Apogeum polityki asymilacyjnej zostało osiągnięte w czasie rządów Edwarda Gierka, kiedy to ogłoszono, że PRL jest państwem jednolitym narodowościowo. We wszystkich dziedzinach ukraińskiego życia narodowego nastąpił wówczas nie notowany od początku lat 50-tych regres. Do najniższego po-

ziomu spadła liczba dzieci i młodzieży uczących się języka ojczystego, niemalże ustała działalność wydawnicza, ograniczano do minimum formy życia kulturalnego. Środowiska ukraińskie poddano szczególnej inwigilacji. Wydawało się zatem, że stanowi to ostateczne uwięzienie akcji „Wisła”.

Zmiany przyniosły wydarzenia lat 1980-1981 i powstanie „Solidarności”. Z jednej strony nastąpiło pewne ożywienie w samej społeczności ukraińskiej (m.in. powstał Związek Studentów Ukraińskich w Polsce, przygotowano nadzwyczajny zjazd UTSK), a z drugiej problematyka ukraińska — i generalnie mniejszości narodowych — pojawiła się jako kwestia społeczna i polityczna. W tej ostatniej sprawie największe znaczenie miały publikacje prasowe (szczególnie w *Tygodniku Powszechnym* z ważnym artykułem Włodzimierza Mokrego pt. „Dzisiejsza droga Rusina do Polski”, a także w *Tygodniku Solidarność* z artykułem Macieja Kozłowskiego pt. „Łemkowie”), jak również uchwała I Zjazdu NSZZ „Solidarność” o stosunku do mniejszości narodowych. I choć wprowadzenie stanu wojennego zahamowało te pozytywne tendencje, jednakże nie doprowadziło do ich całkowitego zaniku. W II połowie lat 80-tych problematyka mniejszościowa na powrót uzyskiwała prawo obecności w dyskusjach o reformowaniu całokształtu życia społecznego i politycznego w Polsce. Działo się tak głównie dzięki aktywności środowisk opozycyjnych, publikujących specjalne wydawnictwa poświęcone sprawom narodowościowym w Polsce, jak również kwestii stosunków z narodami sąsiednimi. Szczególne zasługi na tym polu położyły takie pisma jak *Spotkania*, *Obóz*, *Nowa Koalicja*, *ABC*, *Międzymorze*. Wielkie zasługi miały ukazujące się legalnie pisma katolickie: *Tygodnik Powszechny*, *Znak*, *Więź*, a także nieoceniona paryska *Kultura*. Szczególną rolę odegrała książka Bohdana Skaradzińskiego (Kazimierza Podlaskiego) zatytułowana „Białorusini, Litwini, Ukraińcy. Nasi wrogowie — czy bracia?” Po raz pierwszy wydano ją w 1984 roku i z miejsca stała się prawdziwym bestsellerem. Autor po omówieniu jednego z drugoobiegowych artykułów poświęconego mniejszości ukraińskiej, a napisanego przez Ukraińca, stwierdził:

„Gorzkie słowa. I nie skierowane bynajmniej pod adresem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych — resortu wiadomego — ale do wszystkich Polaków, do całego naszego narodu. Charakterystyczne, iż w opisanych wyżej losach Towarzystwa, ukraińskich

szkół, chórów, zespołów... naród polski w ogóle nie występuje, nie odgrywa żadnej roli, nie prezentuje jakiegokolwiek stanowiska, a bodaj zainteresowania. Co się stało z nami Polakami, wśród których do tej pory zawsze znajdowali się ludzie i grupy zauroczone wschodnią, a w tym ukraińską kulturą, i którzy zawsze dla niej coś potrafili zrobić? Muszą znaleźć się drogi i sposoby! Przypomnę, że wymaga tego nie tylko sentyment historyczny, ale wręcz — nasz interes narodowy”.

I rzeczywiście działania takie zostały podjęte. Do najbardziej znanych należała akcja pomocy w budowie internatu dla szkoły podstawowej w Białym Borze, zaangażowanie kilku grup — przede wszystkim Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich i Studenckiego Koła Przewodników Bieszczadzkich, jak również Społecznej Komisji Ochrony Zabytków Sztuki Cerkiewnej przy TONZ-ie — w renowację i ratowanie cerkwi, kapliczek i cmentarzy w województwach południowo-wschodnich. Do tego dochodziła także stosunkowo szeroka działalność popularyzatorska w środowiskach polskich, odbywająca się głównie z okazji Tygodni Kultury Chrześcijańskiej.

Te i podobne fakty dały podstawę dla wyrażonego przez Włodzimierza Mokrego — w znanym eseju pt. „Polaków i Ukraińców — dziś, wczoraj, jutro” — stwierdzenia:

„Obecnie w Polsce sprawa ukraińska nie jest jak niegdyś w II Rzeczypospolitej dużym, dotyczącym kilkumilionowej rzeszy ludzkiej problemem społecznym i politycznym. Jest ona dziś przede wszystkim problemem moralnym, który dotyka coraz więcej sumień polskich, świadomych tego, że ta niewielka (około 500 tys.) ilość rozproszonych po całej Polsce Ukraińców ma coraz większe trudności z zachowaniem tożsamości narodowej i uniesieniem swej odrębności wśród wciąż na ogół niezbyt przychylniej jej społeczności polskiej”.

Oficjalna polityka władz w tym okresie kontynuowała praktykę z poprzednich dziesięcioleci. W dalszym ciągu czyniono przeszkody i przeciwdziałano rozwojowi życia kulturalnego i oświatowego. Wyrażało się to na przykład w spowodowanym „trudnościami technicznymi” wstrzymaniu na blisko pół roku wydawaniu tygodnika *Nasze Słowo*, spełniającego bardzo istotną rolę informacyjną i integracyjną. Co pewien czas ponawiano akcje inwigilacyjne w poszczególnych ośrodkach, z których największy rozgłos miała akcja podjęta w

1986 roku w Szczecinie. Pewnym novum stała się zgoda na rozpoczęcie działalności przy Zrzeszeniu Studentów Polskich Ogólnopolskiej Rady Kultury Studentów Mniejszości Narodowych, grupującej studentów białoruskich, litewskich i ukraińskich. Rada wydawała pismo *Spotkania* w czterech wersjach językowych (oprócz trzech wymienionych, również po polsku), które po ukraińsku nazywało się *Zustriczi*. Istnienie tej struktury studenckiej było ważne głównie ze względu na przełamanie monopolu UTŚK na reprezentowanie spraw społeczności ukraińskiej. W sumie stan ten powodował znaczną nieprzejrzystość odnośnie możliwości zmian w oficjalnym funkcjonowaniu Ukraińców w Polsce. Profesor Jerzy Tomaszewski wyraził na stronach *Zustriczi* przekonanie, że wynikało to z „braku polityki narodowościowej w ogóle. Nie krytykowałbym jej, ponieważ jej nie ma. Decyzje podejmowane są od przypadku do przypadku, w sprawach konkretnych”.

Oczywiście taka konstatacja jedynie w części odpowiadać mogła rzeczywistości. Wspecjalizowane organa zajmujące się problematyką narodowościową, które istniały zarówno w KC PZPR, jak również w MSW, ciągle pracowały nad tymi zagadnieniami. Świadectwem kierunku tych prac może posłużyć ekspertyza sygnowana nazwiskiem Edwarda Prusa a napisana na potrzeby władz wojewódzkich w Legnicy w roku 1985. Prus zauważył proces polonizacji młodzieży ukraińskiej i stwierdził, że jest to zjawisko naturalne dla społeczności mieszkających w diasporze. Radził więc, by zachować pozorną obojętność w tej sprawie. „Racja stanu jednak wymaga aby proces ten bacznie obserwować i w jakimś sensie przyspieszać”. Nie chodziło przy tym o metody administracyjne — „wówczas prawdopodobnie rzecz miałaby się akurat odwrotnie”. Należało wykorzystać „inne środki polityczne ten proces ułatwiające”. Jednym z tych środków miało być „oderwanie Łemków i Bojków od Ukraińców”, innym „umocnienie grekokatolicyzmu (będącego w tej chwili w ogromnej mniejszości)”, co „stanowiłoby pożądaną przeciwwagę a jednocześnie równowagę rozbitej społeczności ukraińsko-ruskiej”. Ekspert przypuszczał, że być może „oderwałoby to zupełnie Łemków od Ukraińców a tym samym poważnie zmniejszyłoby i osłabiło tę grupę tak mocno, podkreślam raz jeszcze, narażoną na wpływy nacjonalistycznych ośrodków zachodnich”.

PRZEŁOMOWE LATA 1989-1990

Liberalizacja sytuacji politycznej w 1988 roku związana z *pierestrojką* w ZSSR i ponownym wzrostem aktywności opozycji demokratycznej w Polsce wniosły ożywienie do problematyki narodowościowej. Najwcześniej swoje problemy wyrazili Białorusini, powołując do życia Białoruskie Zrzeszenie Studentów oraz Klub Białoruski. Ukraińcy byli w tym czasie mniej aktywni politycznie, poświęcając więcej uwagi obchodom Millenium Chrztu Rusi Kijowskiej. Zmianę przyniosły przygotowania do zwołania „okrągłego stołu” trwające od początku jesieni tegoż roku. W październiku pięciu przedstawicieli inteligencji mniejszości narodowych: trzech Ukraińców — prof. Michał Łesiów, dr Włodzimierz Mokry i prof. Stefan Kozak, Białorusin — dr Jerzy Turonek i Litwin — dr Bronisław Makowski — skierowali list do Lecha Wałęsy i „Sześćdziesiątki”. Zawarto w nim ocenę położenia mniejszości narodowych oraz listę najważniejszych spraw do załatwienia, prosząc jednocześnie o wprowadzenie tej problematyki pod obrady „okrągłego stołu”. Wśród tych spraw znalazły się postulaty zmiany stalinowskiego modelu funkcjonowania społeczno-kulturalnych towarzystw narodowościowych, zmiany sposobu przedstawiania mniejszości narodowych w środkach masowego przekazu i instytucjach oświatowych, a także postulat dogłębnej reformy szkolnictwa mniejszościowego, stworzenia mniejszościom możliwości instytucjonalnego wyrażania i obrony swoich specyficznych praw oraz stworzenia odpowiedniego organu w systemie władzy politycznej kontrolującego wprowadzenie w życie międzynarodowych aktów prawnych odnoszących się do praw mniejszości narodowych.

Bezpośrednim efektem tego listu stało się utworzenie w ramach Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Komisji Współpracy z Mniejszościami Narodowymi, której przewodniczącym został wybrany Marek Edelman. W jej skład weszli m.in. Jacek Kuroń, Zbigniew Bujak, Jan Józef Lipski, Bogumiła Berdychowska, Bohdan Skaradziński, Grzegorz Kostrzewa, a z przedstawicieli mniejszości Włodzimierz Mokry, Sokrat Janowicz i Bronisław Makowski. Komisja zajęła się opracowywaniem stanowiska Komitetu Obywatelskiego w tej kwestii, jak również odpowiednich dokumentów przeznaczonych dla strony opozycyjnej w czasie obrad okrągłostołowych. Co prawda nie utworzono postulowanego przez Radę Kultury Studentów Mniejszości Na-

rodowych „podstolika” mniejszościowego, ale Jacek Kuroń poświęcił grupom narodowościowym odrębne wystąpienie.

Istotnym wydarzeniem czerwcowej kampanii wyborczej do sejmu i senatu stało się wystawienie na liście solidarnościowej Włodzimierza Mokrego. Jednocześnie, 27 kwietnia, Lech Wałęsa zwrócił się z „Listem do wyborców w sprawie mniejszości narodowych i religijnych”. Przypomniawszy w nim, że w Polsce żyją oprócz Polaków również przedstawiciele innych, najczęściej sąsiednich narodów. Apelowawszy: „znajdźmy i uszanujmy miejsca w tej kampanii, w których mogliby oni wziąć godnie należny im udział. (...) Będzie jednym z ważniejszych sprawdzianów rzeczywistych kwalifikacji naszych senatorów i posłów — umiejętne, uczciwe i ludzkie zapoczątkowanie w Polsce okresu zamykania rachunków wzajemnych win i krzywd i otwieranie okresu nowego, na miarę wymogów bliskiego III Tysiąclecia po Chrystusie, godziwego współżycia nad Wisłą obywateli wszelkich narodowości, kultur i wiar”. Jak wiadomo, Mokry został wybrany do sejmu z okręgu gorzowskiego, co stanowiło niezwykle ważne wydarzenie w powojennych dziejach społeczności ukraińskiej. Oto bowiem po pięćdziesięciu latach w parlamencie polskim zasiadł Ukrainiec, który dzięki swej działalności i miejscu zajmowanemu w życiu społecznym mniejszości ukraińskiej posiadał mocne podstawy do jej reprezentowania.

Te przedsięwzięcia opozycji, a także wzrastająca aktywność samych Ukraińców oraz innych mniejszości wymusiły na władzy odpowiednie kroki. W maju odbyły się dwa spotkania w KC PZPR kierownictw organizacji narodowościowych z władzami partyjnymi, w których wyniku odnowiono działalność Komisji Narodowościowej KC, a także omawiano sprawę wpisania przedstawicieli tych organizacji na listę krajową w wyborach do sejmu. Ta koncepcja ostatecznie upadła, a na liście znalazł się jedynie Szymon Szurmiej, przewodniczący Towarzystwa Żydowskiego. Spowodowało to konieczność wystawienia własnych kandydatów przez UTSK. Było ich w sumie czterech: trzech w wyborach do sejmu i jeden do senatu. Żaden nie zdobył mandatu. Warto w tym miejscu wspomnieć, że swoistą platformą wyborczą UTSK stał się „Raport” o położeniu tej społeczności przesłany do sejmu. W dokumencie poruszono najważniejsze problemy działalności kulturalnej i oświatowej, a także sprawy wyznaniowe oraz niektóre postulaty polityczne, w tym zagwarantowania przedstawicielstwa w parlamencie. „Raport” przeszedł bez echa.

W pierwszym okresie po czerwcowych wyborach punkt ciężkości politycznego wymiaru problemu narodowościowego przesunął się do sejmu, gdzie członkowie Komisji Komitetu Obywatelskiego — przede wszystkim Jacek Kuroń i Włodzimierz Mokry — pracowali nad powołaniem Komisji Mniejszości Narodowych i Grup Etnicznych. Po blisko trzech miesiącach starań sprawa zakończyła się pozytywnie, a na pierwszego przewodniczącego Komisji wybrano właśnie Kuronia. W wywiadzie dla wspomnianych *Zaścizni* przedstawił on trzy najważniejsze powody jej utworzenia. Pierwszym była potrzeba troski o los mniejszości ze strony władzy państwowej po latach panowania jednolito-narodowościowej koncepcji państwa polskiego. Drugim było przekonanie, że w warunkach emancypacji narodów sąsiednich potrzebne jest ułożenie stosunków z nimi i uniknięcie w ten sposób konfliktów, co może nastąpić przez przezwyciężenie wzajemnych negatywnych nastawień. A „ten proces trzeba zaczynać zawsze od tych, którzy mieszkają tutaj”. Wreszcie trzecim powodem była potrzeba troski o rozwój narodowy Polaków zamieszkujących poza granicami Polski. Jacek Kuroń stwierdził: „wyobrażam sobie, że droga załatwienia tego problemu prowadzi właśnie przez załatwienie spraw mniejszości narodowych w naszym kraju”. Konkludował więc: „W 20-leciu międzywojennym, kiedy sprawa mniejszości stała się ważką kwestią w związku z powstaniem państw narodowych w tej części Europy, panowała moda, by sprawy mniejszości wygrywać dla swoich interesów. Negatywnie, tzn. w myśl zasady: 'wy przyłożycie — my przyłożymy'. Odwróćmy ten porządek: 'My damy więcej — wy dacie więcej'. Ścigajmy się w tym, kto da więcej!’”

W zamierzeniach przewodniczącego Komisja miała przede wszystkim zająć się sprawą uchwalenia ustawy o mniejszościach narodowych oraz rozpoznaniem sytuacji poszczególnych mniejszości. Dla zrealizowania pierwszej z nich przygotowano kilka projektów ustawy, w tym autorstwa Hanny Suchockiej, a także rozpoczęto prace nad wzniesieniem odpowiedniego zapisu o prawach mniejszości do przygotowywanego przez komisję sejmowe projektu nowej Konstytucji. Dla realizacji drugiego przedsięwzięcia zaplanowano serię spotkań członków komisji z poszczególnymi środowiskami narodowościowymi. Kierowaniem tymi sprawami miał się już jednak zajmować następca Kuronia (który ustąpił w związku z objęciem teki ministerialnej) poseł Jerzy Wuttke, należący również do Oby-

watelskiego Klubu Parlamentarnego. Jacek Kuroń zdążył jeszcze zapoczątkować przejmowanie spraw opieki nad działalnością kulturalno-oświatową mniejszości przez Ministerstwo Kultury i Sztuki w miejsce Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Dzięki temu w grudniu 1989 roku utworzono Biuro ds. Mniejszości Narodowych MKiSz, kierowanie którym powierzono Bogumile Berdychowskiej. Stanowiło to więc zrealizowanie jednego z głównych postulatów odnośnie polityki narodowościowej państwa przedkładanych przez mniejszości.

Działania te zbiegły się w czasie z istotnymi zmianami w strukturze organizacyjnej społeczności ukraińskiej. W ciągu 1989 roku ukonstytuowały się nowe organizacje: Związek Ukraińskiej Młodzieży Niezależnej i Ukraińskie Bractwo Chrześcijańskie św. Włodzimierza, na początku następnego zaś roku Towarzystwo „Narodnyj Dim” w Przemyślu, Zjednoczenie Łemków i Fundacja Świętego Włodzimierza Chrzciciela Rusi Kijowskiej. Nowa sytuacja wytworzyła się również w UTSK, z którego kierownictwa na jesieni 1989 roku odeszli działacze utożsamiani z dotychczasową serwilistyczną postawą wobec władzy. Na przełomie 1989 i 1990 roku odbyły się dwa posiedzenia „Forum” środowisk ukraińskich, w których udział wzięło ponad pięćdziesięciu ich przedstawicieli. Celem „Forum” było przedyskutowanie położenia społeczności ukraińskiej oraz wypracowanie modelu jej dalszego funkcjonowania w zmieniającej się sytuacji politycznej i społecznej Polski. Uznano, że w istniejących warunkach potrzebne jest istnienie jednej centralnej organizacji, która byłaby wyrazicielem i reprezentantem całej społeczności. Osiągnięto to poprzez przekształcenie UTSK w Związek Ukraińców w Polsce, co nastąpiło na nadzwyczajnym zjeździe Towarzystwa w dniach 25-26 lutego 1990 roku.

Zjazd przedyskutował całokształt kwestii ukraińskiej w Polsce, co było ułatwione dzięki udziałowi ministra Kuronia, posłów Wuttke i Mokrego, a także innych przedstawicieli władz. W licznych dokumentach zaprezentowano wyniki tej dyskusji oraz wyznaczono perspektywy rozwoju życia narodowego Ukraińców. W posłaniu do Sejmu RP przedstawiono listę potrzeb i propozycji, wśród których na czołowym miejscu znalazła się sprawa ustawy mniejszościowej, zapisu konstytucyjnego, zagwarantowania przedstawicielstwa parlamentarnego oraz przedstawicielstwa w organach samorządu lokalnego. Wskazywano przy tym na utrudnienia, jakie wynika-

ją w realizacji praw mniejszości ze względu na rozproszenie ludności ukraińskiej. Postulowano więc zwiększenie troski państwa w stosunku do szkolnictwa w języku ukraińskim oraz działalności kulturalnej, a także opieki nad zabytkami sztuki ukraińskiej. Dla koordynacji działań rządu w tych sprawach zaproponowano utworzenie Biura ds. Mniejszości Narodowych przy Prezesie Rady Ministrów. Zjazd ustosunkował się również do problemów wyznaniowych, wskazując na potrzebę uregulowania sytuacji prawnej Kościoła prawosławnego i Kościoła greckokatolickiego. Wiele uwagi poświęcono również problemowi przeciwdziałania negatywnemu stereotypowi Ukraińca w społeczeństwie polskim oraz poprawienia sposobów funkcjonowania problematyki ukraińskiej w środkach masowego przekazu i wychowaniu szkolnym dzieci i młodzieży.

Jednakże uczestnicy zjazdu za najważniejszy problem polityczny i społeczny mniejszości ukraińskiej uznali kwestię likwidacji skutków akcji „Wisła”. W specjalnym „Pośłaniu” do Sejmu RP zaapelowano o potępienie deportacji oraz naprawienie jej prawnych, moralnych i materialnych następstw. Stwierdzono przy tym, że problem ten determinuje sytuację społeczności ukraińskiej a jego rozwiązanie stanowić będzie o pozytywnym rozstrzygnięciu kwestii ukraińskiej w odzyskują-cym suwerenność państwie polskim.

Akcja „Wisła” zdominowała też problematykę ukraińską w pracach komisji sejmowej ds. mniejszości narodowych w pierwszym etapie jej funkcjonowania, tj. mniej więcej do początku 1991 roku.

Omawiając prace Komisji w wywiadzie dla *Naszego Słowa* z marca 1991 roku Wuttke stwierdził, że o ile zapis konstytucyjny znalazł wielu zwolenników, o tyle ustawa mniejszościowa wywołała liczne kontrowersje, także w środowiskach narodowościowych — przedstawiciele Ukraińców i Białorusinów opowiedzieli się za jej uchwaleniem, Niemców przeciwko. W tej sytuacji przewodniczący opowiedział się za tym, by zagwarantowanie praw tym grupom zapewnić za pomocą następujących kroków: po pierwsze — uchwalić deklarację rządu Rzeczypospolitej o stosunku do mniejszości narodowych, po drugie — uchwalić takie ustawy „resortowe”, które dostosowywałyby ustawodawstwo polskie do standardów międzynarodowych w dziedzinie ochrony praw mniejszości. Jednakże skutek wyhamowania dynamiki prac Komisji w 1991 roku plany te nie doczekały się realizacji. Po-

dobnie stało się również z kwestią likwidacji przez sejm następstw akcji „Wisła”.

Pojawienie się tego problemu w sposób otwarty na forum parlamentu nastąpiło pod koniec 1989 roku. Wówczas to Włodzimierz Mokry wraz ze Związkiem Ukraińców przygotował obszerną dokumentację dotyczącą przebiegu i następstw deportacji, której część jako artykuł Eugeniusza Misilo została następnie wydrukowana w *Tygodniku Powszechnym* wraz z artykułem prof. Krzysztofa Skubiszewskiego o akcji „Wisła” w świetle ówczesnego prawa międzynarodowego. Dało to należną podstawę do stawiania tego zagadnienia na forum sejmowej komisji mniejszości narodowych, gdzie zaczęto opracowywać projekt odpowiedniej uchwały całego sejmu. W sumie tych projektów było dziesięć, a jeden z nich został odczytany nawet na spotkaniu demokratycznych parlamentarzystów polskich i ukraińskich w Jabłonie k. Warszawy na początku maja 1990 roku. Jednakże sejm nie zdecydował się na jej przyjęcie. Uczynił to natomiast senat stosowną uchwałą z dnia 3 sierpnia tegoż roku. W dokumencie tym stwierdzono:

„Senat Rzeczypospolitej potępia akcję 'Wisła', w której zastosowano — właściwą dla systemów totalitarnych — zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Senat Rzeczypospolitej Polskiej dążyć będzie do tego, by naprawione zostały — na ile to możliwe — krzywdy powstałe w wyniku tej akcji”.

W społeczności ukraińskiej uchwałę przyjęto z satysfakcją, jednakże podkreślono, że nie stanowi ona pełnego zrealizowania postulatów w tej sprawie ze względu na brak określenia, przynajmniej w zarysie, sposobów naprawienia krzywd. Tak więc ZUwP oraz inne organizacje nadal wysuwały potrzebę potępienia deportacji przez sejm i konkretnych przedsięwzięć w celu likwidacji jej skutków. Jednakże postulaty te, wspierane wysiłkami posła Mokrego, nie przyniosły pozytywnych rezultatów. Złożyło się na to wiele przyczyn, które dobrze charakteryzują jednocześnie klimat społeczny i polityczny funkcjonowania problemu ukraińskiego w całości.

Jerzy Wuttke we wspomnianym wywiadzie nazwał tę sprawę swoistym węzłem gordyjskim, „problemem z najbardziej przejrzystym aspektem polityczno-propagandowym”. Po pokonaniu pewnych oporów wewnątrz komisji i przyjęciu tekstu uchwały nastąpił etap konsultacji z poszczególnymi klu-

bami parlamentarnymi. Szczególnie mocno sprzeciwiali się posłowie byłej PZPR, byłego ZSL, a także PAX-u. Po zakończeniu więc konsultacji, a także po wyciągnięciu wniosków z atmosfery panującej w ówczesnym sejmie stwierdzono, że „postawienie tej kwestii pod obrady plenarne stworzyłoby wielkie ryzyko dla całej sprawy”. Bowiern mogliiby one przekształcić się w rozrachunek polsko-ukraińskich krzywd, co nie przysporzyłoby — według Jerzego Wuttke — sejmowi dobrego imienia”. Stąd odesłano cały problem do senatu. Wuttke zwrócił przy tym uwagę na jego międzynarodowy, polsko-ukraiński, kontekst. Wspomniął, że omawiano to podczas spotkania w Jabłonnie, „podczas którego jasno powiedzieliśmy sobie”, że „oczekujemy także z ich strony jakiegoś oddźwięku, ponieważ to odnosi się do stosunków dwustronnych. Bo wbrew niektórym opiniom nie jest to wyłącznie nasza wewnętrzna sprawa”. Dlatego też Wuttke rozczarowała uchwała Rady Najwyższej Ukrainy witająca uchwałę Senatu RP i potępiająca zbrodnie stalinowskie dokonane na Polakach. „To przykład klasycznego uniku, ucieczka od konkretnego tematu” — konkludował poseł.

Na podobne aspekty zwracał uwagę w publicznych wypowiedziach również poseł Mokry. Podkreślił on przede wszystkim opór sił postkomunistycznych przeciwko potępieniu akcji „Wisła” m.in. z tego powodu, że w jej przeprowadzeniu brali udział najwyżsi dowódcy wojskowi, a także generałowie Jaruzelski i Kiszczak. Mokry zwrócił uwagę także na fakt przyznania praw kombatanckich uczestnikom walk z Ukraińską Powstańczą Armią, a więc w przeważającej większości żołnierzom Ludowego Wojska Polskiego biorącym udział w deportacji 1947 roku. Akceptował on również wielkie oddziaływanie stereotypu antyukraińskiego powodującego utrzymywanie się podwyższonej temperatury społecznej wokół całej sprawy. Świadectwem tego były ostre protesty wielu środowisk kresowych i kombatanckich przeciwko uchwale senatu, z których najbardziej znane były dokumenty Towarzystwa Miłośników Lwowa oraz Stowarzyszenia Rodzin Ofiar Ukraińskich Nacjonalistów „Misja Pojednania i Pokuty” we Wrocławiu.

Niejako w cieniu rozstrzygania tych problemów tworzone zwały nowej polityki narodowościowej w sferze zabezpieczania potrzeb kulturalnych i oświatowych ludności ukraińskiej. Jej generalne wytyczne zaakceptował premier Tadeusz Mazowiecki w swoim *exposé* na forum sejmu we wrześniu 1989

roku. Podkreślił on, że w działaniach rządu należne miejsce zajmuje kwestia zagwarantowania mniejszościom ich praw. Bardzo konkretne stanowisko przedstawił Jacek Kuroń w swoim przemówieniu na forum zjazdu ZUwP — choć stwierdził, że przemawia jako poseł i jako człowiek przychylny Ukraińcom. Minister zapewnił, że rząd będzie wspomagał działalność kulturalną i oświatową, jednakże to nie powinno zwalniać samej mniejszości z zapobiegliwości o własne fundusze. Było to stwierdzenie istotne ze względu na zmiany, jakie zaczęły zachodzić w mechanizmach udzielania przez państwo wsparcia organizacjom mniejszościowym. Dotychczas na utrzymanie pracowników etatowych tych organizacji, świetlic, jak również kadry instruktorskiej amatorskich zespołów artystycznych pieniądze dawało państwo. Nowe władze wprowadziły inne rozwiązanie: zaprzestano dotowania z budżetu działalności podmiotowej organizacji społecznych, zachowano natomiast dofinansowywanie działalności przedmiotowej. Dla rozproszonej społeczności ukraińskiej i jej najliczniejszej organizacji było to rozstrzygnięcie bardzo niekorzystne, biorąc pod uwagę zupełny brak własnej bazy lokalowej, co wynikało z zakazu prowadzenia działalności gospodarczej, jaki nałożono na UTSK.

Stąd też wiele czasu działacze ZUwP poświęcili rozmowom na temat pomocy państwa również na działalność podmiotową, a w szczególności utrzymanie pomieszczeń klubowych w ponad 30 miejscowościach na terenie całego kraju. W rezultacie w tymże roku osiągnięto zadowalającą poprawę sytuacji w tej dziedzinie, osiągając sumę dotacji ponad 5 mld złotych. Największe wydatki pochłonęło zakupienie Domu Kultury Ukraińskiej w Warszawie, sprzętu poligraficznego dla Związku, utrzymanie *Naszego Słowa*, działalności chórów i zespołów artystycznych oraz wspomnianych pomieszczeń świetlicowych. W dużej mierze jednakże były to pieniądze przyznane dodatkowo na inwestycje, które miały następnie przynosić dochód.

Problem dofinansowania działalności kulturalnej mniejszości narodowych wiązał się z kwestią odpowiedniego usytuowania organów państwowych zajmujących się tymi sprawami. Według wstępnych zamierzeń miano odejść od modelu centralistycznego i znacznie większe kompetencje przekazać poszczególnym wojewodom oraz organom samorządowym, co wiązałoby się ze zwiększeniem samodzielności tych samorządów i terenowych organów administracji państwowej. Jednocześnie stwierdzono, że MKiSz, jego Biuro ds. Mniejszości Narodowych nie jest w stanie w pełni wykonywać odpowiedniej roli w

stosunku do skali i wielosektorowości problemu narodowościowego. Stąd też powołano międzyresortową Komisję ds. Mniejszości Narodowych przy Radzie Ministrów, która miała wykonywać funkcje doradcze. W jej skład weszło sześciu ministrów: kultury i sztuki, spraw wewnętrznych i zagranicznych, pracy i polityki socjalnej, edukacji narodowej i sprawiedliwości oraz wojewodowie: opolski, przemyski, białostocki i suwalski. Funkcje organu wykonawczego (sekretariatu) tej Komisji wykonywało wspomniane Biuro MKiSz, przekształcone w Zespół ds. Mniejszości Narodowych pod niezmiennym kierownictwem Bogumiły Berdychowskiej.

Jednakże takie rozwiązanie okazało się niezadowolające dla wielu osób zajmujących się problematyką narodowościową. Jerzy Wuttke w wywiadzie dla miesięcznika *Pomerania* (maj 1991) stwierdził, że przypisanie Komisji do ministerstwa kultury stworzyło „absurdalną sytuację” tym bardziej, że w skład organu doradczego rządu weszło sześciu jego ministrów. Stąd uznał on za celowe powołanie pełnomocnika rządu ds. mniejszości narodowych. Pomimo dość znacznej popularności tego pomysłu nie doszło do jego realizacji, a usytuowanie spraw narodowościowych pozostało nie zmienione.

W omawianym okresie nastąpiła wyraźna poprawa w dziedzinie oświatowej. Dzięki przychylności Ministerstwa Edukacji Narodowej, a w szczególności odpowiedzialnego za te sprawy wiceministra Andrzeja Janowskiego, otworzono szkołę podstawową z ukraińskim językiem nauczania w Bartoszycach, liceum ogólnokształcące w Białym Borze i Górowie Iłowieckim, borykające się z ogromnymi problemami lokalowymi. W roku szkolnym 1991/92 doszła do tego szkoła podstawowa w Przemysłu, co wydatnie zwiększyło liczbę uczniów pobierających naukę języka ojczystego. Zwiększeniu uległa również liczba punktów nauczania języka ukraińskiego w zwyczajnych szkołach podstawowych i ośrodkach kultury ukraińskiej. Również w sprawie ochrony zabytków kultury ukraińskiej znaleziono większe zrozumienie i pomoc finansową, co było szczególnie ważne dla działalności Społecznej Komisji Ochrony Zabytków Sztuki Cerkiewnej działającej przy TONZ-ie.

ZASADA WZAJEMNOŚCI

Burzliwie zmieniająca się sytuacja w Europie Środkowo-Wschodniej, a przede wszystkim upadek komunizmu i rozpad

ZSSR, wprowadziły nowe elementy do kwestii narodowościowej w Polsce. Chodzi przede wszystkim o pojawienie się liczego i dynamicznego ruchu społeczności niemieckiej oraz o odrodzenie narodowe mniejszości polskiej w odzyskujących niepodległość wschodnich sąsiadach Rzeczypospolitej: Litwie, Białorusi i Ukrainie. Pierwszy czynnik posiada dla omawianego przez nas tematu znaczenie pośrednie, jednakże niezmiernie istotne dla wypracowania ogólnej koncepcji polityki narodowościowej państwa polskiego, również ze względu na to, że po wyborach parlamentarnych z października 1991 roku społeczność niemiecka, posiadając siedmiu posłów i jednego senatora stała się znaczącą siłą polityczną, przy braku przedstawicielstwa parlamentarnego Ukraińców, Białorusinów. Drugi element wprowadził natomiast do kwestii ukraińskiej nowy aspekt polityczny, tzn. przyjęcie zasady wzajemności, bądź inaczej mówiąc symetrii w traktowaniu społeczności ukraińskiej w Polsce i polskiej na Ukrainie. Zmieniło to zasadniczo cały kontekst funkcjonowania życia narodowego Ukraińców w Polsce.

Pojawienie się problemu niemieckiego było pewnym zaskoczeniem dla władzy i sił politycznych. Jeszcze bowiem w 1989 roku padały publiczne stwierdzenia, że Niemców w Polsce nie ma w ogóle lub że mieszka ich tutaj bardzo niewiele. Pogląd ten musiano szybko zweryfikować również ze względu na postawę władz niemieckich, domagających się odpowiedniego zabezpieczenia praw tej społeczności. Uznano więc istnienie mniejszości niemieckiej w Polsce oraz zgodzono się na przyjęcie europejskich standardów ochrony praw mniejszości oraz dokonanie odpowiednich zapisów w traktatach zawieranych z państwami sąsiednimi. Było to również ważne ze względu na starania Polski o wejście do struktur europejskich, gdzie zagwarantowanie przestrzegania tych praw było jednym z warunków wstępnych. Jak wiadomo wybuch waśni narodowościowych w krajach postkomunistycznych w szczególności wyczuł zachodnią opinię i zachodnich polityków na tę kwestię. Jerzy Sułek, dyrektor departamentu Europy w MSZ, stwierdził przy okazji omawiania traktatu polsko-niemieckiego w wywiadzie dla *Polityki* (nr 25 z 1991 roku), że jedną z korzyści tego traktatu jest „ujednoczenie polskiego stanowiska. Polska nie będzie wobec Litwy czy Ukrainy, czy jakiegokolwiek innego państwa żądała ani więcej, ani mniej niż sami dajemy Niemcom, Litwinom, Ukraińcom, Żydom czy Białorusinom”.

Taki kierunek rozwiązań przyjmowanych przez władze polskie został zrealizowany w umowach dwustronnych z wszystkimi sąsiadami. Jak bowiem stwierdzał wielokrotnie minister Skubiszewski, zadaniem Polski jest „przekazywanie norm ogólnoeuropejskich” do nowo powstających państw na Wschodzie. Zatem zapis o prawach osób należących do mniejszości narodowych znalazł się w Deklaracji o zasadach i podstawowych kierunkach rozwoju polsko-ukraińskich stosunków wzajemnych podpisanej w październiku 1990 roku przez ministra Skubiszewskiego w Kijowie. Odpowiednie stwierdzenia zawarto również w traktacie polsko-ukraińskim podpisanym przez prezydentów Polski i Ukrainy w maju 1992 roku. Tak więc prawa osób należących do mniejszości ukraińskiej uzyskiwały gwarancje międzynarodowe.

Jednakże realizacja w praktyce zasady wzajemności spotkała się z negatywnym przyjęciem wśród Ukraińców ze względu na obawy przed jej restrykcyjnym zastosowaniem. Obawy te zrodziły się zarówno z uwagi na kierunek działania sejmowej komisji mniejszości narodowych, jak również z uwagi na działania podejmowane przez terenowe organa administracji państwowej. Towarzyszyło temu przyjęcie tej zasady przez prawicowe siły polityczne jako wyznacznika polskiej polityki zagranicznej w stosunku do państw ościennych.

Pierwszy z wymienionych elementów został ujawniony na początku 1991 roku, kiedy to pod koniec stycznia, z inicjatywy dwóch przewodniczących, doszło do wspólnego posiedzenia komisji mniejszości narodowych i komisji łączności z Polakami za granicą poświęconego omówieniu sytuacji społeczności polskiej na Ukrainie i ukraińskiej w Polsce. Na spotkanie przybyła kilkusobowa delegacja Polaków ze Lwowa, w tym łaciński lwowski biskup pomocniczy Marcján Trofimiak, a także konsul polski w tym mieście Jerzy Łukaszewski. Wypowiedzi członków tej delegacji zamieniły się niemal w całości w ostrą krytykę postępowania demokratycznych władz obwodu lwowskiego z Władysławem Czornowilem na czele. Istotnym elementem tej krytyki było porównanie sytuacji społeczności polskiej i społeczności ukraińskiej w Polsce z wyraźnym wskazaniem na nierównoprawność ich położenia. Taki kierunek dyskusji wywołał sprzeciw Jacka Kuronia i Włodzimierza Mokrego oraz Bogumiły Berdychowskiej, którzy doprowadzili do przerwania obrad i wystąpili z wnioskiem o zaproszenie do rozmów na temat sytuacji mniejszości w obu krajach przedstawicieli parlamentu ukraińskiego.

Takie spotkanie odbyło się w początkach marca tegoż roku w Warszawie. Uznano na nim za celowe powołanie stałej komisji międzyparlamentarnej ds. mniejszości ukraińskiej w Polsce i polskiej na Ukrainie. Rozmowy na temat utworzenia tej komisji kontynuowano w czerwcu w Kijowie, gdzie gościła delegacja obu komisji sejmowych. Uzgodniono projekt Deklaracji o powołaniu wspólnej komisji, zasadach jej funkcjonowania, trybie prac, a także protokół spotkania, w którym powołano się na dokumenty europejskie dotyczące ochrony praw mniejszości i Deklarację polsko-ukraińską z października 1990 roku. Ze względu na opóźnienie podpisania tych dokumentów przez stronę ukraińską oraz na kampanię wyborczą do parlamentu w Polsce komisja ta nie rozwinęła działalności, ulegając faktycznemu rozwiązaniu.

Taki kierunek pracy komisji mniejszości narodowych zbiegł się w czasie z drastycznym ograniczeniem dotacji państwowych na działalność kulturalną tych społeczności, a także z konfliktem wokół przekazania greckokatolickiej świątyni katedralnej w Przemyślu oraz ingresem rzymskokatolickiego metropolity lwowskiego arcybiskupa Mariana Jaworskiego. Zmniejszenie dofinansowania wywołało wielkie trudności w utrzymywaniu podstawowej bazy funkcjonowania kultury ukraińskiej w Polsce — ośrodków kultury w kilkudziesięciu miejscowościach, kadry instruktorskiej dla zespołów artystycznych oraz samych zespołów. W takiej sytuacji Rada Główna ZUwP dwa razy rozpatrywała podjęcie decyzji o wstrzymaniu działalności kulturalno-oświatowej i wydawniczej prowadzonej przez organizację. Nie mniej skomplikowana sytuacja wytworzyła się w sprawach wyznaniowych. W połowie stycznia 1991 roku oficjalnie ogłoszono papieską decyzję o reaktywowaniu łacińskiej metropolii we Lwowie oraz greckokatolickiej diecezji w Przemyślu, przy czym na Ukrainie pracować miało pięciu biskupów rzymskokatolickich. Natomiast w Polsce jeden biskup greckokatolicki, co już wywołało szereg negatywnych reakcji nad Dnieprem i Dniestrem. Jednocześnie grupa osób świeckich zablokowała przekazanie na pięć lat dawnej katedry greckokatolickiej, co w końcu uniemożliwiło zarówno ingres biskupa Jana Martyniaka, jak również planowane w tej świątyni spotkanie grekokatolików z papieżem Janem Pawłem II. We Lwowie natomiast zablokowano nie tylko planowany na kwiecień ingres metropolity Jaworskiego, lecz również nie oddano Kościołowi rzymskokatolickiemu dwu nowych świątyń. Istotnym motywem

podawanym przez obie strony było wskazywanie na brak odpowiednich rozwiązań u sąsiada.

Taka właśnie argumentacja była i jest stosowana przez władze przemyskie w stosunku do potrzeb zgłaszanych przez miejscowych Ukraińców. W odpowiedzi na pismo przemyskiego oddziału ZUwP z prośbą o nieodpłatne przekazanie „Narodnego Domu” zawarto następujące stwierdzenia:

„Władze administracyjne podjęły już w Przemyśle szereg przychylnych decyzji dla mniejszości ukraińskiej (np. otwarcie szkoły ukraińskiej, orzeczenie prawa własności do obiektu przy ul. Basztowej oraz dawnej cerkwi OO Bazylianów, poważne dotacje na remonty cerkwi grekokatolickich). Trzeba je widzieć w kontekście takich decyzji odnośnie potrzeb i postulatów skupisk polskich we Lwowie, Tarnopolu i innych miejscowościach w Ukrainie”.

Należy przy tym zaznaczyć, że podobną argumentację stosowały również władze ukraińskie, podkreślając na przykład fakt przekazania w ostatnim okresie ponad 200 świątyn parafiom rzymskokatolickim przy kilku świątyniach przekazanych grekokatolikom w Polsce. Prowadziło to oczywiście do sytuacji patowej, w której każdy oczekiwał, że ktoś inny pierwszy zrobi pożądany krok.

Negatywny odbiór zasady wzajemności pogłębiły poglądy wyrażane w tej sprawie przez przedstawicieli ugrupowań prawicowych, którzy polską politykę wschodnią uzależniali od stopnia zaspokojenia potrzeb społeczności polskiej w danym kraju. Potrzeb, dodajmy, ocenianych przez te właśnie siły polityczne. I tak, na przykład, Marian Piłka (dziś poseł ZChN-u, a wcześniej urzędnik państwowy zajmujący się sprawami Polaków na Wschodzie) w dokumencie zatytułowanym „Założenia polityki Rzeczypospolitej Polskiej wobec Polaków zamieszkających na Wschodzie” pisał:

„W rozmowy Polski z republikami należy włączyć także problematykę mniejszości narodowych w Polsce. Ich przywileje poza kwestiami szkolnictwa w języku ojczystym i państwowymi ośrodkami kultury narodowej winny być uzależnione od analogicznych przywilejów w republikach. I tak dotacje na stowarzyszenia, wydawnictwa, festiwale, audycje radiowe i telewizyjne, winny być uzależnione od analogicznych przywilejów dla polskiej mniejszości”.

Analogicznych sformułowań użył autor (autorzy?) dokumentu pt. „Zarys polskiej polityki wobec wschodnich sąsiadów”, diskutowanego w Porozumieniu Centrum jako projekt stanowiska tej partii w omawianej sprawie:

„W odniesieniu do szczególnie napiętej sytuacji, jaka panuje na Ukrainie Zachodniej polityka polska powinna kierować się zasadą wzajemności zarówno w przełamywaniu wzajemnych stereotypów jak i w stosunkach mniejszościowych. (...) Np. finansowanie przez państwo polskie ukraińskich stowarzyszeń nie pociągnęło za sobą symetrycznych działań Ukrainy w stosunku do stowarzyszeń polskich — np. lwowskie nie ma nawet własnej siedziby”.

Pozytywnym kontrastem w stosunku do takich dezyderatów jest stanowisko wyrażane przez kierownictwo MKiSz. Wiceminister Michał Jagiełło w rozmowie redakcyjnej *Przeglądu Powszechnego* (nr 12, 1991) stwierdził, że „Ministerstwo Kultury, ani Międzyresortowa Komisja ds. Polonii nie przyjęły zasady parytetowej. Nie stosujemy w praktyce zasady zakładnictwa ani ilościowych rozliczeń”. Stanowisko to zostało potwierdzone również przez kierującą Biurem ds. Mniejszości Narodowych MKiSz Bogumiłę Berdychowską. W artykule opublikowanym niedawno w organie KPN-u, *Gazecie Polskiej*, opowiedziała się ona zdecydowanie przeciwko stosowaniu zasady wzajemności, uznając ją za kuriozalną z kilku powodów:

„Po pierwsze — pewna część naszych obywateli jest wtedy wyodrębniana jako specyficzna grupa i mówi się, że ze względu na to, że Polacy, którzy żyją na Ukrainie czy na Białorusi nie dostają żadnej pomocy od państwa, to np. mniejszości białoruskiej w Polsce — naszym obywatelom — dokopiemy. Stawia się tę mniejszość w pozycji zakładnika, który ma odpowiadać swoją głową za działania dziejące się poza granicami naszego państwa. Sprawa następna — wszystkie współczesne prace dotyczące standardu ochrony praw mniejszości narodowych idą w kierunku ich umiędzynarodowienia, czyli tworzenia gwarancji uniwersalnych, chroniących prawa mniejszości narodowych”.

Przy istnieniu tak rozbieżnych stanowisk w omawianej sprawie przedstawicielstwo społeczności ukraińskiej stanowczo sprzeciwiło się restrykcyjnemu stosowaniu zasady wzajemności. Związek Ukraińców w Polsce dał temu wyraz w szeregu

dokumentów adresowanych do władz ustawodawczych i wykonawczych. W „Memoriale w sprawie sytuacji mniejszości ukraińskiej w Polsce” skierowanym do prezydenta Lecha Wałęsy w grudniu 1991 roku (*nota bene* do dnia dzisiejszego brak jest jakiegokolwiek odpowiedzi) Związek skonstatował, że Ukraińcy stanowią „zorganizowane zrzeszenie obywateli Rzeczypospolitej wypełniających swoje obowiązki, ale posiadających również swoje prawa zagwarantowane w systemie prawnym państwa oraz w umowach międzynarodowych”. A zatem „brak zaspokojenia naszych potrzeb, stawianie przy tym warunków wstępnych uzależniających ich wypełnienie od czynników zewnętrznych — realizacji potrzeb społeczności polskiej na Ukrainie — uważamy za przejaw niewłaściwego stosowania polityki narodowościowej oraz brak troski o własnych obywateli przez Państwo”. Podobne stanowisko zostało wyrażone również w „Memorandum społeczności ukraińskiej w Polsce”, dostarczonym prezydentowi Krawczukowi przez przedstawicieli tych mniejszości podczas jego majowej wizyty w Warszawie. Stwierdzono w nim: „Z uczuciem zadowolenia społeczność ukraińska przyjmuje coraz szerszą pomoc udzielaną społeczności polskiej przez instytucje państwowe i społeczne na Ukrainie. (...) Rozumiejąc wliczanie w relacjach międzynarodowych zasady wzajemności w stosunku do mniejszości narodowych opowiadamy się przeciwko jej restrykcyjnemu stosowaniu. Mniejszości narodowe nie powinny stać się 'zakładnikami' stosunków między poszczególnymi państwami”.

Poglądy ZUwP w omawianej sprawie najpełniej zostały zaprezentowane w obszernym „Liście otwartym do Stanisława Czerkasa, Przewodniczącego Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej”, podpisanym przez przewodniczącego Związku Jerzego Rejta, a datowanym na koniec kwietnia 1992 roku. W dokumencie tym, będącym polemiką ze stwierdzeniami Stanisława Czerkasa odnośnie zbyt małego zaangażowania władz ukraińskich we Lwowie w pomoc miejscowym Polakom na tle dużej pomocy udzielanej przez władze polskie Ukraińcom, Rejt przedstawił rzeczywistą sytuację swojej społeczności i podkreślił, że w stosunkach pomiędzy obiema społecznościami powinno unikać się „stosowania wobec siebie owej zasady wzajemności”. Jest to ważne ponieważ „obie społeczności mają za sobą ciężką próbę wytrwałości w zachowaniu własnego dziedzictwa kulturowego, budowania struktur życia narodowego”.

W tym kontekście ważne znaczenie miał również fakt, że polskie siły polityczne i całe społeczeństwo widziały stosunek mniejszości narodowych do krajów macierzystych ich narodów. Jerzy Wuttke we wspomnianym wywiadzie dla *Pomeranii* zwrócił uwagę na występowanie dwu procesów społecznych w Polsce: integracyjnego na zachodzie i dezintegracyjnego na wschodzie, gdzie następuje natężenie zjawisk antagonistycznych, których refleksy zaobserwował on w postawach m.in. mniejszości białoruskiej i ukraińskiej. Na wschodzie bowiem „został reanimowany patriotyzm odpowiadający dziewiętnastowiecznemu modelowi, który skłania do zamykania się, do tworzenia swoistego getta dla swoich”. Stąd wniosek, że „nie można rozpatrywać problemów mniejszości zamieszkujących w danym państwie w oderwaniu od sytuacji w państwie rodzimym tychże mniejszości”. O rozpowszechnieniu takich poglądów świadczy również wypowiedź Lecha Mażewskiego z sierpnia 1991 roku, kiedy to pełnił on funkcję doradcy premiera Bieleckiego, zamieszczona w *Życiu Warszawy*. Omawiając stosunek mniejszości do państwa stwierdził on, że dla Polski największe znaczenie „mają mniejszości posiadające w pobliżu własne (*sic!*) państwo”, ponieważ mogą one liczyć na pomoc — finansową i moralną — ze strony swojego państwa narodowego. Jednakże taka mniejszość „musi w swej orientacji politycznej stosować się do najwyższego autorytetu, jakim jest dla niej rząd tegoż państwa”. A więc mniejszości te będą „W mniejszym stopniu dążyły do opierania swej orientacji narodowej na przymierzu z państwem, w którym zamieszkują. Prawdopodobne są tu zatem sytuacje, które w równej mierze zależą od zachowania się państwa polskiego, jak i czynników niezależnych, tj. sytuacji międzynarodowej”. Korzystając więc z nowych uprawnień „nie wolno im jednak zapominać o lojalności wobec Rzeczypospolitej jako państwa-gospodarza”.

Nie trzeba prawdopodobnie dodawać, że te i podobne opinie raczej komplikowały niż pomagały w rozwiązywaniu spraw podnoszonych przez mniejszości. Tym bardziej, że publikowane w prasie wyniki badań opinii społecznej wyraźnie wskazywały na utrzymywanie się, a nawet wzrost niechęci w stosunku zarówno do grup narodowościowych w Polsce (w tym bardzo wydatnie do Ukraińców), jak i w stosunku do Ukrainy i jej mieszkańców. Podsycalo to dodatkowo stan niepewności odnośnie miejsca, jakie mniejszości powinny zająć w systemie politycznym i prawnym oraz strukturze społecznej Polski.

REPRYWATYZACJA I WYBORY

Jednym z najistotniejszych problemów rozpatrywanych przez władze w 1991 roku była dla Ukraińców ustawa reprivatyzacyjna. Bowiem w myśl jej projektów reprivatyzacja miała również objąć mienie przejęte przez państwo na podstawie dekretu z dnia 27 lipca 1949 roku o przejęciu na własność Państwa, nie pozostających w faktycznym władaniu właścicieli nieruchomości ziemskich, położonych w niektórych powiatach woj. białostockiego, lubelskiego, rzeszowskiego i krakowskiego. Pomimo rozpoczęcia prac nad tą ustawą wraz z utworzeniem rządu Tadeusza Mazowieckiego i mocnego nacisku zainteresowanych grup na jej jak najszybsze uchwalenie — do tej pory nie zrealizowano tego zamiaru. Stało się tak ze względu na kilka czynników, z których najważniejszym była obawa przed materialnymi skutkami zwrotu mienia byłym posiadaczom oraz zmieniające się koncepcje zakresu oraz charakteru samej reprivatyzacji. Chodzi przede wszystkim o kontrowersje wokół przyjęcia zasady zwrotu „w naturze” bądź rekompensat w postaci bonów reprivatyzacyjnych.

W styczniu 1991 roku powołany został Międzyresortowy Zespół Koordynacyjny do Spraw Reprivatyzacji, który w kwietniu przedstawił projekt ustawy „o zadośćuczynieniu państwa wobec osób, które utraciły mienie na skutek przejęcia tego mienia na własność państwa”. Projekt opiniowany był przez poszczególne resorty, a także zainteresowane organizacje zrzeszające dawnych właścicieli. W tym celu odbyło się kilka spotkań w Ministerstwie Przekształceń Własnościowych, w których społeczność ukraińską reprezentował Związek Ukraińców w Polsce, a wyodrębniane przez projektodawcę środowiska łemkowskie — Komitet Łemkowski oraz Obywatelski Krąg Łemków „Hospodar”. W swoich „Uwagach do projektu ustawy” Związek z zadowoleniem przyjął rozpoczęcie prac ustawodawczych nad naprawieniem szkód powstałych w wyniku „bezprawnego pozbawienia mienia ludności ukraińskiej w związku z jej wysiedleniem w ramach tzw. akcji Wisła”. Uznano, że generalnie rozwiązania przyjęte w projekcie odpowiadają możliwościom państwa i realiom gospodarczym. Jednocześnie zgłoszono uwagi szczegółowe, odnoszące się do konkretnych postanowień projektowanej ustawy. Dotyczyły one problemu wyłączenia spod prawa do świadczeń m.in. osób, które otrzymały mienie zastępcze (postu-

lowano, by w przypadku deportowanych w akcji „Wisła” zastosować klauzulę „ekwiwalentnego mienia zastępczego), a także rozszerzenia dopuszczalnych w postępowaniu dowodów. Warunkowane to było sposobem przeprowadzania wysiedlenia oraz osadnictwa na ziemiach północnych i zachodnich.

W połowie 1991 roku projekt trafił do sejmiku, gdzie w Komisji Przekształceń Własnościowych i Komisji Ustawodawczej nie został przychylnie przyjęty, głównie przez posłów dawnej PZPR. W rezultacie cała sprawa upadła i do końca kadencji nie wracano do niej. W społeczności ukraińskiej jednakże sprawa ta wywołała bardzo żywy oddźwięk. Dyskutowano nad tym, czy ustawa reprivatyzacyjna w zaproponowanym kształcie stanowi istotne zadośćuczynienie za doznane krzywdy materialne i moralne. Na spotkaniach środowiskowych, na forum Rady Głównej ZUwP oraz innych organizacji, a także spotkaniach z posłami i senatorami w poszczególnych regionach — dawano wyraz niezadowoleniu z projektowanej ustawy. I tak np., przewodniczący wojewódzkiego oddziału Związku w Szczecinie, Henryk Kołodziej, na spotkaniu z parlamentarzystami z województwa w kwietniu 1991 roku stwierdził:

„W Sejmie znajduje się projekt ustawy o reprivatyzacji przewidujący zwrot majątku byłym właścicielom lub rekompensatę za nie w przypadku pozbawienia majątku z naruszeniem prawa, ale nie obejmuje on mienia osób pozbawionych całego majątku tylko dlatego, że byli Ukraińcami. Byłoby to zalegalizowanie przez państwo grabieży z lat 1947-1949 oraz zasady odpowiedzialności zbiorowej, odrzuconej przecież przez wszystkie państwa”.

Podobne opinie wypowiedane były przez wiele osób i środowisk, co związane było z podkreśleniem w tej sprawie nie tyle całokształtu zagadnień związanych z postulowaną przez społeczność ukraińską potrzebą likwidacji skutków akcji „Wisła”, lecz sprawy „lasów łemkowskich”. Wyrażano obawę, że dla władz to właśnie zagadnienie, jak i sama ustawa może stanowić zamknięcie tematu likwidacji skutków prawnych, materialnych i moralnych akcji „Wisła”. A na to, w przekonaniu znacznej części Ukraińców, zgodzić się nie można. Tym bardziej, że w wypowiedziach polityków i urzędników państwowych wyrażano m.in. poglądy, że w kontekście akcji „Wisła” należy osobno traktować Ukraińców i osobno Łemków,

ponieważ ci drudzy niezasłużenie ucierpieli za winy pierwszych. Jednocześnie w licznych wypowiedziach ukraińskich podkreślano brak wyjścia naprzeciw postulatowi pomocy państwa osobom, które pragną powrócić na ziemię ojczystą.

Omawiana dyskusja pozwoliła na sformułowanie sprecyzowanego stanowiska w tej kwestii przez ZUWP i inne organizacje. Było to istotne ze względu na ponowne rozpoczęcie prac nad ustawą repriwatyzyacyjną w pierwszej połowie 1992 roku. Z trzech opracowanych wówczas projektów — rządowego, Unii Polityki Realnej i tzw. małej koalicji (KLD, UD, PPG) — pod obrady sejmu weszły dwa ostatnie. Po dyskusji przyjęto projekt małej koalicji, który tym samym stał się projektem poselskim i odesłano go do komisji. Zakłada on przede wszystkim, że repriwatyżacja powinna służyć przeprowadzeniu prywatyzacji; że nie może repriwatyżacja polegać na pełnym odszkodowaniu i wreszcie, że powinna ona objąć takie przypadki, w których naruszono obowiązujący porządek prawny. Przyjęto jednocześnie zasadę rekompensaty w postaci bonów kapitałowych. Zwrot mienia w naturze dotyczyć może niewielu przypadków. Dla wysiedleńców akcji „Wisła” przewidziano, zgodnie z opinią *Rzeczypospolitej*, „możliwość dokonania na wniosek osoby uprawnionej zwrotu w naturze działki leśnej, o ile nie jest ona położona na terenie parku narodowego lub rezerwatu przyrody. Zwrot może także polegać na przyznaniu na własność działki zastępczej”.

Związek Ukraińców w Polsce przyjął takie rozwiązania za niewystarczające, ponieważ w przypadku ludności deportowanej w 1947 roku nie chodzi w istocie o repriwatyżację, lecz o zadośćuczynienie za wysiedlenie i poniesione wówczas straty. Rozpatruje się więc tę kwestię w kontekście naruszania praw człowieka i praw mniejszości narodowych. Stąd za celowe uznano uchwalenie odrębnej ustawy o likwidacji skutków prawnych i materialnych akcji „Wisła”. Tym bardziej, że w samej społeczności problem ten widziany jest jako papiererek lakmusowy intencji władz w stosunku do ludności ukraińskiej. Na jednym ze spotkań poselskich na Łemkowszczyźnie działacze społeczni z tego regionu stwierdzili, że ich cierpliwość kończy się i że zaczynają „tracić wiarę w sprawiedliwość i majestat III Rzeczypospolitej”.

Nie mniej istotnym problemem dla społeczności ukraińskiej jest sprawa skutecznego udziału jej przedstawicieli w wyborach parlamentarnych i wyborach do organów samorządu terytorialnego. W drugiej sprawie ordynacja wyborcza

zastosowana w 1990 roku nie przewidywała żadnych zapisów specjalnych dla mniejszości narodowych. Na Białostocczyźnie utworzono „Rusko-Ukraiński Komitet Wyborczy”, który do rad różnego szczebla wprowadził kilkudziesięciu radnych. W innych regionach kandydaci ukraińscy startowali najczęściej z list komitetów obywatelskich. W ten sposób Ukraińcy uzyskali dalszych kilkudziesięciu radnych, co miało szczególne znaczenie dla społeczności lokalnych. Najbardziej znanym przykładem takiej właśnie sytuacji jest Przemyśl, gdzie radnym miejskim wybrano Jerzego Stabiszewskiego, działacza „Solidarności”, przewodniczącego zarządu oddziału wojewódzkiego ZUwP, a obecnie także dyrektora szpitala wojewódzkiego. Jego rola w łagodzeniu konfliktów i rozwiązywaniu bardzo złożonych problemów narodowościowych w tym mieście jest trudna do przecenienia.

Inaczej rozwiązano kwestię udziału mniejszości narodowych w wyborach parlamentarnych z października 1991 roku. Komitety wyborcze mniejszości uzyskały ulgi w sposobie rejestrowania swoich list oraz zniesienie progu liczbowego uzyskanych głosów i mandatów przy dzieleniu miejsc z puli 69 mandatów z listy ogólnopolskiej. Rozwiązania te wypracowano po długich pracach przygotowawczych prowadzonych na forum komisji mniejszości narodowych i komisji ustawodawczej sejmu. Włodzimierz Mokry oraz kilku innych posłów opowiadali się za stworzeniem kurii dla mniejszości z wydzieleniem ok. 10 mandatów. Przydzielono by je poszczególnym listom wyborczym na zasadzie proporcjonalnej. Pojawiły się również głosy postulujące przeznaczenie pewnej liczby miejsc dla mniejszości w senacie. Ostatecznie zwyciężyła jednak koncepcja zastosowania wymienionych ulg w sposobie rejestrowania list wyborczych.

Organizacje ukraińskie uznały, że zaistniała szansa nie tylko czynnego udziału w wyborach, ale uzyskania przynajmniej jednego mandatu. Wobec rozproszenia ludności zdecydowano wystawić kandydatów jedynie w wyborach do sejmu. Główny ciężar zorganizowania kampanii wyborczej wziął na siebie ZUwP, który powołał do życia komitet wyborczy. W jego skład weszli przedstawiciele innych organizacji, co jednak nie przyczyniło się do zachowania pełnej jedności wśród Ukraińców. Podlaski oddział ZUwP wszedł do koalicji tworzącej Wyborczy Komitet Prawosławnych, natomiast część środowiska łemkowskiego w województwie nowosądeckim i krośnieńskim startowała z listy mniejszości niemieckiej. W

Legnickiem inna część — z listy „Solidarności”. Włodzimierz Mokry podjął decyzję o ponownym kandydowaniu z listy „Solidarności” w województwie gorzowskim.

W sierpniu 1991 roku powołano do życia Wyborczy Blok Mniejszości, stanowiący koalicję organizacji ukraińskich, tworzących komitet wyborczy ZUwP, a także litewskich, słowackich i czeskich. W „Deklaracji WBM” podkreślono, iż powstał on „w przekonaniu, że główne problemy tych społeczności, zarówno polityczne i społeczne, jak również kulturalno-oświatowe i wyznaniowe są zbieżne. Uznano, iż po osiągnięciu pozytywnego rezultatu w wyborach te cztery mniejszości mogą być reprezentowane przez wspólnych przedstawicieli”. W „Deklaracji” stwierdzono jednocześnie, że Blok posiada niewielkie szanse na osiągnięcie pozytywnego rezultatu wyborczego. Dlatego też udział w wyborach oceniono „jako wyraz woli aktywnego uczestnictwa w budowie demokracji parlamentarnej w Polsce”. Opowiedziano się jednocześnie za budowaniem społeczeństwa obywatelskiego, którego mniejszości powinny stać się integralnym elementem. Uznano za konieczne wypracowanie pozytywnej polityki narodowościowej państwa, której celem „jest zapewnienie osobom należącym do mniejszości narodowych możliwości korzystania z pełnej [...] równości praw i podstawowych wolności”. Przeciwwstawiono się zdecydowanie restrykcyjnemu stosowaniu zasady wzajemności w stosunkach między Polską i sąsiednimi państwami. Podkreślono równocześnie pozytywną rolę, jaką mniejszości mogą odegrać w tych stosunkach i to na wielu płaszczyznach — od politycznej, gospodarczej i społecznej do oświatowej i kulturalnej.

Blok wystawił swoje listy w 15 okręgach wyborczych. Umieszczono na nich 60 kandydatów, w tym ponad 50 to Ukraińcy. Kampania wyborcza była trudna ze względu na znaczne rozproszenie ludności ukraińskiej, jak również ze względu na szereg innych czynników, m.in. brak doświadczenia w prowadzeniu tego typu akcji, skromność środków finansowych, apatię wyborców (w większości wiejskich i małomiasteczkowych, czyli najbardziej dotkniętych skutkami reform), a także błędy popełnione w organizacji samej kampanii. W przypadku ludności ukraińskiej pewne znaczenie posiadał sygnalizowany wyżej brak konsolidacji wszystkich organizacji i kandydatów w jednym Komitecie Wyborczym. Wymienione czynniki na pewno wpłynęły na wynik wyborów — łącznie WBM uzyskał 30 tysięcy głosów, co nie pozwoliło

na wprowadzenie do sejmu żadnego kandydata. Rezultat ten uznano oczywiście za porażkę.

Przyczyny tego niepowodzenia poddano analizie, wskazując na cały szereg przyczyn subiektywnych, niejako zawinionych przez działaczy i poszczególne środowiska ukraińskie. Jednocześnie podkreślono, że podstawowym obiektywnym powodem braku sukcesu było rozproszenie ludności ukraińskiej (ponad 27 tys. uzyskanych głosów), bowiem w jednym okręgu wyborczym osiągnięty wynik pozwoliłby uzyskać 1-2 miejsca w sejmie. I ten właśnie argument podniesiono podczas omawiania i przygotowywania ordynacji wyborczej do parlamentu następnej kadencji. Z pismem w tej sprawie ZUwP zwrócił się do komisji sejmowej zajmującej się opracowaniem ordynacji, a także do innych władz. Postuluje się, by głosy oddane we wszystkich okręgach wyborczych na listę komitetu mniejszości narodowej liczone były w jednym okręgu, a także by dla komitetów mniejszościowych zniesiono 5-procentowy próg. Ten ostatni postulat został zaakceptowany przez komisję, choć nie bez oporów ze strony niektórych ugrupowań prawicowych. Argumentują one, że łamie się w ten sposób zasadę równości obywateli wobec prawa, co w świetle przedstawionych w prezentowanym artykule faktów i międzynarodowych konwencji o ochronie praw mniejszości narodowych jest bezzasadne. Jednakże ta kwestia posiada ważne znaczenie dla całokształtu problematyki narodowościowej w Polsce ze względu na jej dostrzeganie przez ogół społeczeństwa.

PERSPEKTYWY

Właśnie czynnik społeczny wydaje się najważniejszą sprawą do załatwienia jeśli chodzi o najgłębsze pokłady procesu wkomponowywania Ukraińców, Niemców, Białorusinów czy Litwinów w nową polską rzeczywistość. Bo problemem niezwykle poważnym jest to, iż 40 % ogółu społeczeństwa obawia się Ukrainy jako państwa zagrażającego bezpieczeństwu Polski. Kraj ten znalazł się na ostatnim miejscu listy państw budzących sympatię Polaków ze wskazaniem na przewagę antypatii. I tendencje te nie maleją lecz przeciwnie, rosną. Stąd często podkreślane przez polityków obawy przed podejmowaniem działań mogących być odebrane jako uprzywilejowanie mniejszości, zbytne ustępstwa wobec Ukraińców

bądź Litwinów czy Słowaków. Odnosi się to zarówno do sprawy pomocy finansowej państwa, regulacji ustawowych praw mniejszości, wyrównania szans w ordynacji wyborczej, jak również dostępu do radia i telewizji, obecności tematyki narodowościowej w prasie. Świadectwem tego jest niemal każda dyskusja na omawiane tematy w parlamencie, gdzie ze strony części ugrupowań prawicowych rozlegają się głosy protestujące przeciwko, w ich przekonaniu, nadmiernemu uprzywilejowaniu mniejszości. Z drugiej strony w szeregu przypadków instytucje państwowe podejmują działania wzmacniające negatywne stereotypy. Przykładem może posłużyć podjęta w marcu i lipcu 1992 roku, dwukrotna próba wyświetlenia w cyklu „Akademia polskiego filmu”, „Ogniomistrza Kalenia” Ewy i Czesława Petelskich, którego scenariusz został oparty na powieści Jana Gerharda pt. „Łuny w Bieszczadach”, zgodnie uznanej za dzieło klasyczne literatury antyukraińskiej. Dopiero interwencje ZUwP, ministerstwa kultury i ministerstwa spraw zagranicznych wstrzymały wyświetlenie tego filmu, choć zapowiedziano jego nadanie w terminie późniejszym, argumentując że jest to ważna pozycja w dorobku kina polskiego.

Na ogromną siłę oddziaływania stereotypu liczą autorzy wszelkiego rodzaju prowokacji mających przedstawić nieustające knowania nacjonalistów ukraińskich, które zagrażają niepodległości i integralności terytorialnej państwa polskiego. Najbardziej znanym przykładem tego typu działań stał się dokument zatytułowany „Fragment uchwały Krajowego Provodu Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów podjętej 22 lipca 1990” dostarczony przez anonimowego nadawcę posłom i senatorom na początku grudnia 1990 roku. Dokument ten wywołał szeroki rezonans, choć dość powszechnie uznano go za prowokacyjny falsyfikat, m.in. przez środowisko Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej — Okręg Wołyński. Jednakże to nie przeszkodziło, by w dzienniku Wojska Polskiego *Polska Zbrojna*. Jacek Wilczur przedstawił te „fragmenty” jako autentyk, dodając od siebie, że „dla OUN pracuje w Polsce siatka wywiadowcza, dywersyjna” wykorzystująca dla swoich celów większość komitetów i duchownych cerkwi greckokatolickiej. I dopiero artykuły Bohdana Skaradzińskiego i Eugeniusza Miśiło, jak również odpowiednie interwencje czynników państwowych pozwoliły, jak się wydaje, ostatecznie wyjaśnić ten incydent, ale sam problem występowania takich prowokacji oczywiście nie zniknął. I, jak

to już zostało napisane, w pewnym stopniu będzie on rzutował na sposób rozwiązania kwestii ukraińskiej w Polsce. Spróbujmy zatem określić możliwość zaspokojenia potrzeb i postulatów Ukraińców w poszczególnych dziedzinach.

Stosunkowo jasna wydaje się sytuacja finansowa. Zgodnie ze słowami Bogumiły Berdychowskiej dotacje państwowe przewidziane są przede wszystkim na wydawnictwa w języku ojczystym (głównie tygodnik *Nasze Słowo*) wspieranie imprez kulturalnych i działalności kulturalnej w ośrodkach kultury. Nie będzie ich natomiast na zapłacenie czynszów za wynajmowanie pomieszczeń na te ośrodki oraz na etaty dla organizacji narodowościowych, w tym szczególnie ważnych instruktorów dla zespołów artystycznych. Jednakże dotacje te mogą pomóc co najwyżej w przetrwaniu elementarnych form kultury, ale nie pomagają w rozwoju życia kulturalnego i stąd też występuje ciągle uczucie braku odpowiedniej troski państwa o społeczność ukraińską, tym bardziej, że chodzi o sumy niewielkie (dla wszystkich mniejszości przyznano w roku bieżącym 6,8 mld złotych, przy postulowanych 17 mld). Jest to ważne nie tylko ze względu na samopoczucie Ukraińców, lecz również ze względu na wyrażoną przez Jerzego Wuttke opinię, iż „sprawa budżetu ma także aspekt pozafinansowy i dlatego też powinno się go rozpatrywać tak, żeby nie doprowadzić do antagonizowania środowisk mniejszości narodowych”.

Ustabilizowała się sytuacja w szkolnictwie. MEN wydatnie pomógł w otwarciu i utrzymaniu nowych szkół z ukraińskim językiem nauczania, wspomógł finansowo zakup budynków na ich siedziby. Wydane niedawno rozporządzenie ministerstwa odnośnie nauczania języków narodowych w szkołach podstawowych i ogólnokształcących wyszło naprzeciw większości postulatów zgłaszanych przez środowiska narodowościowe i otworzyło szerokie możliwości w tej dziedzinie, m.in. obniżenie liczby dzieci pragnących uczyć się języka w jednym punkcie nauczania do 4 osób. Pozostaje zatem wdrażanie tych możliwości w życie oraz potrzeba zwiększonej troski o szkolnictwo mniejszości narodowych ze strony władz terenowych. Będzie to szczególnie ważne biorąc pod uwagę reformę systemu oświatowego oddającej sprawy szkolnictwa publicznego w kompetencje gmin. Głośnym echem odbiła się sprawa braku odpowiednich pomieszczeń dla liceum ogólnokształcącego z ukraińskim językiem nauczania w Górowie Iławeckim, gdzie dyrekcja szkoły podjęła decyzję

o prowadzeniu części zajęć w barakowozie i pod namiotem. Miejscowy kurator zaczął uwarunkowywać budowę nowego budynku szkolnego naborem uczniów jedynie z terenu województwa olsztyńskiego, co spotkało się z negatywnymi reakcjami społeczności ukraińskiej. Potrzebna była interwencja Ministerstwa Edukacji Narodowej, by uspokoić nastroje i wprowadzić jasność odnośnie perspektyw liceum. Okazało to jednocześnie, z jak skomplikowanymi i społecznie wybuchowymi kwestiami mamy do czynienia.

Wielkich nakładów finansowych, które dzisiaj są bardzo ograniczone, wymaga ochrona zabytków kultury ukraińskiej, szczególnie cerkwi, cmentarzy, kaplic. Działania podejmowane w tym zakresie przez instytucje państwowe i społeczne nie są wystarczające wobec wielkich potrzeb. Niezbędna jest zatem intensyfikacja tych działań i stworzenie dodatkowych źródeł jej wspierania. Niewątpliwie większe zaangażowanie w te sprawy powinny włożyć środowiska ukraińskie, zbyt słabo jeszcze obecne w pracy na rzecz ratowania dóbr rodzimej kultury. W tym kontekście za rzecz pilną należy uznać stworzenie muzeum kultury ukraińskiej, którego potrzebę od wielu lat podnosili Ukraińcy w swoich postulatach. To samo dotyczy również sprawy reaktywowania Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Warszawie, którego statut został złożony w ministerstwie kultury w maju 1992 roku.

Problemów nie powinno stwarzać uchwalenie zapisu konstytucyjnego o prawach mniejszości narodowych w Rzeczypospolitej Polskiej. Odnośnie potrzeby takiego zapisu istnieje duża zgodność wśród przedstawicieli różnych sił politycznych, co zostało potwierdzone podczas obrad sejmowej komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych na początku wiosny 1992 r. Takiej zgodności nie było już jednak w sprawie potrzeby uchwalenia ustawy o mniejszościach narodowych, co postulowali przedstawiciele niemal wszystkich organizacji narodowościowych obecni na tym posiedzeniu. Brak zasadności uchwalania takiej ustawy argumentowano przede wszystkim niezbędnością zachowania równości obywateli wobec prawa, deklaratywnym charakterem takiej ustawy, który nie wnosi nic pozytywnego w sprawę rzeczywistego zaspokojenia potrzeb mniejszości (motywację tę powtórzyła niedawno premier Suchocka w wywiadzie dla jednej z niemieckich gazet), a także uprzywilejowaniem w ten sposób grup narodowościowych. Odpowiadając na te argumenty zwróciłem uwagę na fakt wyodrębnienia mniejszości jako grupy

obywateli w traktatach międzypaństwowych, co przy zaostrzeniu stosunków Polski z którymś z sąsiednich państw może prowadzić do ograniczania praw danej społeczności w kraju. Uzależnia to więc położenie obywateli Rzeczypospolitej od polityki rządu ościennego państwa. Inny aspekt tego zagadnienia poruszyli uczestnicy III Ogólnopolskiego Spotkania Przedstawicieli Mniejszości Narodowych i Etnicznych oraz Komitetu Helsińskiego obradujący w Warszawie w maju 1992 roku. W swoim Oświadczeniu na temat zasady wzajemności i ustawy mniejszościowej stwierdzili oni, że nie są przeciwni „ujmowaniu problemów mniejszości w dwustronnych traktatach międzypaństwowych, niektóre z nich są już zresztą faktami, choć dostrzegamy ryzyko naruszenia w ten sposób równości obywateli wobec prawa — różnego traktowania poszczególnych mniejszości. Ograniczyć to zagrożenie mogłaby ustawa określająca wspólne dla wszystkich mniejszości minimum praw”. Zwrócono w tym kontekście uwagę na szczególne położenie Romów, którzy pozbawieni są opieki państwa ich narodu.

Raczej trudno przewidzieć losy postulatów odnośnie likwidacji skutków akcji „Wisła”. Uchwalenie ustawy reparytacyjnej wydaje się sprawą przesądzoną, choć kwestia terminu ciągle pozostaje nieokreślona. Jednakże jej uchwalenie w projektowanym kształcie nie zadowoli deportowanych w 1947 roku i ich potomków. Szanse zaś na uchwalenie odrębnej ustawy są bardzo niewielkie, podobnie jak potępienie akcji „W” przez sejm. W obecnej sytuacji politycznej, społecznej i ekonomicznej trudno będzie przekonać posłów do podjęcia działań w tym kierunku, a w szczególności do pomocy osobom pragnącym powrócić na ziemię ojców. Choć w jednej ze swoich ostatnich wypowiedzi dla prasy ukraińskiej minister Skubiszewski zapowiedział działania rządu w celu zadośćuczynienia skrzywdzonym w akcji „Wisła”.

Osobnym problemem jest sprawa więźniów politycznych okresu stalinowskiego narodowości ukraińskiej. Odpowiednia ustawa nadaje prawa kombatanckie osobom, które walczyły o niepodległość i suwerenność Rzeczypospolitej Polskiej. Przyznano je również ofiarom represji wojennych i powojennych, w tym m.in. uwięzionym w polskich więzieniach w latach 1944-1956 (na podstawie wyroku sądowego lub bez niego) za działalność polityczną lub religijną związaną z walką o niepodległość i suwerenność. W ten sposób uprawnień tych pozbawiono nie tylko żołnierzy Ukraińskiej Armii Powstańczej,

lecz również więźniów obozu koncentracyjnego w Jaworznie (4 tys. osób), których przetrzymywano bez wyroku sądowego w okrutnych warunkach. Najczęściej jedynym powodem uwięzienia mężczyzn, kobiet, dzieci, starców było podejrzenie o współpracę z podziemiem. W takiej sytuacji potrzebne było działanie specjalne (wszczęcie śledztwa w sprawie obozu w Jaworznie), utworzenie Stowarzyszenia Ukraińców-Więźniów Okresu Stalinowskiego, by wejść na drogę naprawiania krzywd tym bardzo ciężko doświadczonym przez los ludzom. Śledztwo jest już, według zapewnień prokuratury, na ukończeniu. Jednakże przyznanie uprawnień kombatanckich więźniom Jaworzna wraz z pozytywnym wynikiem tego śledztwa dopiero wejdzie w stadium realizacji.

Zaawansowane są prace nad projektem nowej ordynacji wyborczej prowadzone przez nadzwyczajną komisję sejmową. Zmierzają one do zniesienia progu ilościowego dla komitetów wyborczych mniejszości narodowych, choć takie rozwiązanie ostro krytykują członkowie ZChN i UPR, a także innych partii prawicowych. W tej sytuacji Związek Ukraińców w Polsce zwrócił się do przewodniczącego Komisji z listem wyrażającym pogląd organizacji w tej sprawie, a więc postulowano zniesienie progu oraz liczenie głosów oddanych na listę komitetu mniejszościowego na terytorium całego kraju w jednym okręgu wyborczym. Argumentowano, że ta druga sprawa posiada szczególne znaczenie dla rozproszonej społeczności ukraińskiej.

Tak jak ważne znaczenie posiadają kwestie wyznaniowe — położenie Kościoła greckokatolickiego i Kościoła prawosławnego. Nie omówiono ich w tym artykule świadomie ze względu na skomplikowanie problematyki religijnej oraz objętość tego artykułu. Z tych samych powodów nie napisałem o innych istotnych dla Ukraińców zagadnieniach: problemie łemkowskim i problemie podlaskim. Wpływają one w szczególny sposób na wewnętrzne funkcjonowanie społeczności ukraińskiej, a także na politykę władz centralnych i lokalnych. Wliczając zatem te niedostatki pora na podsumowanie.

Kwestia ukraińska w III Rzeczypospolitej istnieje. Biorąc pod uwagę stosunkowo niewielką liczebność Ukraińców oraz ich rozproszenie nie jest to problem pierwszoplanowy dla państwa polskiego. Lecz nie jest to także problem jedynie moralny, bowiem posiada on bardzo określony wymiar polityczny i społeczny. Wobec społeczności ukraińskiej prowadzona jest określona polityka władz państwowych, która w

sposób niedostateczny i mało zadowalający wychodzi naprzeciw postulatom i potrzebom Ukraińców. Odnosi się to zarówno do spraw politycznych, jak do kulturalnych, religijnych a nawet oświatowych, w których zanotowano największy postęp. Podcina to zaufanie mniejszości ukraińskiej do nowego systemu politycznego przyjętego przez Ukraińców z nadzieją na poprawę położenia i naprawienie krzywd doznanych w okresie panowania komunizmu.

Jednocześnie problem ukraiński stał się kwestią międzynarodową ze względu na podpisanie przez Polskę paktów i konwencji międzynarodowych regulujących sprawę praw mniejszości narodowych oraz traktatu z Ukrainą, w którym oba państwa zobowiązały się do poszanowania praw mniejszości ukraińskiej w Polsce i polskiej na Ukrainie. Przyjęto tym samym zasadę wzajemności w stosunkach pomiędzy oboma krajami, co zmieniło status tych mniejszości. W przypadku pozytywnego działania tej zasady można osiągnąć wiele dobrego, ale gdyby użyto ją w sposób represyjny — mniejszości staną się jedynie przedmiotem w grze nie liczącej się z ich interesem. Dlatego też wzrasta konieczność podmiotowego potraktowania mniejszości w polskim ustawodawstwie oraz w praktyce działania administracji państwowej.

Październik 1992

Miroslaw CZECH

Andrzej FRISZKE

MEMORIAŁ POLITYCZNY ADAMA BIENIA (kwiecień 1944)

W.B. to inicjały pseudonimu Witold Bronowski, którym posługiwał się Adam Bień, od 1943 r. pierwszy zastępca Delegata Rządu na Kraj i przedstawiciel Stronnictwa Ludowego ROCH. Z różnych opracowań, relacji wspomnieniowych, dokumentów wiadomo, że odgrywał niebagatelną rolę w swoim stronnictwie i w Delegaturze. Realizował trwałą tendencję polityków SL zmierzających do rozszerzenia swoich wpływów w administracji cywilnej Polskiego Państwa Podziemnego. Przedstawiony poniżej memoriał uzasadnia szeroko tę strategię, a także zawiera kanon ludowcowych przekonań ideowych i politycznych w dramatycznym, przełomowym dla losów Polski momencie.

Autor memoriału posuwa się dalej niż inni przywódcy SL. Dosadnie, nawet brutalnie opisuje sytuację w kierownictwie Delegatury. Wystąpienie to można śmiało porównać ze znanym memoriałem płk. Jana Rzepeckiego z marca 1944 r. Bień wyraża wiele śmiałych myśli i ocen, z których wiele jest przenikliwych, niektóre okazały się prorocze. Postuluje zasadniczą przebudowę strukturalną i personalną kierownictwa Podziemia. Postuluje zredukowanie do minimum wpływów Stronnictwa Narodowego i Stronnictwa Pracy. Sugeruje pewne otwarcie się na lewe skrzydło obozu piłsudczyków, co było rewizją jednego z podstawowych kanonów polityki SL. Snuje rozważania na temat możliwości porozumienia z Ukraińcami, by przeciwstawić się Stalinowi.

W swoich wspomnieniach „Bóg wyżej dom dalej” Bień wspomina o memoriale, ale nadaje całej sprawie nieco inny sens. Píše, że po rozmowach z Józefem Niecką, Kazimierzem Bana-

chem, Janem Decem, Stanisławem Wójcikiem opracował i na jednym z zebrań tego zespołu zreferował program żądań ludowców pod adresem innych stronnictw. Program ten został przekazany Józefowi Grudzińskiemu, reprezentującemu SL na forum międzypartyjnym dla zaakceptowania go przez Centralne Kierownictwo Ruchu Ludowego oraz przedstawienia w Krajowej Reprezentacji Politycznej. Nie wiadomo, czy Grudziński nadał sprawie bieg, a Niećko później nie wspominał o tej sprawie (s. 152 wydania LSW z 1991). Według wspomnień Bienia wszystko to miało miejsce jesienią 1943 r. Nie pisze natomiast o memoriale, który w kwietniu 1944 wysłał do Londynu.

W przekazanym równolegle (datowanym 27 kwietnia 1944) liście do Franciszka Wójcickiego, swojego przedwojennego przyjaciela, wówczas dyrektora Biura Rady Narodowej w Londynie i członka Komitetu Zagranicznego SL, powtarzał w skrócie tezy wyłożone w memoriale, a następnie dodawał: „Według mego zdania Delegatem bezwzględnie musi być ludowiec, bo tylko ten obóz polityczny wobec mas chłopskich i robotniczych ma właściwy autorytet, aby firmować Polskę. Gdybyście uznali, że zmiana jest teraz niezręczna, czy niemożliwa, należałoby mianować dla Kraju jeszcze dwóch lub trzech ministrów, ale wśród nich musiałby być minister spraw wewnętrznych dla Kraju i ministrem tym winien zostać ludowiec. Gdybyście i tę zmianę uważali za niemożliwą, winniście zażądać odwołania w Delegaturze obecnych dyrektorów spraw wewnętrznych i informacji, bo my tu jesteśmy w stosunku do nich bezsilni, a obydwa są szkodnikami, którzy wiele złego zrobili.

Podkreślam jednak, że w zasadzie najwłaściwszym byłoby rozwiązanie, gdyby w Kraju urzędowało kilku ministrów (do pięciu) dla spraw Kraju. Jeden z nich (winien być ludowiec) winien mieć rangę Wicepremiera. To są nasze najważniejsze bolączki. Rozważcie to i zróbcie, co będziecie mogli.

Pisząc to wszystko, zdaję sobie sprawę, że są to sprawy bardzo delikatne. Wypowiadałam w ten sposób przede wszystkim mój własny sąd, a nie oficjalne stanowisko Trójkąta (kryptonim okupacyjnego SL — przyp. AF). Piszę do Ciebie jako swego przyjaciela. Piszę oczywiście poufnie. Nie myśl jednak, że to jest tylko mój sąd. To, co napisałem (chodzi tu chyba raczej o list, nie memoriał — przyp. AF) jest prawie zgodną opinią młodszych 'wiciowych' elementów w Trójkacie. Oficjalna opinia Trójkąta również z Delegatury krajowej zadowolona nie jest, ale nie wyciąga ona z tego faktu zbyt radykalnych wniosków. Oddaję tę swoją opinię Tobie pod rozagę. Bądź łaskaw zrobić z niej użytek, jaki uważasz za celowy. Proszę Cię w każdym razie, żebyś był łaskaw poinformować o niej Premiera”.

W liście do Wójcickiego nie ma wzmianki o memoriale, a streszczenie jego też nie wskazuje na to, by Wójcicki miał być w Londynie jego odbiorcą. Oba dokumenty zostały wywiezione z kraju przez kuriera i trafiły do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Londynie, którego szefem był ludowiec Władysław Banaczyk, zaś na czele Wydziału Społecznego ekspediującego i przyjmującego kurierów stał także ludowiec Paweł Siudak. Obecnie oba dokumenty przechowywane są w Instytucie Polskim i Muzeum im. Gen. Sikorskiego w Londynie w zespole Ministerstwa Spraw Wewnętrznych pod sygnaturą A. 9 II 4/54.

Memoriał Bienia nie był dotychczas wspomniany w literaturze historycznej. Nie ma o nim wzmianki w monografiach Romana Buczka „Stronnictwo Ludowe w latach 1939–45” (Londyn 1975) oraz Andrzeja Wojtasa „Działalność polityczna ludowców w okresie II wojny światowej”, cz. 2 (Warszawa 1988). Nie pisze o nim również Eugeniusz Duraczyński w książce „Między Londynem a Warszawą” (Warszawa 1986), nie powoływał się nań kurier Tadeusz Chciuk-Celt, ludowiec dobrze zorientowany w arkanach polityki tego stronnictwa.

Przygotowując dokument do druku zachowałem oryginalną pisownię i układ tekstu wedle kopii przechowywanej w archiwum. Nieliczne przypisy rozwiązują pseudonimy oraz wyjaśniają stwierdzenia, które mogłyby być niezrozumiałe dla czytelników.

Andrzej FRISZKE

INSTYTUT HISTORYCZNY
IM. GEN. SIKORSKIEGO
MSW A.9.III 4/24

T a j n e

POGLĄD NA SYTUACJĘ POLITYCZNĄ W KRAJU I WNIOSKI

(Ocena osobista W.B. I zastępcy)

I. Problem zaufania

W ruchu ludowym musi istnieć jakiś poważny zespół ludzi, którzy do siebie mają zaufanie, którzy sobie wzajemnie

wierzą i są w stosunku do siebie lojalnie nastawieni. Jeżeli taki zespół się nie wytworzy, ruch ludowy nie zdobędzie przywódców, którzy by zarówno wewnątrz ruchu, jak i na zewnątrz promieniowali odpowiednim autorytetem. Nie jest to rzecz prosta. Warstwa chłopska bardzo długo traciła na rzecz obozu szlachecko-inteligenckiego swe najświetlejsze i najwybitniejsze jednostki. Wybijający się niezmiernym trudem ponad poziom chłopów, wsiakali do obcych wsi i wrogich jej obozów społecznych. Nic dziwnego zatem, że chłopcy na swych przywódców i przywódcy chłopscy nawzajem na siebie patrzą nieufnie wietrząc wszędzie zdradę.

Oslabia to nasz ideologiczny pion. Nie mamy bowiem odwagi głosić haseł niepopularnych. Wolimy wtedy płynąć bezwoltnie z prądem płytkiej ideologicznej łatwizny, aby nie być posądzonym o zapłaconą zdradę na rzecz tego, czy innego wroga chłopów.

Ten stan nieodwołalnie musi się skończyć. Kto chce poważnie o sprawach publicznych myśleć i mówić, kto chce w państwie rządzić, musi mieć odwagę mówić rzeczy niepopularne. Nie może ustawicznie kadzić o prawach i przywilejach, ale musi twardo przypominać obowiązki. Obowiązków w życiu ludzkim jest znacznie więcej, niż praw, przeto rządzący zawsze mają więcej do czynienia ze sprawami niepopularnymi, niż z popularnymi.

II. Cel polityki ludowej

Jakiż jest cel polityki ludowej? Celem tym jest to samo, co jest celem każdego ugrupowania politycznego na całym świecie. Montowanie państwa w myśl światopoglądu, jaki danemu obozowi politycznemu przyświeca. Zwalczanie wszelkich elementów słabości państwa i rozwijanie elementów jego siły. Ostatecznie więc rezultatem ludowej polityki w dzisiejszej rzeczywistości ma być niepodległe i silne państwo polskie, zapewniające jego obywatelom przede wszystkim bezpieczeństwo ze strony bliższych czy dalszych sąsiadów i realizujące w życiu wewnętrznym ustrój wolności politycznej i sprawiedliwości społecznej. Dla chłopów, ale nie tylko dla chłopów. Dla wszystkich w ogóle obywateli. To bowiem jest istotą wolności i sprawiedliwości społecznej, że wymierzamy ją w równej mierze nie tylko sobie, ale i innym.

III. Metody polityki ludowej

1. Naczelnym kanonem każdej polskiej polityki jest służba w interesie wielkości i siły narodu i państwa polskiego. Interesy poszczególnych grup politycznych o tyle tylko stać się mogą przedmiotem programów polskich stronnictw, o ile leżą na linii polskiej racji stanu.

Powyższym prawom podlega i polityka ludowa.

Wojna i okupacja, cała dzisiejsza tragiczna rzeczywistość uczy nas, że życie, wolność i dobrobyt Państwa i Polaków nie są możliwe bez wielkiego i silnego Państwa Polskiego. Naród to rozumie i gorączkowo poszukuje koncepcji swej wielkości i siły. To jest dziś najważniejsza idea społeczno-polityczna Polaków i całe nasze dzisiejsze życie publiczne tą ideą tętni.

Gdyby więc jakikolwiek polski obóz polityczny zamknął się dziś w ramach swego klasowego światopoglądu i grupowego interesu i zapomniał o koniecznościach państwowych, stałby się czynnikiem małości i rozkładu, wyszedłby poza nawias życia narodu i idei państwowej polskiej. Stałby się siłą wsteczną, antyspołeczną, zniechędzoną przez cały naród. I byłby skazany na polityczne unicestwienie. W Polsce, której w każdej nowej wojnie grozi biologiczne wyćpienie, nie ma miejsca na taki obóz polityczny.

2. Chłopi są trzonem i najpoważniejszym ośrodkiem społecznym narodu polskiego i polskiej demokracji.

Przez swą masę, przez moralne zdrowie, przez polskość, nieskażoną jadem jakiejkolwiek międzynarodówki, przez swą młodość i nie zużycie, reprezentują chłopi takie wartości, że bez nich nie istnieje przyszłość naszego narodu, nie jest możliwa budowa wielkiej i silnej Polski i nie jest możliwa realizacja ustroju demokratycznego.

3. Wszelkie zakusy, zmierzające do wyeliminowania chłopów od czynnego udziału w budowie państwa polskiego są sprzeczne z interesem państwa. Zakusom takim chłopi winni się siłą przeciwstawić.

Chłopi i ruch ludowy nie mogą być traktowani w tej samej płaszczyźnie, jak inne stronnictwa polityczne. Chłopi to coś więcej niż stronnictwo. To znaczna większość narodu, który ku naszemu nieszczęściu dotychczas w tworzeniu historii Polski czynnego udziału nie brał, a który teraz właśnie jest w trakcie dochodzenia do głosu. Ten, kto wzbrania

się honorować właściwą społeczną i polityczną pozycję chłopów w Polsce, kto chciałby ich nadal traktować jako posłusznych żywicieli i mierzwę polskiego życia, jest świadomym lub nieświadomym szkodnikiem. Bo pomniejsza naród polski, który i tak jest o wiele za mały w stosunku do zadań politycznych, jakie przed nim stoją. A dzisiejsza rzeczywistość uczy, że byt państwa w pokoju i wojnie zależy nie od cienkiej warstwy kierujących przywódców, ale od współpracy głębokich szeregów całego narodu.

4. W dzisiejszej rzeczywistości politycznej chłopci w pierwszym rzędzie ponoszą odpowiedzialność za Polskę. Kierownictwo ruchu ludowego winno się przeto stać głównym ośrodkiem polskiej polityki i wziąć w swe ręce inicjatywę pracy państwowo-twórczej.

Gdyby naród był jednym człowiekiem, jego tęsknotę do wolności i wielkości realizowałby ten jeden człowiek. Skoro naród jest masą, na którą składają się różne warstwy i światopoglądy, ta warstwa, która jest najliczniejsza i najsilniejsza w największym stopniu jest odpowiedzialna za losy całego narodu. Gdy dziś patrzymy w Warszawie na czerwone niemieckie listopadowe afisze, na Katyń, Oświęcim, Majdanek, cała ta tragiczna rzeczywistość wskazuje chłopu jego polityczny drogowskaz i mówi do niego: „Ty chłopie jesteś dziś najpoważniejszą siłą społeczną Polski, ty Polskę dziedziczysz, musisz ją budować i za jej siłę, wielkość i bezpieczeństwo przyszłych pokoleń odpowiadać”. Wielkie państwo nigdzie nie powstaje z abstrakcyjnego chcenia wszystkich — szczególnie zaś nie powstanie ono na niespokojnym miedzymorzu bałtycko-czarnomorskim. Ktoś w Polsce musi wziąć byka za rogi. A tym kimś są chłopci. Rzeczywistość wyraźnie na nich palcem wskazuje. Na nich spada olbrzymia historyczna odpowiedzialność.

Nie wystarczy już być masą i trwać. Trzeba przejść do politycznej ofensywy, trzeba narodowi powiedzieć kim się jest i czego się chce. Trzeba inicjatywę sprawy polskiej po chłopku i twardo wziąć w swe ręce.

5. Ruch ludowy musi mieć i niezwłocznie ujawnić program obrazujący Polskę do jakiej zmierzają chłopci i rozwiązujący wszystkie problemy, jakie przed Polską stawia dzisiejsza rzeczywistość.

Naród wie na pewno, że chłopci chcą reformy rolnej, chcą ziemi. Mają prawo tego chcieć, bo ich dążenie zgodne jest z ideą społecznej sprawiedliwości. Ale naród nie wie czego

chłopi w dzisiejszej rzeczywistości chcą dla Polski. Naród nie wie i nie domyśla się niczego dobrego. Gdy w pociągach czy innych publicznych miejscach różne indywidua wyśpiewują dziś piosenki, których treścią jest wydrwiwanie chłopą, jego sposobu bycia i społecznej roli w naszym życiu, wśród słuchających szarych ludzi nie słychać protestów. Słyszcy się raczej energiczne potakiwania. Dlaczego tak jest? Bo przez twarde ujawnienie tego, co chłop chce dla siebie, nie zdobył on jeszcze i nie zdobędzie nigdy miru w Polsce. Przed cierpiącym dziś narodem polskim nie stoi pytanie, która warstwa społeczna ma w Polsce osiągnąć największe korzyści gospodarcze i polityczne, ale pytanie: co należy robić w naszej polityce wewnętrznej i zagranicznej, aby zbudować wielkie i silne państwo, które by zapewniło przyszłym pokoleniom polskim bezpieczeństwo?

Czy Polska ma być od Odry do Dniepru, czy raczej myśleć trzeba tylko o Polsce etnograficznej? Czy Polska w federacji z innymi krajami i którymi, czy też jakiś inny układ? Czy z Czechosłowacją, czy z Węgrami? Czy z Rosją, czy przeciw Rosji? Jaki stosunek do wschodnich mniejszości słowiańskich? Czy Ukraińców wysiedlimy, czy może się z nimi porozumiemy i pomaszerujemy wspólnie przeciw Rosji? Jakich w Polsce chcemy rządów, czy silnych czy może jakich innych? Wiele takich i podobnych pytań stoi dziś przed narodem polskim i chłopą, jeżeli chcą mieć w Polsce nie tylko materialną władzę, ale moralny rząd dusz i prowadzić naród do wielkości — na wszystkie te pytania muszą odpowiedzieć, muszą wyraźnie powiedzieć do jakiej Polski idą.

Ruch ludowy ma wszystkie materialne dane po temu, aby w Polsce nie tylko rządzić, ale narodowi przewodzić. Musi jednak zbudować i ujawnić program. Program nie dla siebie, ale dla Polski. Bo bez Polski nie ma chłopów. Program, który stałby się manifestem powstańczym wyzwajającego się narodu.

6. Program ruchu ludowego dla Polski musi być przystosowany do dzisiejszej rzeczywistości politycznej. W szczególności winien on uwzględniać fakt, że w okresie przełomowym ruch ludowy nie będzie w Polsce rządził sam.

Wszystko wskazuje na to, że w dzisiejszej rzeczywistości politycznej ruch ludowy nie sięgnie wyłącznie po władzę w Polsce. Bo nie ma dostatecznej ilości odpowiednio wyrobionych przywódców. Bo poza ruchem ludowym są w Polsce inne poważne obozy polityczne, które nie mogą być odsunię-

te od udziału w budowie Polski. Bo wreszcie, w kraju i na emigracji ruch wyraźnie już poszedł drogą współpracy z innymi obozami politycznymi, z której to drogi późno i trudno byłoby teraz wracać. Nie zarzucając więc pracy nad budową maksymalnego programu ludowego w całokształcie i na daleką metę, stworzyć trzeba program minimalny, przystosowany do dzisiejszych realnych możliwości i konieczności współpracy z innymi obozami politycznymi.

Ta praca musi być wykonana szybko. Bo okupant już jest pobity i może się błyskawicznie załamać, a władza na nikogo nie czeka, ani Polska na władzę czekać nie może. Bo, poza tym, okres pierwszych pięciu tygodni niepodległości będzie miał dla oblicza politycznego przyszłej Polski może większe znaczenie, niż okres następnych pięciu lat.

W tych warunkach byłoby niedorzecznością propagowanie przez ruch realizacji w okresie przełomowym maksymalnego programu ludowego mimo świadomości, że praktycznie zrealizowana być może tylko jego część uzgodniona ze współpartnere politycznym. Byłoby to i wysoce szkodliwe z punktu widzenia interesu państwa i ruchu ludowego. Budziłoby bowiem przez zawiedzione nadzieje uczucie zniechęcenia i niezadowolenia. Należy raczej szerzyć świadomość, że państwo jest wieczne. Nic więc nie stoi na przeszkodzie, aby zrealizowawszy dziś w obecnej konstelacji politycznej jedną część programu, zrealizować jutro w innej konstelacji część następną. Ruch ludowy, najpoważniejszy w Polsce obóz polityczny, winien wykazywać powagę i dojrzałość. Musi być zatem wolny od zapalczywości w stawianiu haseł programowych. Cele polityki winni stawiać kierujący przywódcy i zjednywać dla nich masy. Ile razy jest przeciwnie, świadczy to, że przywódcy nie spełniają swego zadania i nie kierują ruchem, ale idą raczej z jego prądem.

IV. Rzeczywistość

A teraz zestawmy naszkicowane wyżej postulaty teoretyczne z naszą dzisiejszą rzeczywistością polityczną.

Zacznijmy od naszego własnego podwórka.

Czy ruch ludowy ma wyraźną świadomość tego, czym w Polsce jest i co w dzisiejszej rzeczywistości, nie urojonej, należy robić, aby odbudować silne państwo polskie, załatwić wszystkie jego konieczności i zrealizować jakieś racjonalne minimum programu ludowego?

Czy ma świadomość tego, że jest trzonem narodu polskiego i ponosi największą odpowiedzialność za jego dzisiejsze losy i jego przyszłość?

Czy ma wyraźny obraz tego, w jaki sposób dzisiejszy chaos przekształcimy w uporządkowane i silne państwo polskie?

Przytoczę niektóre przykłady, które każą o tym wątpić.

Stoi dziś przed Polską doniosły i niezmiernie trudny problem wschodni. Rozległe obszary dawnej Rzeczypospolitej, na które naród polski przez kilka wieków wносił kulturę zachodnio-europejską, na których w dawnych i najnowszych czasach lała się krew polska, na których do dziś dnia żyje tradycja Rzeczypospolitej i widnieją jeszcze pomniki naszej tam obecności, obszary te są przedmiotem niedwuznacznej agresji ze strony wschodniego imperializmu. Z problemem tym boryka się w Londynie premier Rządu Polskiego, ludowiec, Stanisław Mikołajczyk. Czeką na to, aby Kraj, a więc przede wszystkim ruch ludowy, dał mu do ręki przekonujące argumenty, którymi mógłby wobec zręcznej taktyki Stalina i wobec światowej opinii publicznej skutecznie operować.

Tu się rozstrzyga problem naszej wielkości lub nicości. I proszę mi odpowiedzieć, jaki jest w tej sprawie głos ruchu ludowego, polskich chłopów, większości narodu polskiego?

Ja tego głosu nie znam i śmiem twierdzić, że w tym szczupłym gronie naszego naczelnego kierownictwa ruchu zgodnej koncepcji rozwiązania tego problemu bym nie usłyszał.

Na wszystkie żądania Rosji kierownictwo ruchu ludowego wraz z zespołem stronnictw, z którymi dziś politycznie współpracuje, odpowiada: „nie”. Zapomnijmy jednak, że w tej doniosłej sprawie szermując od 17 września 1939 r. argumentem traktatu ryskiego jesteśmy w beznadziejnej defensywie. Nie mamy bowiem ani siły ani racji. Rosja zaś ma siłę i usiłuje mieć rację.

Że nie mieliśmy siły 17 września 1939 r. — nie jest to winą ruchu ludowego. Ale że nie żądamy montowania tej siły w dalszym rozwoju wojny, że nie montujemy frontu antyrosyjskiego wspólnie z narodami tak samo, jak my zagrożonymi przez Rosję, że nie stajemy się ośrodkiem konsolidacyjnym tych narodów, że te narody wyraźnie boją się naszego szowinizmu, za to już ponosimy odpowiedzialność, bo całość polskiej polityki w okresie wojny jest przez nas firmowana.

Odpowiedzialni też jesteśmy za to, że w polsko-rosyjskim

sporze nie mamy argumentów, zrozumiałych dla opinii publicznej na szerokim świecie, że nie mamy tam racji.

Jest rzeczą znamioną, że Rosja, rozporządzając siłą, nie lekceważy jednak elementu racji. Prowadzi też niezwykle zręczną propagandę, stawiając hasła teoretycznie słuszne, proste i zrozumiałe na szerokim świecie. Karta Atlantycka to właśnie argument dla Rosji. Przecież Rosja stawia zasadę samostanowienia narodów i ich federacji. Przekonuje świat, że sama nie jest niczym innym, tylko federacją wolnych narodów, że Ukraińcy i Białorusini z Polski wypowiedzieli się w plebiscycie za przynależnością do sfederowanych republik białoruskiej i ukraińskiej. To nie Mikołajczyk, ale Stalin reprezentuje dziś jagiellońską ideę federacji. My rozumiemy całą perfidię tego stanowiska Stalina, ale nie łudźmy się, że tę perfidię rozumie przeciętny Anglik, czy Amerykanin.

Cóż my przeciwstawiamy tej rosyjskiej propagandzie? My szermujemy traktatem i granicą ryską. Są to niezwykle słabe i nieprzekonywujące argumenty w czasie, kiedy granice na całym świecie są płynne i kiedy Anglosasi, jak to sami mówią, wojują nie o jakiejkolwiek granice, ale o pewne ideowo-polityczne zasady, które naszkicowali w Karcie Atlantyckiej. My też się powołujemy na Kartę Atlantycką. Ale ten argument w naszych ustach jest beznadziejny. Jakżeż to. Najpierw przez p. Dołęgę¹ z zapalem godnym lepszej sprawy alarmowaliśmy świat zbrodniami ukraińskimi w stosunku do Polaków na kresach, groziliśmy odwetem, a teraz powołujemy się na Kartę Atlantycką w tym przekonaniu, że przekonamy tenże świat, iż Ukraińcy chcą być z nami. Czy to nie jest beznadziejne głupstwo?

Coś w tym jest niezrozumiałego.

Trzeba by, aby wielki ruch społeczny, jakim jest ruch ludowy spojrział na całość problemu wschodniego nie okiem polskich królewiat, ale uczciwym okiem zdrowego chłopskiego rozumu, aby znalazł odwagę do wyciągnięcia z tej rzeczywistości właściwych wniosków, nawet, jeżeli ten czy ów endek będzie z irytacją powtarzał jakieś oklepiane frazesy.

Polska nie stawia dziś i nie propaguje właściwej koncepcji naszej polityki wschodniej. Pomiędzy młotem sowieckim

1. Dołęga — pseudonim Stanisława Kauzika (po wojnie używał nazwiska Dołęga-Modrzewski), od 1941 r. dyrektora Departamentu Informacji i Prasy w Delegaturze Rządu na Kraj. Autorowi chodzi o ton artykułów w piśmie konspiracyjnym *Nasze Ziemie Wschodnie*, wydawanym przez DIP.

i kowadłem angielskim premier Mikołajczyk czeka na głos ruchu ludowego, głos, który byłby dla niego miarodajnym drogowskazem, ale ruch ludowy milczy, pozostawiając swego czołowego przywódcę na placówce, na której nie ma on ani siły, ani racji. Wolno mu mówić tylko „nie”.

Stworzenie koncepcji polskiej polityki wschodniej to problem naszej wielkości lub nicości, to wielka konieczność państwowa. Ruch ludowy takiej przemyślanej do końca i na dalszą metę koncepcji nie ma. Piszemy wprawdzie w programie o porozumieniu z Rosją i konieczności utrzymania granicy ryskiej, ale to są ogólniki, które na pewno Mikołajczykowi nic nie dają.

Weźmy przykład inny. W naszej deklaracji programowej stajemy na gruncie zasady federacji chłopskich narodów środkowej Europy.

Może w deklaracji programowej nic więcej pisać nie trzeba. Ale w poufnych aktach stronnictwa winna leżeć koncepcja jakie to towarzystwo polityczne ma należeć do tej federacji. Jeżeli spojrzymy poza granice Polski na południe, wschód i północ (na zachód nie potrzebujemy spoglądać, bo o federacji z Niemcami nie może być mowy), w każdym z tych kierunków problem federacji stawia przed nami poważne znaki zapytania.

Na południe. Z kim się będziemy wiązać? Czy z Czechosłowacją, czy z Czechami i Słowacją, czy z Węgrami i Słowacją, co się stanie z Rusią Zakarpacką itd? Każde z tych rozwiązań powoduje daleko idące i rozbieżne konsekwencje polityczne.

Na wschód. Ukraina i Białoruś. Czy dostrzegamy istnienie tych narodów? Czy skłonni jesteśmy i z nimi się konfederować? A jeżeli tak, to czy z Beneszem i Rosją, czy przeciw Rosji? Czy może raczej nie dostrzegamy tych narodów i terytoria ich będziemy dzielić na gruncie jakiegoś kompromisu z Rosją?

Na północ. Popularna byłaby zapewne idea federacji naszej z państwami bałtyckimi. Dałaby ona partnerom olbrzymie korzyści polityczne. Ale kluczem do tej federacji jest problem Wilna. A problem Wilna to również pytanie, na które nie odpowiadamy.

Krótko mówiąc, czy możemy powiedzieć, że ruch ludowy ma koncepcję nowej Polski? Ja tej koncepcji nie znam.

Weźmy inny przykład. Reforma rolna. Rzecz bardzo już oklepana. Czy naprawdę mamy uzgodnioną i opracowaną w

praktycznych szczegółach realizacyjnych koncepcję tej reformy, możliwą do realizacji w dzisiejszej konstelacji politycznej? Ja tego nie wiem. Słyszę pomysły radykalne, ale często nie uzgodnione. A współpraca polityczna ruchu z Endekami każe mi wątpić o możliwości realizacji tych radykalnych pomysłów.

Weźmy inny przykład.

Od dawna walczymy o zmianę osoby kierownika Departamentu Spraw Wewnętrznych². Czy potrafiliśmy jednak poważnie i mocno sformułować zarzuty, które jemu stawiamy, czy potrafiliśmy sformułować program, który na tym odcinku należy realizować i czy potrafiliśmy zgodnie i poważnie wskazać człowieka, którego chcielibyśmy tam widzieć?

Podobna jest sprawa z Departamentem Informacji.

Weźmy inny przykład.

Premier Mikołajczyk od czasu lipcowego przesilenia toczy w trudnych politycznych warunkach poważny spór z Sosnkowskim o kompetencje Naczelnego Wodza, o następstwo po Prezydencie. Może Mikołajczyk ma pełną rację, a może myli się. Czy ruch ludowy, czy polscy chłopci zabrali w tej sprawie głos, czy wypowiedzieli swoją opinię, czy zakomunikowali komu należy, jaka jest ich wola? A może by ta opinia odegrała tam decydującą rolę?

I takich przykładów można przytoczyć wiele.

I jakież z nich płynie wnioszek?

Odbudowa państwa polskiego na bardzo niespokojnym obszarze bałtycko-czarnomorskim, na którym losy naród nasz usadowiły, nastęrcza wiele trudnych i zawiłych problemów.

Problemy te stoją przed ruchem ludowym, niestety przeważnie tylko jako znaki zapytania. Patrzymy na nie bezradnie. A to nie świadczy, że jesteśmy siłą społeczno-polityczną, prowadzoną świadomie i celowo po linii polskiej racji stanu.

Jesteśmy potęgą olbrzymią, ale bezwolną. Przed siłą tą jej przywódcy nie rysują pełnego obrazu Polski, jakiej chcemy i do której idziemy. Stwarza to wielkie niebezpieczeństwo. Zdynamizowanym przez długą wojnę masom narysowane być mogą sugestywne cele przez czynniki obce i wrogie, i chłopu, i polskiej racji stanu. I wszyscy znaleźć się wtedy możemy tam, gdzie byśmy się znaleźć nie chcieli.

2. Departamentem tym kierował od 1941 do lipca 1944 Leopold Rutkowski ps. Zawadzki.

Chłopi są najliczniejszą warstwą społeczną w narodzie, stanowią jego ogromny człon i bezwzględną większość. Bez ich czynnego udziału nie jest możliwa budowa państwa polskiego, nie do pomyślenia jest ustrój demokratyczny. Oni też w pierwszym rzędzie ponoszą odpowiedzialność za losy przyszłych polskich pokoleń. W świecie naszej szlacheckich chłopi nie cieszą się sympatią. Ale, mimo to, w decydujących momentach, pod obuchem logiki rzeczy, nawet świat polskiej szlacheckich chłopi z niechętną rezygnacją stawia ostatecznie na chłopów. Czyż nie jest znamienne, że w r.1920 premierem był Wincenty Witos, mimo, iż w Sejmie Rzeczypospolitej odzywały się wtedy głosy: „Do gnoju chamy”. Czyż nie jest również znamienne, że premierem Rządu Polskiego w Londynie jest dziś chłop Stanisław Mikołajczyk? Dlaczegoż tak jest? Bo swoją skromną osobą symbolizuje ten uczciwy, lojalny i prosty człowiek ducha czasu, tę niewątpliwą prawdę, że bezwzględnie przodującym, decydującym elementem społecznym dzisiejszej Polski — jest chłop.

To jest może najważniejsza prawda dzisiejszej rzeczywistości politycznej. I na tle tej prawdy obserwujemy zastanawiający paradoks. Ta prawda znajduje zrozumienie w Londynie. Nie Grabski, nie Seyda, nie jakiś inny uczony czy utytułowany człowiek ze szlacheckiego świata, ale chłop Mikołajczyk jest premierem Rządu Polskiego w Londynie. Zapewne duch starej demokracji angielskiej natchnie tam Polaków do zrozumienia tej prawdy, przemówił ustami niewątpliwych gentelmenów Churchilla i Edena.

I ta sama prawda nie znajduje zrozumienia w Kraju, a więc tam, gdzie miliony chłopów w rzeczywistości się znajdują.

W Kraju nie znaleźliśmy argumentów, nie potrafiliśmy przekonać jedności narodowej, że chłopi powinni firmować polską państwowo-twórczą robotę. I tę robotę w Kraju firmują nie chłopi, nie robotnicy, ale mniej lub więcej jawni Endecy. Na jakimkolwiek odcinku naszego życia publicznego zaczniemy kopać, zawsze w rezultacie dogrzebiemy się do jakiegoś Dołęgi albo Lewiatana³, który nam dalsze grzebanie uniemożliwi. Endecy siedzą nieodwołalnie na wszystkich kluczowych pozycjach naszego życia politycznego i gospodarczego i nie zamierzają z nich ustąpić. Przywódcy chłopów,

3. Lewiatan — działający przed wojną Centralny Związek Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów.

czy robotników obijają się w przedpokojach władzy, są najwyższymi bezsilnymi zastępcami istotnie decydujących endeckich czynników. Ta atmosfera szlachecko-endecka tak dalece panuje w Delegaturze Rządu, że Pełnomocnik⁴ miał odwagę publicznie i wyraźnie zdziwić się, że Ludowcy ośmielają się pretendować do jakichkolwiek resortów politycznych w Delegaturze.

Ten znamienity fakt w brutalny sposób ilustruje rzeczywistość polityczną, jaką osiągnęliśmy na tle tak zwanej jedności narodowej. Śmiem wątpić, aby ta rzeczywistość mogła budzić zadowolenie i aby była zamierzona.

Dla kogoż jednak dzisiejsza sytuacja może być niespodzianką? Zastanówmy się kim są Endecy i jakie są możliwości ich współpracy z ruchem ludowym.

Endecy to obóz przeziąknięty duchem szlachetczyzny, pozbawiony ideologicznego kośćca, tkwiący pod względem społeczno-politycznym i gospodarczym w kompleksie beznadziejnego zacofania. Niech nikt z [u] Endeków nie szuka jakiejś idei. Znaleźć tam można tylko oklepane frazesy. Czyż Endekom są potrzebne jakiejkolwiek reformy społeczne, czy gospodarcze? Oni od wieków trzymają w Polsce wszystkie kluczowe pozycje życia społecznego, kulturalnego, politycznego, gospodarczego. Na każdej więc przebudowie tego stanu mogą tylko stracić. Niech się zatem nie łudzi nikt, że uczciwie i szczerze zgodzą się na program jakichś reform. Jedynym ich celem jest trwać na zawładniętych placówkach i przetrwać ciężkie czasy, jakie są dziś i jakie idą. Przetrwać te czasy, nie uroniwszy nic ze swego stanu posiadania, nie jest rzeczą prostą. Szerokie masy chłopskie i robotnicze rozkołysała, zradykalizowała i zdynamizowała wojna. W takich warunkach zacofany obóz endecki, który poza oklepanymi i przeżyтыми frazesami nie ma masom nic do powiedzenia, skazany jest na zagładę. Broni się więc zręcznie, umiejętnie. Przybiera barwę ochronną. Sprzymierza się z chłopami i robotnikami, wierząc nie bez racji, że w tak dobrym towarzystwie uda mu się możliwie najmniejszymi stratami przeszwarować do nowej Polski, a tam jakoś sobie poradzi. Oczywiście wchodząc do towarzystwa chłopów i robotników Endecy muszą coś niecoś farby puścić. Trzeba się zatem zgodzić na jakąś ogólnikową deklarację, jak np. z 15 sierpnia

4. Pełnomocnikiem Rządu na Kraj, inaczej Delegatem Rządu na Kraj był od marca 1943 r. Jan Stanisław Jankowski ps. Klonowski.

1943 r., czy na jakiś manifest. Nie jest to zresztą tak bardzo niebezpieczne. Od manifestu do życia daleka jeszcze droga. A na wszystkich kluczowych pozycjach i skrzyżowaniach tej drogi stoją przecież przezornie mniej lub więcej jawni Endecy i pilnują dyskretnie, zręcznie, umiejętnie (nauczyli się tego w długiej praktyce), aby wszelkie deklaracje, czy manifesty rozplynęły się wreszcie w powodzi gadaniny, a rzeczywistość aby pozostawała nienaruszona.

To właśnie klasyczny manewr odbywa się przed naszymi oczyma. Szlachecko-endecki stary świat pod sztandarami chłopów i robotników, ponad niebezpiecznymi skałami i rafami przełomowego okresu, żegluje do nowej Polski, aby sobie zapewnić dalszą nieśmiertelność i dotychczasowy polityczny, społeczny, kulturalny, gospodarczy status quo.

Cele ruchu ludowego w Polsce, cele chłopów i robotników, cele szarego pracującego człowieka daleko odbiegają od zamierzeń endeckich. Człowiek pracy: chłop, robotnik, pracownik — wyobraża sobie nową Polskę jako państwo wolności, sprawiedliwości społecznej, dobrobytu ludzi pracy. Aby taką Polskę wybudować, trzeba w przełomowym okresie głęboko przeorać całość naszej rzeczywistości społeczno-politycznej. I tak sobie to ruch ludowy wyobraża, gdy jest u siebie, tak bowiem stanowi jego program.

Kiedy zaś przychodzimy z tym programem do warsztatu pracy państwowej, czy my ludowcy, czy robotnicy, jakież stosujemy metody? Czy do pracy tej zaangażowaliśmy właściwych ludzi, którzy rozumieją ducha czasu, którzy umieją i chcą orać ten twardy ugór naszego życia? O dziwo! Do pracy tej zaangażowaliśmy właśnie ludzi ze starego przeżytego świata szlachecczyzny, którzy jeszcze jeżeli umieją, to nic chcą, a jeżeli nawet chcą, to zbyt są starzy i strupieszali, mają za mało entuzjazmu i dynamiki, aby jeszcze umieli orać twardy ugór naszego życia.

Aby wymownie zilustrować prawdę naszej krajowej rzeczywistości politycznej stawiam niedyskretne pytanie.

W imię jakich przesłanek Pełnomocnikiem Rządu w Kraju jest Klonowski? Nie jest jakąś znaną indywidualnością polityczną, nie ma więc żadnego autorytetu osobistego⁵. Nie

5. Wbrew opinii A. Bienia J.S. Jankowski nie był postacią nieznaną w polskim życiu publicznym. W 1905-07 r. był współzałożycielem Narodowego Związku Robotniczego, który przed wybuchem wojny reprezentował w Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. Służył w Legionach. Przed majem był dwukrotnie (choć przez

ma świadomości dynamiki mas chłopskich i robotniczych i nic go z tymi masami nie wiąże. Jest członkiem najmniejszego ze stronnictw czwórporozumienia, nie rozporządza więc żadnym zespołowym autorytetem stojących za nim mas. Nie sposób zrozumieć, dlaczego przedstawiciele chłopów i robotników wysunęli tego obcego sobie człowieka. Chyba tylko dlatego, że był on jedynym kandydatem, na którego zgodziła się cała czwórka, a więc i Endecy.

A stanowisko Endeków jest zrozumiałe w świetle zasadniczej linii ich polityki. Człowiek pozbawiony osobistego autorytetu i dynamiki, członek najsłabszego w czwórporozumieniu zespołu politycznego i pozbawiony podbudowy szerokich mas, jest najlepszym dla Endeków kandydatem. Bowiem z jego strony nie grozi niebezpieczeństwo, że coś będzie w przełomowym okresie zrobione, że się coś nieodwołalnego stanie. A w dodatku odpowiedzialność za marazm nie obciąża przecież Endeków, bo to nie ich człowiek.

I tak oto, w imię świętej zgody, aby się nie narazić Endekom, Ludowcy i Socjaliści zmarnowali tę ważną pozycję polityczną.

Pomijam, jako mniej ważną, kwestię obsady Departamentów w Delegaturze, choć i to jest sprawa ważna, i nie sposób zrozumieć dlaczego ruch ludowy tak długo znosi na kluczowych stanowiskach Spraw Wewnętrznych i Informacji ciemne indywidua i kombinatorów politycznych w rodzaju Zawadzkiego czy Dołęgi.

Stawiam następne pytanie:

Na podstawie jakich przesłanek ruch ludowy jest reprezentowany w Radzie Jedności Narodowej taką samą ilością miejsc, jak Partia Pracy⁶, czy Endecy? Są to obozy polityczne o wielkości tak niewspółmiernie rozbieżnej, że zgoda nasza na takie załatwienie sprawy wynikać mogła tylko z braku poczucia rzeczywistości. Rada nie powinna być politycznym bridżem, ani konwentem seniorów. Musi być zespołem,

czas krótki) ministrem pracy i opieki społecznej. W latach 1920-23 był prezesem, później do 1933 wiceprezesem Głównego Komitetu Wykonawczego Narodowej Partii Robotniczej oraz w latach 1926-1936 wiceprezesem Zjednoczenia Zawodowego Polskiego. Od 1928 do 1935 r. był posłem na Sejm. Por. A.K. Kunert: *Słownik biograficzny konspiracji warszawskiej*, t.I, Warszawa 1987. Zwraca uwagę fakt, że J.S. Jankowski, związany politycznie ze Stronnictwem Pracy, był pozytywnie oceniany przez przywódców PPS-WRN.

6. Powinno być Stronnictwo Pracy.

w którym poważne ugrupowania polityczne narodu we właściwej proporcji winny być reprezentowane.

Trzy najpoważniejsze pozycje polskiego aparatu państwowego w Kraju: Pełnomocnik Rządu, Rada Jedności Narodowej, najpoważniejsze resorty w Delegaturze — wszystko co jest kluczem do panowania nad sytuacją polityczną w Kraju wskutek jakiejś zdumiewającej naszej bierności, bez walki i bez sprzeciwu, w imię fatalnie pojętej świętej zgody narodowej, zostało oddane w ręce czynników masom chłopskim i robotniczym w najlepszym wypadku obcych.

Szkoda, że Churchill i Eden nie mogli do Polski przyjechać i pouczyć we właściwym momencie kogo należy, tak, jak to podobno zrobili w Londynie, że wojna prowadzi społeczeństwa na lewo, że chłopci w Polsce są najpoważniejszym społeczno-politycznym ośrodkiem narodu, i że w myśl zasad demokracji najpoważniejszy obóz polityczny w państwie bierze w swe ręce inicjatywę sprawy państwowej i odpowiedzialność za losy kraju.

Być może, że komuś przyjdzie do głowy zarzut, że nie należy przykładać zbyt wielkiej wagi do władz państwowych urzędujących w Kraju w konspiracji, bo właściwa Polska zacznie się dopiero z chwilą powrotu Rządu. A z powrotem Mikołajczyka chłopci, robotnicy i cała polska demokracja odzyska właściwe swe wpływy.

Takie rozumowanie byłoby błędne i bardzo w skutkach niebezpieczne.

Okupacja nie jest kloszem, pod którym naród spokojnie wegetuje, aż do momentu kiedy klosz zdjęty zostanie i nad Krajem załopocą sztandary niepodległości.

Okupacja to front walki, który prowadzi cały naród, i w tej walce, i przez tę walkę żyje. Walcząc i żyjąc, naród musi mieć swe drogowskazy i wśród siebie swych przewodników. I obok walki z okupantem toczy się już dziś na rozległych terenach naszego kraju uparta, cicha walka o drogowskazy i hasła ideologiczne oraz o to, kto będzie narodowi przewodził. W tej cichej walce biorą udział różne elementy. W jej ogniu widzimy B.Ch., ONR, PPR, AK, różnych watażków, Jędrusiów itd. Dzisiejsza Polska to „Dzikie Pola” i chaos.

I do czegoż tu musimy dążyć?

Musimy zmierzać do tego, aby wokół aparatu Polski Podziemnej, przy jej hasłach i przewodnikach zgromadziła się siła największa, siła tak wielka, aby siły wrogie, odśrodkowe, obce naszej racji stanu i duchowi czasu były w beznadziejnej

dla nich mniejszości. Aby, gdy spadną pęta okupacji, Polska Jawna ukazała się nie pod sztandarami PPR'u czy ONR'u, ale pod tymi samymi sztandarami i wokół tych samych przewodników, co Polska Podziemna. Aby się to stać mogło, nie wystarczy czekać na Mikołajczyka. Już teraz trzeba w Polsce rządzić i kopać koryto polskiej racji stanu i polskiej demokracji, budować Mikołajczykom i Witosom właściwy dla nich dom.

Nie zapominajmy, że Naród jest w Kraju, i w Kraju jest siła polskiej demokracji. Jeżeli nie zmontujemy w Kraju teraz silnych zrębów Polski demokratycznej, powrót Mikołajczyka w roli premiera Rządu Polskiego jest wątpliwy. Nie zapominajmy pewnych epizodów z ostatniego przesilenia w Londynie, nie zapominajmy, kim jest Raczkiewicz i kim się otacza, kim jest Sosnkowski i jakie jest jego otoczenie. Postawa Kraju w rozwoju naszej wewnętrznej sytuacji politycznej będzie miała decydujące znaczenie. Jakiej Polski w przyszłości chcemy, taką już teraz w Kraju montować musimy. Jeżeli więc chcemy, aby w nowej Polsce nie rządziła ani Wasilewska, ani Bielecki, ani OZon, ale Mikołajczyki, czy Witosy, to dla Mikołajczyków, czy Witosów propagować tu trzeba program państwowo-twórczej roboty, montować trzeba aparat i organizować siłę.

W Kraju zatem rządzić trzeba już teraz.

Nie mogę powiedzieć, abyśmy świadomości tej konieczności nie mieli. Owszem. Próbujemy to robić pod sztandarami czwórporozumienia.

Spójrzmy zatem uważnym okiem na system tych rządów. Aby rządzić potrzebne są trzy rzeczy: program, aparat i siła. Zobaczmy po kolei, jak te rzeczy w praktyce wyglądają.

Program. Stwierdzamy z łatwością, że Delegat Rządu, jedyny w Kraju czynnik uprawniony do rządzenia, żadnego swego programu nie ujawnił.

Mamy w kraju programy poszczególnych stronnictw, mamy program czwórporozumienia, mamy rozbieżne programy widziane oczyma poszczególnych Departamentów Delegatury, ale programu jednego, polskiego, ogłoszonego i realizowanego przez jedyny w Kraju uprawniony czynnik rządzący — nie mamy. Czy to nie jest zdumiewające? Przez Polskę przechodzi już dziś linia frontu, kończy się jedna, a zaczyna druga okupacja, każdy dzień przynieść może zmiany

sytuacji o nieobliczalnych wprost skutkach, a rządzący czynnik zachowuje się biernie.

Powołana została Rada Jedności Narodowej. Cóż za wspaniała okazja, aby Delegat Rządu, jeżeli nie miał czasu zrobić tego wcześniej, na jej otwarcie przyszedł z własnym programem, który winien stać się manifestem powstańczym walczącego o wolność, o demokrację, o sprawiedliwość społeczną narodu. Ten manifest nigdy Delegatowi Rządu nie był potrzebny. Dopiero kiedy wojsko zażądało takiego manifestu, zaczęto go smażyć w kuchni poszczególnych Departamentów Delegatury i sklejać w bezbarwną całość, pozbawioną wszelkich rumieńców życia, aby nikomu w niczym nie przeszkadzała. Sklejano to w formie tak zwanych celów wojny, w których każdy znajdzie to, co chce, ale nie znajdzie tam rzeczy najważniejszej: autora. Nie wiadomo, czyj jest ten program. Czy Delegata Rządu, czy czwórporozumienia, czy Rady Jedności Narodowej? Nie wiadomo kto ma ten program wykonywać i kto zań bierze odpowiedzialność⁷. Nie mamy w kraju programu polityki polskiej, postawionego przez odpowiedzialny czynnik rządzący, przewidującego bieg zdarzeń i usiłującego tymi zdarzeniami kierować. Idziemy bezwolnie w ogonku zdarzeń i płacimy za ten marazm wysoką cenę.

Wskutek braku na przykład programu polityki wschodniej nie zrobiliśmy na tych ziemiach w okresie okupacji dosłownie nic dla naszej racji stanu mimo, iż Rząd stawiał nam w tej dziedzinie wyraźne żądania. Nie wykorzystaliśmy faktu, że zarówno okupacja sowiecka, jak i niemiecka zraziła Ukraińców i Białorusinów do obu tych okupantów, że zatem perspektywa jakiegoś rozsądnego związku z Polską mogłaby na tych ziemiach być atrakcyjną, gdybyśmy taką perspektywę umieli narysować. Ale nie było nas na to stać. Nie potrafiliśmy nawet żywiołu polskiego na tych ziemiach obronić przed mordami, inspirowanymi perfidnie przez obu okupantów, a wykonywanymi rękami ślepego motłochu.

Aparat. Aparat Delegatury Rządu istnieje i w niektórych dziedzinach, szczególnie w stolicy, został poważnie rozbudowany.

7. Uwagi te odnoszą się najpewniej do manifestu Rady Jedności Narodowej *O co walczy naród polski*. Okoliczności powstawania manifestu oraz jego treść omawiałem w książce *O kształt Niepodległej*, Warszawa 1989, s. 484-509.

Cóż więc robi ten delegacki aparat, skoro Delegat Rządu nie ma programu?

Całość spraw państwowych została rozparcelowana na szereg departamentów, na czele których stoją ludzie z różnych obozów politycznych i światopoglądów, którzy — każdy w swym resorcie — rozpracowują własne programy nie troszcząc się o to, czym żyją i do czego dążą inne resorty. Jeżeli zaś zjawi się sprawa dla tego czy innego obozu politycznego drażliwa, a wspólna kilku departamentom, załatwienie jej w nieskończoność się odracza przez wywoływanie dyskusji w coraz to innych małych, lub wielkich PKP⁸. Nie widać nigdzie czynnika koordynacji, który by miał świadomość, że jakaś sprawa jest pilna, który by miał chęć i odwagę ją zdecydować i ponieść odpowiedzialność. Poczucie odpowiedzialności jest płynne i zawsze w rezultacie rozkłada się na jakieś PKP. Tak jest w centrali. W terenie Delegatura nie rozporządza żadnym sprawnym aparatem sieci organizacyjnej. Cały aparat montuje się według systemu klucza partyjnego. Funkcjonariusze Delegatury nawet na stosunkowo niskich szczeblach bardzo często honorują nie tylko dyspozycje swych władz przełożonych, ale również, i przede wszystkim, dyspozycje władz swego stronnictwa. Nic dziwnego, że taki aparat jest niedołężny i powolny.

Koordynacja pracy stoi na bardzo niskim poziomie. Te same sprawy załatwiane są przez różne resorty. A oto przykłady. Wszystkie sprawy załatwia i wojsko, i delegatura. A oto przykłady. Sprawy narodowościowe załatwiają Departamenty Spraw Wewnętrznych, Informacji i Biuro Narodowościowe. Reformę rolną załatwia Departament Rolnictwa, ale usiłuje załatwić przynajmniej częściowo i Likwidatura⁹. Oświata jest w beznadziejnym dla niej konflikcie kompetencyjnym z Informacją itd.

Siła. Delegatura nie rozporządza w Kraju żadną własną siłą. Interpelowany w tej sprawie Pełnomocnik zawsze odpowiada, że siłą Delegatury są siły społeczne stronnictw czwórporozumienia. Pogląd ten nie wytrzymuje krytyki. Bowiem siły czwórporozumienia są przede wszystkim niewiadome,

8. Polityczny Komitet Porozumiewawczy. Przy niektórych departamentach Delegatury istniały również komitety porozumiewawcze złożone z przedstawicieli czterech stronnictw.

9. Likwidatura — Departament Likwidacji Skutków Wojny w Delegaturze Rządu.

nieskoordynowane i często sobie wrogie. Wiara w to, że na skutek samego entuzjazmu zechcą one ze sobą zgodnie współpracować i że będą zgodnie wiedziały, co w ogóle robić należy i do czego zmierzać, jest złudzeniem. Delegatura więc własnej siły nie ma. Realne siły jakie są w terenie, to B.Ch. i A.K., ale obydwie te siły ustosunkowane są do siebie nieufnie i z nieufnością są traktowane przez ten czy inny obóz polityczny czwórporozumienia. Nie należy zaś zapominać, że czeka nas w przełomowym momencie rozprawa z PPR, Armią Ludową, różnymi bandami leśnymi itp.

Osiem miesięcy upłynęło od momentu zawarcia aktu czwórporozumienia. W okresie tym zaszły w świecie zdarzenia na wielką skalę. Polska bynajmniej nie była poza nawiasem tych zdarzeń. Front wschodni przesunął się znad Donu daleko na zachód, czerwona armia przekroczyła ponownie naszą wschodnią granicę i zjawiała się na Wołyniu, w Małopolsce wschodniej, w Karpatach. W ciągu tych długich ośmiu miesięcy Delegat Rządu nie zdobył się na odwagę ujawnienia własnego programu, nie stało się nic, co by jak błyskawica rozświeciło naszą ponurą rzeczywistość, zelektryzowało rozkołysane przez wojnę masy ludowe i skupiło je wokół jakiegoś wyraźnego celu. Nas pytają, czym jest Delegatura, ku czemu idzie i nie znajdują odpowiedzi. Chodzą natomiast pogłoski, pewno fałszywe ale znamienne — że bierność Delegatury jest celowa. Chodzi bowiem o to, aby nie Delegatura, lecz wojsko w przełomowym okresie wzięło w swe ręce całość sprawy polskiej.

Najwyższy czas zrobić podsumowanie.

Spójrzmy na sprawę najpierw z punktu widzenia interesu ruchu ludowego. Żyje w naszym ruchu i w innych stronnictwach czwórporozumienia obawa przed sanacją. Obawa ta jest słuszna. Niebezpieczeństwo powrotu przedwojennego *regime'u* nie jest teorią. Obawa przed sanacją jest jednym z najpoważniejszych bodźców, które nas skierowały do obozu czwórporozumienia, czyli po prostu do współpracy z Endekami. Jest rzeczą interesującą, że w naszych szeregach obawa przed sanacją jest znacznie większa, niż w innych ugrupowaniach czwórporozumienia. Pewne zdarzenia zarówno z Londynu jak i z Kraju każą podejrzewać, że zarówno dla Endeków jak i Socjalistów możliwość nawiązania kontaktu z mniej lub więcej stonowaną sanacją nie byłaby tak bardzo trudna. I ten właśnie nasz strach przed sanacją jest z pewnością wykorzystywany przez Endeków. To wygląda tak. Ludowcy

boją się sanacji, zatem my Endecy, sprzymierzając się z Ludowcami, zabezpieczamy ich przed okropnościami rządów sanacji. Ludowcy tak wielką usługę polityczną muszą zapłacić. I ruch ludowy zapłacił niedorzeczną i szkodliwą rezygnacją ze wszystkich kluczowych pozycji w Kraju. Oddaliśmy to wszystko Endekom albo Endekoidom. A tymczasem zastanówmy się, jaka jest intensywność tego sanacyjnego niebezpieczeństwa.

Stawiam znowu niedyskretne pytanie. Z kim byłoby nam łatwiej dogadać się na temat przebudowy ustroju rolnego? Czy z Endekami, czy z Poniatowskim? Z kim wolałby współpracować kol. Sadowski z Oświaty? Z księdzem Kaczyńskim czy z Nowickim? Z kim byłoby łatwiej rozwiązać problem narodowościowy na Kresach? Z Dołęgą czy z Paprockim?¹⁰. I tych pytań można postawić więcej. Strach przed sanacją nie może nam zamykać oczu na rzeczywistość, nie powinien nam odbierać rozsądku. Sanacja nie będzie groźna, jeżeli uda się nam zmontować silną demokratyczną ludową Polskę Podziemną, jeżeli jej promieniowanie będzie czuć Kraj, będzie czuć Raczkiewicz, Sosnkowski, Bielecki, Doboszyński i inni.

Ale zastanówmy się. Czy mu tu w Kraju taką Polskę montujemy [?] Nieprawda. My leżymy w beznadziejnym marazmie. Oddaliśmy wszystko w ręce Endeków albo Endekoidów, albo jakichś zdeklasowanych, wybrakowanych indywiduów, ludzi bez idei, bez wiary, bez dynamiki, którzy bezczynnie trwają na kluczowych pozycjach i właśnie sabotują Polskę, o jakiej Ludowcy, chłopci, robotnicy, pracownicy w ponurym dzisiejszym życiu marzą. Im mniej zbudujemy dziś w kraju tej demokratycznej ludowej Polski, tym większe jest sanacyjne niebezpieczeństwo. I cóż za paradoks [!] W obawie przed sanacją pozwoliliśmy Endecji związać sobie ręce, pozwoliliśmy nasz chłopski, gorący patriotyzm, naszą moc,

10. Poniatowski Juliusz, piłsudczyk i dawniej działacz ruchu ludowego, 1935-39 minister rolnictwa, podczas wojny na emigracji. Sadowski pseudonim Czesława Wycęcha, od 1941 r. dyrektora Departamentu Oświaty w Delegaturze Rządu. Ks. Zygmunt Kaczyński był ministrem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w rządzie Mikołajczyka. Nowicki Zygmunt, znany działacz oświatowy, ostatni przed wojną prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego, działacz ludowy i 1922-1930 poseł na Sejm. Paprocki Stanisław, piłsudczyk, „naprawiacz”, długoletni sekretarz Instytutu Badania Spraw Narodowościowych, wybitny znawca kwestii ukraińskiej. Podczas wojny na emigracji.

naszą dynamikę postawić poza nawiasem Polski Podziemnej. I nie miejmy żadnych złudzeń. Panowie: Klonowski, Dołęga, Zawadzki i spółka nie budują demokratycznej, ludowej Polski Podziemnej Chłopów, i takiej Polski oni się boją. Mikołajczyk jest dla nich małym człowiekiem, którego się protekcjonalnie klepie po ramieniu, którego wysłanników i polecenia traktuje się z lekceważeniem. Największa w Polsce patriotyczna, dynamiczna siła, jaką są Bataliony Chłopskie, błąka się po jakichś bezdrożach, nie znajdując właściwego przydziału w aparacie Polski Podziemnej. Scalamy ją niby z AK, ale beznadziejna jest sprawa podporządkowania chłopów oficerom AK, którzy siedzą w dworach, grają w bridża, bawią się i tyleż mają zrozumienia dla idei Polski demokratycznej, ile go ma dziedzić, czy ekonom. I trzeba sobie powiedzieć wyraźnie i twardo, że to, co się dziś w Polsce na odcinku państwowym robi, nie prowadzi do Polski Ludowej. Jest to raczej proces, w którym polska demokracja, pozbawiona ideologicznego kośćca, pozbawiona społecznego pionu, słowem pozbawiona dyszla, manifestuje swoje niedołęstwo i uprawia glebę dla jakiejś nowej dyktatury.

Ruchowi Ludowemu grozi poważne niebezpieczeństwo. I w ruchu tym są poważne objawy buntu.

Skoro panowie Klonowski i Zawadzki nie widzą w aparacie Polski Podziemnej miejsca ani dla chłopskich przywódców, ani dla chłopskich mas, cóż mają zrobić i co zrobią rozkołysane, zdynamizowane masy chłopskie [?] Pójdą na manowce. Pójdą do PPR-u. Odejdą od całości ruchu ludowego, pójdą tam, gdzie będą mogły znaleźć ujście dla swych wolnościowych instynktów.

Interes całości ruchu ludowego wymaga, abyśmy przestali się bawić w montowanie Polski nijakiej. W imię interesu tego ruchu, musimy przed masami ludowymi narysować obraz Polski wielkiej i silnej, wolnej sobie i wolność niosącej, demokratycznej, sprawiedliwej, ludowej i do pracy nad budową takiej Polski musimy wyraźnie masy ludowe wciągnąć.

Tego wymaga interes ruchu ludowego.

Ale o wiele ważniejszą jest rzeczą, że tego wymaga interes polskiej racji stanu.

Zastanawiającą jest rzeczą, że do dziś dnia mimo tylu kataklizmów jakie nad Polską przeszły, jesteśmy w Europie krajem, w którym atmosfera szlacheckiego panuje. Przedział na panów i chamów ciągle jeszcze jest u nas aktualny. Nie robi nam to dobrej marki ani w kraju, ani

na świecie. O Polsce mówi się jako o „pańskiej” Polsce. W Kraju stwarza to wielkie trudności w pokojowym uregulowaniu stosunków z obcymi narodowościami na Kresach. A na świecie demokratyczne społeczeństwa zachodnioeuropejskie widzą w Polakach panów, megalomanów, totalistów i odnoszą się do nas z tego powodu nieufnie. Jedną z przyczyn, dla których Anglosasi traktują Mikołajczyka z sympatią, jest właśnie to, że jest chłopem, demokratą, prostym człowiekiem. Pozytywny stosunek demokracji zachodnich jest dla nas sprawą tak cenną, że byłoby niedorzecznością z punktu widzenia polskiej racji stanu wysuwanie na czoło naszego życia publicznego anachronicznych postaci ze szlachecko-endeckiego świata. Nie popełniliśmy tego błędu w Londynie, ale popełniliśmy go niestety w Kraju.

Zwróćmy uwagę na względy o wiele poważniejsze.

Przed narodem polskim stoi dziś w całokształcie problem wschodni zarówno jako zagadnienie zagraniczne, jak i wewnętrzne.

Rosja idzie do nas z ponowną okupacją. Idzie z niebezpiecznymi dla zmęczonego wojną społeczeństwa hasłami ideologicznymi. W stosunku do Rosji nasza postawa na pewno nie będzie tak wspaniała, bezkompromisowa i jednolita, jak to ma miejsce w stosunku do Niemców. Grozi nam w związku z posuwającą się okupacją sowiecką nasze wewnętrzne rozdarcie i bratobójcze walki. Na pewno również w ramach naszego jednolitego dotychczas ruchu ludowego.

Zarówno zewnętrzno-polityczne, jak i wewnętrzno-polityczne hasła, z jakimi perfidnie i zręcznie idzie Rosja, znajdują w społeczeństwie naszym uczciwych, nie zapłaconych zwolenników. Pewne fakty, zachodzące na Wołyniu, echa pewnych procesów, zachodzących wśród inteligencji polskiej w Warszawie — świadczą o tych tendencjach niewątpliwie.

Cóż Jedność Narodowa w kraju przeciwstawia zręcznej rosyjskiej propagandzie [?] Co im przeciwstawia Armia Krajowa [?]

Jedność Narodowa wysuwa na czoło szlachecko-endeckie indywidua. One w kraju firmują Polskę i ją mają zbawić. A tymczasem prawdą jest to, że szlachecko-endeckie czołowe indywidua, ci siedzący we dworach oficerowie — są dla Rosji, dla świata, dla polskich chłopów i robotników, tym bardziej zaś dla Ukraińców, Białorusinów, czy Litwinów czerwoną płachtą. Polska reprezentowana przez Klonowskich, Zawadzkich, Dołęgów, Lewiatanów nie może się stać i nie sta-

nie się siłą atrakcyjna dla mas, ani dla obcych narodów i w konflikcie polski chłop, czy robotnik Ukrainiec, Białorusin czy Litwin opierać może wiarę, że nowa Polska będzie państwem wolności, demokracji i sprawiedliwości społecznej, a nie ciemnego szowinizmu, jest dziś nazwisko premiera Stanisława Mikołajczyka. Ale Bóg wysoko, a Mikołajczyk daleko. Samym nazwiskiem Mikołajczyka konfliktu wschodniego nie wygramy.

Jakież hasła ideologiczne przeciwstawia Krajowa Jedność Narodowa Rosji? Stoimy na formalnym, legitymistycznym stanowisku — granica ryska i niewtrącanie się Rosji w nasze sprawy wewnętrzne. Krótko mówiąc: „Nie damy” — „Nie wolno”. To mało.

Na sugestywne hasła ideologiczne Rosji musimy odpowiedzieć rysowaniem sugestywnej idei przyszłej Polski, takiej, jakiej chcą, do jakiej mają przekonanie polscy chłopci, robotnicy, ludzie pracy, polska demokracja, takiej, która by przyciągała do siebie nieodwołalnie patriotyczne polskie masy ludowe, a oderwała je [od] bałamutnej, oszukańczej propagandy sowieckiej. Musimy się wyrzec wszelkiego szowinizmu i zaatakować Stalina jego własną koncepcją samostanowienia narodów. Polskim chłopom i robotnikom, polskiej demokracji, nie będzie trudno zgodzić się z tą wolnościową zasadą. Musimy i my stanąć na gruncie niepodległości Ukrainy i Białorusi również na naszych przedwojennych terytoriach i zwyciężyć Stalina tym, że te państwa łącznie z Litwą i innymi sąsiadami Rosji będą wołały być w federacji z nami, niż z Rosją. Jest dziś nieodwołalną koniecznością państwową postawienie i ujawnienie sugestywnej idei przyszłej Polski, jako ośrodka konsolidacji politycznej na przejściowym obszarze bałtycko-czarnomorskim, zapewniającej wolność, pokój, dobrobyt i bezpieczeństwo żyjących tu narodów. I śmiem twierdzić, że Jedność Narodowa w dzisiejszym jej wydaniu celebrowana przez Klonowskich, Zawadzkich i Dołęgów idei takiej postawić nie jest zdolna. I z tego faktu należy wyciągnąć póki czas konsekwencje.

V. Wnioski

Na tle w ten sposób rysującej się rzeczywistości Ruch Ludowy winien niezwłocznie zainicjować politykę opartą o następujące zasady:

1. Kierownictwo Ruchu Ludowego występuje z inicjatywą zmiany podstaw naszej sytuacji politycznej w kraju.

2. Należy przywrócić moc zasadzie, że chłopci są najpoważniejszym ośrodkiem społecznym i największą i pozytywną siłą dzisiejszej Polski, a w związku z tym:

a. Ruch Ludowy w największym stopniu ponosi odpowiedzialność za losy państwa polskiego,

b. Ruch Ludowy winien niezwłocznie wziąć w swe ręce inicjatywę i kierownictwo pracy państwowo-twórczej w kraju,

c. wszelkie zakusy, zmierzające do wyeliminowania chłopów od czynnego udziału w budowie państwa polskiego należy uważać za sprzeczne z ideą demokracji i interesem państwa i należy im się siłą przeciwstawić.

3. Należy zerwać z zasadą „Jedność Narodowa za wszelką cenę”. Natomiast należy przyjąć zasadę, że jedność narodowa nie może stać w sprzeczności z tezami wypowiedzianymi w zasadzie drugiej.

4. Należy przyjąć za zasadę, że w przełomowym okresie, aż do odwołania normalnych ciał ustawodawczych chłopci *nie* powinni w Polsce rządzić sami.

5. Ideologicznie i społecznie warstwa robotnicza jest chłopom najbliższa. Konsolidację polityczną Polski należy rozpocząć od porozumienia Ruchu Ludowego z WRN-em¹¹.

6. Po osiągnięciu porozumienia z WRN-em należy przeprowadzić próby przyciągnięcia do tego porozumienia Partii Pracy i Endeków. Należy jednak zachować moc zasady drugiej i honorować zasadnicze założenia programu politycznego Polski Ludowej.

7. Po osiągnięciu dwu- trój- lub czwórporozumienia należy ogłosić wspólny manifest do Narodu Polskiego, obrazujący program polityczny Polski Ludowej, do jakiej Ruch Ludowy, WRN i ewentualnie inni współpracownicy zmierzają.

8. Należy skoordynować pracę Wojska z pracą Delegatury. W związku z tym trzeba:

a. utworzyć w Delegaturze Rządu Departament Spraw Wojskowych,

b. przy jego pomocy przeprowadzić istotne scalenie B.Ch. i A.K., likwidując jednocześnie niedomagania natury politycznej, organizacyjnej i personalnej w skonolidowanym wojsku.

11. WRN — Polska Partia Socjalistyczna — Wolność Równość Niepodległość.

9. W składzie Rady Jedności Narodowej należy uwzględnić następujące zasady:

a. w Radzie winny być reprezentowane wszystkie poważne ugrupowania polityczne polskie oraz mniejszości słowiańskie,

b. poszczególne ugrupowania polityczne winny być reprezentowane proporcjonalnie do zasięgu ich wpływów w Kraju. W szczególności więc Ruch Ludowy winien otrzymać połowę wszystkich mandatów, WRN 60 % tego, co otrzyma Ruch Ludowy, a pomiędzy pozostałe ugrupowania rozdzielone zostaną proporcjonalnie pozostałe mandaty.

10. Delegat Rządu ma niezwłocznie przedstawić Radzie Jedności Narodowej sprawozdanie z dotychczasowych prac Delegatury oraz szczegółowy program działania w przełomowym okresie, uwzględniający właściwe rozwiązanie wszystkich problemów polskiej polityki, leżących w jego zakresie działania oraz realizujący ustalone minimum ludowego programu przebudowy życia społecznego, politycznego, gospodarczego i kulturalnego w Polsce.

11. Delegatura Rządu od najwyższych stanowisk winna być obsadzana przez ludzi, do których ludzie pracy: chłopci, robotnicy, rzemieślnicy, inteligencja — mają zaufanie i przygotowanych do zadań, które mają wykonywać. Wszyscy pracownicy Delegatury, przychodząc do warsztatu pracy państwowej, przestają być reprezentantami swych stronnictw, a stają się funkcjonariuszami państwa.

12. Organizację Delegatury oprzeć trzeba na następujących zasadach:

a. czynnikiem rządzącym i odpowiedzialnym za działalność Delegatury i wszystkich jej funkcjonariuszy jest Delegat Rządu,

b. kontrola działalności Delegata Rządu wykonywana jest przez Radę Jedności Narodowej,

c. Delegat Rządu powołuje i zwalnia wszystkich funkcjonariuszy Delegatury,

d. Dyrektora Departamentu Spraw Wojskowych Delegatury powołuje i zwalnia Delegat Rządu w porozumieniu z Komendantem Sił Zbrojnych w kraju,

e. wszystkie instytucje Delegatury winny być tak zorganizowane, aby miały możliwość podejmowania szybkich decyzji i aby odpowiedzialność za decyzję i jej brak była wyraźnie umiejscowiona.

Czy na podstawie całego powyższego referatu należy wyprowadzić wniosek, że dzisiejszą jedność narodową należy zlikwidować? Nie. Trzeba tylko tej jedności dać ideologiczny dyszel, skierowany nie ku jakiejś Polsce nijakiej, bezbarwnej, ale wyraźnie ku Polsce Ludowej. Bo tylko idea Polski wyraźnie ludowej zdolna jest wyprowadzić nas na drogę racji stanu z dzisiejszego wewnętrznego konfliktu i rozwiązać problem naszego bezpieczeństwa na obszarze geopolitycznym, na którym nasz naród żyje.

Praktycznie znaczy to, że cztery konie ciągnące dziś wóz jedności narodowej w kraju muszą być uszeregowane inaczej. Tak jak to jest w Londynie. Chłopi i robotnicy muszą iść na czoło, muszą firmować i kierować, nie zamykając drogi do współpracy innym zespołom dzisiejszego czwóroporozumienia.

Jeżeli taki wstrząs dzisiejsza jedność wytrzyma, to dobrze dla jedności. Jeżeli nie wytrzyma, musi ustąpić, bo nie umiając się zdobyć na rozwiązanie problemów naszej dzisiejszej polityki, bo ograniczając się tylko do trwania, prowadzi naród do katastrofy.

Na jej miejsce musi przyjść zespół chłopów i robotników, którzy chcą, mają prawo budować Polskę i widzą swoją historyczną odpowiedzialność.

Warszawa, dnia 25 kwietnia 1944 r.

W.B.

Z.S. SIEMASZKO

UJAWNIONE DOKUMENTY KATYŃSKIE

DOKUMENTY, ALE JAKIE?

W połowie października 1992 r. prezydent Jelcyn udostępnił prezydentowi Wałęsie około 43 kopii dokumentów dotyczących tzw. sprawy katyńskiej, czyli rozstrzelania obywateli polskich w 1940 r. Można było oczekiwać, iż największa liczba tych dokumentów będzie pochodziła z tego okresu. Tymczasem przedstawiają się one jak następuje:

rok	liczba dokumentów	rok	liczba dokumentów
1940	3	1976	3
1959	3	1981	2
1971-73	7	1988-91	25

Wynika z tego zestawienia, że ujawnione dokumenty odnoszą się w pierwszym rzędzie nie do sedna sprawy, a do sposobu jej załatwiania w ostatnich latach, tzn. w okresie kiedy rozpoczęła się *glasnost* i rozgrywki polityczne między różnymi ugrupowaniami w Związku Sowieckim.

Wyjątkowo dużo dokumentów, bo aż siedem, przypada na lata 1971-73. Dotyczyły one głównie wysiłków sowieckich skierowanych przeciwko filmowi o Katyniu, który pokazywało wówczas BBC (w oparciu w pierwszym rzędzie o książkę Zawodnego), jak również przeciwko polsko-brytyjskim zabiegom wystawienia pomnika katyńskiego w Londynie.

W kraju ukazały się już dwa wydania ujawnionych dokumentów, jedno Polskiej Akademii Nauk, a drugie firmy Interpress.

Oba podają zarówno teksty rosyjskie jak i polskie w tłumaczeniu wydawców. Pierwsze wydawnictwo posługuje się terminem „sowiecki”, co należy pochwalić, natomiast drugie w dalszym ciągu używa terminu „radziecki”, wprowadzonego w swoim czasie przez Środowisko, na którego czele stali Dzierżyński i Marchlewski. Natomiast oba wydawnictwa tłumaczą określenie *pomieszczyk* jako obszarnik, co nie jest słuszne. Pojęcie *pomieszczyk* zawiera dwa elementy — posiadanie pewnej ilości ziemi do uprawiania której konieczny jest wynajem pracowników (lub uprzednio posiadanie poddanych), jak również *dworianstwo*, czyli szlacheckie pochodzenie. Dlatego odpowiednikiem rosyjskiego *pomieszczyka* jest polski ziemianin, czyli właściciel co najmniej kilkudziesięciu hektarów, który sam na roli nie pracuje i przeważnie ma zaplecze szlacheckie. Natomiast używany przez tłumaczy obszarnik, to wyjątkowo zamożny ziemianin, posiadacz tysiąca, czy kilku tysięcy hektarów, co po rosyjsku określa się zwykle jako *krupnyj pomieszczyk*. To błędne tłumaczenie słowa *pomieszczyk* zniekształca sytuację, gdyż na terenach zagarniętych przez Sowiety w 1939 r. mogło być zaledwie parę setek obszarników, natomiast ziemian musiały być liczne tysiące.

Większość ujawnionych dokumentów dotyczy okresu 1971-91, oznaczonych chronologicznie literami od A do F¹. Spośród nich dwa mają zasadnicze znaczenie. Jednym jest dokument A — projekt rozstrzelania polskich jeńców i więźniów, przedstawiony przez komisarza NKWD Berię i zaakceptowany przez Biuro Polityczne CK WKP(b) w dniu 5 marca 1940 r. i drugi E — niezaakceptowany zresztą projekt Szelepina (przewodniczącego Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego) z 3 marca 1959 r. zniszczenia ewidencji rozstrzelanych. Dokument ten, może nie chcący, stał się sprawozdaniem z wykonania zarządzenia CK WKP(b) z 5 marca 1940 r.

Te dwa dokumenty w połączeniu z innymi, znajdującymi się w Załączniku, wykazują, iż decyzja masowego rozstrzelania polskich obywateli nie była dyktatorskim wybrykiem Stalina ani tajnym, zakamuflowanym działaniem kilku wtajemniczonych osób. Wręcz przeciwnie, był to normalny akt państwowy, uchwalony i zaprotokołowany tak samo jak i inne akty państwowe, jak na przykład omawiana tego samego dnia 5 marca 1940 r. sprawa nowego sarkofagu na ciało Lenina (*vide* dokument B, sprawa 145).

Dokumenty te kładą ostatecznie kres pogłoskom, których zresztą i przedtem nie można było traktować poważnie, iż do tych rozstrzeliwań doszło na skutek nieporozumienia, bo Stalin

1. Podane w Załączniku polskie teksty dokumentów oparte są zarówno na obu wydaniach krajowych, jak i na moich własnych uzupełnieniach.

powiedział, że obozy polskich jeńców należy *likwidować*, mając na myśli ich rozładowanie, a jego gorliwi podwładni zrozumieli, że należy przebywających w tych obozach rozstrzelać. Z tą wersją wiązano również powiedzenie Berii czy też Mierkułowa skierowane do Berlinga i jego dwóch towarzyszy, *my sdielali oszibku*, czyli pomyliliśmy się. Nawet człowiek tego pokroju co prof. Wiktor Sukiennicki, który zarówno ze studiów, jak i z autopsji powinien był znać Sowiety dobrze, wyprowadził mnie kiedyś z równowagi, sugerując, że wymordowanie jeńców wojennych z trzech obozów mogło być wynikiem jakiegoś nieporozumienia administracyjnego i stąd, mówił, mogło wyniknąć powiedzenie Berii czy też Mierkułowa o *oszibce*. Teraz, po opublikowaniu tych dokumentów, nie ulega wątpliwości, że nie mogła to być ani pomyłka, ani nieporozumienie administracyjne, a w pełni świadome i z punktu widzenia sowieckiego legalne postanowienie na najwyższym szczeblu państwa sowieckiego, gdyż Biuro Polityczne KC było organem nadrzędnym nawet w stosunku do sądownictwa.

Zresztą nie był to pierwszy akt państwowy tego rodzaju, bo podobną procedurę stosowano uprzednio w stosunku do własnych obywateli i dlatego w pobieraniu decyzji, wydawaniu dyrektyw i w wykonaniu tych zarządzeń (o czym będzie mowa później) widać rutynę i postępowanie utartymi już szlakami.

Na skutek nadmiaru spraw do rozpatrzenia wprowadzono w Sowietach w 1936 r. *osobyje trojki*, czyli trójki specjalne, które zaocznie ferowały wyroki. *Trojki* te zapoczątkowano przy zarządach NKWD w *oblastiach* i najpierw miały one prawo dawać kary do 5 lat łagrów, co wkrótce zostało podniesione do 10, a potem stopniowo do 25 lat. *Trojka*, z którą mamy tu do czynienia, została wyznaczona przez najwyższą instancję w państwie sowieckim, tzn. przez Biuro Polityczne CK WKP(b) z nakazem wyznaczenia najwyższego wymiaru kary przez rozstrzelanie. Polecono tej *trojce* wydawać wyroki śmierci zaocznie, bez podania zarzutów, czy też powodów skazania i bez formułowania aktu oskarżenia.

Według projektu Berii (dokument A, str. 12) w skład tej *trojki* miał wchodzić on sam, jak również Mierkułow i Basztakow. Jednak w ostatniej chwili Stalin zmienił ten skład. Wyeliminował Berię, na pierwsze miejsce przesunął Mierkułowa, na drugie wyznaczył Kibułowa, a Basztakowa pozostawił na trzecim. Jednak w dalszym ciągu Beria pozostał odpowiedzialny za całość operacji i dlatego tylko jemu polecono przestać odpis sprawy 144 z protokołu nr 13 (*vide* dokumenty B i C).

Trojce tej podano również liczbę polskich obywateli, których sprawy miała rozpatrzyć i skazać na śmierć lub pozostawić

przy życiu. Te prowizoryczne liczby wynosiły 14 tysięcy 700 jeńców wojennych (w obozach Kozielsk, Starobielsk i Ostaszków) i 11 tys. więźniów cywilnych (w więzieniach na terenach przyłączonych do Sowietów), czyli w sumie 25 tys. 700 osób.

Jednak, jak wynika z pisma Szelepina (*vide* dokument E), *trojka* nie wykorzystwała w pełni tych liczb i faktycznie skazała na śmierć 14 tys. 552 jeńców wojennych i 7 tys. 305 więźniów cywilnych, czyli w sumie 21 tysięcy 856 osób.

Należy zwrócić uwagę, na to, że zarówno jeńcy wojenni jak i więźniowie podlegali NKWD, ale za jeńców był odpowiedzialny wydział do spraw jeńców wojennych przy centralnym NKWD ZSSR, natomiast więźniowie podlegali zarządom NKWD w poszczególnych *oblastiach* lub w poszczególnych republikach. Tylko najważniejszych przenoszono do centralnego NKWD ZSSR. Dlatego zmianie statusu z jeńca wojennego na więźnia towarzyszyła formalistyka, która przy sowieckim zamykaniu do biurokracji urastała do poważnych proporcji².

Ze względu na to, że wówczas istniał formalny rozdział pomiędzy jeńcami wojennymi i więźniami cywilnymi sytuacja ich była inna i dlatego należy omówić ich sprawy osobno.

JĘNCY WOJENNI — OFICEROWIE, POLICJA ITP.

Według Zawodnego zespołami śleczymi we wszystkich trzech obozach kierował gen. NKWD Zarubin, który rezydował w Kozielsku. W styczniu lub lutym 1940 r. zakończył on swe prace i 4 marca wyjechał do Moskwy. Ale zanim opuścił Kozielsk, miała miejsce następująca wymiana zdań między nim i gen. Minkiewiczem.

Minkiewicz: Proszę nie wzmacać naszego lęku, (...) ale poinformować nas, co zamierzacie z nami zrobić?

Zarubin: Nie sądzę, aby to było właściwe, (...) Oszałelibyście, gdybym wam to powiedział. Zapewniam was, to byłoby nieludzkie. Zapewniam pana, generale, lepiej abyście nie wiedzieli, co chcemy z wami zrobić. (str. 117)

Ta wypowiedź Zarubina wskazuje, że sprawa rozstrzelania jeńców z trzech oficerskich i policyjnych obozów została omówiona i zdecydowana przed marcem 1940 r. i że zatwierdzenie

2. Tego rodzaju przenoszenie z jednego statusu do drugiego opisuje na przykład Swianiewicz, str. 111. W tym wypadku miało to miejsce na stacji Gniezdowo.

projektu Berii w dniu 5 marca 1940 r. było nadaniem formalnej treści temu, co przedtem zostało postanowione.

Te masowe wyroki śmierci motywował Beria następująco:

Wszyscy są zatwardziałymi wrogami władzy sowieckiej, pełnymi nienawiści do ustroju sowieckiego. (...) Usiłują kontynuować działalność kontrrewolucyjną, prowadzą agitację antysowiecką. Wszyscy czekają tylko na wyjście na wolność, aby uzyskać możliwość aktywnego włączenia się do walki przeciwko władzy sowieckiej. (str. 9)

Wynika stąd, że jeńcy z trzech obozów zostali zastrzeleni tylko dlatego, że reagowali w sposób naturalny na sytuację, w jakiej znaleźli się, tzn. byli nieprzejednani w stosunku do państwa, które dokonało agresji wobec ich kraju, wyrażali się negatywnie o tym państwie i mieli ochotę przeciwdziałać aktowi agresji, gdyby nadarzyła się tego rodzaju okazja. Podobne nastawienie mieli oficerowie innych narodowości, którzy znaleźli się w rękach swoich wrogów, jak również oficerowie polscy, którzy w 1939 r. dostali się do niewoli niemieckiej. Jednak nikt ich z tego powodu nie strzelał.

W ostatnich latach krążyły pogłoski (szczególnie w kraju), iż jeńców z trzech obozów zastrzelono, według pierwszej wersji dlatego, że gen. Sikorski nosił się z zamiarem wysłania Brygady Podhalańskiej do Finlandii a według drugiej wersji dlatego, że podobno były jakieś rozmowy pomiędzy Paryżem i Londynem o użyciu oficerów polskich będących w niewoli sowieckiej, jako dywersji przeciw Sowietom, w celu dopomożenia Finlandii. Projekt Berii nic o tym nie wspomina, co niewątpliwie nie omieszkalby zrobić, gdyby brano te sprawy pod uwagę. Można więc uważać te pogłoski za nieuzasadnione.

Chociaż w ujawnionych dokumentach nie ma mowy o metodzie wykonywania wyroków, należy poświęcić temu nieco uwagi. Można by oczekiwać, że NKWD miało ujednolicone możliwości techniczne rozstrzelania dużych ilości ludzi i jednokowe wyszkolenie personelu, który miał te wyroki wykonywać. Tymczasem inaczej strzelano jeńców ze Starobielska i Ostaszkowa, a inaczej jeńców z Kozielska.

Jak od dawna wiadomo, jeńców z Kozielska rozstrzeliwano w Lasku Katyńskim. Natomiast jeńców z Ostaszkowa nie topiono w otaczającym jeziorze Sieliger (jak niekiedy sądzono), a przywożono do oddalonego o 180 km Tweru (wówczas Kalinin) i tam rozstrzeliwano w piwnicach budynku NKWD przy ulicy Sawickiej nr 8 w sposób następujący:

Najpierw ofiara doprowadzana była pojedynczo do pokoju przesłuchań. Tutaj odbywała się identyfikacja. W następnym pomieszczeniu zabierano wezwanemu co cenniejsze osobiste rzeczy. W trzecim z kolei — krępowano ręce i zapewne dopiero wtedy cel nocnej wędrówki stawał się dla bezbronnego człowieka jasny. Każdą miała miejsce w ostatnim pokoju o wyciszonych ścianach. (...) Roztrzaskaną głowę owijano płaszczem ofiary by uniknąć śladów krwawienia. (...) Nocą między Twerem i Miednoje krążyła ciężarówka. (Lentowicz)

Podobnie strzelano jeńców ze Starobielska w piwnicach NKWD w Charkowie i ciała zabitych wywożono do Piatichatek.

Lentowicz podaje, że w Twerze rozstrzeliwano w ciągu nocy przeciętnie 250 jeńców. W tym tempie na 6.311 jeńców zastrzelonych z Ostaszkowa potrzeba było 26 nocy, czyli około 5 tygodni. Brzmi to przekonywująco, gdyż w przybliżeniu tyle (lub nieco więcej) tygodni zajmowało rozładowanie każdego z obozów. Natomiast liczba 250 ofiar na noc jest bardzo wysoka. Jeżeli założymy, że wiosenna noc trwała 10 godzin, to mord musiałby być dokonywany w tempie 25 ludzi na godzinę, czyli nieco ponad 2 minuty na poszczególnego jeńca, wraz z usunięciem ciała do sąsiedniego pomieszczenia. To stanowczo zbyt krótki czas. Możliwe, że istniały w podziemiach twerskich trzy lub cztery tego rodzaju „śmiertelne kanały”, co pozwalało na osiągnięcie 250 ofiar w ciągu 10 godzin i dawało 7 do 10 minut na ofiarę.

Z kolei należy zastanowić się nad ilościami jeńców wojennych w trzech obozach. Beria podaje, że na początku 1940 r. przebywało w nich 14.736 ludzi (w tym 144 osoby cywilne), wyłączając szeregowców i podoficerów z obsługi obozów. Natomiast Szelepin na podstawie posiadanej w 1959 r. dokumentacji podaje, iż rozstrzelano:

z Kozielska	4.421
ze Starobielska	3.820
z Ostaszkowa	6.311
Razem	14.552

W zasadzie liczby podawane przez Berię i Szeleпина nie różnią się zbytnio od liczb podawanych w polskich opracowaniach. Zresztą dokładne dane są trudne do ustalenia, gdyż podlegały one ciągłym zmianom na skutek przenoszenia niektórych jeńców do więzień, naturalnej śmiertelności³ i przekazywania

3. Na przykład Jan B. w swej relacji podaje, iż w Ostaszkowie przez cały czas pobytu zmarły 92 osoby, a 14 pozostało w szpitalu (Gross, str. 392).

władzom niemieckim niektórych spośród tych, którzy podali się jako Niemcy.

Jest jednak poważna różnica, o ile chodzi o liczbę jeńców wojennych pozostawionych przy życiu. Z danych Berii (14.736) i Szelepina (14.552) wynika, że 184 jeńców ze wszystkich trzech obozów zdecydowała *trojka* nie rozstrzelać. Natomiast Zawodny podaje, że z Kozielska nie zastrzelono 245, ze Starobielska 79 i z Ostaszkowa 124, czyli w sumie 448 jeńców. A podinspektor Jan B. (chyba Bober), który ocalał z Ostaszkowa, przytacza w swej relacji 61 nazwisk (w tym 6 podających się za Niemców), którzy zostali przewiezieni z Ostaszkowa do Pawliszczew Boru, gdzie zbierano niezastrzelonych ze wszystkich trzech obozów (Gross, str. 402).

Różnica pomiędzy polskimi i sowieckimi danymi dotyczącymi liczby uratowanych (która wynosi 264 ludzi), może wynikać stąd, że polskie dane obejmują również obsługę obozów składającą się z polskich jeńców, szeregowców i podoficerów, a sowieckie obliczenia nie zawierają obsługi, jak podano w projekcie Berii (dokument A, str. 10).

Może z czasem dowiemy się, jakimi kryteriami kierowała się *trojka* selekcionując tych, którzy mieli przeżyć. Niewątpliwie tego rodzaju dane powinny znajdować się w sprawozdaniach z posiedzeń *trojki*, które (według projektu Szelepina z 1959 r.) nie miały być zniszczone. Jednak z pewnością *trojka* kierowała się w pierwszym rzędzie przydatnością poszczególnych jeńców z punktu widzenia państwa sowieckiego⁴.

Przy pobieraniu decyzji *trojka* posługiwała się danymi dotyczącymi poszczególnych jeńców, które dostarczał im Zarząd do spraw jeńców wojennych w centralnym NKWD ZSSR.

WIĘŹNIOWIE CYWILNI

W przeciwieństwie do rozstrzeliwania jeńców wojennych, wiadomość o masowym mordowaniu więźniów cywilnych jest

4. Spośród bardziej znanych jeńców, którzy nie zostali rozstrzelani, można wymienić następujących oficerów: gen. Jerzy Wołkowicki; pułkownicy: Eustachy Gorczyński, Jerzy Grobicki, Tadeusz Felsztyn i Stanisław Kuentler; podpułkownicy: Zygmunt Berling, Leon Bukojemski, Marian Morawski i Leon Tyszyński; mjr Józef Lis; rtm. Józef Czapski; kapitanowie: Franciszek Kuszel i Kazimierz Rozen-Zawadzki; porucznicy: Roman Imach, Jan Mintowt-Czyż, Bronisław Młynarski, Adam Moszyński i Stanisław Wieczorkiewicz; podporucznicy: Tadeusz Birn i Stanisław Szczypiorkowski; podchorążowie: Władysław Cichy, Franciszek Kukuliński i Zdzisław Peszkowski.

czymś zupełnie nowym. Co prawda ten i ów wspominał o rozstrzeliwaniu więźniów, ale polskie czynniki na Zachodzie nigdy tym się nie interesowały i nikt tych spraw nie badał, a Polskie Stowarzyszenie byłych Sowieckich Więźniów Politycznych, które istniało w Londynie przez przeszło czterdzieści lat, zajmowało się jedynie trzema obozami jeńców wojennych⁵. W druku ukazała się tylko jedna relacja (ppłk. Władysława Chudego), z której wynika, że w 1940 r. rozstrzeliwano więźniów w Brześciu. Oto jej zasadnicza część.

Przy końcu marca zaczęło się wywożenie kolegów z naszej grupy, rzekomo do pracy w Rosji. Odbывало się to bez żadnego sądowego procederu: odczytania decyzji, czy wyroków, jak to miało miejsce w kilka miesięcy później, w przypadku wszystkich z nas, których pozostawiono wtedy w Brześciu. Po prostu do celi wchodził oficer NKWD ze strażnikiem, obydwaj uzbrojeni, i odczytywał z kartki dwa do czterech nazwiska.

Tak wywołano i zabrano 28.3.40 płk. dypl. Stefana Kosseckiego, ppor. Szkatulika i sierż. pchor. Kątskiego.

29.3.40 — prof. Bronisława Stelmachowskiego, sędziego Stasińskiego, radcę NIKP Dmochowskiego i ppor. rez. Dynowskiego.

30.3.40 — kpt. Brejchta, nadkomisarza PP Czarnożyńskiego i rtm. Sikorę-Sikorskiego.

1.4.40 — kpt. Kaczorowskiego i ppor. lotn. Browarka.

2.4.40 — płk. dypl. Bolesława Ciechanowskiego z gipsem na nodze, oraz starszego wiekiem mężczyznę o nieznanym nazwisku w poleszuckim stroju, prawdopodobnie był to oficer sztabowy jednego z kresowych pułków⁷.

5. Polskie Stowarzyszenie b. Sowieckich Więźniów Politycznych, którym przez większość czasu kierował dr Zdzisław Stahl, stało na stanowisku, że spośród wszystkich kategorii obywateli polskich, którzy przeszli przez Sowiety, jedynie jeńcy wojenni oraz więźniowie cywilni i łagiernicy byli więźniami politycznymi i mieli prawo należenia do tego Stowarzyszenia.

6. Władysław Chudy był oficerem służby stałej, ale podał się za rezerwistę, listonosza z zawodu, o nazwisku Achramowicz. Potem w 2 Korpusie dowodził 5 Batalionem CKM w 5 Kresowej Dywizji Piechoty. Po wojnie zamieszkał w Londynie.

7. Płk dypl. Kossecki był dowódcą 18 Dyw. Piech. i został ciężko ranny. Pośmiertnie został mianowany generałem przez gen. Andersa.

Płk dypl. Ciechanowski dowodził 64 Pułkiem Piech. z Grudziądza, którego sztandar został odznaczony krzyżem *Virtuti Militari* za kampanię wrześniową. Został on ranny w kolano. Znany w Londynie prof. Jan Ciechanowski jest jego synem.

Stelmachowski był profesorem w Poznaniu. Obecny profesor Uniwersytetu Warszawskiego, Andrzej Stelmachowski, jest jego synem. NIKP to Najwyższa Izba Kontroli Państwowej, a PP to Policja Państwowa.

Po wywiezionych z Brześcia kolegach wszelki słuch zaginął. Moje usilne starania, aby ich odszukać, które podjąłem w październiku 1941, po zwolnieniu z obozu Uchta, spełzły na niczym. Rozbiły się o mur milczenia sowieckiej strony. Z pewnością podzielili oni losy tych, którzy zginęli w Katyniu, gdyż wywiezienie ich z Brześcia zbiegło się z początkiem likwidacji obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie. (Zeszyty Historyczne nr 61, str. 127).

Niektóre dane w projekcie Berii są zaskakujące, więc należy omówić je nieco bardziej szczegółowo. W pierwszym rządzie uderza stosunkowo niewielka liczba więźniów, zaledwie 18.632, w więzieniach na terenach przyłączonych do Ukrainy i Białorusi. Można przypuszczać, że na początku 1940 r. całkowita liczba aresztowanych na tych terenach wynosiła ponad 100 tys. Trzeba jednak pamiętać, że w Sowietach więźniowie dzielili się na dwie zasadnicze kategorie — politycznych i *bytowych*, czyli kryminalnych, co obejmowało spekulantów, złodziei, bandytów, przemytników, stręczycieli, prostytutki itp. Niewątpliwie projekt Berii obejmuje jedynie więźniów politycznych i może nawet nie wszystkich, a w pierwszym rządzie tych, których podejrzewano o wykroczenia objęte paragrafami artykułu 58 Kodeksu Karnego ZSSR, takie jak zbrojna walka z Sowietami, szpiegostwo, dywersja, propaganda skierowana przeciw Sowietom, kontrrewolucja, sabotaż itd. Za większość tych przewinień Kodeks Karny przewidywał najwyższy wymiar kary (*wysshazja miara nakazanija*), czyli śmierć. Można więc przypuszczać, że w swym projekcie Beria wziął pod uwagę jedynie tych więźniów politycznych, którym groziła kara śmierci.

Na obniżenie liczby więźniów podanych przez Berię mogło mieć wpływ również to, że mówi on tylko o tych więźniach, którzy przebywali w owym czasie w więzieniach zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi. A sporo więźniów przed marcem 1940 r. zostało już przewiezionych do Moskwy lub do centralnej Ukrainy i Białorusi. Na przykład gen. Andersa zabrano z lwowskich Brygidek do Moskwy 29 lutego 1940 r., czyli zaledwie kilka dni przed zatwierdzeniem projektu Berii.

Następnym zaskakującym stwierdzeniem Berii jest niezmiernie mała liczba Polaków, bo zaledwie 10.685 wśród rozważanych przez niego 18.632 więźniów, czyli tylko około 57%. Chociaż pewna część więźniów mogła podawać się za Ukraińców lub szczególnie Białorusinów, którzy nie odróżniali się od kresowych Polaków, jednak tak niski procent więźniów, którzy podawali się za Polaków, świadczy o tym, że obywatele polscy wszystkich narodowości byli prześladowani przez władze sowieckie.

W celu dalszego wyjaśnienia danych Berii należy omówić

poszczególne grupy więźniów wymienione w jego projekcie (dokument A, str. 10).

Podaje on, iż w więzieniach było 1.207 oficerów. Najprawdopodobniej składali się na tę liczbę zarówno oficerowie, którymi NKWD specjalnie interesowało się i przeniosło ich z obozów jenieckich do więzień (lub od początku trzymało w więzieniach), jak również ci, którzy nie zastosowali się do sowieckiego zarządzenia i nie zarejestrowali się w przewidzianym terminie, jak i ci których aresztowano z powodu ich udziału w organizacjach podziemnych.

Następna grupa to 5.141 agentów policyjnych i żandarmów, do których z pewnością zaliczeni zostali również policjanci kresowi, będący na swych posterunkach w czasie kiedy wkraczała armia sowiecka. (W Ostaszkowie znaleźli się w pierwszym rzędzie ci policjanci, których jako zwarte oddziały ewakuowano na wschód przed Niemcami).

Szpiegów i dywersantów nie było wielu, bo zaledwie 347.

Zaskakująco niska jest liczba ziemian, fabrykantów i urzędników, bo tylko 465. Możliwe, że wielu spośród nich zarejestrowano jako oficerów, a innych, i to chyba wielu, jako kontrrewolucjonistów.

Naliczono natomiast dużo, bo aż 5.345 członków kontrrewolucyjnych i powstańczych organizacji, jak również wszelkiego rodzaju kontrrewolucyjnych elementów. Ponieważ sowieckie prawo działało wstecz, do tej kategorii zaliczono nie tylko tych, którzy działali nielegalnie przeciw władzy sowieckiej w latach 1939-40, ale również tych, którzy byli aktywni w czasie wojny polsko-bolszewickiej 1919-20 i w okresie niepodległości prowadzili akcję antykomunistyczną. Do grupy tej, jak już powiedziano, mogło również wejść wielu ziemian, fabrykantów i urzędników.

Wreszcie ostatnia grupa to *pieriebieżcziki*, czyli ludzie, którzy przechodzili z jednej strony na drugą, czego nie oddają w pełni oba słowa używane przez tłumaczy tych dokumentów — zbiegowie lub uciekinierzy. Jest to największa grupa, licząca 6.127 więźniów, w jej skład wchodził ci, którzy przekraczali granice między okupacjami (zarówno granicę sowiecko-niemiecką jak i sowiecko-litewską), jak również granicę rumuńską, dążąc do wojska we Francji, z wyjątkiem tych, którzy zdołali udowodnić, iż są zwykłymi przemytnikami.

Biorąc pod uwagę te wszystkie grupy (liczące 18.632 aresztowanych) CK WKP(b) zdecydował w dniu 5 marca 1940 r. ograniczyć liczbę rozstrzelanych do 11 tysięcy, obejmujących członków różnych szpiegowskich i dywersyjnych organizacji kontrrewolucyjnych, ziemian, fabrykantów, oficerów, urzędników

i *pieriebieżczikow*. Ustalono zastosować do nich najwyższy wymiar kary — rozstrzelanie (dokument A, str. 11), tak samo jak i w stosunku do jeńców wojennych.

Niektórzy sądzą, że CK WKP(b) ustalił liczbę 11 tysięcy, gdyż miała ona obejmować jedynie Polaków, których Beria naliczył 10.685. Jednak nie jest to chyba słuszne, gdyż wśród fabrykantów przewidzianych do stracenia mogło być sporo Żydów, a wśród organizacji kontrrewolucyjnych mogły być ukraińskie organizacje nacjonalistyczne. Natomiast o ile chodzi o polskie organizacje podziemne, to Beria stwierdził, iż NKWD na Zach. Ukrainie i Zach. Białorusi wykryło, iż kierowniczą rolę odgrywali w nich oficerowie, policjanci i żandarmi (dokument A, str. 9).

Decyzje w sprawie rozstrzeliwania więźniów miała pobierać, tak samo jak i w wypadku jeńców wojennych, ta sama *trojka*, z tym, że w wypadku więźniów miała ona decydować na podstawie wyciągów z akt poszczególnych osób, przysłanych przez ukraińskie i białoruskie NKWD.

Należy przypuszczać, że wyroki były przekazywane z Moskwy do poszczególnych republik i były wykonywane na polskich terenach w zachodnich *obłastiach* tych republik, które w owym czasie pokrywały się w zasadzie z polskimi województwami, czyli: wilejska (bez Wilna i okolicy), nowogródzka (lub baranowicka), białostocka, poleska (lub brzeska), wołyńska (lub rówieńska), lwowska (bez zachodniej części lwowskiego województwa), tarnopolska i stanisławowska⁸.

Jednak prawdopodobnie *trojka* nie wykorzystwała w pełni liczby wyroków dozwolonych przez CK WKP(b) i skazała na rozstrzelanie 7.305 więźniów, (a nie 11 tysięcy), co wynika z pisma Szeleпина z 3 marca 1959 r. (dokument E)⁹. Choć liczbę podaną w tym piśmie świadczy jedynie o tym, że tylko tyle dokumentów zastrzelonych osób zachowało się do 1959 r. Nie można jednak wykluczyć możliwości, iż zastrzelono więcej

8. Istnieją dwie relacje, które mogą być związane z rozstrzeliwaniem więźniów lub jeńców wojennych — szeregowych (o czym mowa w następnym rozdziale). Jedną z nich to Ryszarda Bittnera „Tragiczne odkrycie na nie-ludzkiej ziemi”, *Dziennik Polski*, 8 lipca 1985, a druga to anonimowa „jeszcze jedno miejsce kaźni”, o masowych mordach w Sławucie, *Dziennik Polski*, 7 lutego 1985.

9. W kwietniu 1975 r. Szelepin przybył do Londynu jako reprezentant sowieckich związków zawodowych. Ówczesna młodzież polska zorganizowała pod przewodnictwem Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich w W. Brytanii okazały marsz protestacyjny, na którym wznoszono szereg okrzyków, a wśród nich najpopularniejszy: „Szelepin, sukin syn!” Jeszcze w tymże roku 1975 Szelepin został w Moskwie odsunięty od władzy.

więźniów, ale wyciągi z ich teczek personalnych przysłane do Moskwy gdzieś się zawieruszyły w ciągu następnych dziewiętnastu lat. Prawdopodobnie liczbę zastrzelonych więźniów można by ustalić analizując protokoły z posiedzeń *trojki*, które, według Szelepina, miały pozostać niezniszczone.

Podobnie jak w wypadku jeńców wojennych, decydując się na pozostawienie danego więźnia przy życiu, musiała *trojka* kierować się tym, czy może on być przydatny państwu sowieckiemu. A w szczególności, czy może posiadać pożyteczne informacje lub czy jest szansa, że może stać się uległym w stosunku do żądań władz sowieckich¹⁰.

Na zakończenie należy podkreślić, że ci, którzy nie zostali zastrzeleni na skutek wyroku *trojki* wyznaczonej przez CK WKP(b), podlegali w dalszym ciągu śledztwu i osądzeniu przez inne *trojki* na niższym poziomie.

JĘNCY WOJENNI — SZEREGOWI

Udostępnione w październiku 1992 r. dokumenty nie mówią nic o ogromnej liczbie brakujących jeńców wojennych — podoficerów i szeregowców, z którymi najprawdopodobniej rozprawiono się w tym samym czasie, kiedy rozstrzeliwano więźniów i jeńców wojennych — oficerów i policję, tzn. wiosną 1940 r. Jednak liczba jeńców — szeregowych była tak wielka, że nie można było ich indywidualnie rozstrzeliwać i trzeba było wykańczać ich jakimiś innymi metodami.

Można domyślać się, że jedną z tego rodzaju metod było zatapianie na barkach lub zużytych statkach na Morzu Północnym. Na ten temat krążyły w Sowietach uporczywe pogłoski nadchodzące z różnych źródeł. Pierwszym, który odnotował te pogłoski, był Czapski (str. 143). Mogło to dotyczyć jeńców z Ostaszkowa, którzy byli najbliżej Północnego Morza. Ale już teraz wiemy, że jeńcy z Ostaszkowa zostali zastrzeleni w Twerze i zakopani w Miednoje. Inną wersję zatapiania jeńców podał Zawodny w formie relacji Józefa Olechnowskiego (str. 258). W pogłoskach i opowiadaniach o zatopieniu mówiło się przeważnie, że byli to oficerowie, a nie szeregowi. Działo się tak dlatego, że w środowisku sowieckim polskie mundury i płaszcze wojskowe,

10. Można wymienić następujących bardziej znanych więźniów, których nie rozstrzelano. Generałowie: Władysław Anders, Mieczysław Boruta-Spiechowicz, Czesław Jarnuszkiewicz, Marian Żegota-Januszajtis; pułkownicy i podpułkownicy: Bronisław Rakowski, Kazimierz Rzyński, Kazimierz Wiśniowski; majorowie: Wincenty Bąkiewicz, Jawicz; arystokraci: Eugeniusz Lubomirski, Eustachy Sapieha.

nawet nadwerżone pobyt w niewoli, wyglądały tak elegancko, że jeńców tych brano za oficerów. Nawet prof. Swianiewicz wysłany do łagru w Komi ASSR, po przeszło rocznym pobycie w Sowietach, kiedy zobaczył za osobnym ogrodzeniem polskich jeńców — szeregowych, sądził, iż byli to oficerowie (str. 179).

Sprawą zaginięcia co najmniej kilkudziesięciu tysięcy jeńców-szeregowych nikt się nie interesował i została ona całkowicie zignorowana przez polskie środowisko na Zachodzie. Wobec tego żądanie dokumentów wyjaśniających zaginięcie tak wielkiej liczby jeńców wojennych jest tym bardziej ważne.

Dokładna liczba brakujących jeńców-szeregowych uśmierconych w Sowietach nie jest znana, ale można ją w przybliżeniu oszacować. Według artykułów opublikowanych w czasopiśmie *Krasnaja Zwiezda* nr 210 z 17 września 1940 r. (czyli w rocznicę najazdu) liczba jeńców wojennych wszystkich stopni wynosiła 230 tysięcy. Potem na Litwie i Łotwie zagarnięto około 12 tys. internowanych tam polskich żołnierzy. Czyli w sumie było ich co najmniej 242 tysiące.

Z tego około 46 tys. zwolniono do domów lub przekazano Niemcom. Zamordowano około 15 tys. z obozów Kozielsk, Starobielsk, Ostaszków. Poza tym można założyć, że ubyły następujące ilości:

przeniesionych z obozów do więzień cywilnych — 2 tys.
zmarłych na skutek ciężkich warunków (aż 18 % początkowej ilości 230 tys.) — 41 tys.

zaginiętych w czasie ewakuacji ze Wschodniej Galicji w czerwcu 1941 r. — 2 tys.

nie wstąpili do Polskiego Wojska po „amnestii” (lewicowcy, *Volksdeutsche* itp.) — 1 tys.

W sumie te założone ubytki wynoszą — 46 tys.

Czyli w czasie „amnestii” w sierpniu 1941 r. powinno było być 135 tys. Tymczasem pod dowództwo gen. Andersa przekazano z obozów jenieckich zaledwie około 25 tys. żołnierzy wszystkich stopni, a jednocześnie wiadomo, że nikogo z obozów jeńców nie zwalniano „do cywila”. Czyli to szacunkowe obliczenie sugeruje, że brakuje około 110 tys. jeńców wojennych. Wiadomo jednak, że liczby wziętych do niewoli jeńców bywają często przesadzone i jeżeli założymy, że liczba 230 tysięcy jeńców podana w rocznicę wkroczenia do Polski jest przesadzona o 20 do 30 %, to w dalszym ciągu, opierając się na założeniach jak powyżej, dojdziemy do wniosku, że brakuje 70 do 90 tysięcy jeńców-szeregowych.

DALSZE DOKUMENTY

O ile chodzi o sprawy tu poruszone, to należałoby dążyć do uzyskania następujących danych.

Protokoły z posiedzeń *trojki* wyznaczonej przez CK WKP(b) 5 marca 1940 r.

Dokumenty dotyczące poszczególnych jeńców i więźniów na podstawie których *trojka* decydowała kogo rozstrzelać, a kogo zostawić przy życiu.

Teczki personalne zarówno jeńców jak i więźniów cywilnych, tak rozstrzelanych jak i nie rozstrzelanych.

Postanowienie najprawdopodobniej CK WKP(b) o zgładzeniu wielu tysięcy jeńców wojennych — szeregowych, które z pewnością zostało powzięte w pierwszych miesiącach 1940 r. i zarządzenia dotyczące metody wykonania tego postanowienia.

POSŁOWIE

Należy zwrócić uwagę na to, że zabieganie o ujawnienie dokumentów i ustalanie faktów związanych z wyniszczaniem obywateli polskich przez władze państwa sowieckiego nie jest spowodowane chęcią pogłębienia nienawiści między Polakami i Rosjanami oraz innymi narodami wchodzącymi w skład Związku Sowieckiego. Wydaje się, że wyjaśnienie okoliczności powinno raczej uspokoić emocje. Poza tym wydaje się, że polskie pretensje, zresztą uzasadnione, były i są w pierwszym rzędzie skierowane przeciwko państwu sowieckiemu, a nie przeciwko narodowi rosyjskiemu i innym narodom należącym do Sowietów, które często cierpiały prześladowania ze strony władzy państwowej, podobne do tych, przez które przeszli obywatele polscy, którzy w 1939 r. dostali się pod panowanie sowieckie.

Londyn, grudzień 1992 r.

Z.S. SIEMASZKO

P.S. Już po zakończeniu tego opracowania ukazał się w *Dzienniku Polskim* w Londynie 28 grudnia 1992 r. list byłego oficera Lwowskiego Okręgu AK, Augusta Wierzbickiego, który pisze, iż w okresie 1939–41 pracowało przy budowie kolei Kotłas-Workuta ponad 120 tysięcy polskich jeńców wojennych, z których połowa już nie żyła, kiedy gen. Anders zaczął tworzyć armię, a niektórzy pozostali tam nadal po jesieni 1941 r. Wierz-

bicki, który przebywał w Komi ASSR w latach 1946–48, opiera się na relacji ustnej Polaka doktora Roberta Dąbrowskiego, naczelnika szpitala łagiernego w miejscowości Piernaszor w rejonie Kożwa nad Pieczorą, który przed aresztowaniem był profesorem w Instytucie Medycznym w Moskwie.

Z.S.

ZAŁĄCZNIK — DOKUMENTY UJAWNIONE W PAŹDZIERNIKU 1992 r.¹¹

ROK 1940

A — Projekt Berii nr 794/B i zatwierdzenie planowego rozstrzelania jeńców wojennych i więźniów cywilnych na posiedzeniu CK WKP(b) w dniu 5 marca 1940 r. (Numery stron w prawym dolnym rogu dokumentów 9, 10, 11, i 12)

B — Część protokołu nr 13 z posiedzenia CK WKP(b) w dniu 5 marca 1940 r., dotycząca omawianej uprzednio sprawy 136 oraz spraw poruszonych 5 marca 1940 r. — 144 i 145. (str. 7 i 8)

C — Wyciąg z protokołu nr 13 (sprawa 144) dla Berii, nr P13/144, datowany 5 marca 1940 r. sprawa 7 i 8)

ROK 1959

D — Wyciąg z protokołu nr 13 (sprawa 144) dla Szelepina, nr P13/144, datowany 27 lutego 1959 r. (str. 6)

E — Projekt Szelepina zniszczenia ewidencji rozstrzelanych (w 1940 r.) — rękopis nr 632-sz z 3 marca 1959 r. (str. 13 i 14)

F — Niewykorzystany projekt (rękopis) uchwały CK KPZS nakazującej zniszczenie ewidencji rozstrzelanych w 1940 r. (str. 15)

SKRÓTY

CK — Komitet Centralny.

11. Poszczególne strony opublikowanych dokumentów (z wyjątkiem dokumentu B) zaopatrzone są w okrągłą pieczęć z napisem w otoku: *Komitet po dziełach archiwów pri prawitielstwie RF, czyli Komitet do spraw archiwów przy rządzie Rosyjskiej Federacji*, oraz poświadczenie kopii przekazywanych władzom polskim następującym napisem: *Zgodne z oryginałem, Główny Archiwista Rosyjskiej Federacji, R. G. Pichoja*. Dziwne, że przy tych poświadczeniach nie ma daty.

KPZS — Komunistyczna Partia Związku Sowieckiego; uprzednia nazwa WKP(b).

m. — miasto.

NKWD — *Narodnyj Kommissariat Wnutriennych Del;* Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych.

o.p. — *osobaja papka;*teczka specjalna.

PB — Biuro Polityczne.

WKP(b) — *Wsesojuznaja Kommunistическая Partia* (bolszewików); Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia (bolszewików).

BSSR — *Biełoruskaja Sowieckaja Socjalistическая Respublika.*

USSR — *Ukraińska Sowieckaja Socjalistическая Respublika.*

BIBLIOGRAFIA

Władysław Chudy, „W sowieckim więzieniu w Brześciu nad Bugiem”, *Zeszyty Historyczne* nr 61, sierpień 1982.

Józef Czapski, *Na nieludzkiej ziemi*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1969.

Dokumenty Katynia — decyzja, Interpress, Warszawa 1992.

Jan Gross i Irena Grudzińska-Gross, *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali*, Aneks, Londyn 1983.

Katyń — dokumenty ludobójstwa, Polska Akademia Nauk, Warszawa 1992.

Zbigniew Lentowicz, „Golgota”, *Rzeczpospolita i społeczeństwo*, nr 208(2943), Warszawa 6 września 1991.

Adam Moszyński, *Lista katyńska*, Gryf, Londyn 1972.

Jan Orlicki, *Poprzez Starobielsk do 5 Dyw. Kresowej*, Oficyna Przeglądu Powszechnego, Warszawa 1992.

Zbigniew S. Siemaszko, *W sowieckim osaczeniu 1939-1943*, Pol. Fund. Kulturalna, Londyn 1991.

Stanisław Swianiewicz, *W cieniu Katynia*, Instytut Literacki, Paryż 1976.

Paweł Wieczorkiewicz, „Wzlot i upadek Nikołaja Jeżowa”, *Obóz* nr 21, Warszawa zima 1991/92.

Janusz Zawodny, *Katyń*, Editions Spotkania, Paryż 1989, oraz angielskie wydanie: *Death in the Forest*, Macmillan, Londyn 1971.

Jerzy TIMOSZEWICZ

Z DZIEJÓW TEATRU WILEŃSKIEGO

Parę uwag o latach 1832-1864*

„Historia teatru wileńskiego oczekuje na kronikarza. Aby doczekała go kiedy, wątpię”, pisał przed stu laty Karol Estreicher (senior) — patriarcha polskich historyków teatru. Niestety, z przykrością trzeba stwierdzić, że proroctwo się spełniło. Może nie w pełni, ale w ogromnym stopniu. W polskiej historiografii teatralnej dzieje teatru wileńskiego w latach 1795-1864 mają niewielką literaturę. W istocie dysponujemy zaledwie dwiema próbami zarysu całości tematu. Pierwsza to wydany w 1907 r. *Teatr polski na Litwie 1784-1906* Mieczysława Rulikowskiego, najwybitniejszego naszego historyka teatru w okresie międzywojennym. Był to jednak pośpieszny, okolicznościowy szkic, wykorzystujący tylko źródła drukowane. Artykuły Rulikowskiego (broszura była nadbitką z *Kuriera Wileńskiego*) powstały bez badań archiwalnych. Takie badania podjął w ćwierć wieku później Antoni Miller i rezultaty ich ogłosił w 1936 r. w Wilnie w książce *Teatr polski i muzyka na Litwie jako strażnice kultury Zachodu (1745-1865)*. Wydana w nakładzie 500 egz. i znacznie

* Referat wygłoszony na sesji „Wilno — centrum kultury artystycznej”, zorganizowanej w Wilnie 20-22 V 1992 przez Instytut Sztuki PAN oraz LMA Kultūros ir Meno Institutas. Wzięli w niej udział litewscy i polscy historycy teatru, muzykolodzy oraz historycy sztuki (architektura, malarstwo, grafika, rzeźba, fotografika etc.). Wygłoszono 27 referatów. Z okazji tego spotkania Litwini przygotowali interesującą wystawę „Wilno XIX w. Rysunki i akwarela” a nawet „żywy obraz” (apoteoza Jana Kazimierza Wileczyńskiego, wydawcy słynnego *Album wileńskiego*) nawiązujący do popularnych w ówczesnym Wilnie inscenizacji malarsko-teatralnych.

skrótowa — ze względu na koszty druku — praca Millera przynosi obfity materiał źródłowy. Niestety autor, postać zresztą barwna i osobliwa, był — jako historyk — zupełnym amatorem. Książka jest chaotyczna, pełna błędów i niedokładności. Dość powiedzieć, że autor nie potrafił przepisać wiernie tekstów ze źródeł wskazywanych mu przez znakomitego wileńskiego archiwistę Euzebiusza Łopacińskiego. Ale mimo licznych wad, praca Millera stanowi cenną skarbnicę wiadomości, choćby dlatego, że zawiera materiały dziś już zaginione bądź niedostępne. Po wojnie, a właściwie dopiero po r.1970, ukazały się dwie książki, obie wielkiej wartości, choć nie będące całościowymi monografiami. *Świat teatralny młodego Mickiewicza* poznańskiego uczonego, Michała Witkowskiego, przynosi rzetelny i bogaty obraz teatru wileńskiego z okresu pobytu Mickiewicza, a więc lat 1815-1824, uzupełniony starannym zarysem lat wcześniejszych. Druga książka to znakomita monografia Małgorzaty Stolzman, poświęcona dziejom kultury Wilna lat międzypowstańowych (1832-1863) wydana w 1987 r. pod tytułem wziętym ze znanego wiersza Czesława Miłosza *Nigdy od ciebie miasto...*

Oczywiście, i przed wojną, i po wojnie ukazywały się w książkach zbiorowych i w czasopismach różne artykuły, rozprawy i przyczynki, często dużej wartości. Nie przedstawiam tu jednak stanu badań nad sceną wileńską XIX w. Pragnę jedynie zwrócić uwagę na brak monografii, choćby w zarysie, ale poprawnym naukowo. Nie potrafię, niestety, nic powiedzieć o literaturze litewskiej na ten temat. W książce Vytautasa Maknysa *Lietuviu teatro raidos bruožai* jest niewielki rozdział *Viešasis miesto teatras Vilniuje*. Rozumiem, że teatr polskojęzyczny nie mógł być przedmiotem szczególnego zainteresowania historyków litewskich. Wydaje się jednak, że dzieje teatru wileńskiego, grającego wprawdzie w języku polskim (ale przecież także w rosyjskim, niemieckim i francuskim), teatru będącego w przeważającej mierze dziełem artystów tutejszych, wileńskich, należą do historii tego miasta, a więc także do historii Litwy. O ile mi wiadomo — a jest to dobra nowina — temat ten podejmują coraz szerzej nasi litewscy koledzy. Mam na myśli m.in. dysertację Vidy Vidy Bakutyté *Vilniaus teatro vaidmuo Lietuvos muzikiniam-teatriniam gyvenimui, 1785-1831* (Rola teatru wileńskiego w życiu muzycznym i teatralnym na Litwie).

Stały, zawodowy, publiczny teatr w Wilnie powstał w 1785 r. za sprawą Wojciecha Bogusławskiego. W 1935 r. Antoni Miller apelował o uczczenie 150-tej rocznicy tego wydarzenia ze względu na wielkie „zasługi społeczne litewskiej sceny” i pytał patetycznie: „czyżby Wilno oстыgło dla przeszłości teatru, który przez sześćdziesiąt lat w najcięższych warunkach niósł wysoko sztan-

dar sztuki, utrzymując stosunki z teatrem Zachodu?" Apel pozostał bez echa. Podobnie było z przypadającym przed siedmiu laty jubileuszem dwuchsetlecia — i w Polsce i na emigracji rocznica pozostała niezauważona. Ukazał się tylko monograficzny tom *Pamiętnika Teatralnego* pt. „Publico Vilnensi”, wziętym ze starego afisza. Jedyne omówienie tego wydawnictwa — pióra Vytautasa Jurkštas — opublikowano w Wilnie. Przyczyną małego, zbyt małego jak na wagę zagadnienia, zainteresowania polskich historyków teatru dziejami dawnej sceny wileńskiej, oprócz powodów obiektywnych (niełatwy w b. ZSSR dostęp do archiwów) jest niedocenywanie znaczenia i rangi artystycznej tej sceny. Małgorzata Stolzman pisze we wstępie do monografii międzypowstaniowej kultury wileńskiej, że po likwidacji uniwersytetu „największej w państwie rosyjskim wyższej uczelni”, „miało odtąd stać się Wilno prowincjonalnym miastem gubernialnym, skazanym na odpływ najlepszych umysłów, zawieszonym między administracyjną stolicą w Petersburgu a oddzielną granicznym kordonem Warszawą. Wśród badaczy polskiej kultury rozpowszechnił się sąd o upadku zgnębionego Wilna”. Stolzman cytuje wymowne przykłady takich opinii w powojennej literaturze historycznej, zwłaszcza historyczno-literackiej (np. „życie intelektualne miasta zupełnie wygasło po powstaniu listopadowym”). Stolzman przytacza sądy Aliny Witkowskiej i Marii Janion, które zalicza do czołowych badaczy polskiego romantyzmu, o Wilnie traktowanym jak inne „zapadłe miasteczka prowincjonalne”. Cała znakomita i ważna książka Stolzman, odznaczająca się nie tylko znajomością przedmiotu, ale promieniująca miłością do tego miasta — jest właściwie jedną wielką polemiką z tak uproszczonymi i pochopnymi sądami.

To, co tutaj chciałbym Państwu powiedzieć, jest właściwie tylko pewnym wsparciem i uzupełnieniem wywodów Małgorzaty Stolzman. Może o tyle uprawnionym, że przeważają w jej książce dzieje nauki, literatury, czasopiśmiennictwa i ruchu wydawniczego. Sztuce poświęciła tylko jeden rozdział, a teatrowi zaledwie 15 stron, zresztą rzetelnie napisanych.

Co się kryje za sformułowaniem Antoniego Millera „najcięższe warunki”, w których przyszło działać teatrowi wileńskiemu w XIX w.? Trzeba wymienić trzy najważniejsze: 1. procesy rusyfikacyjne, 2. surowa cenzura, 3. warunki materialne. Litwa wcielona do cesarstwa rosyjskiego po roku 1795 znalazła się na jego zachodnim skraju, granicząc z królestwem pruskim. Już car Paweł zwracał szczególną uwagę na nowe zachodnie prowincje, przez które mógł przenikać do Rosji „duch jakobiński”. Znalazło to swój wyraz nawet w teatrze wileńskim: w 1799 r. kancelaria cesarska zabroniła Morawskim sprowadzenia aktorów z Warszawy. Jednak do upadku

powstania listopadowego tendencje rusyfikacyjne w dziedzinie kultury są mało dostrzegalne. Od 1832 r. przybierają na sile. Już w 1833 generał gubernator Dołgorukij nakazuje druk afiszów w dwóch językach i rezerwowanie na każdym przedstawieniu jednego miejsca dla żandarma. Ale — o dziwo! — dwugłowy orzeł rosyjski na afiszach ma na piersi Pogoń, nie — jak dawniej — św. Jerzego zabijającego smoka. Trwa to zresztą krótko: afisze subwencjonowanego stałego teatru miejskiego nie noszą żadnego godła.

Jednak mimo bezwzględności postępowania w innych dziedzinach (brutalna likwidacja uniwersytetu) Rosjanie nie decydują się na zamknięcie teatru grającego po polsku i wprowadzenie sceny rosyjskiej. I to zarówno na Litwie, jak i w innych zachodnich guberniach. Decyzje zapadały w Petersburgu bardzo wysoko, bo w III Oddziale, który w tajnym piśmie z 16 XI 1845 r. informował, że „nie ma powodu, by zabraniać teatralnych przedstawień w języku polskim w zachodnich guberniach”. (Tzw. Zachodni Kraj tworzyły gubernie wileńska, kowieńska, grodzieńska, mińska, mohylewska, witebska, podolska, wołyńska i kijowska). Władze nie miały dość kadr, by wypełnić rosyjskim teatrem cały ten ogromny obszar. Na Litwie, mimo, że proces napływania tu Rosjan rozpoczął się dawno (i trwał przecież z krótką przerwą do naszych czasów) w latach czterdziestych XIX w. nie było wystarczającej liczby widzów-Rosjan i widzów znających język rosyjski. Petersburg postanowił więc działać stopniowo. Równocześnie z pozornie liberalnym postanowieniem III Oddziału ukazało się „Imperatorskie rozporządzenie, aby dyrektorzy teatralnych zespołów, pragnących dawać przedstawienia w guberniach zachodnich, otrzymywali na to pozwolenie po okazaniu zaświadczenia o swojej prawomyślności, wystawione przez miejscowego generała gubernatora”. To cytat z pisma Departamentu Policji z 1847 r., które nie ukrywa celu tej decyzji: „w następstwie wprowadzenia w życie niniejszego nakazu pojawiła się możliwość grania w teatrach Kijowa, Wilna i Mińska razem z polskimi sztuk w języku rosyjskim, przy czym brano pod uwagę zamiar przyswojenia i rozpowszechnienia języka rosyjskiego między mieszkańcami tamtejszego kraju”. Gubernatorzy zyskali instrument nacisku na dyrektorów scen: otrzymywali oni świadectwo *blagonadiożnosti* pod określonymi warunkami.

W Wilnie — w którym mieszkało ok. 4.000 Rosjan — było trochę inaczej, była próba stworzenia teatru czysto rosyjskiego, raczej tylko jako szantaż, bo zespół polski pozbawiono wtedy budynku. W rezultacie „kompromisu” (o tyle pozytywnego, że popartego stałą dotacją) wprowadzono obowiązek grania obok sztuki polskiej — sztuki w języku rosyjskim. Jak sobie

z tym radził teatr wileński przez następne dwadzieścia lat? Wcale nieźle. Wystawiano po prostu krótkie komedyjki i wodewile, traktując rzecz trochę jak formalność. Nb. ruszczyzna aktorów była nienajlepsza. Z uznaniem trzeba też podkreślić dobry smak kierowników teatru, bo jeśli już grano (rzadko zresztą) jakąś większą sztukę, były to utwory literacko znakomite: *Matężstwo Kreczyńskiego* Suchowo-Kobyлина, *Ożenek* i *Rewizor* Gogola. W *Rewizorze* zresztą wykorzystano różne możliwości, jakie daje ta arcykomedia. Popularny aktor Józef Malewski, doskonały w roli Horodniczego, otrzymał od władz nagane, bo „nie należy tak jaskrawo wykazywać narodowej (sc. rosyjskiej) wady wśród nieprzyjaznego żywiołu”.

Cenzura. Przed powstaniem listopadowym nader liberalna, była powierzona Uniwersytetowi Wileńskiemu. Próbował się do niej wtrącać senator Nowosilcow, zarzucając komedii Fredry *Mąż i żona* niemoralność i uznał sztukę za niepożądaną w Wilnie „gdzie tylu studentów”. Teatr już w 1828 r. poddano kontroli policmajstra. Po r. 1832 komitet cenzury urzędował przy generalnym gubernatorze. W sprawach teatru kierował się wskazaniami petersburskiego Komitetu Ministrów, ustaleniami cenzury w Warszawie i poleceniami generalnego gubernatora. W 1843 r. wędrowny *entrepreneur* i dyrektor teatru wileńskiego, Wilhelm Schmidkoff, posługiwał się w pertraktacjach z władzami miast prowincjonalnych dokumentem zatytułowanym: *Kopia repertuaru Teatru Wileńskiego zatwierdzonego przez Cenzora III Oddziału Osobistej Kancelarii Jego Cesarskiej Wysokości* (liczył 237 pozycji). Poza repertuarem pozostawały, oprócz sztuk pisarzy całkowicie zakazanych jak Mickiewicz czy Słowacki, wszelkie utwory, głównie o tematyce historycznej, mogące zawierać jakiegokolwiek aluzje polityczne i patriotyczne. Dotyczyło to oczywiście także sztuk tłumaczonych (również oper), których tematem było królobójstwo, spiski czy bunty. Jeszcze w 1873 r. Warszawski Komitet Cenzury zabronił wystawiania *Marion Delorme* Wiktora Hugo, gdyż „aktor grający króla (Ludwika XIII!) może przy ukazywaniu tej postaci dojść do ostateczności i tak ją przedstawić, że nasuwałaby widzom gorszące, a więc mylne wyobrażenie o monarchizmie”. Starannie też wykreślano z tekstu nawet błahych komedijek wszelkie kwestie mogące wzbudzić odzew na widowni. Wileński cenzor w komedii Sandeau *Helena de la Seiglière* wyrzucił słowa „żyć pod jarzmem przywłascicieli” (czyli zaborców). W sztuce Syrokomli *Chatka w lesie* usunięto aż 30 stron z rozmowy literata z wydawcą. Zdarzały się sytuacje groteskowe: w jakiejś komedii pozbawiono myśliwego dubeltówki, bo „teraz broni nosić nie wolno”, a pieśń Syrokomli puszczono jako przekład z węgierskiego. Decyzje cenzury bywały

niejasne. Np. komedię Korzeniowskiego *Majątek albo imię*, wystawioną w Wilnie bez przeszkód, w Warszawie zdjęto na dwa dni przed premierą. Granej swobodnie w Królestwie i na ziemiach zachodnich Rosji popularnej sztuki *Żyd wieczny tułacz* nie dopuszczono na scenę wileńską. Zupełnie też niespodziewanie, już po przedstawieniu *Skąpca* Moliera, cenzura zażądała ponownie tekstu do kontroli. Na początku lat 60-tych, przed powstaniem styczniowym, nacisk nieco zelżał. Było np. możliwe wystawienie entuzjastycznie przez wilnian przyjętej *Barbary Radziwiłłówny* Odyńca. Ale generalną ocenę sytuacji zawierają słowa Syrokomli, który w 1851 r. pisał do Pauliny Wilkońskiej: „cenzura, straszliwa czyścowa cenzura tłumi swą ciężką łapą każdy najniewinniejszy oddech piersi”.

Trzecim zmartwieniem teatru wileńskiego była sytuacja finansowa. Nie była najgorsza od 1844 r. dzięki dotacji rządowej, zapewniającej byt podstawowy. Decydowały jednak dochody z przedstawień. W najlepszych latach, latach pięćdziesiątych, od października do końca maja (z przerwą w wielkim poście) teatr dawał przeciętnie 115 przedstawień. Było to dużo jak na miasto liczące wówczas ok. 58.000 mieszkańców, z których prawie połowę stanowili Żydzi. Dochód z jednego spektaklu nieczęsto przekraczał 100 rb. Niemal połowa miesięcznego dochodu przeznaczona była na gaże zespołu, zresztą niewielkie. Najwyższa miesięczna płaca aktora wynosiła zwykle 40 rb., najniższa 5 rb. (Josiel Minc „przestawiający meble na scenie” otrzymywał 6 rb.) Zdarzało się jednak, że dochód z przedstawień był niewiele większy niż płace zespołu, np. w maju 1854 r. gaże = 787 rb., przychód = 1.038 rb. Skąd więc mogły znajdować się pieniądze na nowe dekoracje, kostiumy, statystów, orkiestrę i całą — jak wówczas mówiono — wystawę. Gmach teatru w ratuszu, podobnie jak poprzednie, nie był budowany z myślą o teatrze. Możliwości techniczne sceny odbiegały od poziomu ówczesnych scen europejskich nawet niewielkich miast. Teatr był mało zasobny w dekoracje, kostiumy i rekwizyty. Raporty kasowe (szczęśliwie zachowane w bibliotekach Litewskiej Akademii Nauk i Uniwersytetu) stanowią wymowne świadectwo tych kłopotów. Notują takie wydatki jak opłata za wypożyczone szable, czy za rękawiczki dla primadonny Rostkowskiej. A dyżurni żandarmi pobierali miesięcznie aż 30 rb. Teatrowi wileńskiemu było więc daleko do dobrobytu teatrów imperatorskich Petersburga czy nawet Warszawskich Teatrów Rządowych.

Mimo wszystkich trudności (rusyfikacji, cenzury, finansów) teatr w Wilnie w okresie międzypowstaniowym — zwłaszcza w latach pięćdziesiątych — utrzymywał się na dobrym poziomie artystycznym. Decydował repertuar. Nie gorszy niż w Warsza-

wie, Petersburgu czy Moskwie. Oczywiście nie tak obfity i modny jak w stolicach imperium, ale wcale nie zasługujący na miano prowincjonalnego. Przede wszystkim był urozmaicony. W pierwszych latach omawianego okresu przeważały różne dramy i melodramaty o wdzięcznych tytułach jak np. *Pamiętniki szatana*, *Szuler i grabarz*, *Nawet w chatce byle z nim*, *Kwakier i tancerka*, *Dzwonek szatański*, *Rochus Pumpernikiel*. Niektóre z nich utrzymywały się w repertuarze całymi latami. Jeszcze w latach 50-tych grano Kotzebuego, Nestroya, Raimunda; w 1856 r. wystawiono „mellodramę czarodziejską” *Chłop milionowy*, którą przed laty zachwycali się Fryderyk Chopin i Juliusz Słowacki oraz *Upiora* wg Nodiera, dramę która być może miała wpływ na Mickiewiczowskie *Dziady* (spierają się o to poloniści do dziś). Ku chwale wileńskiego teatru, a raczej publiczności, wiernej pamięci jego twórcy, do końca istnienia sceny pojawiają się na afiszu *Krakowiacy i Górale* Wojciecha Bogusławskiego, gdzie indziej zapomniani. Tutaj zawsze cieszyli się ogromnym powodzeniem, zwłaszcza na galerii.

Nowości repertuaru zachodniego, przede wszystkim — jak w większości miast Europy — francuskiego, dostają się na scenę wileńską przeważnie z niewielkim opóźnieniem. W dwa lata po paryskiej premierze grany jest *Kean* Aleksandra Dumasa (wielka rola Bogumiła Dawisona) — Wilno wyprzedza tu Warszawę o dziesięć lat. Grano też inne sztuki Dumasa (*Henryk III i jego dwór*, *Teresa*), które w ogóle nie weszły na scenę warszawską. W niecały rok po premierze w Comédie Française, parę tygodni po Petersburgu i wyprzedzając Moskwę — teatr wileński wystawia dramat historyczny Wiktora Hugo *Angelo Malipieri*, często potem wznawiany. Scribe, Labiche, Augier, Sandeau, George Sand i cały szereg innych pomniejszych dramatopisarzy wchodzi do wileńskiego repertuaru obficie i dość szybko. Z ważnych sztuk tych autorów trzeba odnotować *Szklaną wodę* Scribe’a, *Zięcia pana Poirier* Augiera, *Klaudię* George Sand (nie graną ani w Warszawie, ani w Petersburgu). Zdarzają się niespodzianki: *Adrianna Lecouvreur*, wielki (jak byśmy dziś powiedzieli) bestseller czy hit teatralny XIX w., w którym triumfy święciły najśłynniejsze aktorki epoki — Rachel, Sarah Bernhardt, Helena Modrzejewska — wystawiony jest w Wilnie w dwa lata po premierze w Paryżu i na siedem lat przed Petersburgiem i Moskwą. Zdarzyło się też Wilno wyprzedzić Comédie Française o dziesięć lat premierą *Dalili* Feuilleta, nie granej w ogóle w stolicach rosyjskich. Specjalnie należy zaznaczyć obecność w teatrze wileńskim autora wielkiej klasy, rzadko wówczas granego nawet w jego ojczyźnie — Alfreda de Musset. W parę miesięcy po Warszawie wystawiono *Nie trzeba się zarzekać* (*Il n'a faut jurer de rien*).

Przekład Józefa Korzeniowskiego pt. *Zielone rękawiczki* jest pierwszym tłumaczeniem sztuki Musseta na język polski. Grano też w Wilnie jego *Kaprys*.

Z utworów, zaliczanych dziś do tzw. wielkiego repertuaru grano m.in. *Skąpc*a i *Mieszczanina szlachcicem* Moliera — jedno z pierwszych wystawień w przekładzie z oryginału, zamiast pokutujących długo przeróbek XVIII-wiecznych. W latach 50-tych pojawia się *Cyd* nie granego w ogóle ani w Petersburgu, ani w Warszawie Corneille'a. Fryderyka Schillera reprezentują oczywiście *Zbójcy*, ale także *Dziewica Orleańska*, *Intryga i miłość* i wcale wtedy nie grana w Warszawie *Maria Stuart*. Henryk Kleist, rzadko grywany poza scenami niemieckimi (w stolicach rosyjskich i w Warszawie — w ogóle) znalazł się w repertuarze dykcji Wilhelma Schmidkoffa (*Kasia z Heilbronn*). Osobną sprawą jest Szekspir. Artykuł Jarosława Komorowskiego *Szekspir w Wilnie (1786-1864)* w wileńskim tomie *Pamiętnika Teatralnego* z 1986 r. omawia rzecz wyczerpująco. Tu tylko parę słów. W okresie międzypowstaniowym pojawiają się rzadko: *Otello*, *Poskromienie złoŃnicy* i *Hamlet*, którego wystawienia są wydarzeniem przekraczającym wymiar lokalny. 8 X 1844 został zagrany fragment w przekładzie Ignacego Hołowińskiego — jest to pierwsze przedstawienie Szekspira w przekładzie z oryginału angielskiego, a nie — jak dotychczas — z przeróbek francuskich i niemieckich. Całość w tym tłumaczeniu wystawiono dwa lata potem, a w 1861 wprowadzono na scenę kolejny nowy przekład. W latach 40-tych i 50-tych grano *Hamleta* w Wilnie dwunastokrotnie, mimo niechęci cenzury (w Warszawie go w tym czasie nie wystawiano). Pierwsze wydanie dzieł Szekspira w tłumaczeniu z oryginału (jeszcze niepełne) ukazało się w Wilnie w latach 1840-1847.

Krótko o operze. Od powstania stałego teatru widowiska muzyczne towarzyszyły dramatycznemu. Narodowe teatry wielu krajów europejskich w XIX w. długo nie znały podziału na osobny zespół operowy i dramatyczny. W Wilnie było tak aż do końca. Prócz oper wystawianych własnymi siłami (niewiele było aktorów mogących podołać trudniejszym zadaniom wokalnemu), gościły w Wilnie zespoły operowe obce, np. na przełomie lat 30-tych i 40-tych opera niemiecka Schmidkoffa mająca w repertuarze Webera, Rossiniego, Aubera, Boieldieu, Hérolda. W latach 50-tych, dzięki wysiłkom dyrektora Abramowicza, pojawili się śpiewacy z prawdziwego zdarzenia — jak np. Zelinger, Rostowska — przedstawienia operowe zwróciły uwagę nawet w Petersburgu. Wilnianie zawsze lubili operę i zapełniali tłumnie widownię. Największym powodzeniem cieszył się Donizetti — *Lukrecja Borgia*, *Łucja z Lamermooru*, *Faworyta* a także *Luna-*

tyczka Belliniego oraz *Niema z Portici* i *Fra-Diavolo* Aubera. Sukcesem był *Hernani* Verdiego (nadkomplety na widowni). Grano też *Normę* Belliniego i nieśmiertelnego *Wolnego strzelca* Webera. Warunki finansowe i techniczne nie pozwalały na wystawianie oper *à grand spectacle*. Mimo, że właśnie przedstawienia operowe przynosiły największy dochód, koszty inscenizacji (orkiestra, chór, dekoracja) pochłaniały znaczne sumy. Np. wydatki extra na spektakl *Marty* Flotowa w dn. 20 V 1858 wyniosły 80 rb., a dochód — 47. Opera Flotowa należała do nowszych, nielicznych zresztą, dzieł muzycznych. Przywędrowała tym razem z Wiednia, nie z Paryża, gdzie zagrano ją siedem lat później. Trzeba jednak stwierdzić, że wbrew wszelkim trudnościom artystycznym i finansowym przedstawienia operowe stanowiły istotną pozycję w repertuarze sceny wileńskiej.

Słowo o przedstawieniach sztuk polskich. Rzadko ich liczba przekracza czwartą część wszystkich spektakli. Ale dobierane są — zwłaszcza w latach pięćdziesiątych — ze smakiem. Zdecydowanie przeważają Aleksander Fredro i Józef Korzeniowski. Ten ostatni był w Wilnie obficie wydawany, a na scenę trafiło ponad dwadzieścia jego sztuk, z których wiele utrzymywało się w repertuarze latami. Korzeniowski stał się właściwie honorowym wilaninem i jako „swojego” witano go uroczyście w 1849 r. Poważną zasługą teatru wileńskiego była dbałość o własnych „tutejszych autorów”. Nie trzeba tu wiele mówić o Stanisławie Moniuszce. Nie tylko odbyła się tu prapremiera *Halki*, którą sam dyrygował 16 II 1854, nie tylko wystawiano jego operetki, czy raczej śpiewogry, *Nocleg w Apeninach*, *Karmaniol*, *Loteria*, *Cyganie*, ale współpracował on także z teatrem jako — jakbyśmy dziś powiedzieli — kierownik muzyczny przy innych widowiskach np. instrumentując na nowo *Wesele w Ojcowie* Stefaniego czy komponując muzykę do francuskiego melodramatu *Sabaudka*. Nowa, czteroaktowa wersja *Halki* zdążyła też wejść na scenę wileńską. Autorzy dramatyczni również nie mogli narzekać na teatr rodzinnego miasta. Grano wszystkie sześć sztuk Władysława Syrokomli. Cieszyły się uznaniem widzów, zwłaszcza patriotyczno-patetyczny dramat historyczny *Kasper Karliński*. Druga miejscowa znakomitość, Antoni Edward Odyniec, choć dosyć kiepski dramatopisarz, grany był już w 1836 r., kiedy wystawiono *Izorgę*, „dramat romantyczny” z muzyką tutejszego kompozytora Wiktora Każyńskiego. W krótkim okresie przed powstaniem styczniowym, gdy pewnemu rozluźnieniu uległa cenzura, pojawił się także dramat historyczny Odyńca *Jerzy Lubomirski* i przyjęta entuzjastycznie *Barbara Radziwiłłówna* (7 II 1860), wydana w Wilnie dwa lata wcześniej z dedykacją dla A.M., czyli Adama Mickiewicza. Podziw wzbudziła „nowa deko-

racja, przedstawiająca plac miasta Wilna z dawnym katedralnym kościołem oraz Dolnym i Górnym Zamkiem pędzła akademika Żemetta". To sześćoaktowe „poema dramatyczne” musiał reżyser mocno skrócić, a i cenzor z pewnością również. Chyba wyrzucił kwestię, która nie mogła się spodobać generałowi gubernatorowi:

*Mówisz, żeś Polak — lada kniaź cię gniecie
Powiesz żeś Litwin — źle! krzyczą w powiecie.*

Józef Kraszewski, choć dawno opuścił Wilno, zawsze był uznawany za „tutejszego”, grano więc jego *Stare dzieje i Miód kasztelański*. Weszły na scenę nawet błahe arystokratki-teatromanki Gabrieli z Güntherów Puzyniny *Muzułmanin na Litwie i Córka filozofa XVIII w.*, które zawierały mnóstwo kolorytu lokalnego.

I wreszcie największy z „tutejszych” — Adam Mickiewicz. Cenzura zawsze broniła mu zaciekle dostępu do rosyjskiego imperium. Jeszcze w 1897 r. Warszawski Komitet Cenzury nie zezwolił na druk etykiety do papierosów z portretem poety. O teatrze mowy być nie mogło. A jednak Wilno znalazło sposób. Były to „żywe obrazy”: z *Pana Tadeusza* „Jankiel gra na cymbałach poloneza” i z *Konrada Wallenroda* „Oto są grzechy mojego żywota”. Ten ostatni poprzedziła nawet deklamacja fragmentu tego poematu (marzec 1860). Wcześniej, 31 X 1857 r., Józef Surewicz deklamował — jak notuje raport kasowy pisany po rosyjsku — „monolog iz poemu A. Mickiewicza”. Czyżby to był fragment IV części *Dziadów*? Są to nieznanne i tajemnicze epizody z dziejów scenicznych Mickiewicza, w XIX w. niemal nieistniejących.

Tyle dorywczych uwag o repertuarze. Może jeszcze tylko mała próbka statystyczna, chyba dość wymowna. W wybranym na chybił-trafił sezonie 1855/56 odbyło się 114 przedstawień. Opery zajęły 10 wieczorów, zachodni repertuar współczesny (w tym Hugo, Dumas, Scribe etc.) liczył 32 przedstawienia, sztuki popularno-rozrywkowe tłumaczone z różnych języków (z wyjątkiem rosyjskiego) — 35, polski dramat współczesny — 26 (w tym 15 — Korzeniowski i 5 — Fredro), klasyka europejska — 3 (dwa razy *Hamlet* i *Skąpiec*). Trzy przedstawienia w całości w języku rosyjskim (w tym *Rewizor*) i 20 wieczorów bez sztuki rosyjskiej.

Zespół artystyczny — to osobny temat. Tu można tylko stwierdzić, że: 1. był stabilny, 2. jego trzon stanowili aktorzy miejscowi, 3. czołówka aktorska, lokalne sławy i ulubieńcy, reprezentowała dobry poziom. Wystarczy wymienić parę nazwisk:

Izabela Górską, Helena Majewska-Kirkorowa, Emilia Markowska, Anna Pacewicz, Józef Rogowski, Józef Malewski, Emil Deryng, Józef Surewicz. Wilno stało się też kolebką dwóch wielkich artystów. Sławny w Europie i Ameryce aktor niemiecki Bogumił Dawison dwa lata spędzone w Wilnie (1838-1840) uważał za przełomowe w swojej karierze (tu zresztą zdarzyło mu się po raz pierwszy zagrać po niemiecku). Monografista Dawisona pisze, że „skromny teatr wileński stał się dla niego świetną szkołą aktorską”. W 1859 r. debiutował w Wilnie wielki tragik polski Bolesław Leszczyński, główna — obok Rapackiego — postać rozgałęzionego rodu aktorskiego. Jeszcze w późnej starości wspominał pobyt w teatrze wileńskim i cenił zdobyte tam doświadczenia.



Obraz teatru w Wilnie w epoce międzypowstaniowej, jaki tu bardzo ogólnie przedstawiłem, jest z pewnością jednostronny. Skupiłem uwagę na blaskach, przemilczając cienie. Ta zamierzona tendencyjność miała posłużyć obronie niedocenianej i zapomnianej sceny przed zarzutami drugorzędności i prowincjonalizmu. Przyznaję, że kiedy pierwszy raz wziąłem do ręki książkę Millera, jej podtytuł mówiący o teatrze i muzyce na Litwie jako „strażnicach kultury Zachodu” wydał mi się trochę koturnowo-pretenjonalny. Dziś myślę, że autor tych słów, nieporadny ale zapalczywy miłośnik Wilna — nie mylił się. To miasto, które w zamierzeniach Petersburga miało stać się zapadłą, prowincjonalną dziurą, skazaną prędzej czy później na rusyfikację — potrafiło w tak niesprzyjających warunkach utrzymać teatr, który — jak pisał patetycznie Miller — „pomimo pewnej odrębności etnicznej środowiska był teatrem zachodnim”, „owianym tchnieniem wspólnej obu narodów potęgi poezji i czarem retrospekcji historycznej”. Rok 1863 i Michaił Nikołajewicz Murawjow-Wieszatiel położył kres scenie wileńskiej, która zasługuje na większą uwagę i szczegółowe studia. Podejmą je — mam nadzieję — także nasi litewscy koledzy.

Warszawa, 10 V 1992

Jerzy TIMOSZEWICZ

BIBLIOGRAFIA

K. Estreicher (senior), *Teatra w Polsce*. Wilno, „Pamiętnik Teatralny” 1991, z. 1; — M. Rulikowski, *Teatr polski na Litwie 1784-1906*, Wilno 1907; — A. Miller, *Teatr polski i muzyka na Litwie jako straż-*

nice kultury Zachodu (1745-1865), Wilno 1936; — M. Witkowski, *Świat teatralny młodego Mickiewicza*, Warszawa 1971; — M. Stolzman, *Nigdy od ciebie miasto... Dzieje kultury wileńskiej lat międzypowstaniowych (1832-1863)*, Olsztyn 1987; — V. Maknys, *Lietuviu teatro raidos brucžai*, t. I., Vilnius 1972; — „Pamiętnik Teatralny” 1986, z. 2-3 — *Publico Vilnensi*; — V. Jurkštas, *Publico Vilnensi*, „Czerwony Sztandar” 13 VII 1988; — V. Jurkštas, *Wileńskimi śladami Wojciecha Bogusławskiego*, „Czerwony Sztandar” 9 VII 1988; — Z. Jędrychowski, *Witebsk 1845-1849*, „Notatnik Teatralny” 1991, nr 2; — A. Miller, *Cenzura teatralna na Litwie (1795-1895)*, „Kurier Wileński” 8 i 9 III 1995; — tenże, *A.E. Odyniec a teatr wileński przed stu laty*, *ibidem*, 18 I 1935; — *Akta cenzury*. Opr. H. Secomska. Wyd. Redakcja „Pamiętnika Teatralnego”, Warszawa 1966; — M. Rotard (Katarzyna Madoń-Mitzner), *Ludzie cenzury. Cenzorzy teatralni w Polsce 1815-1913*, „Silva Rerum” (Almanach Wydawnictwa KRAĞ), 1982, nr 2; J. Komorowski, *Shakespeare w Wilnie (1786-1864)*, „Pamiętnik Teatralny” 1986, z. 2-3; Tenże, *Polskie Szekspiriana*, *ibidem*, 1991, z. 1.; — J. Timoszewicz, *Z teki afiszów wileńskich (1800-1863)*, „Pamiętnik Teatralny” 1986, z. 2-3; — tenże, *Jeszcze o afiszach wileńskich*, *ibidem*, 1991, z. 1.; — *Akta finansowe teatru wileńskiego 1847-1859*. Lietuvos Mokslu Akademijos Centrinis Biblioteka, Vilniaus Universiteto Biblioteka.

Maria TURLEJSKA

UWAGI O TZW. „WSPOMNIENIACH” W. GOMUŁKI

O wiele rzeczy można mieć pretensje do Władysława Gomułki i wielu nie można mu wybaczyć. W pierwszym rządzie odejścia od idei Października 1956 r., roztrwonienia zaufania społecznego, jakim się cieszył w przeciwieństwie do innych przywódców komunistycznych.

Władysław Gomułka, którego nazywano jeszcze konspiracyjnym pseudonimem „Wiesław”, zaczął od zwalczania „rewizjonistów” w partii, czyli zwolenników większej swobody słowa i reformy systemu, by uczynić go bardziej wolnym. Wyrzucił z partii i z aparatu propagandy (z prasy) najśmielszych już wiosną 1957 roku. Jesienią 1957 r. zdecydował o zamknięciu pisma młodej inteligencji — *Po prostu* — które utorowało mu drogę do władzy. Nie dopuścił do ukazania się pisma *Europa*. Jego organizatorzy — pisarze albo zostali wyrzuceni z partii, albo sami z niej wystąpili. Wśród nich był m.in. Jerzy Andrzejewski. W 1960 roku przestały się ukazywać *Nowa Kultura* i *Przegląd Kulturalny*. Przestał być redaktorem naczelnym Wiktor Woroszyński. „Wiesław” pozbył się też bliskich współpracowników jeszcze z czasów konspiracyjnej PPR, „liberałów”, reformistów — Jerzego Morawskiego i Władysława Bieńkowskiego — również w 1960 roku. W tymże czasie powrócili do aparatu KC ludzie konserwy partyjnej, a także ludzie bez charakteru — młodzi karierowicze.

Cenzura stawiała się znowu coraz bardziej dotkliwa. Przeciw niej protestowało w krótkim piśmie do kierownictwa 34 uczo-

nych i pisarzy. Niektórych z nich skłoniono do wycofania podpisów. Kluby dyskusyjne — studentów, Krzywego Koła, b. życiowców — zamknięto. Z wojska usunięto utalentowanych i samodzielnie myślących generałów, m.in. dowódcę lotnictwa gen. Jana Freya-Bieleckiego i szefa sztabu generalnego gen. Zygmunta Duszyńskiego. Doprowadzono do śmierci Henryka Hollanda pod fałszywym oskarżeniem. Kampania przeciw Kościołowi towarzyszyła uroczystościom z okazji Tysiąclecia Państwa Polskiego. Zwiększała się penetracja służby bezpieczeństwa w życie społeczne i polityczne. Już zaczęto skazywać na kary więzienia za „przestępstwa polityczne”, obejmujące kontakty z *Kulturą*, wydawaną w Paryżu. Za memoriał, skierowany do instancji partyjnych, najpierw wyrzucono z PZPR, a następnie skazano na kary 3 i 3,5 lat więzienia Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego w 1965 roku. Za krytykę bilansu dziesięciolecia po Październiku usunięto z partii i z Uniwersytetu Warszawskiego prof. Leszka Kołakowskiego i doc. Krzysztofa Pomiana.

Wszystko to prowadziło do Marca 1968 r. Marzec rozpoczął się już w styczniu zdjęciem „Dziadów” Adama Mickiewicza, akcją protestacyjną pisarzy warszawskich i studentów, wyrzuceniem najpierw dwóch studentów z UW, a — po strajku protestacyjnym w wyższych uczelniach — usunięciem z UW i innych uczelni profesorów, rozwiązaniem kilku roczników na różnych wydziałach UW, aresztowaniem paru set działaczy młodzieżowych. Towarzyszyły temu plugawe przemówienia sekretarzy wojewódzkich PZPR (zainicjował je Edward Gierek w Katowicach) i kampania antysemita nazywana „antysyjonistyczną” w prasie partyjnej. Uwieńczyło ją haniebne przemówienie Gomułki w Sali Kongresowej 19 marca 1968 roku. Skierowane było przeciw inteligencji, szkalowało osoby pochodzenia żydowskiego, ale nie tylko. „Wiesław” obrzucił błotem Antoniego Słonimskiego, oczernił Pawła Jasienicę. Marzec zakończył się exodusem kilku, może kilkunastu tysięcy polskich inteligentów (w tym studentów). Wielu z nich stało się chlubą uniwersytetów zachodnich. W sierpniu nastąpiła interwencja z udziałem polskich wojsk w Czechosłowacji w celu stłumienia Praskiej Wiosny. I wreszcie zakończyła czternaście lat rządów Gomułki krwawa rozprawa z robotnikami Wybrzeża w grudniu 1970 roku. Ekipa Października odchodziła w hańbie i w krwi. Wiesław, który potępił zbrodnię w Poznaniu w czerwcu 1956 r. na VIII plenum, sam został potępiony na kolejnym VIII Plenum PZPR w początku 1971 roku.

Nie można jednak zapominać, że Władysław Gomułka mimo swego doktrynerstwa, ciasnoty opinii, antyinteligentkich przesądów, przekonania, że zawsze ma rację — był człowiekiem

odważnym i niezależnym, który w najtrudniejszym okresie potrafił sprzeciwić się Stalinowi, zachować godność i nie załamać się w więzieniu. Potrafił również bronić swego zdania w okresie owych czternastu lat przeciw Chruszczowowi (w sprawie zachodnich granic Polski) i przeciw Breżniewowi (w sprawie kolektywizacji i Kościoła). Gomułka istotnie był znienawidzony w Moskwie, ale musiano się z nim liczyć. Już Stalin próbował zmusić go do zainstalowania w Warszawie jesienią 1947 r. „Kominformu” — nowej odmiany Kominternu, który miał ułatwić Stalinowi przyspieszoną sowietyzację środkowej i południowo-wschodniej Europy. Gomułka podał się wtedy do dymisji ze stanowiska pierwszego sekretarza PPR. Nie została ona przyjęta. Rok później — w listopadzie 1948 r. Gomułka został wezwany do Moskwy. Nie udało się Stalinowi, Berii, Mołotowowi — mimo gróźb — namówić Gomułki, by zgodził się wejść do Biura Politycznego przyszłej, zjednoczonej partii. Zgodził się tylko na wejście do KC PZPR. Był w nim przez rok — do III Plenum. Aresztowano go z żoną latem 1951 roku, bezpośrednio po zakończeniu procesu wyższych oficerów. Miesiąc później aresztowany został Rudolf Slansky, prawa ręka Klementa Gottwalda, stracony wraz z trzynastoma współoskarżonymi w końcu 1952 roku. Kto wie, czy następnym nie miał być Gomułka? Ale Stalin umarł 5 marca 1953 roku, trzy miesiące później.

Maria Ewa Ożóg w swej książce „Władysław Gomułka, biografia polityczna” (t. I, Warszawa 1989) opisuje na stronach 189-240 dramatyczne zmagania Gomułki ze swymi towarzyszami — rywalami. Był osamotniony w Biurze Politycznym PPR, gdy na Plenum 3 czerwca 1948 roku bronił prawa przyszłej zjednoczonej partii do oparcia się na niepodległościowej tradycji Polskiej Partii Socjalistycznej. Nikt z jego bliskich go nie poparł. Wręcz przeciwnie — wyparli się go, oskarżali, potępiali, zmusili go wreszcie na plenum sierpniowo-wrześniowym 1948 r. do samokrytyki. Stał samotnie przy oknie i płakał. Potem już nigdy nie dał się nakłonić do samooskarżeń. Dzięki temu w 1956 roku stał się symbolem oporu Polski przeciw ZSSR w najcięższych latach terroru stalinowsko-bierutowskiego.

Po Październiku 1956 roku z miesiąca na miesiąc, z roku na rok — zmieniał się. Czy zląkł się interwencji sowieckiej na Węgrzech i chciał, by Polska uniknęła jej losu? Czy raczej był skłonny przyznawać rację dogmatykom („katar”), niż rewizjonistom („gruźlica”)? Czy szczerze wierzył, że demokracji nie można dzielić na „burżuazyjną” i „proletariacką”? Łączyło go niewątpliwie więcej z towarzyszami — komunistami — robotnikami, niż z inteligentami, którzy chcieli marksizmu poprawionego, unowocześnionego. Wierzył Moczarowi, który wysuwał się

na czoło, co najmniej do 1964 roku. Młodszy od niego — pokolenie ZMP — też liczyli na stanowiska. Gomułka, chociaż podejrzliwy, ale był nim nie wobec tych, którym nie powinien zawierzyć. Dał się zwodzić mniejszymi i większymi prowokacjami, zwłaszcza po wojnie sześciodniowej w czerwcu 1967 r.

Dla ekipy Breżniewa, czy szerzej — propagandystów ze szkoły KGB — ekipa popaździernikowa, a zwłaszcza osoba Gomułki, pozostała znienawidzona. Również rodzimi przedstawiciele tej opcji czynili, co mogli, by Gomułkę zohydzić. Jednym z aktów, mających temu służyć, było sprokurowanie rzekomego z nim wywiadu. Anonimowy dziennikarz, oznaczony inicjałami, miał rzekomo przeprowadzić z nim rozmowę. Ukazał się ten elaborat w Izraelu, w Tel-Awii w polskojęzycznym tygodniku *Nowiny-Kurier*. Było tego kilkanaście odcinków w numerach z kwietnia-lipca 1972 roku.

Gdy spotkałam się z Władysławem Gomułką w Konstancinie wiosną 1980 roku, opowiedział mi m.in. tę historię z właściwą mu pasją. Był przekonany, że cały ten paszkwil został zmontowany w Warszawie pod auspicjami KC PZPR, a ściślej przez MSW (Franciszka Szlachcica). Uważał, że jest specjalna komórka — „pracownia” apokryfów, że tekst został powielony tamże w 200 egzemplarzach i rozpowszechniony wśród aktywu partyjnego pt. „Moje czternaście lat. Zwierzenia Władysława Gomułki” w 1972 czy 1973 roku. Warto dodać, że Gomułka jeszcze gdy był „przy władzy”, *nigdy* nie udzielał wywiadów. Odmówił Nicholasowi Bethellowi i Peterowi Rainie. Każdy z nich pisał i wydał (przed grudniem 1970 r.) biografię polityczną Gomułki w Londynie i w Berlinie. Gomułka odesłał np. Bethella do Artura Starewicza. Rainę zignorował. Chyba tylko raz, bezpośrednio po Październiku 1956, zgodził się na rozmowę z angielskim dziennikarzem. Dlaczego miał udzielić nieznajomym, anonimowym osobnikom, do tego z Izraela (?) wywiadu-rzeki? Wierzę, że Gomułka mówił prawdę.

Cel paszkwilu był jasny: chodziło o skompromitowanie Gomułki w oczach społeczeństwa polskiego. Wśród jego „odpowiedzi” na „pytania” anonimowego rozmówcy tekst zawierał — oprócz odpowiedzi prawdopodobnych — kłamstwa o charakterze oszczerczym. W pierwszym rzędzie chodziło o fałszywą informację, że w swoim czasie Chruszczow proponował Gomułce ujawnienie zbrodni katyńskiej, jako dzieła NKWD. Gomułka — zgodnie z owym paszkwilem — miał odmówić Chruszczowowi opublikowania tej rewelacji. „Ani Chruszczow, ani żaden inny przywódca radziecki nigdy mi czegoś podobnego nie proponował” — podkreślał z naciskiem, kiedy wręczał mi przywieziony z Warszawy egzemplarz owego „wywiadu”. Po-

wiedział, żebym go przeczytała i zatrzymała. Wykorzystał moment, kiedy ochraniarze, którzy go przez cały czas pilnowali, nie byli blisko. Na spacerze w lesie szli za nami z tyłu, a kiedy się zbyt przybliżali, żeby usłyszeć, o czym mówimy, Gomułka zniecierpliwionym głosem i ruchem ręki polecał, by się oddalili.

Inne kłamstwo dotyczyło informacji, że Gomułka w grudniu 1970 roku był zdecydowany wezwać na pomoc armię czy flotę sowiecką.

Egzemplarz, który otrzymałam od Gomułki, liczy blisko 200 stron maszynopisu. W owym czasie kursował on po Polsce w dalszym ciągu. Gomułce zależało na tym, bym wiedziała i wierzyła, że to fałszerstwo i bym rozpowszechniła tę wiadomość.

Udało mi się to w niedługim czasie — po sierpniu 1980 roku. Zapraszana byłam wtedy często do różnych miast przez Wszechnice „Solidarności” na różne odczyty, sesje, spotkania. Zaczęto wtedy publicznie mówić o „białych plamach” w historii Polski (fałszowanie referendum i wyborów 1947 r., procesy polityczne, terror policyjny, pakt Ribbentrop-Mołotow, Katyń). Mogłam wówczas m.in. powiedzieć o tym paszkwilu. Powiedziałam o nim również w programie telewizyjnym, poświęconym pamiętnikarstwu. Redaktor audycji, Rafał Skibiński, spytał mnie czy „Moje czternaście lat” są autentyczne czy fałszywe. Stwierdziłam, że to jest fałszerstwo.

Gomułce zależało oczywiście, żeby partia to oficjalnie stwierdziła. Nie mógł się tego doczekać. Opowiedział mi wkrótce po swoich urodzinach 6 lutego 1980 r. (ukończył 75 lat), że z tej okazji nie tylko ukazała się w *Trybunie Ludu* jego fotografia z krótkim życiorysem, ale i odwiedzili go z kwiatami i listem od Biura Politycznego KC PZPR trzech jego przedstawicieli — Andrzej Werblan, Jerzy Łukasiewicz i chyba Władysław Kruczek. Gomułka zdecydowanie zażądał od nich ujawnienia fałszerstwa owego paszkwilu, który miał go oczernić.

11 czerwca 1981 roku (ale o tym wiem ze zbioru Walerego Namiotkiewicza „Działalność Władysława Gomułki. Fakty. Wspomnienia. Opinie”, Warszawa 1985) Gomułka skierował list do Tadeusza Grabskiego, jako przewodniczącego komisji, żądając publicznego wyjaśnienia sprawy oszczerczego paszkwilu „Moje czternaście lat — zwierzenia Władysława Gomułki”. Pisał w nim: „Wobec tego, że paszkwil ten jest kolportowany w kraju, to milczenie w tej sprawie może stwarzać u czytelników wrażenie wiarygodności”.

Wobec braku odpowiedzi, Gomułka zwrócił się do Stefana Olszowskiego, prosząc o opublikowanie jego listu na łamach prasy partyjnej. Listu nie opublikowano, ale T. Grabski odpowiedział Gomułce, że jego list przesłał do Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej.

Zastanawiające, że Gomułka zwracał się do przedstawicieli „betonu” — Grabskiego i Olszowskiego.

Sprawa utknęła więc na martwym punkcie. *Polityka* opublikowała 20 czerwca 1981 r. tekst Gomułki, pisany pół roku wcześniej, dotyczący aktualnej sytuacji gospodarczej i oceny błędów (zaciąganie kredytów zagranicznych) Edwarda Gierka. Gomułka już był w tym czasie ciężko chory. Leżał w szpitalu, gdy nastąpił stan wojenny. Generał Wojciech Jaruzelski odwiedził go tam 16 marca 1982 r. Gomułka uznał ponoć stan wojenny za krok niezbędny (uważam to za prawdopodobne) i wtedy jeszcze raz powrócił do sprawy paszkwilu.

Dopiero 11 maja 1982 r. (dwa miesiące po wizycie generała i zarazem pierwszego sekretarza PZPR, a 3 miesiące przed śmiercią Gomułki) ukazał się w *Trybunie Ludu* artykuł Bronisława Syzdka pod zagadkowym tytułem „Próba fałszerstwa”. Stwierdzono w nim, że wywiad z Gomułką był „rzekomy”. Twierdzono jednocześnie, że w 1981 roku publikacja ta została powielona przez „aktywistów KSS KOR” i kolportowana przez ogniwa Solidarności. Napisano tam również, że „zgodnie z życzeniem Gomułki” jest to oszczercze fałszerstwo, „z którym nie ma nic wspólnego”.

A więc nie żadna instancja partyjna, ale artykuł partyjnego historyka, napisany jakoby na życzenie Gomułki, miał wyjaśnić sprawę, którą jeszcze bardziej zaciemniał.

Gomułka sugerował w rozmowie z żoną, której byłem świadkiem, że autorem, czy autorami owego paszkwilu byli partyjni propagandyści.

Tekst był spreparowany na tyle umiejętnie, że nawet wprowadził w błąd maszyny komputerowe w Waszyngtonie. Dopiero po tej próbie został odczytany w Radio Wolna Europa. Powiedział mi o tym Jan Nowak-Jeziorański w Waszyngtonie w 1982 roku.

Wydaje mi się, że niektóre obszerne fragmenty owego „wywiadu” mogły pochodzić z podsłuchów rozmów Gomułki z jego współpracownikami czy znajomymi. Sam Gomułka w niektórych ustępach mógł zapewne rozpoznać swoje opinie (np. o Józefie Cyrankiewiczu czy o Żydach). Ale te fragmenty miały uwiarygodnić inne — oszczercze pod adresem Gomułki, jak owe o Katyniu czy prośbie o interwencję sowiecką. Podstawowym celem paszkwilu była zmiana obrazu Gomułki w oczach opinii społecznej, jako polityka, który potrafił przeciwstawić się Kremłowi w najtrudniejszych latach stalinizmu.

Władysław Gomułka powiedział mi, że wspomnień nie pisze. Cała jego uwaga skupiała się na teraźniejszości, nie na przeszłości. W połowie lat siedemdziesiątych napisał parę tekstów na

zamówienie Antoniego Przygońskiego, występującego jako przedstawiciel Zakładu Historii Partii, czy Andrzeja Werblana, kierownika Wydziału Nauki KC PZPR. Uwagi te dotyczyły sprawy zabójstwa Nowotki, braci Mołojców i ich łączników. Napisał też obszerną recenzję maszynopisu czwartego tomu „Historii Polskiego Ruchu Robotniczego” i inne, które drukowane były w *Zeszytach Historycznych*. Gomułka był rozgoryczony, gdy dowiedział się, że jego teksty pisane wyłącznie dla tych, którzy je zamówili, krążą po mieście.

W czerwcu 1981 roku odmówił udzielenia wywiadu *Polityce* na temat polskiego ruchu robotniczego, uzasadniając to następująco: „Istnieją obecnie stokroć bardziej palące problemy, niż zasięganie informacji od «świadków historii» na temat dość odległej przeszłości”.

Władysław Gomułka, jak mogłam się zorientować w 1980-81 roku, prowadził intensywny tryb życia. Pierwszą godzinę poranną, jak mi mówił, poświęcał na wykonywanie w kąpieli forsownych ćwiczeń swojej ongiś przestrzelonej przez policję nogi, która od 1933 roku powodowała bóle i była niesprawną. Potem — pięć razy w tygodniu — z żoną jeździli do Konstancina, gdzie w lesie spędzali na spacerze trzy godziny. Po powrocie do Warszawy Gomułka czytał prasę i studiował materiały o polityce gospodarczej Polski, jakich dostarczał mu syn, Ryszard, wiceminister, zdaje się, handlu zagranicznego. Czytał również prasę „drugiego obiegu”. Przywoziłam mu *Krytykę*. Prosił mnie o dostarczenie mu kolejnego referatu konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” i o broszurę Waldemara Kuczyńskiego „Po wielkim skoku” (dostarczył mi ją autor).

Wszystko to, co napisałam, uczuła historyka czasów najnowszych na możliwość preparowania wspomnień Władysława Gomułki, który dziś już nie ma możliwości obrony. Taka uwaga nasuwa się po lekturze „Fragmentu wspomnień Władysława Gomułki. Czy polityka Józefa Becka ocaliła Związek Radziecki”, zamieszczonych w nr 9 miesięcznika *Dziś* (s. 111-117).

Wprawdzie nadtytuł głosi „Z archiwum”, ale z króciutkiego wprowadzenia Andrzeja Werblana czytelnik nie dowiaduje się niczego. Skąd pochodzi tekst, z jakiego archiwum, w czym jest posiadaniu, w jakich okolicznościach edytor do niego dotarł? Jaka jest forma dokumentu? Rękopis, maszynopis, oryginał, kopia? Wobec istnienia apokryfu-wywiadu, o którym była wyżej mowa, należy się chyba czytelnikowi jakieś wyjaśnienie.

Tekst drukowany nie ma żadnych cech „wspomnienia”. Gdy w maju-czerwcu 1938 r. minister Józef Beck prowadził swą politykę, Władysław Gomułka siedział w więzieniu w Sieradzu. Mógł napisać wspomnienie o tym, jak komuniści — więźniowie po-

lityczni — zareagowali na dokonany właśnie *Anschluss* Austrii i groźby Hitlera pod adresem Czechosłowacji. Ale o tym wspomnień Gomułka nie napisał. Zamieszczony w nr. 9 *Dziś* (organie socjaldemokracji, w którą przekształciła się PZPR) tekst to rozważania o „ostatniej uchwale KC KPP, opublikowanej w czerwcu 1938 roku” pt. „Nowe momenty w sytuacji i zadania obozu demokracji”. Otóż, niestety, żadnej takiej uchwały wtedy KC KPP nie podejmował. Był tylko opublikowany w ostatnim numerze *Czerwonego Sztandaru* z maja 1938 r., centralnego organu KPP, artykuł pod tym tytułem partyjnego publicysty. Być może napisał go Edward Uzdąński, który wchodził wówczas w skład „Tymczasowego Kierownictwa KPP”, rozwiązanej już przez Stalina po wymordowaniu latem 1937 roku wszystkich aktywistów KPP, znajdujących się w Moskwie. Znając skrupulatność W. Gomułka (choćby na podstawie jego recenzji maszynopisu IV tomu, o czym wyżej była mowa), wydaje mi się bardzo mało prawdopodobne potraktowanie tematu tak powierzchownie, bez zajrzenia do źródła. A przecież chodziło o działania partii w najtragiczniejszym dla niej okresie — gdy już nie istniała, gdy poszczególni działacze protestowali przeciw jej unicestwieniu (jak Leon Lipski-„Łukasz”, który zapłacił za to życiem w 1943 r.)

Ale najważniejszy jest bezsens tego tekstu „wspomnień” Gomułka. Otóż jego autor (nie wiemy kto nim jest, czy był) pisze obcym dla Gomułka stylem i językiem, że ZSSR powinien być wdzięczny Beckowi, że nie sprzymierzył się z Hitlerem, gdyż to „uratowało Związek Radziecki przed klęską wojenną i nieobliczalnymi jej następstwami”, bowiem wspólna niemiecko-polska agresja przeciw Związkowi Sowieckiemu spotkałaby się z aprobatą mocarstw zachodnich w formie ich neutralności, ani też tego, że Związek Sowiecki nie byłby w stanie odeprzeć takiej agresji, „musiałby upaść pod ciosami agresorów” (s.118). Miałoby to mieć miejsce w 1938 czy w 1939 roku? Nie wiadomo bliżej.

Jak mógłby Władysław Gomułka pisać w 1976 roku takie bzdury? Polityk, który doprowadził w 1970 roku do układu z RFN, przeciw Breżniewowi, uważającemu, że Polska powinna zadowolić się układem między ZSSR a RFN, dowiódł swojego formatu. Więc umiał myśleć w kategoriach polityki międzynarodowej w interesie Polski. I wiedział, że w 1939 r. Wielka Brytania i Francja nie dopuściłyby do przymierza polsko-niemieckiego i nie pozostałyby neutralne. I wiedział też, że Polska z Niemcami nie pobiłaby ZSSR w 1938, ani w 1939, ani nawet w 1940 roku. Przypisywać Gomułce twierdzenie, że polityka Józefa Becka „ocaliła Związek Radziecki” to absolutny bezsens.

I pomyśleć, że ten sam Andrzej Werblan w początku listopada 1992 w *Polityce* przestrzegał w notatce „Pseudosensacje”: „Wszystko to (informacje PAP) przemawia za koniecznością profesjonalnego traktowania dokumentów archiwalnych. Inaczej czeka nas wiele — pseudosensacji”.

Rzekome wspomnienia Gomułki należy zaliczyć do tej kategorii. W archiwach prywatnych czy państwowych można odnaleźć wiele niepublikowanych i autentycznych wypowiedzi Gomułki, które nie budzą wątpliwości. Tak np. Zygmunt Zarębski opublikował w *Życiu Warszawy* (13-14. 10. 1990) wystąpienie Gomułki na naradzie 29 października 1956 r. z redaktorami pism warszawskich, Jerzy Poszwiński w nr. 35 *Polityki* z 29 sierpnia 1992 r. przemówienie W. Gomułki 29 sierpnia 1968 r. z narady w KC PZPR o inwazji na Czechosłowację (oba dokumenty ze źródeł pozaarchiwalnych).

A więc chyba jest dość autentycznych źródeł do działalności W. Gomułki. Po co więc „pseudosensacje”?

Maria TURLEJSKA

WOLNA TRYBUNA I POLEMIKI

Krzysztof TARKA

EPIGONI WIELKIEGO KSIĘSTWA WILEŃSKIEGO — KRAJOWCY WILEŃSCY 1939-1940 *

10 października 1939 r. w Moskwie ministrowie spraw zagranicznych Związku Sowieckiego i Litwy — Wiaczesław Mołotow i Jozuas Urbšys — podpisali układ, na mocy którego ZSSR przekazywał Republice Litwy miasto Wilno wraz z przyległym obszarem zajęte uprzednio przez Armię Czerwoną. W zamian rząd litewski zmuszony był zgodzić się na zainstalowanie na swym terytorium pięciu sowieckich baz wojskowych (w Nowej Wilejce, Porubanku, Gajżunach, Oliście i Prenach).

27 października 1939 r. wojska litewskie przekroczyły dotychczasową granicę polsko-litewską, a nazajutrz wkroczyły do Wilna. Tym samym zakończyła się pierwsza blisko półtoramiesięczna okupacja sowiecka na tym terenie¹.

Wiadomości o postanowieniach układu sowiecko-litewskiego z 10 października były inspiracją do ogłoszenia przez byłego dziennikarza wileńskiego *Słowa*, i znanego już przed wojną reportażysty, autora wydanej w 1938 r. książki „Bunt rojstów” — Józefa Mackiewicza — artykułu „Mes Vilniukai” („My Wilnianie”) na łamach kowieńskiej gazety *Lietuvos Žinios* („Wiadomości Litwy”) w numerze 234 z 14 paździer-

* Artykuł traktujemy jako dyskusyjny — REDAKCJA.

1. P. Łossowski, *Tragedia państw bałtyckich 1939-1941*, Warszawa 1990, s. 16-19.

nika 1939 r. Obok krytyki polskiej polityki względem mniejszości narodowych J. Mackiewicz (Jouzas Mackevičius) napisał również o spodziewanym niebawem wkroczeniu do Wilna wojsk litewskich, iż „tak radośnie i jednolicie przez wszystkich mieszkańców, niezależnie od tego, czy byłiby to Polacy czy Litwini — nie było witane żadne inne wojsko, jak dzisiaj... będzie witane w Wilnie wojsko Litwy”. Uzasadnieniem powyższej opinii była dla J. Mackiewicza radość z powodu opuszczenia Wilna przez wojska sowieckie. Pisał on: „17 i 18 września. Ten, kto widział, co w tym czasie działo się w Wilnie, ten wie, jeśli nawet otwarcie nie zechciałby się do tego przyznać, że mamy podstawy, by tak sądzić”. I dalej „Tylko realne wartości mają znaczenie. Taką realną wartością jest dla nas przejście Wilna z ZSSR w ręce republiki Litwy²”. Opinia o radosnym powitaniu wkraczających do miasta wojsk litewskich nie sprawdziła się. W rzeczywistości „Ludność polska zachowała się wobec wkraczających do miasta Litwinów powściągliwie, z większym zaciekawieniem niż niechęcią spoglądając na nowe mundury³”. Na tym tle odosobniony był gest adwokata Bolesława Szyszkowskiego, który w imieniu wileńskich krajowców powołał żołnierzy litewskich słowami: „Spotykamy was tutaj, bracia Litwini, wierząc mocno, że w tych zmiennych czasach przynosicie ze sobą symbol praworządności i ładu, bezpieczeństwa życia i mienia, że, jakkolwiek przyszłość zgotuje los naszym narodom, — współzycie Litwinów i Polaków wskrzesi starą ich przyjaźń i szacunek wzajemny. Takim było i jest hasło tutejszych krajowców i pod znakiem tego hasła witam Was u stóp zamku Gedymina. Niech żyje przyjaźń polsko-litewska⁴”.

Obecny stan ludność polska, stanowiąca zdecydowaną większość mieszkańców Wilna, uważała jednak za krótkotrwałą i przejściową w przeciwieństwie do strony litewskiej, dążącej do litwinizacji i asymilacji regionu z Litwą. Mimo, iż nowe władze tolerowały istnienie Komitetu Polskiego pod przewodnictwem mecenasa Bronisława Krzyżanowskiego — nieoficjalnej reprezentacji społeczeństwa polskiego w Wilnie,

2. Artykuł J. Mackiewicza „My Wilnianie...” do druku podał C. Chlebowski, O wyważoną wolną od emocji ocenę, *Tygodnik Powszechny* nr 41 z 28 X 1989 r., s. 3.

3. P. Łossowski, *Litwa a sprawy polskie 1939-1940*, Warszawa 1985, s. 65.

4. Cyt. za „Na skrzydłach plotki”, *Gazeta Codzienna* nr 2 z 26 XI 1939 r., s. 2.

zezwoły na druk polskich gazet (*Kuriera Wileńskiego* i *Gazety Codziennej*), czy ograniczone obchody święta państwowego w dniu 11 listopada to dominowały jednak nastroje wzajemnej wrogości. Przykładem restrykcji wobec ludności polskiej były np. ustawa o obywatelstwie mieszkańców Wilna i obwodu wileńskiego, segregująca ludność na obywateli, uchodźców i cudzoziemców (wśród tych ostatnich znalazła się zdecydowana większość rodowitych mieszkańców Wileńszczyzny), likwidacja w dniu 15 grudnia 1939 r. Uniwersytetu Stefana Batorego, obowiązek urzędowego posługiwania się językiem litewskim (którego ludność nie знаła), rugi z pracy, przymusowe litewszczenie nazwisk czy też wszelkich szyldów. Często zdarzały się również pobicia rozmawiających po polsku na ulicy, bójkі w kościołach. W efekcie działania litewskie prowokowały społeczeństwo polskie i spychały je mimowolnie ku konspiracji, uniemożliwiając jakiegokolwiek sensowne porozumienie obu stron⁵.

W możliwość kompromisu chcieli wierzyć i wierzyli tylko wileńscy krajowcy. Była to grupa nieliczna i jak się okazało z racji swojego odmiennego tak od polskich jak i litewskich dążeń stanowiska atakowana z dwóch stron. Jaki był ich rodowód? Kim byli wileńscy krajowcy? Jaki był ich program, cele i dążenia?

Początki idei krajowej sięgają przełomu XIX-XX wieku. W tym okresie hasła krajowości propagowało przede wszystkim miejscowe konserwatywne ziemiaństwo. Sympatykami idei krajowej byli m.in. Aleksander Chomiński, Marian Broel-Plater, Konstanty Gordziałkowski, Stanisław Kognowicki, Aleksander Lednicki, Stanisław Łopaciński, Aleksander Meysztowicz, czy arcybiskup Edward Ropp. Na początku wieku XX z programem krajowym wystąpili też wileńscy demokraci. Skupili się oni wokół wydawanej w 1906 r. (ogółem 105

5. O sytuacji w Wilnie pod okupacją litewską zob. P. Łossowski, *Litwa... Nawet przychylny Litwinom krajowiec Z. Jundziłł (Z dziejów polskiej myśli politycznej na ziemiach b. W. X. Litewskiego (Wspomnienia wileńskie))* w: *Alma Mater Vilniensis. Prace społeczności akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego na obczyźnie*. Prace zebrane, Londyn 1958, s. 59-60) napisał, iż „Rządy litewskie w Wilnie stały się rządami okupacyjnymi w najściślejszym znaczeniu, bo nie znajdując w Wilnie elementów litewskich, całą administrację importowano z Kowieńszczyzny”, a „Nacjonalizm litewski, wyłaniając się z obłonek, na wpół ślepy, rozrywał wszelkie związki naturalne, nie bacząc na to, że wyhodowała je własna tego narodu przeszłość”.

numerów) przez Michała Romera *Gazety Wileńskiej*. Głównym publicystą krajowym był Ludwik Abramowicz. Idea krajowa znalazła kontynuację w redagowanym przez niego w latach 1921-1938 *Przeglądzie Wileńskim*. Spośród wileńskich demokratów na przestrzeni ponad 30 lat (od 1905 do 1938 r.) z ideą krajową związani byli oprócz już wymienionych M. Romera i L. Abramowicza m.in. Witold Abramowicz, Bronisław Krzyżanowski, Zygmunt Jundziłł, Ludwik Chomiński, Tadeusz Wróblewski, Czesław Jankowski, Jan Boguszewski, Józef Łastowski, Helena Romer-Ochenkowska, Władysław Zawadzki, Ignacy Turski, Marian Świechowski, Kazimierz Okulicz, Witold Staniewicz, Marian Kościalkowski, Wacław Wyszyński, Stanisław Swianiewicz⁶. Nieco nostalgicznie i sentymentalnie pisząc o idei krajowej Z. Jundziłł twierdził: „Wszyscy oni (krajowcy — dop. K.T.) wiedzą, czują, że tu to «nasz» kraj a tam to albo «Rasieja» albo «Polszcza», wszyscy oni mają, czy też mieli, swój solidaryzm geograficzny, wszyscy chcą mieć i miłują swoją ziemię, choć uboga, nie urodziwa, wszyscy oni «czują» choćby go nie widzieli, że jest jakieś wielkie tej krainy «cudo», jakieś miasto, do którego ich ciągnie, a jest nim Wilno”. Trafna jest również jego uwaga, iż „Idea krajowa (...) w istocie swej krystalizowała się wokoło elementów psychiki, wokoło elementów tradycji i uczuć. (...) Treść jej [to] — integracja tego całego obszaru [«od Prypeci aż po Dźwinę i ujście Niemna do Bałtyku» — dop. K.T.] w jedną całość z Wilnem jako centrum”. Kraj ten [Wielkie Księstwo Litewskie] jawił się Jundziłłowi jako swoista „wyspa zaczarowana”. Idealizując pisał on: „Ludzie mojej epoki mogą, lub mogliby potwierdzić, że nic tych trzech narodów wokoło Wilna, na terytorium W.Ks. Litewskiego osiadłych, wówczas nie różniło, a wszystko łączyło w jedno, jednej wiary, jednej historii społeczeństwo”. Z tego kraju „Nikt nikogo nie wypędza, nikt nie dąży do penetracji, do asymilacji”, gdyż „Poczucie jedności naszego kraju jest takim głębokim, odwiecznym, naturalnym podłożem. (...) Problemów, które by różniły i poruszały tłumy, prawie nie ma”, a „Przeszłość tego kraju — to fenomen idealnego prawie współżycia”. Zamieszkujące go „ludy słowiańskie i pół-słowiańskie przetrwały w swoich formach pięknie, niemal klasycznej idylli. (...) Był to kraj bez dramatycznych walk i nienawiści społecznych w swej historii”, w którym „Idea kra-

6. Z. Jundziłł, *dz. cyt.*, s. 41-44.

jowa wyrasta spontanicznie z ducha tego kraju. Nie szuka ona w nim ras i narodów⁷”. Kilkanaście lat po zakończeniu II wojny światowej, ukazując genezę ideologii krajowej, J. Mackiewicz napisał: „Historia jest bardzo długa i bardzo zawiła. Chodzi o to, że ongiś, dawno, było państwo nie tyle bogate co i wielkie i, jak na mój gust, piękne, pod nazwą Wielkie Księstwo Litewskie. I oto raptem wszyscy wyrzekli się po nim sukcesji. (...) Co do Księstwa Litewskiego (...) dokonywał się rozbiór wewnętrzny, (...) właściwymi rozbiorcami stali się Polacy, Litwini i Białorusini. Sukcesor do całości się zgłosił. (...) W ostatecznym rezultacie, na całej przestrzeni od Poługi do Dniepru pozostał tylko jeden człowiek, Ludwik Abramowicz (...), który zgłosił pretensję do sukcesji po Wielkim Księstwie Litewskim (...), [który] swoją koncepcję polityczną wywodził nie z polskiej [i dodajmy nie z litewskiej — K. T.], a z wielko-litewskiej racji stanu⁸”.

Przywódca wileńskich krajowców zmarł 9 marca 1939 r., w przededniu II wojny światowej. Propagowane przez niego poglądy nie zostały jednak zupełnie zapomniane. Próbę ich kontynuacji podjęło w początkowym okresie wojny, w dobie litewskiej okupacji Wilna, grono osób skupionych wokół *Gazety Codziennej*.

Pierwszy numer tego pisma ukazał się w sobotę 25 listopada 1939 r. (Nieco wcześniej, bo 2 listopada, wznowiono wydawanie *Kuriera Wileńskiego*). *Gazeta Codzienna* zasadniczo miała objętość 4 stron (wydania niedzielne były sześciostronicowe, a świąteczne nawet i dziesięcio). Nakład, jak na warunki wileńskie, był znaczny, wynosił 10-12 tysięcy egzemplarzy. Redakcja i administracja mieściły się przy ulicy Orzeszkowej 11. Wydawcami *Gazety* byli Bolesław Szyszkowski i Józef Mackiewicz, który był równocześnie jej redaktorem naczelnym. Nazwisko J. Mackiewicza jako współwydawcy figurowało do 126 numeru z 7 czerwca 1940 r., później funkcję pełnił już tylko B. Szyszkowski. Od numeru 82 z 14 kwietnia 1940 r. na stanowisku redaktora naczelnego J. Mackiewicza zastąpił Romuald Węckowicz, a 14 lipca 1940 r. tego ostatniego zastąpił Mykolas Martincykas (Marcinczyk). Ogó-

7. *Tamże*, s. 44-57.

8. J. Mackiewicz „O pewnej ostatniej próbie i zastrzelonym Bujnickim”, *Kultura* nr 11 z 1954 r., s. 82-84. Artykuł ten znalazł się następnie w książce J. Mackiewicza i B. Toporskiej, *Droga Pani*, Londyn 1984 (tu s. 41-43).

łem od 25 listopada 1939 r. do 20 sierpnia 1940 r. wydano 195 numerów *Gazety Codziennej*, po czym pismo — w zupełnie innych warunkach okupacji sowieckiej — zostało zlikwidowane (wcześniej spotkało to już *Kurier Wileński*, przeistoczony w *Gazetę Ludową*). Od sierpnia 1940 r. w ich miejsce ukazywała się już tylko *Prawda Wileńska*.

Wśród współpracowników i autorów *Gazety Wileńskiej* znaleźli się m.in. Józef Mackiewicz, Teodor Bujnicki, Zygmunt Jundziłł, Ludwik Chomiński, Jan Otrębski, Mieczysław Limanowski, Michał Józefowicz, Franciszek Hryniewicz, Odyniec, Bolesław Skirmuntt, Michał K. Pawlikowski, Barbara Toporska, Konstanty Szychowski, Michał Romer, Boris Orieczkin, Fryderyk Łęski, Władysław Łepkowski, Kazimierz Luboński, Bohdan Mackiewicz, Euzebiusz Łopaciński, Wacław Studnicki, Piotr Kownacki, Kazimierz Hałaburda, Bolesław Szyszkowski, Jakub Kowarski, Leszek Bortkiewicz, Światopełk Karpiński, Janusz Minkiewicz, Romuald Węckowicz, Czesław Miłosz, a także Wacław A. Zbyszewski z Londynu⁹.

Pismo było w zasadzie samodzielne finansowo, jednak restrykcyjna cenzura prewencyjna litewska i kary pieniężne nakładane na *Gazetę* podrywały normalną kalkulację, tak iż od ostatecznej katastrofy i upadku na początku 1940 r. uratował pismo Michał Tyszkiewicz, udzielając kilkakrotnej subwencji finansowej¹⁰. W opinii badacza zagadnienia *Gazeta Codzienna* „była nieźle redagowanym pismem. Zwraca uwagę jej operatywność, cenny dział informacji o wydarzeniach bieżących w kraju [jak i za granicą — dop. K.T.], a w początkowym okresie także dość bogata publicystyka¹¹. Szczególnie dużo miejsca (mimo ograniczeń cenzuralnych) poświęcono wojnie sowiecko-fińskiej. Było to konsekwencją poglądów redaktora i wydawcy pisma, Józefa Mackiewicza. Już po II wojnie światowej pisał on, iż „Kneblowany przez cenzurę w głoszeniu swego programu politycznego, najdłużej i najuparciej broniłem jednej z jego pozycji: pozycji antysowieckiej. (...) Głosiłem wówczas (...) Że mianowicie pierwszą linią obronną naszego kraju nie jest linia Maginota, a linia Mannerheima¹²”.

9. *Tamże*, s. 89 (*Droga Pani*, s. 47-48).

10. *Tamże*, s. 90 (*Droga Pani*, s. 48).

11. P. Łossowski, *Litwa...*, s. 262-263.

12. J. Mackiewicz, *O pewnej...*, s. 91 (*Droga Pani*, s. 49-50). J. M(aciewicz), „Chmury nad północą”, *Gazeta Codzienna* nr 4 z 28 XI 1939 r., s. 1 pisał: „Osobiście śledzimy z największą uwagą bieg wyda-

Na łamach *Gazety Codziennej*, szczególnie w początkowym okresie, pojawiła się bogata publicystyka przedstawiająca i propagująca elementy ideologii krajowej. Już w pierwszym numerze pisma J. Mackiewicz wyłożył podstawowe założenia ideowe krajowców. Pisał: „Tuśmy wyrosli od wieków, w tę Ziemię Wileńską i nikt jej obrazu z serca nam wyrwać nie jest w stanie. I po największej nawet burzy, ci z nas co się ostali, zdrowi czy ranni, z okopów, lasu czy piwnic, z zagranicy, czy tylko z domu, wrócimy do swej ziemi i będziemy ją orać.

Nie dla nas jest hasło: wyczekać, przemilczeć, przeczekać. Niech ono zostanie słusznym hasłem dla tych, dla których Wilno jest miejscem chwilowego postoju, czy schronienia na rozdrożu. My czekać nie mamy czasu. My przemilczeć nie mamy czego. My jesteśmy u siebie w domu i musimy pracować i mieć prawo do głośnego mówienia”. Przypominał jednocześnie, że „chyba dzieci tylko zrozumieć tego nie mogą, iż w chwili obecnej, dawna «sprawa Wilna» przeistoczyła się z problemu w dylemat. Prosty i surowy: albo SSSR, albo Litwa. Do tych wszystkich, którzy odetchnęli z ulgą w dn. 28 października zaliczamy się również. (...) W tej chwili zatem nie chcemy wypowiadać się ani w imieniu Polaków, ani Litwinów, ani Białorusinów, czy Rosjan, ani z prawa, lewa, czy centrum — po prostu: czujemy się całym Wilnem¹³”. Mackiewicz wyrażając radość z opuszczenia miasta przez bolszewików wzywał jednocześnie do aktywnej pracy na rzecz kraju (Wilna), niezależnie od tego, iż znalazł się on obecnie pod okupacją litewską. Trafna wydaje się być opinia Boleckiego, iż jak „rozumował Mackiewicz — lepiej żyć w Wilnie rządzonym przez Litwinów niż przez hitlerowców czy bolszewików¹⁴”.

Podobny charakter miał artykuł Teodora Bujnickiego, który pisał: „wzięły w nas górę pierwiastki wegetacyjne (co?, gdzie?, za ile?), ale należy zacząć żyć pełnym życiem, a nie prowadzić wegetację¹⁵”.

rzeń we wschodniej i północnej Europie. (...) Los Zweibrücken, czy Saarbrücken, mniej wpłynąć może na nasz osobisty, aniżeli wypadki, które się toczą za naszym borem, za drugim pagórkem. W zasięgu dziś się rozgrywającej polityki wschodniej Europy”.

13. J. Mackiewicz, „Będziemy mówili prawdę”, *Gazeta Codzienna* nr 1 z 26 XI 1939 r., s. 1.

14. J. Malewski (wł. W. Bolecki), *Wyrok na Józefa Mackiewicza*, Londyn 1991, s. 35.

15. T. Bujnicki, „Nie tylko chlebem”, *Gazeta Codzienna* nr 3 z 27 XI 1939 r., s. 3.

Krajowcy byli przeciwni wszelkim szowinizmowi narodowemu, dominacji czy to Polaków czy Litwinów, kładli akcent na porozumienie i kompromis. „Dążymy do tego aby stosunki narodowościowe w Wilnie ułożyły się w atmosferze wzajemnego zrozumienia i szacunku jednych do drugich. Jeśli te walory zwyciężą nie będziemy widownią gorszących i barbarzyńskich waśni, wywlekanych przez szumowiny tej czy innej strony¹⁶”. Jak pisała córka Ludwika Abramowicza, Zofia, nacjonalista „nie może się pogodzić z krajowością, bo konieczne jest, by idee narodowe, z natury wymagające wyłączności — podporządkowały się idei krajowej, będącej przeciwieństwem wyłączności, uosobieniem zaś wspólnoty. Dlatego jest ona zbędna w państwie jednolitym narodowo, konieczna natomiast w państwie narodowościowym, którym musi się stać w przyszłości W.X. Litewskie, a w którym wszystkie trzy narodowości będą się czuły u siebie i korzystały z całkowicie równych praw na wzór Belgii czy Szwajcarii. I takiego to państwa stolicą będzie wówczas Wilno, które wyjdzie wreszcie z roli pionka, o którego losach decyduje kto inny w myśl nacjonalistycznych postulatów tej czy tamtej strony¹⁷”.

Najpełniejsze ujęcie ideologii i dążeń krajowców znalazło wyraz w dwuczęściowym artykule Ludwika Chomińskiego „Krajowcy”. Warto więc przytoczyć jego obszernie fragmenty: „Co to są krajowcy? Polscy krajowcy w Wilnie? Są to ci, co ukochanie oraz interes kraju w pierwszym rzędzie podkreślają. Lecz cóż to jest *kraj*? Czy to ten dzisiejszy wąski „kraj wileński” nienaturalnie zbyt szczupło wykrojony? Czy Litwa w dwudziestoletnich granicach, czy wedle map lipcowych 1920 roku?

Nie. Nasze pojęcia są szczerze. *Kraj nasz* — to ziemie byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego — to tradycja ludów, które niegdyś w Wilnie miały swą stolicę — to amalgamat krwi litewskiej, polskiej, białoruskiej, przemieszany z żydami, tatarami, karaimami, starowiercami! To kraj szeroki mający ośrodek w naszym Wilnie, jak w soczewce skupiającym ideę i myśl ześrodkowującą dążenia krajów odwiecznie stąd rządzonych. Wilno to miejsce święte, to Mekka tylu narodów,

16. B. Szyszkowski, „Idea i jej karykatura”, *Gazeta Codzienna* nr 5 z 29 XI 1939 r., s. 1.

17. Z. Abramowiczówna, „Kilka słów o idei krajowej”, *Gazeta Codzienna* nr 56 z 10 III 1940 r., s. 3.

szczępów i ludów, to ukochanie tych wszystkich, którzy w szerokim promieniu tego Znicza się rodzili, trwali, pracowali, cierpieli i kochali.

Wilno — to przecięcie dróg nie tylko handlowych z zachodu na wschód, z północy i południa. To miłe miasto jedyne może w tym rodzaju na świecie. (...). Krajowcy w naszym rozumieniu są to właśnie ci, co poprzez nacjonalizmy, poprzez splątana sieć sporów i walk poszczególnych wiar narodowych, religijnych, społecznych, ideowych — pragną spójni a nie podziałów, zgody a nie waśni, złączonych we wspólnym wysiłku ramion a nie ziejących nienawiścią oczu i wysuniętych pięści o wyłączne posiadanie wspólnego skarbu. (...) Jakże ich mało — takich krajowców. Jak są niezrozumiani, jacy śmieszni w swej donkiszoterii, jacy nieżyłowi, (...) A jednak są i trwają. (...) Żyją i rozwijają się i innych zarażają swym przykładem¹⁸”. I dalej: „Wielka idea (krajowa — K.T.), przez wieki współżycia i wspólnie wyniesionej tradycji rozwinięta przetrwała twór państwowy, który ją wytworzył, przetrwała lata zaboru i ucisku rosyjskiego, przetrwała szczątkowo po dziś dzień. Ale skończyła swe panowanie w wieku dwudziestym, w wieku rozbudzonych nacjonalizmów.

I stało się, ponieważ Wilno było zawsze tej idei ośrodkiem, że my Wilnianie pozostaliśmy jej stróżami i kapłanami. My, niemal wyłącznie Polacy, tutejsi, przechowaliśmy ten znicz idei krajowej, otwartej przecie dla wszystkich. Inne części, dawniej rozległego kraju, ze wschodu, zachodu i południa zaczęły się idei ogólnokrajowej przeciwstawiać, a swoje nowe myśli narzucać. Przestano nawet nas rozumieć; dzieje ostatniego dwudziestolecia są tego wymownym przykładem, bo nie rozumiano nas z żadnej strony. A my, krajowcy, wyznawcy idei *całości* kraju, a nie jego części pozostawaliśmy niezrozumiani, ośmieszani, odsunięci. A mimo to trwaliliśmy i trwamy i wierzymy, że naszą wiarą zarazimy i przekonamy. Wierzymy, że z tego cudnego Wilna utworzymy pomost zgody dla wszystkich krajowych narodów Polaków, Litwinów, Białorusinów, Żydów — a nie jabłko niezgody¹⁹”.

18. L. Chomiński, „Krajowcy”, *Gazeta Codzienna*, nr 7 z 1 XII 1939 r., s. 1.

19. Tenże, „Krajowcy cz. II”, *Gazeta Codzienna* nr 8 z 2 XII 1939 r., s. 1.

Krajowcy chcieli powrotu do normalności, co w okresie gwałtownych przemian, jakie niesła wojna, było bardzo trudne, a nawet niemożliwe. Czołowy publicysta i zastępca redaktora naczelnego *Gazety Codziennej* T. Bujnicki pisał: „Cieszę się z każdej ideowej polemiki, z każdej zapowiedzi rodzącego się unormowanego życia. To dobrze jeśli ktoś myśli o różach i wynosi je z płonącego lasu²⁰”.

Precyzując różnicę między krajowcami a dominującą wśród ludności polskiej Wilna oceną bieżących wypadków, B. Szyszkowski tak odpowiadał na list „rodowitej Wilnianki”: „Różni nas z Panią zapewne nie patriotyzm, lecz odmienne podejście zasadnicze do stosunków litewsko-polskich. My nawiązujemy do czasów minionych, do czasów kiedy tu, na tej ziemi Polak Litwinowi był bratem, gdy obydwie mowy mogły się swobodnie rozlegać, gdy nikt nikogo nie uciskał. Pani zaś pragnęłaby po prostu zatrzymać modus vivendi z ostatniego 20-lecia. I tutaj leży rozbieżność ideologiczna między Panią a nami. Stąd płynie bojowy atak Pani²¹”.

Wzywając do umiaru i samoograniczenia, propagowano również wzór patrioty. Według Bolesława Skirmunta „Dla każdego patrioty religia i język są skarbami. Następne objawy patriotyzmu to są śpiewy, obchody i różne uroczystości patriotyczne. Wszystko to jest bardzo piękne i rozbudza ducha, ale musi być umiar i nie wolno dopuszczać do ekscesów, które tylko szkodzą i o które — niestety — łatwo, gdzie bierze udział gorąca młodzież i ulica²²”. Korespondował z nim artykuł Leszka Bortkiewicza twierdzącego, iż „Najczęściej mamy do czynienia z ludźmi, związanymi z pewnym terenem niezbyt szerokim i nie bardzo wąskim, który jednak wystarcza do zaspokojenia dostępnych w miarę możliwości życiowych potrzeb kulturalnych i materialnych. Kontakt zaś ten — w miarę utylitarny — wytworzył miłość jakby synowską. Takim terytorium najczęściej dla wszystkich jest „ziemia”. Grodzieńska, Mazowiecka, Kujawska, Wileńska. I do prawdy rzadko można znaleźć było w Polsce człowieka, któryby potrzebował dla zaspokojenia wszystkich swych potrzeb kulturalno-materialnych — całej jak jest Polski.

20. T. Bujnicki, „Inter arma”, *Gazeta Codzienna* nr 9 z 3 XII 1939 r., s. 4.

21. B. Szyszkowski, „Parę słów”, *Gazeta Codzienna* nr 11 z 5 XII 1939 r., s. 2.

22. B. Skirmunt, „Patrjota — w dobrym słowa znaczeniu”, *Gazeta Codzienna* nr 12 z 6 XII 1939 r., s. 2.

Wszystkich jej ziem²³”.

Miejsce szczególne w ideologii krajowców zajmował zmitologizowany wręcz obraz „cudownego miasta” — Wilna. Dał temu wyraz m.in. T. Bujnicki w artykule pod znamienym tytułem „Kochamy Wilno²⁴”, jak i L. Chomiński pisząc: „Wilno... ośrodku cudowny, do którego tęsknią z południa i północy, ze wschodu i zachodu! Miasto dziwne... niby zwykłe, niby codzienne, tak, swojskie, — a przy tym jakieś świąteczne, uroczyste, takie godne, pociągające, po prostu święte... niby różnoplemienne, różnolite, a tak bardzo jedność, jednolitość wnoszące, że pół świata przejdiesz, a prawdziwego Wilnianina tam jak brata do serca przyciśniesz, choćby innej był wiary i języka! Wilno, miejsce święte, wspólna własność ideowa tylu ras i wiar, tradycji i legend, nienawiści i ukochań! Dokąd dążysz, czego pragniesz, co ci się śni — miasto nasze jedyne. Czy strzelasz iglicami świątyń tylu wyznań, ku niebu — w tęsknocie do wieczności?²⁵”.

16 lutego 1940 r., w 22-gą rocznicę niepodległego bytu państwowego Republiki Litwy, redaktor naczelny *Gazety Codziennej* pisał: „Litwa jest dla nas pojęciem tak bliskim, jak miłość rzeczy którą ukochało się nie rozumem, nie miarą, nie wagą kupiecką, a słowem słyszonym od kołyski, wyobrażnią oczu wpatrzonych w pole, łąkę i las za nią siniejący na horyzoncie. (...) Jeśli zaś chodzi o nasze tu, w wileńskim podwórku snute uczucia, to wiedźcie panowie, że obraz Litwy widziany jest przez nas w koronie ideału (...). Nie wydrą go żadne burze dziejowe, ani złość ludzka, ani huk strzałów, ani niesmak słów wypowiedzianych, ani groźby, ani pochlebstwa”. Mackiewicz sygnalizował jednak (pamiętamy tu o cenzurze litewskiej), iż „Nasze stanowisko jest oczywiście inne, niż wykrystalizowanej w dwudziestodwuletnim niepodległym bycie narodowości litewskiej. (...) My się nie zgadzamy, niestety aż z wieloma z tych opinii, tych politycznych tez i wypływającej z nich polityki, która dziś w Wilnie jest wyrazicielem litewskiej Solenizantki²⁶”. Jeszcze

23. L. Bortkiewicz, „Prosto w oczy”, *Gazeta Codzienna* nr 22 z 17-18 XII 1939 r., s. 3.

24. T. Bujnicki, „Kochamy Wilno”, *Gazeta Codzienna* nr 20 z 15 XII 1939 r., s. 4.

25. L. Chomiński, „Wilno”, *Gazeta Codzienna* nr 28 z 24-26 XII 1939 r., s. 1.

26. J. Mackiewicz, „Rzecz ważna”, *Gazeta Codzienna* nr 38 z 16 II 1940 r., s. 1.

dobitniejsze i wyraźniejsze słowa krytyki pod adresem szowinistycznej polityki rządu litewskiego względem ludności polskiej skierowała żona J. Mackiewicza, Barbara Toporska. Słowa jej przepełnione są goryczą i żalem. Myślę, iż oddają trafnie poglądy krajowców, dla których celem było porozumienie i obustronny kompromis, a nie podporządkowanie i uległość. Toporska pisała, iż „Przez dwadzieścia dwa lata niepodległości Litwa prowadziła politykę nacjonalistyczną. (...) Po przyłączeniu Wilna wraz z krajem wileńskim (...) oprócz kilku miłych zdań z tej i z tamtej strony nic przyjemnego przez pierwsze trzy miesiące współżycia się nie wydarzyło. (...) Ze sfer urzędowych słyszymy głosy, że rząd litewski nie chce prowadzić polityki opartej na różnicach i przywilejach jednej narodowości na niekorzyść drugiej. (...) Z drugiej strony stoimy przed rzeczywistością, tworzoną przez „Vilniaus Balsas”, którego ton udzielił się i innym pismom. Poza tem zupełnie głośno i oficjalnie mówi się o zlitewszczeniu, a raczej „odpolszczeniu” tego kraju. (...) Dziś twierdzą, że o ile «Vilniaus Balsas» będzie grzmiał w tym samym tonie przez pół roku jeszcze, w Wilnie będzie więcej „endeków” niż rok temu w Warszawie. (...) Nazwano nas krajowcami, gdyż reprezentujemy interesy mieszkańców tego kraju. (...) Broniliśmy przed wojną interesów obywateli tej ziemi przed przerostami centralistycznej administracji. Staliśmy na straży zarówno spraw Polaków tutejszych jak i Białorusinów, jak i Litwinów. Dziś ci ostatni nie potrzebują naszej pieczy. W ten sposób w imię tej samej krajowości chcemy dziś bronić w pierwszym rządzie interesów *Polaków tutejszych*. W pewnej rozmowie z wyższym urzędnikiem [litewskim — K.T.] (...) usłyszałam (...), że Polacy muszą się *zasłużyć* w pewnej mierze dla dobrego i miłego współżycia. Odpowiadamy: *Nie przyjechaliśmy tu ani z księżycy, ani z Ameryki, ani ze Śląska* [podkreślenie moje — K.T.] Rodzimy się i umieramy od wieków na tej ziemi, a w Wilnie wiele kościołów, naszych rękami wzniesionych, Boga chwali i wiele naszych nazwisk czernieje na cmentarnych nagrobkach. I to są między innymi prawa nie nabyte, a odziedziczone przez nas, wystarczające do obywatelstwa tej ziemi, skoro już inne dla Niej zasługi położone, ktośby nam chciał kwestionować²⁷”.

W warunkach litewskich rządów w Wilnie coraz wyraź-

27. B. Toporska, „Polityka mniejszościowa”, *Gazeta Codzienna* nr 42 z 22 II 1940 r., s. 1-2.

niej okazywało się, że idea krajowa ma niewielkie szanse powodzenia, że jest to polityczna fantazja. Zauważyli to i krajowcy, mając jednak nadzieję, że kiedyś sytuacja ulegnie zmianie. Poglądom takim dał wyraz L. Chomiński pisząc: „Prasa litewska uznała nas za nacjonalistów polskich, bo podkreślaliśmy naszą polskość, — głosy polskie posądzają nas o ugodowość...! Nikt nic nie zrozumiał, jak widać, a i zrozumieć nie chciał. (...) Nie czas dziś na rozwój idei krajowej. I to nie z naszej winy. Lecz idee mają to do siebie, że (...) z czasem, przy sprzyjających podmuchach wiosennego wiatru, odżyć mogą na nowo i rzeczywistość przeobrazić. Czy i kiedy tego doczekamy?...²⁸”.

Rozczarowanie i zapewne cenzura litewska sprawiły, że publicystyka krajowa coraz rzadziej pojawiała się na łamach *Gazety Codziennej*. Pewne ożywienie nastąpiło jeszcze w okresie obchodów pierwszej rocznicy śmierci Ludwika Abramowicza. 10 marca 1940 r. w sali Biblioteki im. Wróblewskich w Wilnie odbyła się z tej okazji uroczysta akademicka, mająca być manifestacją dążenia do porozumienia między wszystkimi narodowościami zamieszkującymi Wilno. „Spotkanie to nie przyniosło jednak trwalszych owoców, lecz jedynie krótkotrwałe odprężenie. Było tylko doraźnym, okazjonalnym zebraniem ludzi, których dzieliły niejednokrotnie zasadnicze różnice dążeń i poglądów²⁹”.

Nieco wcześniej na łamach *Gazety Codziennej* zamieszczono artykuł byłego krajowca, a obecnie prof. Uniwersytetu Witolda Wielkiego w Kownie Michała Romera, omawiający poglądy Ludwika Abramowicza i polemikę z jego tezami pióra J. Mackiewicza. Według Romera „Istotą kierunku «krajowego» jest to, że koncepcji «kresowej» przeciwstawia dośrodkową koncepcję Litwy, jako kraju mającego osobowość polityczną własną i odmienną w społeczności ludzkiej świata. (...) Tę koncepcję «kresową» tzw. «krajowa» kategorycznie zaprzecza i odrzuca”. Snując zaś rozważania o dniu dzisiejszym Romer pytał: „Gdzie są «krajowcy» w społeczeństwie polsko-wileńskim? Słyszę ich nieraz w rozmowie prywatnej, słyszę jak siebie tym mianem określają, i wierzę, że podmiotowo są szczerzy, że istotnie tak sądzą o sobie. (...) Słyszę ich, ale ich niestety nie widzę. Słyszę ich słowa, ale prawdy

28. L. Chomiński, „Jak przyszłość odpowie na teraźniejszość”, *Gazeta Codzienna* nr 42 z 6-7 I 1940 r., s. 1.

29. P. Łossowski, *Litwa...*, s. 156.

przedmiotowej w tych słowach nie dostrzegam. (...) Był to obchód Niepodległości w dniu 16 lutego. To jest przecież nie co innego, jak akt najwybitniejszy osobowości Litwy. Tak jest, Litwy. Innej Litwy, jak Litwa, nie ma. (...) Gdzie byli wszak Polacy wileńscy, gdzie byli «krajowcy» spośród nich. Ja ich nie widziałem. (...) A jeżeli na święcie Niepodległości ich nie było, to chyba ich... nie ma”.

W 1940 r. Romer swe poglądy utożsamiał już nie z krajowością, a z ideą państwowości litewskiej w etnograficznych granicach. Nie chciał wracać do przeszłości [„Innej Litwy (...) nie ma”]. Tego samego żądał w zasadzie od wileńskich krajowców, co byłoby przecież zaprzeczeniem głoszonych przez nich poglądów. Godził się co prawda z faktem, że mogą oni być w opozycji do obecnego kierunku politycznego władz litewskich (tak jak np. inne partie): „W Anglii jest opozycja, ale jest ona «opozycją Jego Królewskiej Mości». U nas *mutatis mutandis* byłaby ona «opozycją Najświętszej Rzeczypospolitej» pod znakiem Pogoni³⁰”. Zauważyć należy kardynalny błąd w tym założeniu. Najjaśniejsza Rzeczpospolita miała przecież dwa (a nie jeden) znaki — Pogoń, ale i Orła Białego. Polemika J. Mackiewicza z tezami artykułu Romera była trafna i zasadna. Oto jej fragmenty: „Mnie się zdaje, że błąd w wywodach prof. Romera polega właśnie na przeciwstawieniu kierunku «krajowego» ideologii polskiej «kresowości», li tylko. Jakże inaczej przedstawiałoby się to rozumowanie, gdyby zechciał ideologię «krajowości» przeciwstawić państwowej idei etnograficznej Republiki Litewskiej. (...) Z obecnym zaś Państwem Litewskim i Narodem Litewskim, z którym zła, czy dobra wola, łączyła nas wspólnymi więzami przez wieki — łączyłyby nas po dziś dzień te wspólne więzy nadal, gdybyśmy widzieli, że w Nim żyją te ideały, te aspiracje, które żyły w marzeniach Ludwika Abramowicza. (...) Bo czemuż jest właśnie idea państwowa litewska, jej etnograficzna racja stanu, że się tak wyrażę, jej konstrukcja myśli państwowej, jak nie *metodą nacjonalizmu*? [podkreślenie moje — K.T.] (...) jeśli takim koncepcjom przeciwstawia się prof. Romer, dlaczegoż namawia nas, ażebyśmy je pochwalali i popierali?³¹”.

Ostatnim „krajowym” tekstem zamieszczonym w *Gaze-*

30. M. Romer, „Nie ma Ludwika Abramowicza”, *Gazeta Codzienna* nr 45 z 25 II 1940 r., s. 3.

31. J. Mackiewicz, „I ja żałuję, że go nie ma...”, *tamże*.

cie *Codziennej* jest artykuł podpisany literką M. (zapewne autorstwa J. Mackiewicza), w którym bierze on w obronę „obcokrajowców” (według prawa litewskiego), a właściwie „rdzennych mieszkańców Litwy historycznej, po prostu mówiąc ludzi «tutejszych»”, gdyż „o los tych ostatnich, nam, reprezentującym interesy właśnie tutejszych mieszkańców — głównie chodzi³²”.

Jak już wspomniano, program krajowców nie zyskał po żadnej (polskiej czy litewskiej) stronie zwolenników, a wręcz przeciwnie. Także i większość powojennych wypowiedzi na temat działalności krajowców, a zwłaszcza Józefa Mackiewicza w okresie litewskiej okupacji Wilna, (celowo pomijam tu okres późniejszy — okupacji niemieckiej) przepełniona była często wypowiedziami zbyt emocjonalnymi, które za cel stawiały sobie przykładową dyskredytację, a nie próbę dojścia do istoty. Mackiewicz nie był „ideologiem lokajskiego ruchu pro-litewskiego”, o co go oskarżano. Propagował natomiast w *Gazecie Codziennej* ideologię krajową. Naczelną jej wartością nie był nacjonalizm, a odwoływanie się do wyidealizowanej idei Wielkiego Księstwa Litewskiego, do „Kraju”, w którym mogliby zgodnie współżyć Polacy, Białorusini, Rosjanie, Litwini, Żydzi, Karaimi, Tatarzy. Faktem jest, że w okresie 1939-1940 (a i później) poglądy te nie były przyjmowane i zrozumiałe dla większości ówczesnych mieszkańców Wilna (Polaków), jak i dla władz litewskich.

Poglądy krajowców trafnie określił Włodzimierz Bolecki, nazywając je jedną „z najpiękniejszych, postromantycznych utopii, jaką zrodził wiek XX...”³³. Mimo pojawiających się już w początkowym okresie II wojny światowej zarzutów, że krajowcy wileńscy są „grupą wygrywaną” i popieraną przez władze litewskie³⁴, to — nieco paradoksalnie — w rzeczywistości możliwości ich działania były mniejsze niż przed wojną. Jak wspomniał J. Mackiewicz, „Cenzura litewska w r. 1940 zabrania nazwać Wilno «stolicą Wielkiego Księstwa Litewskiego» inaczej niż w znaczeniu historycznym. Zabrania używać słów «Wielkie Księstwo Litewskie» w odniesieniu do współczesnych terytoriów, pociętych sowiecką i niemiecką

32. (J.) M(ackiewicz), „Obcokrajowcy”, *Gazeta Codzienna* nr 98 z 2 V 1940 r., s. 1.

33. J. Malewski (wł. W. Bolecki), *Wyrok...*, s. 37.

34. Instytut Polski i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego (dalej cyt. IPMS), Prezydium Rady Ministrów (dalej cyt. PRM) — K 96, Z. Dreszer, *Szkic sytuacji w Kownie i Wilnie*, s. 1.

okupacją. Zabrania głoszenia idei politycznej restytucji Wielkiego Księstwa Litewskiego”. Stwierdził on nawet, że „w tym okresie polityka litewska w Wilnie była w rezultacie bardziej antykrajowa, niż antypolska w ogóle³⁵”. Ze strony litewskiej nazwa Wielkie Księstwo Litewskie oficjalnie pojawiła się tylko jeden raz. Na samym początku, kiedy to w momencie wkraczania wojska litewskiego do Wilna wydano pod datą 27 października 1939 r. „odezwę społeczeństwa litewskiego do Wilnian”, w której wspomniano „O powrocie Wilna — starej stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego — do Litwy³⁶. O co najmniej „chłodnym” stosunku władz litewskich do krajowców wspominali wileńscy socjaliści z organizacji „Wolność” w swym opracowaniu z połowy 1940 r. o sytuacji w Wilnie i na Wileńszczyźnie („Cała ta ideologia (...) spotkała się z oficjalnym sprzeciwem litewskim³⁷”.

Litwinów nie tyle interesowała restytucja Wielkiego Księstwa Litewskiego, co proste podporządkowanie sobie miejscowych Polaków. Krajowcy mieli być, co najwyżej, elementem, którym chcieli się do tego celu posłużyć. Jak pisał Kazys Valeckas w wydawanej ówczesnie w Wilnie litewskiej gazecie w języku polskim *Nowe Słowo*, „Dziś jedynie krajowcy mogą naprawić błędy dotychczasowe i dopomóc wileńskiej inteligencji polskiej *odpowiednio dostosować się* do stanu istniejącego³⁸” [podkreślenie moje — K. T.].

Celem strony litewskiej nie było w żadnym wypadku propagowanie idei krajowej, wymagano jedynie (albo aż) podporządkowania się przez ludność polską państwowej idei litewskiej. Dawniej na krajowców — jak pisano — „przypada duża część wielkich zasług położonych w obronie kraju przeciw rusyfikacji lub polonizacji (...). Zadania te skończyły się w tym samym dniu, kiedy Vilnius powróciło do Litwy, jako Państwa Niepodległego. Odtąd już państwo bierze na siebie obowiązek, troskę i pieczę nad niezakłócaniem praw wynikających z posiadania własnej osobowości politycznej. Odtąd równocześnie nazwa «krajowiec» dla oznaczenia ruchu

35. J. Mackiewicz, „Jak to było z Litwinami”, *Wiadomości* nr 33 z 17 VIII 1947 r., s. 1 (*Droga Pani*, s. 38).

36. Cyt. za P. Łossowski, *Litwa...*, s. 64.

37. Studium Polski Podziemnej (dalej cyt. SPP), Oddział VI Sztabu Naczelnego Wodza (dalej cyt. O VI) 5.1.4.1., *Uwagi o sytuacji w Wilnie i na Wileńszczyźnie*, s. 7.

38. K. Valeckas., „List otwarty do p. Józefa Mackiewicza”, *Nowe Słowo* nr 31 z 16 II 1940 r., s. 5.

politycznego staje się anachronizmem, bowiem akcentowanie tubylczości mogło mieć i miało znaczenie polityczne gdy istniał jeszcze cel przeciwstawiania jej obcej osobowości państwowej. (...) Można iść dalej i twierdzić, że takie akcentowanie staje się nawet politycznie szkodliwym, bo przeistacza się w przeciwstawianie pochodzenia własnej, zdobytej krwawym wysiłkiem całego narodu osobowości politycznej. Ale «krajowcy» spod znaku *Gazety Codziennej* widocznie tego zrozumieć nie chcą, bo wciąż nawracają do reminiscencji i tradycji historycznej³⁹. Krajowcy według Litwinów mogli nawet stanowić zagrożenie dla integralności Republiki Litwy w jej nowych granicach. Według czytelnika *Nowego Słowa* A. Żegzdryna „Ludność fakt przejścia Wilnius do Litwy przyjęła radośnie”, natomiast „Z zachowania się «krajowców» można wysnuć wniosek, że krajowcy to oderwana grupka ludzi, ukrywająca swe prawdziwe oblicze narodowe i polityczne, pragnąca swego odrębnego państewka «tutejszego» w Państwie Litewskim ze specjalnymi na swą rzecz osobistymi przywilejami. (...) My chcemy jak najbardziej zespolić się ze społeczeństwem litewskim w jedną całość dla wspólnego dobra. Taki jest nakaz chwili obecnej i tego wymaga od nas rzeczywistość⁴⁰”.

W kolejnej publikacji *Nowego Słowa* autor artykułu „Państwowość — czy krajowość” pisał: „Tylko zwarte bez podziału na krajowość społeczeństwo może normalnie się rozwijać. (...) Wilnius bezspornie jest ziemią historycznie i etnograficznie litewską. Włączenie zatem do Litwy stanowi powrót do Macierzy. Musimy to sobie uświadomić i wspólnymi siłami tworzyć lepszą przyszłość. Im prędzej tę prawdę zrozumiemy, tym prędzej znajdziemy się na właściwym miejscu⁴¹”.

Równie zdecydowane i ostre ataki padały na krajowców ze strony polskiej. Zarzucano im prywatę, służalczość, nielojalność, wręcz zdradę. Komendant bazy łącznikowej „Anna” w Sztokholmie ppłk Tadeusz Rudnicki ps. „Wierzbą” w meldunku dla Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego z 19 grudnia 1939 r. przedstawiał aktualną sytuację

39. „Krajowcy — przed nową rzeczywistością”, *Nowe Słowo* nr 48 z 8 III 1940 r., s. 2.

40. A. Żegzdryna, „O krajowcach”, *Nowe Słowo* nr 57 z 19 III 1940 r., s. 2.

41. Żenas, „Państwowość — czy krajowość”, *Nowe Słowo* nr 65 z 31 III 1940 r., s. 5.

polityczną w Wilnie w sposób następujący: „Ogół społeczeństwa nastawiony jest przeciw Litwinom wyraźnie wrogo i nie wyobraża sobie innego rozwiązania, jak powrót Wilna w granice Polski. Znalazł się jednak zespół ludzi, który już przesądził, że Polska tu nie ma nic do powiedzenia. (...) Powyższe przejawy są akcją tzw. «tutejszych» lub «krajowców», jaką to nazwę kreuje dla ugodowców wileńskich *Gazeta Codzienna*. (...) Przeciwdziałanie w tej dziedzinie jest na razie niedostateczne⁴²”.

Podobnie atmosferę panującą wówczas w Wilnie przedstawił komendant Okręgu Wileńskiego Związku Walki Zbrojnej ppłk Nikodem Sulik ps. „Ładyna” w meldunku z 17 marca 1940 r. o sytuacji na ziemiach północno-wschodnich R. P. dla gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Ppłk Sulik zaznaczał, iż „cała ludność wileńska nie dopuszcza możliwości jakiegokolwiek ponownego dyskutowania w sprawie przynależności Wilna i Wileńszczyzny, że jedyna i miarodajna na zawsze była wola ludności, wypowiedziana w Sejmie Wileńskim w 1922 r., że Wilno, gdyby zaistniała taka konieczność, będzie swej przynależności do Polski bronić z bronią w ręce i że jest to pogląd absolutnie wszystkich grup politycznych z wyjątkiem znikomego ośrodka grupki tzw. «krajowców»⁴³”. Jeden z organizatorów wileńskiego ZWZ, ksiądz Kazimierz Kucharski, w 1942 r. stwierdził, iż „W okresie Litwy smetnowskiej ZWZ stale musiał się przeciwstawiać tak zwanym krajowcom⁴⁴”. Również wysłannik rządu polskiego prof. Adam Żółtowski w liście z Kowna z 7 stycznia 1940 r. podkreślał, iż uważa „za obowiązek przestrzegać tutejszych panów z prawicy i wileńskich «krajowców», by brutalnemu naporowi tego plemienia wyrachowanych, realistycznych i zaciętych chłopów [czyli Litwinów — dop. K. T.] nie przeciwstawiali bezpośrednio sielankowych swych marzeń o harmonijnym współżyciu ludów W. K. Litewskiego itp.⁴⁵”.

W lutym 1940 r. w Paryżu były *attaché* poselstwa R. P. w Kownie Witold Sworakowski opracował dla premiera rządu

42. SPP, O VI 3.3.1.4., Meldunek ppłk. T. Rudnickiego z 19 XII 1939 r.

43. *Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945*, t. 1, Londyn 1970, s. 176.

44. SPP, Spis depozytów MSW, nr 14, ks. K. Kucharski, *Konspiracyjny ruch niepodległościowy w Wilnie w okresie od września 1939 do 25 maja 1941 roku*, s. 12.

45. IPMS, PRM — K 94, List A. Żółtowskiego z 7 I 1940 r., s. 2.

polskiego gen. W. Sikorskiego raport o sytuacji na Wileńszczyźnie, w którym stwierdzał: „Czynnikiem sprzyjającym pośrednio tej litwinizacji jest oportunistyczne stanowisko znanych wileńskich «krajowców» wszelkich odcieni orientacyjnych. Wychodząc z nieaktualnych obecnie założeń historyczno-sentymentalnych i regionalnych, głosząc teorię o istnieniu jakichś pół-Polaków — pół-Litwinów oraz jakiejs «ojczyzny» wileńsko-litewskiej w pojęciu dawnego Księstwa Litewskiego, mają oni jedynie w tej chwili jasne postawienie istotnych zagadnień polskości na obszarze okupowanym i paraliżując zorganizowanie jednolitego oporu ze strony polskiej⁴⁶”.

W 1943 r. prof. Uniwersytetu Stefana Batorego Konrad Górski tak pisał o Józefie Mackiewicz: „Człowiek ten przypomina swego brata agresywnością, ale nie umywając się do niego ani talentem pisarskim, ani inteligencją, zastępuje te przymioty żółcią”. Prof. Górski nie zapomniał również o artykule J. Mackiewicza w *Lietuvos Zinios*. Według niego „Kto miał czelność podobne rzeczy pisać po wszystkim, co w ciągu ostatniego dwudziestolecia Polacy przeżyli pod obuchem litewskim, ten może się domyślić, w jakim duchu prowadził *Gazetę Codzienną*, pomimo tysiącznych szczegółów otaczającej rzeczywistości, zaprzeczających możliwości jakiegokolwiek porozumienia⁴⁷” [polsko-litewskiego — dop. K. T.].

Krajowcy wileńscy byli również atakowani od strony wierności pierwotnemu kształtowi idei krajowej. Okazją ku temu była pierwsza rocznica śmierci Ludwika Abramowicza. W marcu 1940 r. na łamach *Kuriera Wileńskiego* pisano, iż obecnie „Termin «krajowcy» bywa nie tylko rozmaicie interpretowany, ale wręcz nadużywany dla oznaczenia bardzo wąskich, partykularnych tendencji. (...) Niechże wszyscy szanują pamięć i czystość ideową zmarłego pisarza [Ludwika Abramowicza — dop. K. T.], dbając o to, aby przy tłącej iskrze jego myśli nie próbowano upiec ochłapów własnej pieczenia, jak to czynią niektórzy neokrajowcy w prasie wil.⁴⁸”.

46. IPMS, PRM — K 94, W. Sworakowski, *Promemoria w sprawach okupacji litewskiej na Wileńszczyźnie oraz obecnej sytuacji Polaków w Litwie kowieńskiej*, s. 17.

47. K. Górski, *Litwa podczas drugiej wojny światowej*, mps. w posiadaniu autora, s. 18-19. Jest to ostatni (ósmý) rozdział nie opublikowanej pracy K. Górskiego pt. „Divide et impera”, opracowanej na przełomie 1943-1944 r. na zlecenie BIP Komendy Okręgu Wileńskiego AK. Obszerne fragmenty wydrukowano w *Magazynie Wileńskim* nr 17 z 1990 r.

48. Est., „Idea krajowa Ludwika Abramowicza”, *Kurier Wileński* nr 56 z 10 III 1940 r., s. 3.

Dalsze wydarzenia, jak okupacja sowiecka, niemiecka i ponownie sowiecka Wileńszczyzny, rozwój polskiej konspiracji wojskowej (ZWZ — AK) spowodowały, że ideologia krajowców była tylko krótkotrwałym, acz interesującym, epizodem w dziejach polskiej myśli politycznej w okresie II wojny światowej.

Krzysztof TARKA

Zbigniew KONCZACKI

LWOWSKA MŁODZIEŻ SPOŁECZNO-DEMOKRATYCZNA 1937-1939

Artykuł Jerzego Lerskiego p.t. „Lwowska Młodzież Społeczno-Demokratyczna 1937-1939”, opublikowany w *Zeszytach Historycznych* w 1979 r.¹ miał na celu częściowe wypełnienie luki, istniejącej wówczas w historii demokratycznych ruchów młodzieżowych we Lwowie. W przeciwieństwie do Wilna, Warszawy, Krakowa i Poznania, luka ta była dotąd całkowita. Autor znalazł się w korzystnej sytuacji, posiadając ocalałe materiały dostarczone mu przez krajowych przyjaciół, nie zwrócił się natomiast do mieszkających za granicą członków Rady Naczelnej organizacji, o której pisał, co byłoby przypuszczalnie zapobiegło poważnym nieścisłościom, zarówno merytorycznym jak i formalnym. Chodziło głównie o przyczyny i przebieg sprawy honorowej spowodowanej tzw. „sprawą Lecha”. Po zapoznaniu się z treścią artykułu w

1. Jerzy Lerski, „Lwowska Młodzież Społeczno-Demokratyczna 1937-1939”, *Zeszyty Historyczne* nr 47, 1979. W czasie pisania niniejszych uwag dowiedziałem się o śmierci autora, który zmarł nagle 16 września 1992. Straciłem w nim wieloletniego kolegę i przyjaciela i niestety nie mogę już liczyć na jego dodatkowe naświetlenie pewnych spraw, poruszanych przeze mnie, a nie wyjaśnionych dostatecznie przez niego w 1979 r. Oddając ten esej do druku nie poczyniłem żadnych zmian, odrzucając zasadę *de mortuis nil nisi bene* na korzyść prawdy historycznej.

1979 r., zastanawiałem się nad napisaniem sprostowania, powstrzymałem się jednak wówczas, gdyż z braku dokumentacji mogłem z łatwością pomnożyć istniejące błędy, a chodziło przecież o sprostowanie ich w imię prawdy historycznej. Okazja ku temu nadarzyła się dopiero niedawno, gdy po zmianie stosunków w Kraju udało mi się uzyskać materiały, których Lerski niewątpliwie nie posiadał. Dokumenty te, związane ze sprawą honorową, a więc natury ściśle osobistej, mogły nie być dostępne jego kolegom w Kraju.

Pisząc ten esej uważałem za stosowne rzucić nieco światła na sprawy, które Lerski potraktował z dużą dozą emocji. Uzupełniając dokumenty własną pamięcią, starałem się być jak najbardziej obiektywny — rzecz niełatwa, gdy się było jedną z *dramatis personae*. Starałem się też zanalizować pewne zjawiska z zakresu historii społeczno-kulturalnej, czego nie zrobił Lerski w artykule z 1979 r. Tak więc początkowo sprostowanie przerodziło się w małe studium, uzupełniające — w ograniczonym sensie — pracę Lerskiego.

Nie miejsce tutaj na opis studenckich ruchów politycznych i atmosfery, w jakiej się one rozwijały w Polsce w drugiej połowie lat trzydziestych obecnego stulecia. Zrobiono to już gdzie indziej². Wspomnę tylko o zakusach sanacyjnych organizacji, które miały na celu odciążenie takich grup młodzieżowych jak nasza od ideałów prawdziwej demokracji. Jak to dobrze ujął Lerski „...nie zapierając się piłsudczykowskiej przeszłości, staliśmy się przekonanymi demokratami stawiającymi na zachodnioeuropejski parlamentaryzm i amerykańskie tradycje wolnościowe”³.

Stwarzając zręby programowe i organizacyjne, uczyniliśmy naszą Radę Naczelną stróżem ideologii organizacji. Jednym z zadań Rady było również ustalanie stosunku do innych organizacji. Rada Naczelna miała prawo usunąć członka Stowarzyszenia, gdy popadł w konflikt z deklaracją ideową⁴.

Wydało się nam przeto rzeczą wysoce niepokojącą, gdy jeden z członków założycieli PMSD — Jan Lech — zaangażował się w organizację o charakterze politycznym i ideologii, będących w konflikcie z naszą własną. Na posiedzeniu Rady Naczelnej PMSD, które odbyło się dnia 9 lipca 1938 r., wyraziłem opinię, że Rada Naczelna winna wziąć pod uwagę

2. *Vide*: Lerski, *loc. cit.*, str. 149-152, i podana tam literatura dotycząca tego przedmiotu.

3. Lerski, *ibid.*, str. 157.

4. Regulamin wewnętrzny PMSD, Art. 9 i 31.

szkody, jakie działalność kol. Lecha przyniosła naszemu Stowarzyszeniu i wyciągnąć z tego odpowiednie konsekwencje⁵. W wersji Lerskiego nasza krytyka działalności Lecha dotyczyła jego rozmów z „kontrowersyjnym sekretarzem Stronnictwa Demokratycznego Stefanem F. Czarneckim. Stąd powstały podejrzenia, że Lech wdał się w jakieś dwójkarskie machinacje pomagając rzekomo dyr. Czarneckiemu w dyktatorskich zapędach⁶”. Na czym ta pomoc miała polegać, Lerski nie wyjaśnia. Nie wspomina też, że rozmowy miały na celu uzyskanie poparcia finansowego dla Związku Walki Czynnej — tajnej organizacji stworzonej i kierowanej przez Lecha. Uderzała pretensjonalność i sugestywność tej nazwy identycznej z ZWC, tajną organizacją wojskową utworzoną przez K. Sosnowskiego w 1908 r., we Lwowie dla walki o niepodległość. Według ówczesnej opinii Lerskiego, deklaracja ideowa przyjęta przez Lecha miała być identyczna z deklaracją PMSD, i Związek ten zwalczał OZN, Legion Młodych, Młodą Polskę i Związek 13 Maja, organizacje sanacyjne (z tym, że ta ostatnia była tajna i miała wybitnie faszystowskie tendencje). Po dokładnym zbadaniu tych opinii okazało się, że ZWC Lecha deklaracji ideowej nie posiadał. Lech interesował się poważnie Związkiem 13 Maja i większość członków ZWC była poprzednio w tej organizacji, co wskazywałoby na ideologiczne pokrewieństwo — a więc niewątpliwy konflikt z demokratyczną ideologią PMSD⁷. Co więcej, kilkakrotnie w prywatnych rozmowach ze mną Lech tłumaczył swoje rozumienie pojęcia demokracji, stwierdzając niedwuznacznie, że gwałci elementarną logikę, popełniając *contradictio in adiecto*. Był więc wyznawcą systemu, w którym ci co „kierują” mają władzę, natomiast ci co są „kierowani” mają zapewnioną równość w jej braku. Można przypuszczać, że to horrendalne zniekształcenie znaczenia greckiego słowa *demokratia* oznaczającego „ludowładztwo” było podstawą wierzeń zdyscyplinowanych członków ZWC, którym rzekomo „demokratycznie” kierował Lech, unikając słowa „dyktatura”, kładąc natomiast znak równania między „narodem” i „proletariatem”, co miało wybitnie faszystowski posmak⁸.

5. Protokół posiedzenia Rady Naczelnej PMSD z dnia 9 lipca 1938 r.

6. Lerski, *loc. cit.*, str. 176.

7. „Argumenty przytoczone przez Jerzego Lerskiego-Sołtysika na dowód demokratycznego charakteru Związku Walki Czynnej” w protokole konferencji odbytej pomiędzy kol. Dworskim, Lerskim-Sołtysikiem a reprezentantami Rady Naczelnej PMSD, kol. Żygulskim, Rostowskim i Kończackim (bez daty).

8. *Ibid.*

Już poprzednio zachowanie się kol. Lecha było poważnie kwestionowane. Chodziło o bezpodstawne oskarżenie przez niego innego członka PMSD o prowokatorstwo. Za wykroczenie to Sąd Koleżeński, okazując niezwykłą łagodność, udzielił kol. Lechowi nagany⁹. Rada Naczelna okazała się o wiele bardziej stanowcza. Jej decyzja w sprawie Lecha była niedwuznaczna: „Rada Naczelna na zebraniu, dnia 9 lipca 1938, na podstawie art. 9, punkt z Regulaminu Wewnętrznego PMSD postanowiła jednomyślnie usunąć kol. Lecha Jana z szeregów Organizacji. Rada Naczelna stwierdziła, że działalność kol. Lecha (...) stoi w sprzeczności z zasadami Deklaracji Ideowej PMSD¹⁰”.

Jerzy Lerski nie był obecny na tym zebraniu i nie zwlekając stanął w obronie Lecha, wszczynając energiczną propagandę wśród członków PMSD i Koła Senatorów. Obie te grupy nie miały nigdy pełnego obrazu sprawy. Wobec tego, że prezes PMSD Lerski nie zastosował się do postanowienia Rady Naczelnej, pozostali jej członkowie nie mogli niczego innego uczynić jak wystąpić z Organizacji. Przytaczam wyjątek z tekstu uchwały Rady Naczelnej dotyczącej tej sprawy:

„a. Z dniem dzisiejszym Rada Naczelna nie odpowiada za zgodność kierunku ideowego PMSD z zasadami deklaracji ideowej organizacji.

b. Z dniem dzisiejszym składa swój mandat władzy stowarzyszenia.

c. Poleca członkom w skład jej wchodzącym natychmiastowe wystąpienie z organizacji”.

Wniosek niniejszy został przez Radę przyjęty i jednomyślnie uchwalony dnia 27 sierpnia 1938¹¹.

Jak lojalnie stwierdza Lerski — wstrzymaliśmy się od stworzenia rozłamowego stowarzyszenia¹². Zrobiliśmy tak, gdyż chodziło nam o dobro demokracji. Nazywając wiadome Radzie Naczelnej fakty obciążające kol. Lecha „krzywdzącymi podejrzeniami¹³”, Lerski dał pierwszeństwo swemu poczuciu nieograniczonego zaufania do Lecha, odrzucając tym samym zimną ocenę poważnych informacji, na których jako członko-

9. Protokół posiedzenia Rady Naczelnej PMSD z dnia 9 lipca 1938 r.

10. *Ibid.*

11. Protokół posiedzenia Rady Naczelnej PMSD z dnia 27 września 1938 r.

12. Lerski, *loc.cit.*, str. 176.

13. *Ibid.*

wie Rady Naczelnej musieliśmy się oprzeć, aby powziąć właściwą decyzję w obronie naszej idei, co było równoznaczne z obroną rozumnie przyjętych interesów PMSD. Co jest zadziwiające, to niekontrolowany element emocjonalności, wyziewający ze słów pisanych przez Lerskiego o „sprawie Lecha” po czterdziestu latach i wobec roli politycznej, jaką on odegrał w PRL. Gdy spotkaliśmy się po wojnie w Londynie, Lerski w długiej i szczerej rozmowie powiedział mi, że zawiódł się na Lechu. Lech znalazł się wśród tych, którzy wylądowali w aparacie partyjno-administracyjnym PRL w najgorszych czasach 1945–1956. Był sekretarzem PPS w Szczecinie, później wstąpił do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i został sekretarzem generalnym Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej¹⁴. Zmarł w Warszawie w latach siedemdziesiątych.

W przyjaźni i nieograniczonym zaufaniu, jakim Lerski darzył Lecha w ostatnich latach przed wojną, było coś pozornie irracjonalnego, czego ślady widać jeszcze w artykule o PMSD. Była to irracjonalność na pierwszy rzut oka tylko, gdyż głębsza znajomość ówczesnych warunków społecznych, politycznych i towarzyskich może niejedno wytłumaczyć. Lerski wymienia Lecha wśród swych najbliższych współpracowników, nazywając go „namiętnym radykałem”; w innym znów miejscu określa go jako „dynamicznego aktywistę¹⁵”. Znając dobrze Lerskiego nie miało się wątpliwości, że w jego pojęciu określenia te były najwyższymi superlatywami. W naszym środowisku organizacyjnym, składającym się z synów i córek typowej przedwojennej klasy średniej wszystkich gradacji, Lech, syn proletariusza — jego ojciec był robotnikiem tramwajowym — stanowił wyjątek. Prześiknięci duchem demokracji i dbali o dobre maniery, traktowaliśmy go absolutnie na równi z każdym z nas. Niemniej była jedna zasadnicza różnica między jego kolegami z PMSD a nim. W kontraście do czasów dzisiejszych — czasów powszechnego równania w dół i kamuflowania różnic zarówno towarzyskich jak i ekonomicznych — jedną z rzucających się w oczy cech Polski przedwojennej była tendencja do podciągania się „w górę”. „Góra” służyła jako wzór w procesie społecznej wspinaczki.

14. Leon Chajn, *Materiały do historii Klubów Demokratycznych i Stronnictwa Demokratycznego w latach 1937–1939*. Warszawa 1964, Tom II, str. 276.

15. Lerski, *loc.cit.*, str. 150, 176.

Paradoksalnie, radykalizm mógł być pomocny w tym procesie. Tak było niewątpliwie w przypadku Lecha. Ten „namiętny radykał” mógł łatwo znaleźć sobie niszę w takiej organizacji jak PMSD, podczas gdy jego proletariackie pochodzenie nadawało specyficzny posmak „dynamicznemu aktywizmowi”, tak podziwianemu przez Lerskiego. Niestety ten aktywizm, który był dominującą cechą usposobienia Lecha, zaczął spychać go na polityczne manowce. Nie chcę być posądzony o opinię, że motywem jego postępowania w latach przedwojennych był oportunizm. Pamiętam doskonale jego często powtarzane zdanie: „Jeśli człowiek za młodu nie jest radykałem, to jakim draniem (*sic*) stanie się na starość!”. Nie miałem powodu wątpić w jego szczerość.

Wdrapywanie się Lecha na społeczną i towarzyską „górze” miało też i rażące aspekty. Wspomnę tylko lekceważenie, z jakim wyrażał się o swoim ojcu, sądząc zapewne, że w oczach kolegów pomoże mu to w zwiększeniu dystansu społecznego między tym człowiekiem a nim. Na mnie robiło to jak najgorsze wrażenie, gdyż miałem okazję poznać tego godnego szacunku robotnika, ideowego PPS-owca, który ze swoich skromnych zarobkówłożył na wykształcenie syna i zapewniał mu środki na styl życia, nie różniący się wiele od naszego. Dalszy element w tej analizie to fakt, że młodość ma swój szybko zmieniający się, charakterystyczny sposób myślenia. W owych latach byliśmy jeszcze bardzo młodzi, przeżywaliśmy okres romantyczny i nieobce były nam słowa poety: „...Młodości! ty nad poziomy wylatuj...”. Różniliśmy się niejednokrotnie biegunowo w interpretacji tych słów. Dodać należy, że nasze pokolenie trapiła choroba konspiracji, którą zaraziliśmy się słuchając o przeżyciach naszych ojców i ich walce o niepodległość. Domorośli konspiratorzy z lat trzydziestych nie zdawali sobie w pełni sprawy, że okoliczności się zmieniły. Najlepszym przykładem tego było przybranie nazwy „Związek Walki Czynnej”, co w ówczesnych warunkach było nie tylko wysoce pretensjonalne, ale po prostu śmieszne i granoczyło z infantylizmem. Szukając ujścia dla młodzieńczej energii, musieliśmy obierać cele naszych akcji i środki dla ich realizowania. Dla niejednego z nas cyniczna zasada „cel uświęca środki” stanowiła pokusę trudną do pokonania. Niemniej w walce o demokrację musieliśmy posługiwać się środkami zgodnymi z etyką, jaką dyktował nam cel, podczas gdy nasi polityczni przeciwnicy, ze względu na niemoralną naturę ich celów, nie musieli się kłopotać żadnymi

skrupułami w wyborze środków, mimo że wielu z nich pretendowało do miana praktykujących katolików.

Gdy pomyślę o metodach stosowanych w naszym ówczesnym życiu politycznym, nie mogę pominąć napaści bojówki Młodzieży Wszechpolskiej na lokal PMSD, kiedy Lerski został ciężko pobity, i o reakcji Lecha na ten barbarzyński incydent¹⁶. Byliśmy wszyscy wytrąceni z równowagi i zastanawialiśmy się, jak zareagować na to, co się stało. Wówczas Lech zaprowadził mnie pod budynek redakcji jednej z endeckich gazet z zamiarem wybicia szyb w oknach, oczekując, że mu w tym pomożę. Zabrało mi sporo czasu, aby go przekonać, że są lepsze sposoby postępowania i w końcu udało mi się powstrzymać go od tej akcji niegodnej demokratów potępiających bojówkarskie metody¹⁷. To zdarzenie dobrze ilustruje, jak trudno niektórym z nas było zrozumieć prawdziwą istotę demokracji i zgodnie z nią postępować.

Były to okoliczności i atmosfera, w której kilku członków Rady Naczelnej postanowiło walczyć o „czystość” ideową naszej Organizacji, widząc grożące niebezpieczeństwo. Odrzucaliśmy bezkompromisowo pragmatyzm w traktowaniu tych rzeczy, wypływający czasami z fałszywie pojętych więzów koleżeństwa i osobistej przyjaźni. Pragmatyzm ten przejawiał się w unikaniu sporów i tuszowaniu niewygodnych konfliktów. Ten typ pragmatyzmu przemawiał też do przekonania niektórym z naszych seniorów. Niemniej jednak „czystość” ideologiczna miała szczególną wagę w warunkach wzrastających ataków na demokrację w kraju i na zewnątrz, zarówno na zachodzie jak i na wschodzie.

Jak już poprzednio wspominałem, w rezultacie konfliktu wewnątrz PMSD wywołanego „sprawą Lecha” członkowie Rady Naczelnej (z wyjątkiem kol. Lerskiego) postanowili wystąpić z Organizacji. Czyniąc to, uważali za swój obowiązek przesłać członkom Organizacji i niektórym seniorom oświadczenie, wyjaśniające i uzasadniające ich decyzję. O ile mnie pamięć nie myli, oświadczenie to zostało wysłane w trzy tygodnie po naszym wystąpieniu z PMSD. Zabiegi o kompromis i nasz powrót do Organizacji okazały się bez-

16. *Ibid.*, str. 163, 164.

17. Nawiasem mówiąc niniejsze zdarzenie przypomina mi o fakcie, że pół wieku później „Solidarność” osiągnęła swoje cele bez wybijania szyb, nie mówiąc o innych, bardziej drastycznych metodach walki.

przedmiotowe. Z początkiem listopada 1938 r. kol. Żygulski i ja otrzymaliśmy identyczne listy, podpisane przez prezesa PMSD Jerzego Lerskiego¹⁸. Listy te zawierały niezgodne z prawdą uwagi na temat naszej akcji w „sprawie Lecha” i wysoce nieparlamentarne zwroty skierowane do nas, które stanowiły niewątpliwą zniewagę. Ponieważ przestaliśmy być członkami, nie mogliśmy oddać sprawy Sądowi Koleżeńskiemu PMSD. Była to obraza honoru wymagająca natychmiastowej reakcji. W tej sytuacji byliśmy zmuszeni posłać Lerskiemu sekundantów, co też uczyniliśmy. Nieprawdą jest, jak pisze Lerski, że sekundantów posłał mu kol. Rostowski wraz z kol. Karpińskim, Kończackim, Letkim i Żygulskim¹⁹, natomiast prawdą jest, że sekundantów posłaliśmy mu tylko my dwaj, tj. Żygulski i ja. Rostowski był w tym czasie na studiach w Paryżu i nic z tą sprawą honorową nie miał wspólnego, podobnie jak kol. Karpiński i Letki. Z Rostowskim nie korespondowaliśmy zupełnie w czasie jego wielomiesięcznego pobytu za granicą.

Rzecz jasna, szczegóły spraw honorowych dostępne były jedynie stronom bezpośrednio zainteresowanym i ich reprezentantom. Po upływie przeszło pół wieku nasza sprawa należy do historii. Strona wyzwana nie żyje, pozostały tylko protokoły posiedzeń sekundantów, z których łatwo można odtworzyć, co się działo. Ograniczę się do ujawnienia dwóch decyzji, rzucających nieco światła na sposób prowadzenia sprawy, a powziętych w jej toku, tj. między 5 listopada a 8 grudnia 1938.

Po pierwsze, w czasie obrad między sekundantami okazało się, że Lerski, jako oficer rezerwy, podlega sądowi honorowemu wojskowemu „...którego wyrok, po formalistycznie przeprowadzonej rozprawie, pociągnąłby groźne konsekwencje (kary aż do możliwej degradacji włącznie...)”²⁰. Zgodnie z życzeniem strony wyzwanej, która najwidoczniej nie chciała podjąć ryzyka połączonego z trybem wojskowym, strona wyzywająca zgodziła się na prowadzenie sprawy w trybie cywilnym.

Po drugie, obie strony przyjęły *Polski Kodeks Honorowy* W. Boziewicza (wydanie szóste) jako podstawę postępowania

18. Jerzy Lerski-Sołtysik do Zbigniewa Kończackiego, 28 października 1938. L 127/38.

19. Lerski, *loc.cit.*, str. 176, 177.

20. Oświadczenie J. Dworskiego i A. Orskiego (reprezentantów strony wyzwanej) z 2 grudnia 1938.

honorowego, stwierdzając jednomyślnie, iż uznają za wskazane załatwić spór pokojowo²¹. To ostatnie stwierdzenie oznaczało odrzucenie przez nas pojedynku, będącego wg Kodeksu Bożewicza formą załatwienia *in extremis*, gdzie strona obrażona ma prawo wyboru broni. Było to zgodne z naszymi demokratycznymi pojęciami o cywilizowanych stosunkach między ludźmi, dyktowanymi poczuciem humanitarności.

Dnia 9 grudnia 1938 r. nasz spór honorowy został załatwiony polubownie. Kol. Lerski odwołał obrazę, oświadczając, że nie miał zamiaru obrazić strony wyzywającej i słowa, które strona ta uznała za obraźliwe, cofa²². Pozwoliło to na kontynuowanie przyjaźni między obu stronami.

Czy zarzuty stawiane Lechowi pozostały nieudowodnione, jak uważał Lerski, to inna sprawa²³. Zupełne niezrozumienie Lecha dla idei demokracji i wynikające z tego błędy w jego postępowaniu potwierdzone były jego własnymi wypowiedziami i to nie wymagało lepszych dowodów. Nie było też wątpliwości co do jego udziału w stworzeniu Związku Walki Czynnej i jego kontaktów ze Związkiem 13 Maja. Obie organizacje były tajne o zabarwieniu sanacyjnym, z okresu gdy po śmierci Marszałka Piłsudskiego sanacja uległa degeneracji i pewne jej odłamy zaczęły skłaniać się ku faszyzmowi. Nie można też odrzucić faktu, że powojenne postępowanie Lecha w całej pełni utwierdziło nas później w naszej przedwojennej ocenie jego zachowania się w latach istnienia PMSD.

Z perspektywy ponad pół wieku dokumenty, zarówno te użyte przez Lerskiego, jak i przeze mnie i uzupełnione naszymi wspomnieniami, są ciekawym materiałem nie tylko dla historii ruchów młodzieżowych, ale i w szerszym sensie do obyczajów i stosunków społecznych w Polsce schyłkowego okresu międzywojennego.

Jak już wspomniałem poprzednio, trapiła nasze pokolenia choroba politycznej konspiracji w warunkach, w których zdrowie życia politycznego wymagało otwartości i nieskrępowanego tajemnicami udziału w działalności publicznej. Byliśmy jeszcze bardzo młodzi i przeważnie studiując na wyższych uczelniach, stwarzaliśmy struktury obyczajowe często

21. Protokół posiedzenia sekundantów obu stron z 2 grudnia 1938.

22. Protokół posiedzenia sekundantów obu stron z 9 grudnia 1938.

23. Lerski, *loc.cit.*, str. 177.

zamknięte w sobie i pod względem treści ideologicznej infantylnie dogmatyczne. Pozostawaliśmy w kontaktach z politycznie zaangażowanymi członkami starszych pokoleń, głównie z asystentami, docentami i profesorami. Ci ostatni stanowili większość w grupie „seniorów”, popierających naszą działalność organizacyjną. Ludzie ci, będący „śmietanką” polskiej inteligencji, traktowali nas poważnie, gdy chodziło o naszą działalność polityczną i związaną z nią kwestią obrony dobrego imienia i godności osobistej. Obrona ta często pozostawała na styku życia politycznego i towarzyskiego. Być obrażonym i nie bronić swego honoru, według ówczesnych norm, ogólnie obowiązujących w naszym środowisku, narażało daną jednostkę na stygmat niehonorowości. Człowiek „niehonorowy” podlegał towarzyskiemu ostracyzmowi, a w wojsku degradacji. Ten sposób postępowania miał swoje uzasadnienie, gdyż brak było u nas prawnych mechanizmów, opartych na procedurze sądowej, jakie istnieją w świecie anglosaskim, pozwalających na skuteczne dochodzenie zadośćuczynienia za obrazę. Nic więc dziwnego, że starsi od nas pracownicy na Wydziale Prawa traktowali naszą sprawę poważnie, a ujęcie przez Lerskiego słowa sekundant w cudzysłów prowadzi do zniekształcenia sytuacji sugerując, że rola jaką oni odegrali nie była poważna²⁴. Nie należy zapominać o pozycji społecznej i naukowej naszych sekundantów. Przedstawiciele Lerskiego, Hubert i Mikuszewski, byli docentami, a Mikuszewski także sędzią. Nasi sekundanci Ostrowski i Turek byli magistrami i o ile mnie pamięć nie myli zajmowali stanowiska asystentów na Wydziale Prawa. Po wojnie ten ostatni wyemigrował do Kanady, gdzie stał się znanym i ogólnie poważanym działaczem politycznym.

Historia opisaney tu sprawy honorowej, widziana z dystansu dwóch pokoleń i w kontekście drastycznych przemian polityczno-społecznych, ma również poważny walor dydaktyczny. Wśród wielu sporów honorowych toczących się wówczas była to sprawa wyjątkowo ciekawa i rzadka pod względem treści. Niewielu dziś ludzi w Polsce, nawet w środowiskach uniwersyteckich, uświadamia sobie, jak właściwie wyglądały i czemu służyły sprawy honorowe. Pamiętać należy, że koniec lat trzydziestych obecnego stulecia to epoka, w której obowiązywały, w środowiskach młodych studentów, swoiste zasady obyczajowe. Można się dziś odnosić do nich

24. *Ibid.*

krytycznie, ale nie można odmówić im znaczenia w warunkach, gdy niedoskonałość oficjalnego systemu sprawiedliwości wymagała innych sposobów szukania zadośćuczynienia.

Nie sądzę, by indywidualne pojęcie godności osobistej i honoru zmieniło się wiele od tych czasów. Co się zmieniło natomiast, to zastosowania „kodeksów honorowych”, które zapewne zaliczyć dziś można śmiało do bibliofilskiej kategorii „białych kruków”.

Zbigniew KOŃCZACKI

DOKUMENTY

DEZERCJE ŻYDÓW Z ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE

Dowództwo Armii Polskiej na Wschodzie
Duszpasterstwo Wyzn. Mojżeszowego

m.p. dn. 11 lutego 1944 r.
Tajne

L.dz.226/44

Szef Sztabu Armii
przez Szefa Oddziału Personalnego m.p.

Melduję, że rozkazem Dowództwa Armii z dnia 14 stycznia 1944 roku L.dz.8/Sztab//44 udałem się w dniu 15 stycznia 1944 roku do Kairu, gdzie byłem do dnia 31 tegoż miesiąca. Celem mego pobytu w Kairze było nawiązanie kontaktów z duszpasterzami Armii Sprzymierzonych.

Tematem przeprowadzonych rozmów były wprawdzie problemy związane z żydostwem polskim, jednakże obejmowały one również sprawy ogólnopolityczne doby obecnej.

Uwzględniłem przede wszystkim: a. olbrzymie znaczenie trzy i pół milionowego społeczeństwa żydowskiego polskiego w świecie żydowskim do wybuchu wojny, jego rozwój pod względem religijnym, kulturalnym, narodowym i ekonomicznym, b. wkład Polski do wysiłku wojennego w nieustannej walce z hitleryzmem, c. wyniszczenie żydostwa polskiego przez okupanta, d. przejścia Żydów — obywateli polskich tak w okupacji sowieckiej w Polsce, jak na zesłaniu (temu zagadnieniu poświęciłem

dużo rozmów, gdyż jest to dotychczas dla żydostwa Państw Sprzymierzonych nieznana karta cierpień i tortur), e. rozwój duszpasterstwa wyznania mojżeszowego w Armii Polskiej przed wojną i w Armii poza granicami Polski (...), f. problem granic wschodnich, który w chwili obecnej jest zagadnieniem olbrzymiej wagi dla całego świata i g. odbudowa żydostwa polskiego po wojnie.

Na wstępie muszę zauważyć, że koledzy moi, czy to w Armii Amerykańskiej, czy Brytyjskiej lub Afrykańskiej w większości nie wykazywali dużych znajomości problemów. Przeciwnie, na każdym kroku uwydatniał się brak elementarnych wiadomości. Przyznać jednak muszę, że w czasie rozwijających się rozmów wykazywali oni coraz bardziej rosnące zainteresowania i przyznawali się ze szczerością i prostotą, że informacje przeze mnie udzielane są dla nich zupełną nowością. Jest rzeczą zrozumiałą, że sprawy żydowskie były tylko odskocznią od tematu, który był przez wszystkich bez wyjątku poruszany. Chodziło mianowicie o problem rosyjsko-polski, tak w odniesieniu do pobytu uchodźstwa polskiego na terenie ZSSR jak i najżywczej sprawy granic wschodnich.

Postaram się przedstawić rozmowy moje w porządku chronologicznym; tak, jak je przeprowadzałem, uwypuklając w poszczególnych punktach te problemy, które wzbudzały specjalne zainteresowanie moich kolegów.

Pierwszym kontaktem moim na terenie Egiptu było zetknięcie się z naczelnym rabinem Armii Brytyjskiej na Środkowym Wschodzie, mjr. I. LEVY. Zainteresował się on przede wszystkim losem Żydów w Armii Polskiej, którzy zostali w roku 1939 wywiezieni na tereny ZSSR. Dałem mu jak najdokładniejszy obraz stosunków, panujących w więzieniach i obozach pracy, opisywałem poszczególne wypadki i przejścia oficerów i szeregowych z Kampanii Wrześniowej, ich cierpienia i katusze. Rabin Levy był do głębi wzruszony moimi opowiadaniem i raz po raz prosił o dalsze szczegóły, odnoszące się do tego okresu.

Rabin Levy po rozmowie ze mną urządził w dniu 23 stycznia nabożeństwo dla żołnierzy żydowskich Armii Sprzymierzonych, w którym wzięło udział kilku rabinów. Na nabożeństwo to zorganizowałem delegację Żydów, służących w Armii Polskiej, złożoną z oficerów i szeregowych. Delegację tę przedstawiłem rabinom. Po nabożeństwie ludność cywilna miasta urządziła dla uczestników nabożeństwa przyjęcie. Rabin Levy zasiadł do stołu polskiego i rozmawiał z żołnierzami polskimi, wypytując ich o przejścia, o drogę, jaką przebyli od roku 1939-go, o rodziny pozostałe w Polsce i na terenie ZSSR. Rabin Levy wy-

raził się z pełnym podziwem o postawie delegacji, chwalił jej zachowanie się i wysoki poziom intelektualny. Wybrana delegacja składała się przeważnie z byłych uczniów Szkoły Podchorążych, musiała więc wywrzeć dodatnie wrażenie. Gdy rabin wyraził życzenie uwiecznienia chwil spędzonych w kole żołnierzy polskich, zgodziłem się na wspólną fotografię żołnierzy, biorących udział w nabożeństwie z Naczelnym Rabinem mjr. Levy i innymi rabinami.

Drugi kontakt nawiązałem z Naczelnym Rabinem Lotnictwa Brytyjskiego mjr. BRODIE. Jest on rabinem wojskowym jeszcze z czasów poprzedniej wojny, człowiekiem poważnym, posiadającym mir i wpływy w angielskich kołach wojskowych. Zna on Armię Polską od chwili jej powstania na terenie Środkowego Wschodu. Pierwsze jego wspomnienia o naszej Armii sięgają jeszcze bardziej wstecz. Związane one są bowiem ze Szkocją, gdzie przebywał czas dłuższy i gdzie miał możliwość zapoznania się z tymi, których los wojny rzucił na front Zachodni. Był on pod Tobrukiem, gdzie z bliska obserwował postawę i bitność żołnierza polskiego. W ubiegłym roku, będąc w Iraku, miał również sposobność zetknięcia się z pełną Armią Polską na tym terenie. I z nim rozmowy przechodzą zrazu na sprawy polityczne. Ale o tym poniżej, toczyły się bowiem one nie tylko w obecności rabina Brodiego, lecz brali w nich również udział poprzednio już wspomniany Nacz. Rabin Armii Brytyjskiej mjr Levy i rabin Wojsk Brytyjskich kpt. dr Eszkoli, znany filolog, były profesor Uniwersytetu w Paryżu. Eszkoli rodem z Łodzi, włada między innymi i językiem polskim. Kontaktował się on dość często z naszymi żołnierzami w szpitalach angielskich i rozmawiał z nimi tylko po polsku.

Jak rozwijały się rozmowy z tymi trzema reprezentantami brytyjskiego duszpasterstwa? Na czoło naszej rozmowy wysunięta została prez rab. Eszkoli kwestia granic, linia demarkacyjna z r. 1939 pomiędzy Niemcami i ZSSR. To była główna nić kilkakrotnych naszych spotkań. Problemy te traktują poważnie i, zwracając uwagę na moje pochodzenie z Małopolski, wyrażają zadowolenie, że zapoznają się z opinią człowieka, pochodzącego z terenu spornego, który przedstawił dokładnie istotny stan rzeczy co do słusznego stanowiska Rządu i Narodu Polskiego, będącego również stanowiskiem Żydów polskich.

Rozmowy z rabinami angielskimi przechodzą na okres okupacji sowieckiej. Wypytyują oni o przebieg kampanii plebiscytowej. Omawiamy w dalszym ciągu problemy natury wewnętrznej na terenach okupowanych przez ZSSR. Opowiadam o sposobach wyzbywania i wysiedlania Polaków z ich majątków. Rabin zapytuje o stosunek władz sowieckich do ludności żydowskiej na

tych terenach i o stosunek tejże ludności do okupantów. W odpowiedzi udzieliłem wyczerpujących informacji, mając do dyspozycji dużo materiału, dostarczonego mi przez ankietę, przeprowadzoną wśród żołnierzy wyznania mojżeszowego A.P.W. o przeżyciach obywateli polskich w ZSSR.

Rabini angielscy zapraszali mnie na przyjęcia urządzone przez nich, w których niejednokrotnie wzięli udział ich przyjaciele i znajomi, rekrutujący się ze sfer wojskowych. Zauważyłem, że w rozmowach, prowadzonych przez nich na powyższe tematy wielokrotnie, jakby żywcem powtarzali moje wywody i stanowisko, podkreślając, że żydostwo polskie nigdy nie zgodzi się na okrojenie granic Rzeczypospolitej Polskiej.

Wymienieni wyżej rabini, mjr Levy, mjr Brodie i kpt. Eszkoli, poruszyli jeszcze b. przykrą dla mnie sprawę masowego opuszczania szeregów A.P.W. przez żołnierzy-Żydów. Przedstawiłem wymienionym faktyczne tło i okoliczności tej sprawy. Uwzględniłem przy tym wielki kontrast między wszystko rabującą względnie nic nie dającą Rosją sowiecką i kwitnącą, bogatą, tęsknotę zaspokajającą Palestyną, tragiczne wieści, dochodzące z kraju o wymordowaniu Żydów w Polsce, o możliwości łatwego ugruntowania egzystencji w Palestynie wśród krewnych i znajomych. Dodałem również, że niepoślednią rolę odegrała w tej materii propaganda sowiecka, działająca niewątpliwie na terenie Palestyny oraz psychoza, która ogarnęła żołnierzy-Żydów przed obawą powrotu do terenów polskich, o których ZSSR głosi, że będą częścią składową Związku Sowieckiego, do którego to żaden Żyd po zapoznaniu się z jego reżymem wrócić nie chce.

Opowiedziałem rabinom o wysiłku moim dla powstrzymania tej fali, którą uważam za najdotkliwszy cios z punktu widzenia moralnego, religijnego i państwowego, o moich kontaktach z instytucjami i osobistościami wpływowymi na terenie Palestyny i rabini zgodzili się ze mną, że czyny te nie licują z godnością Żyda — obywatela polskiego.

Następne rozmowy przeprowadziłem z Rabinem Armii Amerykańskiej na Wschodzie, kpt. Josefem FRIEDMANEM. Jest to człowiek młody, politycznie nie bardzo wyrobiony, lubiany jednak i popularny wśród wyższych oficerów, mający stałe kontakty z rabinami Armii Amerykańskiej, a w szczególności z rabinem dr. Bricknerem, wysłannikiem Prezydenta Roosevelta. Zainteresował się on organizacją duszpasterstwa Armii Polskiej. Wypytywał się o prace rabinów w okresie pokojowym, o rabinów służących wówczas w Armii i o stosunek władz do żołnierzy żydowskich. Prosił o informacje odnośnie położenia obywateli, pozostałych na terenie ZSSR.

Poznał mnie on z Szefem Duszpasterstwa Katolickiego ks.

mjr. James CAREY'em. Rabin Friedman był do głębi wzruszony moim referatem o przejściach Polaków na terenie Rosji Sowieckiej i oświadczył, że dopiero teraz zrozumiał, dlaczego żaden z Polaków nie chce wracać do Polski, o ile ona miałaby być zależna lub rządzona przez elementy zbliżone do ZSSR. Pokazałem fotografie niektórych rabinów, m.in. fotografię Naczelnego Rabina Wojsk Polskich, mjr. Steinberga, który zginął wraz z tysiącami innych wysokich oficerów pod Smoleńskiem, opisałem moim rozmówcom beznadziejność losu setek tysięcy pozostałych jeszcze na terenie tamtejszym i czułem, że rozmową tą trafiłem do głębi serc moich słuchaczy. Opowiedziałem również okoliczności aresztowania Naczelnego Rabina m. Warszawy prof. dr. Schorra, genezę i przebieg procesu oraz śmierć jego w więzieniu (prof. Schorr był prof. b.c. Seminarium Rabinicznego w Nowym Jorku).

Rabin Friedman wezwał oficjalnego operatora fotograficznego Biura Prasowego Armii Amerykańskiej, który zrobił wspólne zdjęcie ks. mjr. Carey'a i rabina Friedmana ze mną. Zdjęcie to zostało przesłane do prasy amerykańskiej wraz z wywiadem ze mną, jako Szefem Duszpasterstwa A.P.W. W wywiadzie opisane są dzieje duszpasterstwa wyznania mojżeszowego do roku 1939 i od chwili organizowania się formacji wojskowych na Bliskim Wschodzie. Dalej podane są w nim dzieje rozwoju oddziałów polskich po ich wyjściu z ZSSR, praca duszpasterstwa żydowskiego na terenie Iranu i Iraku. Rabin Friedman podkreślił w wywiadzie, iż w nabożeństwach świątecznych żołnierzy wyznania mojżeszowego brali udział Dowódca Armii na Wschodzie gen. Anders, generałowie i wyżsi oficerowie sztabowi.

Rabin Friedman zaprosił mnie na obiad, w którym uczestniczyło szereg rabinów. Tematem toczących się wówczas rozmów były problemy polskie, w szczególności rozwój Armii Polskiej i jej przejścia od chwili opuszczenia granic Rzeczypospolitej. I tu natrafiłem na ludzi zupełnie niezorientowanych co do problemu polsko-sowieckiego. Słuchacze moi nie wiedzieli dokładnie, o jakie ziemie spór się toczy. Pytania zadawane podczas dyskusji odnosiły się do stosunków mniejszościowych na terenach spornych. Z zaciekawieniem przysłuchiwali się wywodom moim o stosunku władz sowieckich do społeczności żydowskiej. Opowiedziałem o nieudanym eksperymencie kreowania republiki żydowskiej w Birobidżanie, o gnębieniu wszelkiego ruchu, a nawet inicjatywy elementów religijnych lub narodowych. Tłumaczyłem, że Żydzi, pozostający pod reżymem sowieckim, muszą zrezygnować na zawsze z aspiracji religijnych i narodowych. A przecież właśnie żydostwo polskie, pochodzące z tzw. Kresów, było w znacz-

nej swej większości religijnie i narodowo uświadomione i z jego szeregów rekrutowała się emigracja do Palestyny. Dlatego też każdy Żyd zainteresowany jest z pobudek narodowych i religijnych, by tereny te pozostały przy Polsce.

Spotkałem się również z zapytaniem co do polskości Lwowa, na które udzieliłem odpowiedzi, że dla mnie, jako lwowianina, miasto to było zawsze polskie, nawet wówczas, gdy podlegało władzom austriackim. Od najwcześniejszej młodości pamiętam, że językiem urzędowym i wykładowym w szkolnictwie był język polski. Nauka (Uniwersytet Jana Kazimierza), sztuka, literatura, prasa i inne dziedziny życia tego miasta były czysto polskie i dopiero obecnie z roszczeń sowieckich ku największemu zdziwieniu dowiedziałem się, że rodzinne moje miasto było rzekomo ongiś ukraińskie.

Przeprowadziłem też rozmowy z rabinem Armii Płd. Afrykańskiej kpt. HIKMANEM i kpt. ROMEM. Zetknąłem się też z rabinem VIII Armii w przejeździe jego do Indii, rab. kap. LEWEM. Widział on już nasze oddziały we Włoszech i wyraził się o nich z pełnym uznaniem.

Nadto złożyłem wizytę Naczelnemu Rabinowi Egiptu, J.E. HAIM NACHUM EFFENDI, byłemu Naczelnemu Rabinowi Turcji. Jest on autorytetem na całym Wschodzie. Przyjaciel zmarłego króla, ma dostęp w każdej chwili do dworu królewskiego. Posiada on szeroko rozgałęzione stosunki we wszystkich sferach i warstwach nie tylko tego kraju, ale daleko i poza granicą. I tego rabina zainteresowałem naszymi sprawami.

Wziąłem udział w Kairze w rozprawie sądowo-rabinackiej, na której przedstawiłem, w jaki sposób podobne wypadki były rozstrzygane w Polsce.

Przez cały czas mego pobytu byłem w kontakcie z oficerem łącznikowym płk. Giełgudem i jego zastępcą rtm. Tyszkiewiczem. Dnia 29 stycznia rtm. Tyszkiewicz zaprosił rabinów Armii Sprzymierzonych na herbatkę, na której byli obecni między innymi gen. Przewłocki i gen. Szarecki oraz szereg wyższych oficerów.

Reasumując powyższe pragnę przedstawić kilka refleksji, które nasuwały się przez cały czas mego pobytu. Z rozmów przeprowadzonych z wymienionymi duszpasterzami wyciągnąć można jeden wniosek: należy bezwzględnie poinformować o sprawach polskich żydowską opinię publiczną, tak bardzo wpływową, zarówno na terenie Anglii, jak i Stanów Zjednoczonych i innych krajów Ameryki. Rabini Armii Brytyjskiej zwrócili się do mnie jako Szefa Duszpasterstwa wyznania mojżeszowego z sugestią w sprawie nawiązania kontaktu z duchowieństwem żydowskim i innych wyznań na terenie Anglii. Rabin Friedman zaś w

wyniku naszych rozmów zaproponował mi ułatwienie nawiązania kontaktów z duszpasterzami Armii Amerykańskiej nie tylko tu na Wschodzie, lecz także na terenie Ameryki. Sprawa ta łączy się w jego pojęciu i z dalszym problemem, a mianowicie — pomocy powojennej. W tej chwili ten problem jest najbardziej popularny na terenie Stanów Zjednoczonych i w powiązaniu z nim można omawiać i sprawy politycznej natury. Polska cieszy się wielką popularnością w jego kraju, zainteresowanie dla jej celów i potrzeb można łatwo rozbudzić, jeśli się weźmie pod uwagę jedną tylko okoliczność: w Ameryce żyje kilka milionów Żydów. Ci Żydzi pochodzą w bardzo znacznej większości z ziem polskich. Któż z nich nie pozostawił matki, czy brata, lub bliskiego krewnego na terenach Polski? Ilu z nich posiada bliskich na terenach naszych Kresów? Moment uczuciowej natury odegrać winien decydującą rolę. Do tych ludzi podejść łatwo właśnie duszpasterzom, ponieważ tamtejsze żydostwo skupia się dookoła gmin i domów modlitwy. Rabini tamtejsi odgrywają w życiu poszczególnych obywateli zupełnie inną rolę aniżeli nasi w różnych połaciach kraju. Tam duszpasterstwo nie ogranicza się do problemów religijnych, z ambony poruszają duchowni wszystkie zagadnienia i sprawy, interesujące i dotyczące ich gminy. Nie wolno pominąć faktu, iż są to w dużej mierze byli wychowankowie szkół rabinackich w Polsce.

Istnieje jedno zasadnicze podejście — specyficzne właśnie dla nas duszpasterzy żydowskich. Miliony Żydów znajdują się na terenie ZSSR od rewolucji bolszewickiej. Ci są dla żydostwa straceni. Znalazły się te miliony w większości — wbrew swej woli — w zamkniętej ulicy, z której nie ma wyjścia, z której nie ma łączności z resztą współbraci. Do nich żadna wiadomość z zewnątrz o ich narodzie nie dochodzi. O tym wie żydostwo amerykańskie bez względu na swe zapatrywania ideowe. I tego kręgu nikt z nich nie zechce rozszerzać. Nawet i ci Żydzi amerykańscy, którzy zasymilowali się z otoczeniem i dla których nie istnieją cele i dążności narodowe. Ci tym bardziej są religijni, związani ze społecznością żydowską stokroć bardziej od elementów Palestyno-centrycznie uświadomionych. To jest podłoże dla pracy propagandowej.

W najbliższych miesiącach odbędzie się na terenie Stanów Zjednoczonych Światowy Kongres Żydostwa, którego zadaniem będzie omówienie zagadnień, związanych z ratunkiem pozostałych Żydów w Europie i który zajmie się sprawami Siedziby Narodowej w Palestynie. W Kongresie tym weźmie udział również delegacja Rosji Sowieckiej. Tak o tym doniosły ostatnio pisma tutejsze. Delegacja sowiecka wykona swe zadanie tak, jak jej nakazane będzie z góry. Wiemy, że znajdzie ona odpowiedni

grunt dzięki położeniu politycznemu na frontach. Tej delegacji należy przeciwstawić odpowiednią pracę uświadamiającą, prowadzoną przez ludzi świadomych swej drogi.

Wydaje mi się rzeczą konieczną nawiązanie kontaktów z duchowieństwem żydowskim i czołowymi osobistościami świata żydowskiego w Anglii i Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, celem należytego oświecenia i przedstawienia istoty sporu polsko-rosyjskiego oraz propagowanie nienaruszalności granic i całości Rzeczypospolitej Polskiej, która pierwsza przeciwstawiła się z bronią w ręku wrogowi całego świata demokratycznego.

Shef Duszpasterstwa Wyznania Mojżeszowego A.P.W.
STEINBERG M., Rabin

Biuro Studiów Bliskiego i Środkowego Wschodu

W SPRAWIE DEZERCCJI ŻYDÓW Z ARMII POLSKIEJ

ŚCIŚLE TAJNE

Dezerccja z Armii Polskiej Żydów przybrała po przybyciu do Palestyny masowy charakter. W ciągu ostatnich 2-3 tygodni oblicza się około 600 wypadków dezerccji, co stanowi już prawie 15 % oficjalnej liczby Żydów polskich żołnierzy. Należy zaznaczyć przy tym, iż jednostki, które dotąd przybywały do Palestyny, nie posiadały większego procentu Żydów. Dopiero następne jednostki zawierają wyższy procent Żydów. Toteż należy się z tym liczyć, że w najbliższych tygodniach liczba dezerterów przekroczy 2.000, tj. osiągnie co najmniej połowę liczby Żydów w Armii Polskiej, o ile jej znacznie nie przekroczy.

Dezerterzy kierują się częściowo do Batalionu Żydowskiego w Palestynie, częściowo do kibuców, względnie giną po miastach, gdzie łatwo jako fachowcy — technicy, rzemieślnicy, itp. — znajdują pracę. Część tych ludzi ma w Palestynie rodziny czy przyjaciół, część zaś należy do tych czy innych politycznych organizacji żydowskich, które im również udzielają pomocy. Na ogół istnieje ogromna solidarność społeczeństwa żydowskiego w Palestynie w stosunku do dezerterów, toteż ucieczka jest sprawą nader prostą, szczególnie wobec braku zarządzenia o przymusowym

meldowaniu się na tym terenie. Każda gmina żydowska, każdy rabin czy notariusz wydaje takiemu dezterowi dowód osobisty stwierdzający, iż urodził się w Palestynie czy Jemenie, skąd, jak wiadomo, istnieje stała nielegalna emigracja. Angielskie władze wojskowe nie badają bliżej dokumentów ochotnika, polskie władze wojskowe, jak dotąd, nie wszczynają żadnych w tej sprawie dochodzeń, toteż dezterzy wsiąkają natychmiast i bezpowrotnie w społeczeństwo miejscowe.

Pobudki, jakimi kieruje się przy ucieczce dezter, są dwójakiego rodzaju. Najważniejszą jest sprawa jego przyszłości po wojnie. Rozumuje bardzo prosto: w Polsce nic mu nie zostało, warsztat jego pracy jest zrujnowany, nie ma do czego i do kogo wrócić. Palestyna jest jego ojczyzną. U tych, którzy tu nigdy nie byli, a którzy wychowani zostali specjalnie w ideologii syjonistycznej, silnie odzywa się sentyment patriotyczny. Pobyt w Palestynie obecnie może być jedyną szansą w ich życiu dostania się i pozostania w tym kraju, toteż dążą do jak najszybszego zaczepienia się na tej ziemi, która im zapewni byt na przyszłość i pozwoli ściągnąć ewentualnie żyjącą jeszcze rodzinę z Polski. Ideowym momentem jest również trudny problem arabski, przed którym stanie po wojnie Palestyna. Żywotne tajne organizacje żydowskie wciągają dzisiaj w swoje szeregi *gros* młodzieży żydowskiej. Dezterzy, o ile nie wstępują w szeregi wojska brytyjskiego, mają pewne zaspokojenie obowiązku służby wojskowej w obecnej epoce, przez należenie do takiej czy innej tajnej organizacji.

Drugą pobudką dezercji jest antysemityzm w Polskiej Armii. Jak wiadomo miarodajne czynniki żydowskie są w posiadaniu dużej ilości dokumentów w tej sprawie. (Fałszywych czy prawdziwych rozkazów, stenogramów, odpraw, opisów poszczególnych wystąpień itp.). Dezter, któremu ktoś może zarzucić brak dyscypliny wojennej czy też brak honoru żołnierskiego, ma w odpowiedzi takie morze opowiadań potwierdzonych dokumentami, częściowo na temat polskiego antysemityzmu, że całkowicie oczyszcza się w opinii. Na domiar złego, przybyli do Palestyny polscy żołnierze, pomimo na pewno istniejących zarządzeń, niejednokrotnie swoim zachowaniem się dają wyraz istnjącemu wśród nich antysemityzmowi.



Dezercje żołnierzy Żydów są ze zrozumiałych względów sprawą nad wyraz szkodliwą dla naszej sytuacji na arenie politycznej. Nie mówimy nawet w tej chwili o samych Żydach. Ani ubytek tych paru tysięcy żołnierzy ani opinia samego żydowskie-

go społeczeństwa w Palestynie nie są najistotniejszą sprawą. Chodzi o propagandę ze strony wrogich elementów antypolskich w tej sprawie na zagranicę, specjalnie na USA i Anglię.

Tutejsze koła komunistyczne wszczęły akcję w kierunku zbierania danych statystycznych dotyczących dezercji z Armii Polskiej oraz materiałów o antysemityzmie, celem wykazania, że stosunki narodowościowe w szeregach Wojska Polskiego są nie do zniesienia. Materiały te naturalnie zostaną przekazane do odpowiednich czynników w USA, gdzie już działalność delegacji sowieckiej w osobach prof. Michelsa i Peppera stworzyła odpowiednie antypolskie nastroje, związane również z problemem naszych wschodnich granic.

Angielskie koła wojskowe i polityczne, wobec faktu niedezercerowania Żydów z wojsk brytyjskich, utwierdzają się w przekonaniu o słuszności zarzutów istnienia antysemityzmu w Armii Polskiej.

Czeskie czynniki propagandowe zdążyły już zamieścić w jednym z memoriałów, przesyłanych do wydziału swej propagandy w Ameryce, notatkę w tej sprawie, oczywiście z odpowiednio soczystymi uzasadnieniami na temat niedemokratyczności polskiej w sprawach mniejszości i dalszymi wnioskami łączącymi się z przynależnością Zaolzia do Polski.

W tej sytuacji, ze strony niektórych czynników żydowskich i to nie tylko rewizjonistów, którzy w faktach tych widzą potwierdzenie słuszności swych tez wysuniętych jeszcze w okresie Buzułuku, ale ze strony szeregu przedstawicieli różnych innych ugrupowań, jak np. z Agencji grupa syjonistów B. otoczenie Mojżesza Kleinbauma (HAGANA) Agudath Izrael, w rozmowach prywatnych wysuwany jest projekt wydzielenia w ramach Armii Polskiej Batalionu Żydowskiego, do którego zaciąg byłby dobrowolny. Celem uniknięcia zarzutu stwarzania getta, czynniki te gotowe są wywrzeć nacisk na Agencję Żydowską, by się w tej sprawie zwróciła do Rządu R.P., by wyodrębnienie jednostki żydowskiej nastąpiło z inicjatywy samych reprezentantów Żydostwa. Zresztą należy jak najostrzej nie tylko podkreślić, ale i w praktyce zaciągu przestrzegać zasady PEŁNEJ DOBROWOLNOŚCI i z góry uniemożliwić „pozbywanie się” Żydów z oddziałów drogą przeniesień arbitralnych, lub wywierania w tym kierunku nacisku. Oddział taki otrzymałby nazwę „Bataliony Zemsty za Getto Warszawskie”. (Dostęp do tego batalionu byłby otwarty również Żydom obywatelom polskim, którzy nie są obecnie w wojsku). Baon miałby wypoczynek sobotni, koszerne jedzenie.

Takie postawienie sprawy ze strony polskiej eliminowałoby zarzut antysemityzmu, z drugiej zaś strony, sama nazwa batalio-

nu wskazywałaby na jego związek z Polską, nie tylko organizacyjny, ale i ideowy, stanowiąc zarazem gwarancję powrotu do Polski.

Patriotyczne żydowskie społeczeństwo Palestyny, gdy będzie istniał taki batalion, będzie musiało potępić dezercję i na pewno nie będzie w dezercerowaniu pomagało. Zresztą takich dezercji by już nie było, nie znajdowałyby one zrozumienia w społeczeństwie żydowskim. Pozwoliłoby to również na zastosowanie posunięć dyscyplinarnych w stosunku do dezercerów, którzy się nie zgłoszą do wojska, a których ze względu na nastroje panujące w społeczeństwie ścigać obecnie nie można, co rzecz prosta podkopuje autorytet Armii Polskiej.

Przy rewindykacji dezercerów należałoby im milcząco zapewnić bezkarność. Rzecz prosta, wszystko to nie może się stosować do Żydów, którzy zdążyli przejść do jednostek brytyjskich. Anglicy przypuszczalnie nie będą ingerowali w te sprawy, jako w wewnętržno-organizacyjne posunięcia w Armii Polskiej.

Niewątpliwie, posunięcie takie byłoby dla całej opinii żydowskiej pierwszorzędą sensacją i zrobiłoby propagandę polską — zwłaszcza w Ameryce, w kołach zbliżonych do prorewizjonistycznego JEWISH WAR COMMITTEE.

Z drugiej jednak strony wysuwa się cały szereg zastrzeżeń. Przede wszystkim posunięcie to — jeśli by miało być dokonane — winno być dokonane już w okresie rekrutacyjnym, a więc na terenie ZSSR. (Naturalnie nie w formie detaszowanego batalionu z Kołubianki). Tworzenie żydowskiego oddziału w Armii Polskiej na terenie Palestyny jest posunięciem dość dziwnym i ze strony części społeczeństwa żydowskiego i żołnierzy żydowskich może być przyjęte jako paliatyw, półśrodek, rzecz raczej poroniona. Dla tych, którzy by dobrowolnie przeszli do takiego baonu, daleko bardziej pociągające byłyby baony palestyńskie. Dodajmy, że wyodrębnienie oddziału żydowskiego byłoby na wewnątrz Armii spożytkowane przez czynniki antysemityczne i stworzyłoby nieznośną sytuację moralną i służbową dla żołnierzy Żydów pragnących pozostać w oddziałach ogólnopolskich. Wyodrębnienie oddziału żydowskiego spowodowałoby, że dotychczasowe jednostkowe konflikty wyznaniowe stałyby się konfliktami międzyoddziałowymi. Wreszcie wobec znanej nieufności i podejrzliwości Żydów w stosunku do władz polskich, użycie oddziału żydowskiego na froncie mogłoby doprowadzić do takich zarzutów i tarć, jakie znane są z okresu kampanii libijskiej między Australijczykami i Anglikami. Nieużycie zaś tego oddziału na froncie stanowiłoby dyskryminację dla społeczeństwa żydowskiego, a dodatkowy pokarm dla antysemityzmu w polskim społeczeństwie. Wszystkie te trudności byłyby niewątpli-

wie wyzyskane przez propagandę sowiecką i niechętnie nam czynniki w Anglii i w Ameryce.

Jeżeli te ostatnie argumenty przeważają, pozostają dwa wyjścia:

Albo zrezygnować z elementów niepewnych, albo też doprowadzić do zmiany nastrojów zarówno w Armii jak i w społeczeństwie żydowskim.

W pierwszym wypadku, tj. w wypadku stwierdzenia swej bezradności zarówno wobec nastrojów antysemitycznych w Armii, jak też ideowego rozbratu między żołnierzami żydowskimi i Armią, w wypadku kapitulacji wobec nastrojów społeczeństwa żydowskiego, należałoby nie dopuścić do całkowitego podkopania dyscypliny i utrzymania ciągłego stanu zapalnego, a po prostu oficjalnie zwolnić żołnierzy Żydów, którzy chcą się przenieść do jednostek brytyjskich, oczywiście uprzednio uzgodniwszy tę sprawę z angielskimi czynnikami i Agencją Żydowską.

Projekt taki jednak byłby nie do przyjęcia. Przez samo zwolnienie żołnierza innej narodowości, władze polskie przyznałyby słuszność tezie sowieckiej, że Armia Polska nie jest armią państwa o określonym terytorium, lecz legionem narodowym, a tym samym rezygnuje z obszarów zamieszkałych przez mniejszości narodowe, „oficjalnie” zaś zwolnieni Żydzi staną się zastępem świadomych czy mimowolnych agitatorów antypolskich w środowisku żydowskim czy angielskim. Zresztą wątpliwe, czy władze angielskie mogłyby wziąć pod uwagę tego rodzaju rozwiązanie. W każdym razie posunięcie takie byłoby fatalne i ze względu na propagandę zagraniczną i na skutki, jakie by ono wywarło w stosunkach wewnętrznych. Nie jest również korzystne i dla Żydów zrzeczenie się współudziału w polskim wysiłku zbrojnym, które by stawiało pod znakiem zapytania ich uprawnienia w diaspory, najbardziej zaś nawet „ewakuacyjnie” nastawione czynniki syjonistyczne bynajmniej nie zaprzeczają aktualności i wagi spraw diaspory nawet po obaleniu hitleryzmu.

Pozostaje jedynie pozytywne rozwiązanie zagadnienia przez usiłowanie obustronne zmiany nastawienia zarówno w Armii jak i w społeczeństwie żydowskim.

Ze strony polskiej:

a. Przeprowadzenie odpraw z oficerami i podoficerami na temat szkodliwości antysemityzmu na wewnątrz i w obecnej sytuacji międzynarodowej; w wyniku tych odpraw, rozwinięcie odpowiedniej pracy oficerów oświatowych nie tylko przez pogadanki, ale również przez zbliżenie do społeczeństwa żydowskiego (zwiedzanie instytucji i osiedli, wspólne uroczystości i zabawy).

b. Odprawy z oficerami i podoficerami oraz szeregowymi z cenzusem — Żydami, celem przedyskutowania sytuacji i przeprowadzenie dyskretnej akcji uświadamiającej wśród szeregowców Żydów pod hasłem „dezercja z wojska polskiego oznacza dezercję z pola walki o istnienie fizyczne Żydostwa polskiego i stanowi zdradę w kampanii o jego prawa w Polsce Niepodległej”.

c. Zapewnienie, że dla tych, którzy po wojnie będą pragnęli powrócić do Palestyny, Rząd Polski będzie się starał w porozumieniu z Agencją Żydowską zapewnić pierwszeństwo w otrzymaniu certyfikatów po wojnie.

d. Umożliwić pod pozorem wycieczek dla żołnierzy żydowskich do kibuców, przeprowadzenie z nimi dyskusji przez członków reprezentantów Agencji Żydowskiej.

Ze strony żydowskiej:

a. Wydanie przez Agencję Żydowską i komendę Hagany zakazu przyjmowania dezertów z Armii Polskiej do kibuców, do pracy w przedsiębiorstwach, komórek Hagany oraz zakazu wydawania przez jakiegokolwiek instytucje lub osoby prywatne zaświadczeń umożliwiających dezertom wstępować do oddziałów palestyńskich lub angielskich.

b. Przeprowadzenie odpowiedniej agitacji za pośrednictwem kadr ruchu syjonistycznego pod hasłami wymienionymi powyżej w punkcie b. w związku z odprawami dla oficerów i podoficerów żydowskich.

c. Zapewnienie, że żołnierze z Armii Sprzymierzonych, walczących na Śr. Wschodzie będą mieli pierwszeństwo do certyfikatów, a równe prawa z żołnierzami palestyńskimi w przydziale pracy i ziemi.

Jedynie tego rodzaju oddziaływanie moralne może wydać rezultaty. Dzisiaj za dezertami nie wysyła się nawet żandarmarii, próba bowiem aresztowania dezertera w mieście czy kibucu doprowadziłaby jedynie do takiego starcia, przy którym ucierpiałby nie tylko autorytet organów policyjnych Armii Polskiej, ale i autorytet Polski w ogóle. Celem naszym winno być doprowadzenie społeczeństwa żydowskiego zarówno przy pomocy propagandy naszej jak i czynników oficjalnych żydowskich do tego, by dezert był witany nie jako uchodźca, ale właśnie jako dezert z pola walki o interesy żydowskie. Rzecz prosta, po cichu należałoby zapewnić tym dezertom możliwość powrotu.

Wszystko to musi być dokonane niezwłocznie, zanim ostatnie oddziały Armii Polskiej przybędą do Palestyny, zanim

większość żołnierzy Żydów nie znajdzie się w szeregach sprzymierzonych, ale nie polskich. Środki wychowawcze wymagają czasu, ale natychmiastowe i intensywne ich zastosowanie może osłabić z początku tempo dezercji, a potem ją zahamować, oceniając w ten sposób prestiż naszej Armii i naszą sytuację w opinii międzynarodowej.

Powyższy dokument znajduje się w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku.

WSPOMNIENIA

Dora KACNELSON

KUSTOSZ WŁADYSŁAW ABRAMOWICZ

Piszę te słowa 17 listopada 1990 r., właśnie dziś mija 25 lat od dnia tragicznego zgonu mojego kolegi Władysława Abramowicza — świetnego historyka i literaturoznawcy, poety i tłumacza, autora jedenastu książek. Popęłił samobójstwo w Wilnie, zginął w rozkwicie swego wspaniałego talentu i twórczych sił. Wisiał nad stołem, na którym leżały kartki brulionu jego ostatniej książki — „Życie literackie Wilna”. Książka została nieukończona. Czytał mi na tydzień przed swoim męczeńskim zgonem fragmenty o Adamie Mickiewiczu, Juliuszu Słowackim, Władysławie Syrokomli, Elizie Orzeszkowej oraz o litewskich literatach. Badania źródłowe, osnute na wileńskich archiwaliach, których opracowaniu poświęcił wiele lat. Zostawił krótką notatę: „Umieram za przyjaźń ludów. Córkę moja Barbaro, proszę przebaczyć i zrozumieć, że musiałem tak zrobić”. Notatki tej nigdy nie widziałam, podaję ją ze słów zacnego Litwina, Jonasa Witulisa, który wówczas był młodym bibliotekarzem, uczniem i współpracownikiem Władysława Abramowicza. Przez dobroć przygarnął skromnego młodzieńca, który nie miał mieszkania. Mieszkali we dwóch w skromnym trzypokojowym mieszkaniu przy ulicy Giedymina (później Stalina, zaś od 1965 r. Lenina), obok ogromnego gmachu Republikańskiej Biblioteki. Jonas, powróciwszy do domu, zobaczył wiszącego ulubionego nauczyciela, obciął pętlę, przeczytał pożegnalny list, zanim skonfiskowała go milicja. Córkę w domu nie było — miesz-

kała u męża, z żoną Władysław niezadługo przed samobójstwem rozszedł się.

Co zmusiło tego szlachetnego, zacnego człowieka, pełnego radości życia i energii, uroczego, zamiłowanego w poezji i w dziejach Wilna, do zaciśnięcia pętli wokół szyi? Snuję nic wspomnień. Cóż to było dla mnie za wielkie szczęście, rozmawiać i korespondować z tak wybitnym człowiekiem!

Władysława Abramowicza poznałam jesienią 1947 r., kiedy przyjechałam do Wilna jako dwudziestosześcioletnia doktorantka filologii polskiej na Uniwersytecie Leningradzkim. Oddelegowano mnie na półtora roku do Wilna, gdzie miałam przeprowadzać studia archiwalne o Adamie Mickiewiczu. Pan Władysław był kierownikiem sekcji rękopisów w Bibliotece Akademii Nauk Litewskiej SSR (byłej bibliotece Wróblewskich). Tej szlachetnej pracy poświęcił 25 lat swego życia, opracowując cenne archiwalia i pomnażając je rzadkimi kolekcjami, które odnaleziono podczas remontu starych domów. Pracował w bibliotece podczas okupacji hitlerowskiej oraz później, w okresie stalinowsko-breżniewowskim, kiedy narażony był na represje.

Bezinteresownie i ofiarnie, nie żałując czasu, pomagał mi w kwerendzie archiwalnej, w opracowaniach bibliograficznych; oprowadzał mnie i koleżankę Walentynę Gapową, która też przyjechała z Leningradzkiego Uniwersytetu, po Wilnie i okolicach. Jego opowiadania o architekturze, rzeźbie, malarstwie były pełne entuzjazmu, świetne. O swojej przeszłości opowiadał rzadko, fragmentarycznie. Urodził się w 1909 r. 9 maja we wsi Najadwaris (Nowy Dwór) w powiecie Trakauskim (Trockim). Ojciec Eustachy Abramowicz był Polakiem, matka Litwinką. W 1922 r. już jako sierota zamieszkał w Wilnie, klepał biedę, tułał się. Zdolnym i pracowitym chłopcem zaopiekował się wówczas katolicki ksiądz Józef Wajczunas, oddał go do polskiego gimnazjum. Na początku lat trzydziestych, studiując historię i filologię na Uniwersytecie im. Stefana Batorego i pracując jako dziennikarz w *Kurjerze Wileńskim*, Abramowicz opublikował kilka zbiorów swych polskich wierszy. Jeden z nich wydał z dedykacją: „Czcigodnemu księdzu Józefowi Wajczunasowi, szczeremu miłośnikowi piękna w serdecznym upominku garstkę tych wierszy ofiaruje Władysław Abramowicz”. Zbiorek ten, zatytułowany „Regionalne” (Wilno 1933), zawiera wiersze o wileńskiej ziemi, jej mieszkańcach, przyrodzie, architekturze, kościołach. Poczesne miejsce zajmuje cykl wierszy „W Ostrej Bramie”,

są one wyrazem szczerej religijności autora, wzniosłości jego poglądów, zamięłowania do rodzinnych stron. Przytaczam fragmenty wierszyka, w którym młody Władysław Abramowicz utrwalił wierną miłość ludu Wileńszczyzny do Matki Boskiej Ostrobramskiej:

*Parobcy i pastuszkowie
Jadą końmi, dążą pieszo,
Bab spódnice kolorowe,
Barwne chusty, siwe głowy,
Do jednej przystani śpieszą.*

*Obłoków spęłzły odlamy,
Ciężą na plecach tobołki...
Zalśniły wieżyc wierzchołki, —
Już blisko do Ostrej Bramy.*

Dążąc do zbliżenia i przyjaźni ludów, Abramowicz tłumaczy litewską poezję na język polski, wydając dwa tomiki swych przekładów: „Obraz współczesnej poezji litewskiej” (Wilno 1932) i „Wybór najmłodszej poezji litewskiej” (Nowogródek 1935). Po 1940 r. nigdy już nie publikował swoich własnych wierszy, nie skalał się chwaleniem sowieckiego reżimu, jak to uczyniło w Wilnie niemało litewskich poetów, wśród nich Eduardas Mežėlajtis, który za swoje służalstwo otrzymał pieniężną nagrodę imienia Lenina. Abramowicz poprzestał na badaniach historii, literatury, kultury Polaków, Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, wykładał na wileńskim Uniwersytecie bibliografię, pracując jednocześnie jako archiwista w bibliotece.

Jakiej był narodowości? Według paszportu — Litwin, świetnie znał litewski język i literaturę, a jednocześnie był wspaniałym wcieleniem polskości, zapalonym miłośnikiem wieszczów Polski oraz jej straconych bohaterów i męczenników — Michała Wołowicza, Szymona Konarskiego, Zygmunta Sierakowskiego, księdza Antoniego Mackiewicza. Przeczytał w archiwum akta śledztwa i sądu, opowiadał mi o dzielności i martyrologii tych szermierzy. Większość prac naukowych i esejów napisał po polsku, część po litewsku. Ale oryginalne swoje wiersze pisał tylko po polsku, poezje litewskie i rosyjskie tłumaczył tylko na język polski. W mojej pamięci pozostał jako symbol zbliżenia kultury polskiej z litewską. Wśród wiernych oddanych przyjaciół miał zarówno Litwinów, Pola-

ków jak również Białorusinów (np. literat Gennadij Kisielow) i Żydów (historyk Dawid Fajnhaus, który obecnie mieszka w USA) i inni. Bliskim kolegą Abramowicza był litewski publicysta, dziennikarz Eugeniusz Matuziawiczus. Wśród Polaków przyjaciół Pana Władysława był wybitny historyk sztuki Jerzy Orda, męczony i poniżany przez litewskich i rosyjskich komunistów. Nie miał ani emerytury, ani posady, na której mógłby pracować umysłowo. Sowieci nie uznawali jego dyplomu doktora sztuki i musiał pracować fizycznie na kawałek chleba: nosił ciężkie teczki po schodach w archiwum historycznym Litewskiej SSR przy ulicy Krasnej Armii. Tam często spotykałem go; w tajemnicy przed litewskim dyrektorem — stalinistą — wkładał mi dyskretnie do ręki karteczki z sygnaturami niewydanych polskich archiwaliów XIX wieku. Dyrekcja chowała przed warszawskimi naukowcami Stanisławem Świrko, Edmundem Jankowskim i innymi Polakami inwentarze, ja zaś przekazywałem im te karteczki, bo Jerzemu Ordzie surowo zakazano rozmawiać z cudzoziemcami. Znał zawartość teczek i pamiętał, które archiwalia zostały już opublikowane. Abramowicz bardzo cenił Ordę, którego nazywał w rozmowach „panem profesorem”. Nieraz zapraszał mnie i pana Jerzego na kolację do restauracji. Wchłaniałam chciwie gawędy tych dwóch wybitnych Wilnian o architekturze, literaturze, dziejach Polski, Litwy i innych krajów, podziwiając ogromną wiedzę i erudycję obydwóch.

●

Po kilku tygodniach naszej przyjaźni wiosną 1948 r. pan Abramowicz zwierzył mi się, że jest okropnie poniżany i szczuty przez dyrekcję i partyjny komitet biblioteki Akademii Nauk, zwłaszcza przez jej dyrektora, komunistę Braszyszkasa. Na zebraniach publicznie zarzucał Abramowiczowi, że jakoby kradnie rękopisy i składa je potajemnie w darze dla Polski. Brutalnie krzyczano, że jest „lankomanem” (to znaczy polonofilem) i że trzeba go wyrzucić z pracy i oddać pod sąd. Pan Władysław dyskretnie powiedział mi, że rozkaz prześladowania go dyrekcja otrzymała od profesora historii, wiceprezydenta Akademii Nauk Litewskiej SSR Juzasa Żugždy. Przedtem, w niezależnej Litwie, uchodził za antybolszewickiego publicystę, ale w 1945 r. chętnie i bardzo szybko przystąpił do panującej komunistycznej mafii. Sowieci płacił mu sowiecki rząd, szybko zrobili karierę on i jego syn,

zaś młoda i zuchwała żona Żugždy starszego, przywieziona z Moskwy do Wilna, nie podejmując trudu uczenia się otrzymała dyplom wileńskiego uniwersytetu i została oddelegowana na studia doktoranckie do Leningradu zamiast celującego litewskiego absolwenta.

Po objęciu posady dyrektora biblioteki przez młodego Litwina, komunistę Jozuasa Marcinkiewiczusa, prześladowania Abramowicza wzmagają się. Oskarżenia o kradzież rękopisów dla przekazania Polsce trafiają do prokuratury. Niestety, komunistyczny reżym potrafił szybko zdemoralizować znaczną część litewskiej inteligencji, która utraciła ludzką twarz i pozostała obojętna wobec cierpień swego własnego litewskiego narodu, wobec wywożonych do łagrów na poniewierkę i śmierć tysięcy niewinnych ludzi. Wyśmiewali się z nich w Wilnie nawet sami rosyjscy partyjni funkcjonariusze, mówiąc: „My jesteśmy czerwoni, a oni extra-czerwoni, wręcz bordowi”.

Pamiętam, jak w 1948 r. z okazji 150-lecia urodzin Adama Mickiewicza, Władysław Abramowicz przygotował piękną wystawę rzadkich wydań wieszczki i literatury o Nim, obrazów, rękopisów. Pracował z entuzjazmem, jako wielki wielbiciel polskiego geniusza i autor książki o nim (Seksterny wykładów kowieńskich Mickiewicza 1819-1821, Wilno 1956). Był bardzo zmartwiony, kiedy w przededniu otwarcia wystawy przywołali go dyrektor i partyjny organizator biblioteki i uprzedzili: jutro, zanim otworzą wystawę, przyjdzie ją sprawdzić przedstawiciel miejskiego komitetu partii komunistycznej, jeżeli mu się coś nie spodoba, Abramowiczowi grozi co najmniej usunięcie z biblioteki. Powiedział mi z trwogą, że nie bardzo rozumie co może oburzyć partyjnego biurokratę. Mając za sobą lata studiów na sowieckim uniwersytecie i pracy nauczycielskiej, wiedziałam o co chodzi. Do późnego wieczora pomagałam Władysławowi usuwać z wystawy książki o religijnych aspektach twórczości Mickiewicza oraz prace o nim przeciwników bolszewizmu, na przykład Wacława Lednickiego. To zubożyło wystawę.

Na początku 1949 r. musiałam już opuścić Wilno, a za kilka miesięcy, gdy skończył się mój doktorancki staż, wyjechałam też z Leningradu. Pracowałam w wyższych szkołach pedagogicznych na Białorusi w Połocku, potem na Wschodniej Syberii w Czycie. Korespondowałam z moim wileńskim przyjacielem, zaś w okresach urlopu przyjeżdżałam do Wilna na archiwalne badania. Gdy przyjechałam we wrześniu 1965

roku z Czyty zastałam zwykle pogodnego, uśmiechniętego pana Władysława bardzo zmartwionego i biednego. Opowiedział, że wydając dla czytania teczki z rękopisami polskiemu profesorowi Edmundowi Jankowskiemu nie zdążył na jedną z nich otrzymać pisemnego pozwolenia dyrektora biblioteki Jozuasa Marcinkiwiczusa. Za to został wezwany do dyrektorskiego gabinetu. 56-letni znany uczony i literat musiał na stojąco wysłuchiwać okrzyków i gróźb młodego litewskiego komunisty, który zażądał natychmiastowego wyjaśnienia na piśmie. Poradziłam panu Władysławowi napisać, że chciał zaoszczędzić czasu profesorowi i że teczka nie zawiera niczego tajnego, dotyczy twórczości Elizy Orzeszkowej i jest dalszym ciągiem archiwaliów, na czytanie których dyrektor już pozwolił. Nic to nie pomogło. Skandal trwał, zwołano specjalne zebranie, obrzucono Abramowicza obelgami za samowolne udostępnianie cudzoziemcom rękopisów i uprzedzono, że gdyby to „przestępstwo” powtórzyło się, zostanie natychmiast wyrzucony z pracy. Za parę miesięcy Marcinkiewicz przy grobie swej ofiary obłudnie mówił o swoim szcunku dla zasług zmarłego.

Partokraci z dyrekcji biblioteki i prezydium Akademii Litewskiej SSR w listopadzie tegoż roku zadali mu ostateczny cios: nie dopuścili do obrony osnutej na archiwaliach doktoratu o polskim patriotycznym działaczu, uczestniku powstania 1863 r. generale Paryskiej Komuny — Walerym Wróblewskim. Dysertacja była uzupełnieniem już wydanej monografii Abramowicza, która uzyskała wysoką ocenę w polskiej naukowej prasie, mianowicie recenzję E. Halicza w *Przeglądzie Historycznym* (1965, zeszyt 2). Wkrótce książka Abramowicza ukazała się w rosyjskim tłumaczeniu w Moskwie. Z inspiracji J. Żugždy Marcinkiewiczus i wice-dyrektor Adolfas Iwaszkiewiczus bezprawnie zabronili Abramowiczowi złożenia pracy doktorskiej w wileńskim instytucie historii Akademii Nauk. Tu należy wytłumaczyć, że w ZSSR każdy kto chciał obronić pracę doktorską lub habilitować się, musi wpierw złożyć do instytucji naukowej pozytywną opinię o sobie z miejsca pracy podpisaną przez dyrektora i partyjnego organizatora. Marcinkiewiczus takiej opinii nie dał i bezprawnie urządził przedyskutowanie dysertacji na posiedzeniu rady biblioteki. Naumyślnie nie zaproszono na ten sąd kompetentnych wileńskich historyków z uniwersytetu i akademii, takich na przykład jak docenci Jurginis i Merkis, którzy wysoko cenili prace naukowe Abramowicza. Postarano się o

to, żeby nie był obecny jedyny doktor historii pracujący w tej bibliotece — Basilius. Ja i koleżanka z Moskwy, historyk Tamara Fiedosowa, która była wówczas w Wilnie, nic nie wiedziałyśmy o tym posiedzeniu. Było ono tak szybko sfabrykowane, że zaskoczyło samego dysertanta. Recenzje sporządzili nie posiadający żadnego stopnia naukowego J. Marcinkiewicz i były litewski oficer A. Iwaszkiewicz. Zmartwiony pan Władysław opowiadał mi, że omówienie prowadzono całkiem w duchu stalinowskim. Dyrektor zwłaszcza wrzeszczał na autora, zarzucając mu, że cytat z Karola Marksa znajduje się dopiero na 18-ej stronie, a musi być na pierwszej. Wspaniała praca o Walerym Wróblewskim została odrzucona przez osoby zupełnie niekompetentne. Ale uczony walczyć już nie mógł, był załamany.

Przyszłam do niego do domu i próbowałam przekonać zrozpaczonego kolegę, że praca jest bardzo dobra i z pewnością będzie przyjęta w instytucie sławistyki w Moskwie, gdzie go znają i cenią profesorowie polskiej historii Ilja Miller, Włodzimierz Dżakow i Anatol Smirnow. Jednakże pan Władysław odpowiedział, że chce otrzymać tytuł doktora tylko w swoim rodzinnym Wilnie. Ostatni raz przyszłam do niego wieczorem 15 listopada. Po raz pierwszy stało się tak, że nie zaprosił mnie do mieszkania, rozmawialiśmy krótko na klatce schodowej. Powiedział, że ma gości a i nie może mnie przyjąć. Wydawał się nawet spokojny. Jak dowiedziałam się potem od Witulisa, gościa naprawdę miał, ale też prędko się go pozbył. Prawdopodobnie chciał zostać sam i przygotować się do śmierci.



Winowajcy tragicznego zgonu natychmiast zaczęli się znęcać nad pamięcią swej ofiary. W ZSSR każdy wypadek samobójstwa musi być rozpatrywany w prokuraturze dla ustalenia winnych tej śmierci. Partokraci z Akademii Nauk i biblioteki podali do prokuratora leninowskiej dzielnicy Wilna, Farbera, wygodną dla nich wersję, że Abramowicz był chory na schizofrenię. To samo powiedziano dziennikarzom dla ogłoszenia w prasie. Na drugi dzień po pogrzebie, 21 listopada, poszłam do Farbera. Nie przyjął mnie. Mogłam rozmawiać tylko z panią wiceprokurator Bożenkienię, Litwinką. Ze strachu o swoją karierę nie podjęła się obalenia wniosku o schizofrenii, ale dała mi do zrozumienia, że ona też nie wie-

rzy w wariactwo Abramowicza. W rozmowie ze mną stwierdziła, że miał żonę Polkę i dlatego robiono mu przykrości w pracy.

Co ułatwiło partyjnej mafii upowszechnienie fałszywej informacji o psychicznej chorobie jako przyczynie samobójstwa? Pan Władysław w listopadzie 1964 r. był bezpodstawnie więziony w wileńskim domu wariatów przez kilka tygodni. Jak to się stało? Tu muszę poruszyć drażliwy wątek rodzinnego dramatu, chociaż nie chciałabym go dotykać. Ale inaczej nie potrafię przekonać ludzi, którzy znali Abramowicza powierzchownie i uwierzyli w jego psychiczną chorobę. Przypominam sobie letni wieczór 1948 roku, jestem z Walentyną Gapową i doktorantem historykiem z Mińska Anatolem Smirnowem u pana Władysława w małym ciasnym mieszkanku w starym domu przy ulicy Wielkiej (na nowe, większe mieszkanie musiał długo czekać, otrzymał je dopiero w 1959 roku). Gospodarz pięknie recytował swoje nowe tłumaczenia litewskiej poetki Salomei Neris na polski. Na ścianie wisiał duży portret kobiety w białej sukni; zauważywszy że patrzę na niego, pan Władysław powiedział: „To moja małżonka, Pani Katarzyna, obecnie jest z córeczką na wczasach, bez gospodyni w domu nieprzytulnie”. Odczułam antypatię do niej, pomyślałam: „Wyjechała do kurortu bez męża, a on, przemęczony, spędza swój urlop w domu, ciężko pracując nad tłumaczeniem poezji, żeby zarobić pieniądze dla niej”. Poznałam panią Abramowiczową dopiero w 1960 r. kiedy pan Władysław zaprosił mnie i swego znajomego z Krakowa literata Jacka Kajtocha na kolację. Był też z nami polski rzeźbiarz wileński, którego nazwiska zapomniałam. Pani Katarzyna uchodziła za ładną: szczupłą, zgrabną, elegancką, ale mnie odstręczał w rysach jej twarzy jakiś odcień złośliwości. Czy kochała go? Nie wiem, ale jego talentu i duszy nie rozumiała. Niegdyś skarżył mi się, opowiadając, jak poniża go, gdy powtarza, że omyliła się: lepiej by wyszła za mąż za znajomego oficera.

Na kilka tygodni przed swoją śmiercią zwierzał się mi z tą wzruszającą szczerością, która najczęściej jest oznaką duszy romantycznej: rozszedł się z żoną, nigdy nie przebaczył jej, że gwałtem umieściła go na miesiąc w domu wariatów. Po jednym z kolejnych histerycznych wybuchów żony poczuł się słabo i poszedł do kuchni, żeby otworzyć buteleczkę z lekarstwem od nadciśnienia. Ona zaś, w obawie, że bierze scyzoryk, żeby ją uderzyć, wezwała przez telefon karetkę pogoto-

wia ze szpitala psychiatrycznego. O zgubnej breżniewowskiej praktyce nieuzasadnionego umieszczania psychicznie zdrowych ludzi w domach wariatów było głośno na całym świecie. Pamiętam tragedię Polki, lwowianki Heleny Trochimowicz, miłej, skromnej starszej pani. Miała mieszkanie w starym ładnym polskim domu koło Kaiserwaldu. W 1982 r. jakiś partokrata, ażeby przenieść się do tego mieszkania wezwał pogotowie ze szpitala dla umysłowo chorych przy ul. Kulparkowej, zabrano biedną samotną panią Helenę, wkrótce tam zmarła*.

Chcąc obalić wygodną dla partyjnej mafii fałszywą informację, nazajutrz po pogrzebie skierowałam się do kilku lekarzy Rosjan i Litwinów, ale żaden z nich nie chciał potwierdzić, że zmarły znany literat nie był wariatem. Tylko jeden lekarz-internista, inteligentny i uczciwy wileński Żyd, który otrzymał wykształcenie na Uniwersytecie imienia Stefana Batorego, chętnie i bardzo szybko wydał mi następujące zaświadczenie (tłumaczę z rosyjskiego): „Ja, lekarz Janow Mojżesz, syn Josifa, zaświadczam, że w listopadzie 1964 r. obserwowałem znajdującego się w szpitalu psychiatrycznym Władasa Abramawicza. W ciągu dwóch tygodni codziennie rozmawiałem z nim i ku mojemu zdziwieniu nie zauważyłem u niego żadnych oznak choroby psychicznej, wręcz odwrotnie, miał jasny umysł, świetną pamięć, otrzymałem od niego wiele cennych informacji o życiu kulturalnym dawnego Wilna. Wydaje mi się, że dla zrozumienia przyczyny jego samobójstwa konieczne jest śledztwo w sprawie bezprawnego przetrzymywania praktycznie zdrowego człowieka w domu wariatów. Doktor Janow, 29. XI. 1965 r., Wilno”.

Z tym zaświadczeniem poszłam do prezesa Związku Literatów Litewskiej SSR Eduardasa Mežėlajtyša prosić, żeby zapobiegł ogłoszeniu w prasie fałszywej wiadomości o psychicznej chorobie znanego pisarza. Rozmawialiśmy po rosyjsku. Moje odwiedziny niezmiernie go rozdrażniły; rzucił niedbale

* W tym samym szpitalu zmarł w zeszłym roku umysłowo zdrowy, bardzo zacny i religijny stary Polak, lwowianin Stanisław Jagiełło. Na próżno prosiłam warszawskiego dziennikarza Janusza Olejnika, aby odwiedził razem ze mną pana Jagiełłę i pomógł mu. Prośbę tę ogłosiłam na zebraniu Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, specjalnie zwołanym we wrześniu 1991 dla spotkania z panem dziennikarzem. Natychmiast bez żadnych skrępołów odpowiedział: „Muszę Panią rozczarować, nie pójde i pisać nie będę o tym, bo nie mogę się mieszać do spraw obcego państwa”.

okiem na zaświadczenie i powiedział, że jest nieważne bez podpisu naczelnego lekarza psychiatry. Wówczas spytałam: „Śp. pan Abramowicz niedawno przemówił w Kiszyniowie na zjeździe mołdawskich pisarzy, witając ich w imieniu Związku Literatów Litwy. Czyżby Pan prezes posłał z tak ważnym poleceniem schizofrenika?” Rozgniewany laureat nagrody Lenina brutalnie wypędził mnie, krzycząc: „Z jakiej racji pani tu przyszła? Przecież nie jest pani jego żoną”.

Kopię zaświadczenia doktora Janowa przechowuję razem z listami, które otrzymywałam w ciągu siedemnastu lat od Abramowicza, oryginał zaś odesłałam razem ze swoją skargą na winowajców jego samobójstwa, do redakcji sowieckiej gazety *Izwestia* do Moskwy. Odpowiedzi nie otrzymałam. Ale teraz nadszedł najwyższy czas dla zdemaskowania przez polską i litewską społeczność tych okrutnych najemników komunistycznego reżymu, którzy prześladowali i niszczyli oświeconą i humanitarną wileńską inteligencję.

Jego prochy spoczywają na wileńskim cmentarzu Rosa, bardzo blisko głównej bramy, na lewo od niej, pod skromnym kamiennym obeliskiem, na którym nawet nie jest napisane, że był literatem i historykiem. Życie jego dla mnie jest wzorem ofiarnego służenia kulturze, Polsce i ludzkości.

Drohobycz

Dr Dora KACNELSON

Nika KŁOSOWSKA

FRAGMENTY WSPOMNIENÍ

Zapisałam się do Szkoły Nauk Politycznych, choć miałam zamiar pójść na prawo. Ku memu zdumieniu, musiałam tam przedstawić świadectwo moralności, bo upłynęło więcej niż dwa lata od mojej matury. (Wieczne dziwy każdej biurokracji. Dlaczego dopiero po dwóch latach należało wątpić w czyjaś moralność?) Żanim owo świadectwo nadeszło, wstąpi-

łam do SNP. Tam nie wymagano świadectwa. Dodatkowym bodźcem było to, że wykłady były wieczorne, co zostawiało więcej czasu dla dzieci. Odprowadzałam je na kilka godzin do przedszkola. Uczyć się mogłam po nocach... Nie miałam zamiaru wyrzekać się niczego, co mi studenckie życie mogło przynieść. Spis profesorów mówił mi mało. Spis przedmiotów wprawdzie więcej, ale też niewiele. Na pierwszym wykładzie prawa międzynarodowego młody profesor zwrócił się do nas: „Żadne uczone wywody i żadne naukowe dzieło nie nauczą was obiektywizmu w myśleniu... W zdobyciu tej ważnej sztuki chciałbym państwu pomóc”.

Był to prof. Wiktor Sukiennicki.

Instytut Naukowo-Badawczy Europy Wschodniej i równocześnie założona przy nim Szkoła Nauk Politycznych miały cele specjalne — specjalne studia nad polityką państw bałtyckich, Turcji i ZSSR. Właściwym jednak celem było badanie tego, co się w owym czasie działo w ZSSR. Właściwie prawie nic się nie wiedziało o tym, poza oficjalną kontrpropagandą i paru reportażami, m.in. „Myśl w obcęgach” Cata-Mackiewicza. Ale jak to w rzeczywistości wygląda i funkcjonuje? Jaka jest struktura Armii Czerwonej? Jak wygląda polityka narodowościowa? Czy analfabetyzm został rzeczywiście zlikwidowany? Jak odbywa się kolektywizacja? Co się dzieje z „bezprizornymi” dziećmi?

Mieliśmy profesorów z USB, czyli miejscowych; mieliśmy też dojeżdżających na wykłady z Warszawy, jak Jan Kucharczyński, autor „Od białego do czerwonego caratu”, Czesław Bobrowski, Stanisław Baczyński (ojciec Krzysztofa, młodzieutkiego poety, który zginął w Powstaniu Warszawskim), Zygmunt Szempliński, Leon Wasilewski (ojciec Wandy), Stanisław Arnold.

Z USB byli Stefan Glazer, Ehrenkreutz, Cezaria Ehrenkreutz, Wysłouch, Wróblewski, Sukiennicki, Panejko, Wilamowski, Waśkowski. Prof. Wiktor Sukiennicki, czyli późniejszy „Mistrz”, wywarł na mnie ogromny, trwający całe życie wpływ. Miał wielki dar słowa (choć w pisaniu jego styl był ciężki i trudny do zrozumienia). Byłam nim zafascynowana i wyłaziłam ze skóry, żeby na mnie zwrócił uwagę (na razie jako na studentkę). Początki studiów i pierwszy egzamin (z filozofii prawa) pokazały mi, jak okropnie zdurniałam od matury. Książka wydała mi się niezrozumiała. Każde zdanie czytałam po trzy razy, nic albo niewiele rozumiejąc. W końcu wykułam prawie na pamięć. Na egzaminie

dostałam zaledwie trójkę. Była to na szczęście jedyna trójka w czasie czteroletnich studiów. Później już poszło gładko. Historia ruchów rewolucyjnych (prof. Sukiennicki) i prawo międzynarodowe, prawo cywilne (prof. Waśkowski), prawo karne i socjologia (prof. Wróblewski).

Prof. Waśkowski był uosobieniem dobroduszości. Nikt się go nie bał, każdy zdawał lepiej lub gorzej, nie ścinał nikogo. Jednej zimy, w grudniu, w gmachu szkoły, który w przeciwieństwie do USB był nowoczesny i wyposażony w kaloryfery, a nie staroświeckie piece na węgiel, oweż kaloryfery popękały. Siedzieliśmy w płaszczach. Profesor Waśkowski miał na głowie futrzaną czapkę. Uchylając jej mówił: „Darujcie, moi drodzy, panienki i panowie, ale nadtoż w tym zimno”.

Profesor Wróblewski, od „karnego”, był postrachem studentów, zwłaszcza kobiet. Złośliwa plotka głosiła, że mścił się na nich za to, że go piękna żona rzuciła. Sam był mały, lekko kulawy i łysy, ale bardzo mądry, choć złośliwy. Na seminariach zadawał nam podstępne pytania, na które przeważnie nie dostawał zadowalających odpowiedzi. Rzucił mi kiedyś takie pytanie, na które jak umiałam, odpowiedziałam. Ku memu zdumieniu uklonił się i powiedział: „Byłem dotąd przeciwnikiem emancypacji kobiet, ale dzięki pani zaczynam być jej zwolennikiem”. Na dwóch egzaminach u niego zdawanych, dostałam piątkę z prawa karnego, ale tylko czwórkę z socjologii. Ten ostatni wynik opatrzył krytyczną uwagą. „Widzę dopiero pączek, zobaczymy jaki kwiat się z niego rozwinie”. Ale niceśmy nie zobaczyli, prócz wojny i końca wielu profesorów i studentów.

Z prawa międzynarodowego u „Mistrza” dostałam też 5. Przed egzaminem postarałam się, żeby mnie zauważył na pierwszym balu SNP (pierwszym w moim życiu „prawdziwym” balu) i żeby mnie zapamiętał. Co mi się tak dobrze udało, że wkrótce po tym zaproponował mi udział w seminarium sowietoznawczym. Było nas sześcioro. Każde z nas dostawało jakiś temat do opracowania i przedyskutowania.

W ciągu pierwszego roku zdałam 5 egzaminów i bardzo zmęczona, bo uczyłam się wyłącznie po nocach, pojechałam z dziećmi i mężem na wakacje na wieś do jego krewnych. Tam postanowiłam dać Ewie pierwszą lekcję konnej jazdy. Miała pięć i pół roku, więc według rodzinnych tradycji, sam czas. Lekcja odbyła się pomyślnie na jakiejś spokojnej szkapie. Ale Ewie tego było za mało. Kazała się więc wsadzić ponownie na

konia jakimś stajennemu chłopcu. Koń podbiegł, spadła. Zawieźliśmy ją do najbliższego szpitala, 18 kilometrów, gdzie nie mieli Roentgena.

Wreszcie rano dojechalismy do Wilna i kliniki uniwersyteckiej. Dwukrotne nastawianie, trzy tygodnie na wyciągu w za ciasnym gipsie, raniącym nadgarstek, który w końcu przy pomocy młodego praktykanta, mego przyjaciela, udało się rozluźnić.

Zgłosiłam się na seminarium mimo wakacji. Ranki spędzałam w SNP, popołudnia w szpitalu. Dobry jak razowy chleb mój przyjaciel Michał (Miś) Korycki, wileński Tatar, był na moje usługi, latem czy zimą. Pływaliśmy kajakiem po Wilii latem, jeździli na nartach zimą, wiernie asystował na potańcówkach, w klinice dbał o Ewę. Spotykaliśmy się często na brzegu Wilii. Kiedyś, spóźniona, znalazłam go, piszącego patykiem na piasku: „Nieszczęście, nie mogę czekać dłużej”. To jego ojczym nagle umarł, a on jednak przyszedł na umówione spotkanie. Później zaczęło się powoli wszystko psuć. Bieda zapanowała u nich w domu, nie miał już ani czasu, ani własnego kąta do nauki. Był na przedostatnim roku medycyny i obcinano go raz po raz na egzaminach. Nie mogłam tego zrozumieć. Wydawało mi się, że ma prawdziwe powołanie na lekarza (którym zresztą w końcu został) czemu więc nie mógł przebrnąć przez tych ostatnich kilka egzaminów? Gderałam na niego, widywaliśmy się coraz rzadziej, bo nagle nie miałam dla niego czasu, później odsunęłam się zupełnie. Ale nigdy nie mogłam o nim zapomnieć i nigdy go już nie spotkałam, choć go szukałam po wojnie.

Następnego lata mój mąż zdecydował, że na wakacje mamy pojechać do jego wuja, gdzieś w małej parafii, „bo to będzie taniej”. Ksiądz, a raczej jego gospodyni, zamorzyli nas prawie głodem. Dzieci, na zupach zaprawionych obficie octem, zaczęły chorować. Robiłam więc piesze wyprawy do pobliskiej wsi po mleko, sery i masło. Raz na ścieżce znalazłam grzyby, które wydały mi się truflami, bo tak właśnie wyglądały na ilustracji w moim dzieciennym atlasie botanicznym. Nazbierałam ich sporo i po powrocie usmażyłam na maśle. Ewa, zobaczywszy ową potrawę, bardzo się jej napierała. Powiedziałam jej: „Poczekasz do jutra, jak mama nie umrze, to dostaniesz”. Omalże nie umarłam! Pamiętam dobrze moją córkę, podskakującą koło mego łóżka z okrzykami: „Ot i umrzesz, a grzybów nie dałaś!” Po tym kulinarnym doświadczeniu zabrałam dzieci i wróciłam do Wilna. Tam

zwróciłam się do profesora botaniki na USB i opowiedziałam mu o moim doświadczeniu: „Ach, jaka szkoda, że tam nigdy nie byłam — oświadczył profesor. — To bardzo rzadko spotykany, truflopodobny grzyb, używany w małych ilościach w ciągu długiego czasu powoduje zaburzenia umysłowe. W większych zabija. Dobrze znany w czasach Odrodzenia, na dworze Medyceuszów. To się pani udało”. Nie wiedziałam co miał na myśli, czy że najadłam się tak wyjątkowych grzybów, czy że przeżyłam i nie dostałam bzika.

Po drugim roku uczenia się po nocach, pracy na seminarium, kiedy zdałam minimum koniecznych egzaminów, mama powiedziała: „No tak, pierwszy rok wielki zapal, a teraz tylko to co konieczne”. Po drugim roku usłyszałam: „Pobawiłaś się i dosyć”. Ale powiedziałam, że nie dosyć.

W ciągu tych czterech krótkich lat, przede wszystkim dzięki Mistrzowi, otworzył się dla mnie świat w prowincjonalnym Wilnie. Uprzednio krążąca pomiędzy pieluszkami i kuchnią, najmłodszym pokoleniem i pokoleniem mojej matki i mego męża, który był dużo starszy ode mnie, tkwiłam w tej domowości, typowa *kura domestica*, czytając co wpadło w rękę i starając się myśleć jak najmniej. Nagle zaczęłam patrzeć naokoło i widzieć co się dzieje i co zbiera w kraju i za granicą, miałam czego słuchać i o czym dyskutować, co czytać, czego się uczyć. Kolegów miałam najróżniejszych. Przy długich, prostych stołach w sali Instytutu zasiadło nas około stu osób. Była tam młodzież w moim wieku, ale również ludzie o wiele starsi, urzędnicy, nauczyciele, oficerowie w mundurach. Jedni chcieli podnieść swoje kwalifikacje, inni szukali powrotu do przerwanych wskutek trudnych warunków studiów. Udział oficerów wydawał się dość jasny. Większość, podobnie jak ja, starała się połączyć interesujące studia z koniecznością innych obowiązków czy prac zarobkowych.

Im dłużej pracowałam z Mistrzem, tym bardziej mnie fascynował. Im bardziej się starałam, tym więcej ode mnie wymagał. Uczyłam się i uczyłam, nauczyłam się pisać na maszynie, spałam po kilka godzin na dobę, byłam zawałona robotą. W 1935 roku MSZ ofiarowało stypendium dla kogoś absolwenta SNP na czteromiesięczną praktykę dyplomatyczną w Ambasadzie R.P. w Moskwie. Było nas takich sześć-cioro czy siedmioro, włącznie ze mną. Ale ja swojej kandydatury wcale nie brałam pod uwagę, bo nie tylko że kobieta, co wtedy było minusem, ale i mężatka, dzieciata; i właśnie któregoś dnia Mistrz zaprosił mnie na rozmowę i spy-

tał: „pani Niko, chce pani pojechać do Moskwy?” „Na jak długo?” „Na cztery miesiące”. „Chcę”. „Wobec tego proponuję pani kandydaturę”.

Następne dwa miesiące toczyła się wojna w domu z mamą i mężem, zakończona niekorzystnym kompromisem dla mnie. Wojna Mistrza z paru kolegami, którzy mu zarzucali, że rozbija ognisko rodzinne, i wreszcie oblężenie przeze mnie ambasady sowieckiej w Warszawie, dokąd jeździłam co parę tygodni starając się o wizę. Odmawiano mi systematycznie, motywując to moją „działalnością polityczną”, która w ogóle nie istniała, bo nie miałam na nią czasu. Wreszcie, po rozmowie z dyrektorem szkoły, profesorem Wł. Wielhorskim, który powiedział, że nie chciałby, żebym zamiast do ambasady trafiła na Łubiankę (prorocze słowa!), pojechałam na wieś z dziećmi. Tam, po paru dniach, dostałam depezę „Wiza przyznana, czekamy”.

Mistrz i koledzy spotkali mnie na dworcu w Wilnie. Na uroczystym obiedzie w domu Teresy Jurgielewiczowej, naszej przyjaciółki i sekretarki SNP, wypiliśmy bruderszaft ze wszystkimi kolegami. Skutki były żałosne. Zamiast pójść na dancing z Mistrzem, leżałam na kanapie u Teresy ze strasznym bólem głowy, popłakując. Następnego dnia dyrektor zapytał mnie, czy nie jestem chora, bo tak mizernie wyglądałam.

Trzy dni potem siedziałam z kurierem dyplomatycznym w międzynarodowym expresie Paryż-Moskwa. Przezornie włożyłam na górną półkę i usiłowałam zasnąć. ZSSR nie uznawało osobnych przedziałów dla kobiet. Jeżdżąc później jako kurier z Moskwy do Leningradu i do Kijowa przyzwyczaiłam się do tego typu podróży, nigdy mi nic się nie stało, choć bardzo rzadko zdarzało się, żeby jechał jakiś inny kurier. Ilekroć przyszło mi tam podróżować, a starałam się jak najwięcej, najczęściej wypadał mi za towarzysza jakiś cywilny albo wojskowy facet, który na pewno o mnie dużo wiedział, ale ja o nim nic. Mówiąc wówczas b. dobrze po rosyjsku, po krótkiej konwersacji zaczynałam ziewać i udawałam, że zasypiam. Teczke kurierską pakowałam sobie pod głowę.

Ambasada R.P. miała swoisty układ społeczny. Ambasador miał swoje kasyno wraz z trzema sekretarzami i radcą handlowym. Stołowali się tam pp. Sokolnicki, Szczerbiński, Żmigrodzki, Kałuski. Reszta urzędników z *attaché* wojskowym miała swoją jadalnię. Konsulat był na drugim końcu Moskwy i miał też swoje kasyno. Wszyscy musieliśmy miesz-

kać w ambasadzie lub konsulacie, zależnie od przydziału. Ku memu zdziwieniu, skierowano mnie do kasyna ambasadora. Był nim wówczas Juliusz Łukasiewicz, który po zakończeniu wojny popełnił samobójstwo w N. Jorku. Wtedy, kiedy się do niego zgłosiłam, powitał mnie 42-letni człowiek, bardzo dla mnie uprzejmy, a później serdeczny.

Moje obowiązki w ambasadzie były bardzo luźne, bo posłano mnie przede wszystkim po to, żebym zdobyła jak największą ilość książek i publikacji sowieckich. W tym czasie, przed drugą wojną, znajomość ZSSR właściwie w Polsce nie istniała. Instytut był jedyną instytucją, która te sprawy badała. Bibliotekę miałam zaopatrzyć ja, na co dostawałam fundusze. Co tydzień kurier z Warszawy zabierał wraz z pocztą dyplomatyczną wielkie paki książek. Urzędowanie zaczynało się o 11-tej przed południem. Obiad z kawiozem na przystawkę jadło się o 2-giej. Za złotego polskiego płacono 10 rubli. Kilo kawioru kosztowało 40 rubli, więc to były pozorne zbytki, chętnie widziane. Po przejrzeniu gazet sowieckich (ku memu zdziwieniu tylko trzeci sekretarz ambasady mówił po rosyjsku, a w attachacie tylko jeden oficer) i zanotowaniu tego, co mi się wydawało ważne, po obiedzie wyruszałam na miasto, zachodząc do każdej spotykanej księgarni, wyłapując książki, które mi się wydawały pożyteczne dla naszej biblioteki. Kurier dyplomatyczny zabierał je i przekazywał do MSZ, a stamtąd posyłano je do Instytutu. Przez jakiś czas jeździłam po południu do konsulatu. W owym czasie wciąż jeszcze repatriowano Polaków do kraju, były więc polskie konsulaty poza Moskwą, w Kijowie, Leningradzie i Charkowie. Referowałam różne związane z tym sprawy naszemu konsulowi. Po jakimś czasie, na moją prośbę, ambasador załatwił mi zezwolenie na uczęszczanie jako wolny słuchacz do Instytutu Sowieckiego Prawa i korzystanie z biblioteki im. Lenina.

W jaki sposób człowiek może za młodu tyle dokonać? Oprócz zajęć dyplomatycznych chodziłam na wykłady do wspomnianego Instytutu, latałam po mieście za książkami dla naszej biblioteki, wysiadywałam godzinami w bibliotece Lenina, gdzie napisałam brulion pracy dyplomowej, chodziłam wieczorami do teatrów i miałam niezliczone spotkania z „kolegami” sowieckimi, które oczywiście kończyły się na niczym. Na ciągłe pytania: *Kakoje wasze socjalnoje proischozhdienie* przez długi czas odpowiadałam cierpliwie, że „pracująca inteligencja, matka nauczycielka, ojca nie mam” — aż w koń-

cu nie wytrzymałam i łupnęłam: *Także-ż jak i towarzysza Lenina — potomstwiennaja dworianka*. Na to mój „kolega” powiedział: „No, jak znajdziesz się pod sądem NKWD, to inaczej zaśpiewasz”. Miał rację. Nie zaśpiewałam wprawdzie inaczej, ale w 1940 r. w więzieniu na Łubiance pokazano mi donos tegoż właśnie faceta, w którym stwierdzał, że obiecywałam mu wspaniałe prezenty, buty, koszule, marynarkę, byle by tylko uciekł ze mną do Polski. Sędzia śledczy, bardzo zresztą w porównaniu z innymi, którzy mnie badali, przyzwoity człowiek, spytał, co ja na to. Odpowiedziałam, z głupia frant, że nie rozumiem, jak mogłam mu nie ofiarować spodni. Sędzia trzasnął pięścią w stół, wykrzyknął że przecież on się ze mną obchodzi dobrze, a ja sobie z niego kpię i że *gordosti už oczeń mnogo* („za dużo dumy”) po tym parsknął śmiechem i postanowił zmienić metody śledztwa. Odtąd czytaliśmy gazety, każde sobie. Na pytanie, co mam odpowiadać swoim lokatorkom w celi na pytania, jak było na śledztwie, odpowiedział: „Prawdę. I tak żadna nie uwierzy”. Miał rację.

Tymczasem jednak przekonałam się, że wymagania ambasadora, żebym mu zawsze mówiła dokąd idę i zawsze wracała przed 10-tą wieczorem, były całkiem uzasadnione. W czasie mego pobytu nasz konsul w Charkowie został przeniesiony do Moskwy. Obchodząc ten awans, skusił się na doprowadzenie jakiejś sowieckiej dziewczynki do domu z restauracji „Metropol”. Został wyrzucony w ciągu 24-ech godzin z Moskwy „za korzystanie z usług prostytutki”, co było karalne oficjalnie. Zdaje się, że nawet nie zdążył z nich skorzystać, bo NKWD czekało na niego już w mieszkaniu tej dziewczyny.

Stary hotel i restauracja „Metropol” były jedynym lokalem używanym wówczas przez korpus dyplomatyczny. Pozostałe z carskich czasów wnętrza były luksusowe. Jadało się tam dobrze i tańczyło przy orkiestrze, często grającej polskie „przeboje”. Roilo się od przedziwnych typów i panienek o niedwuznacznym wyglądzie. Każdy kurier z Warszawy był tam prowadzony na wieczór. Mnie zabierano nie tylko dlatego, że dobrze tańczyłam, ale przede wszystkim jako postrach dla tych panienek, które chętnie przysiadły się do czysto męskich stolików. Tak właśnie wpadł ów konsul z Charkowa.

Któregoś tygodnia zwykły kurier z Warszawy nie przybył z jakiegoś powodu, a trzeba było dostarczyć pocztę do Leningradu. Może by tak p. Nika? Stworzyło to dla mnie wy-

godny precedens, bo zasadniczo w tamtych zacofanych czasach tylko mężczyźni byli kurierami. Odprowadzono mnie gremialnie na dworzec i życzone, żebym uważała kto ze mną będzie jechał i nie gadała za dużo. Pociąg nocny, tzw. *Krasnaja striela*, był wygodny, bo wagony były odziedziczone po carskich czasach. Za towarzysza w przedziale przypadł mi bardzo poprawny Włoch. Rozmowy właściwie nie było, bo on nie mówił po rosyjsku, a ja po włosku. Tego ostatniego języka nauczyłam się w czasie ostatniej wojny. Na dworcu czekał na mnie nasz konsul, Eugeniusz Weeze, człowiek bardzo przystojny i uroczy. Leningrad mnie zachwyił. Stara stolica nie straciła swego charakteru pomimo rewolucji. W przeciwieństwie do rozruttnej, wielkiej, wtedy jeszcze prowincjonalnej Moskwy, gdzieniegdzie upstrzonej nowymi drapaczami w stylu socjalistycznym, tu wprowadzie carskie pałace pozamieniano w muzea, ale to nie zmieniło ich architektury. Szeroka Newa płynęła jak zawsze, kanały nasuwały porównanie — bardzo wprowadzie oklepane — do „Wenecji północy”. Konsulat nasz stał na Nabiereżnoj Krasnowo Flota (dawnej Anglijskiej) kilka kroków od Miedzianego Jeźdźca, i w dodatku były jeszcze „białe noce”. Przyszedł mi na pamięć piękny wiersz Słonimskiego:

*Miedziany jeździec zmarł w skoku
cicho jest bardzo, szumi Newa
i w letnim parku, w letnim zmroku
roziewia wiatr kwitnące drzewa*

Niewiele tam zrobiłam dla konsulatu poza wystukaniem paru oficjalnych pism, ale miasto zwiedziłam bardzo dokładnie. Zamiast przewidzianego czterodniowego pobytu, potrzebnego na przygotowanie poczty dyplomatycznej do Warszawy *via* Moskwa, upłynęło już dziesięć dni, a wciąż jeszcze nie wszystko było gotowe.

Wtedy nagle zjawił się jeden z radców ambasady, który przyjechał z Moskwy żeby zabrać zbłąkaną owcę z powrotem. Wróciłam więc z nim w raczej kwaśnym nastroju. Książek dla biblioteki nakupiłam w Leningradzie, więc sumienie nic mi nie wyrzucało. Ambasador też nie miał do mnie pretensji. Wróciłam więc do ambasady i dawnego trybu zajęć. Tymczasem jednak atmosfera Moskwy zaczynała mnie niepokoić. Postanowiłam ubrać się na sowiecką dziewczynę i kupiłam sobie typowe ciuchy: tenisowe pantofle, bawełnianą spód-

nicę i bluzkę w jakieś dziwne kratki. Kiedy zjawiłam się tak odziana na obiad, powitał mnie wybuch śmiechu. Wytłuma-
czyłam, że prawie co dzień jakaś kobieta mnie pyta na ulicy,
skąd mam takie pantofle albo sukienkę, a na odpowiedź że z
Warszawy odskakuje ze strachem. Ponadto coraz to nowy
facet chodzi za mną krok w krok. Wprawdzie jednego się
pozbyłam, kiwając na niego palcem, żeby do mnie podszedł i
skoro tak za mną od tygodnia chodzi, żeby mnie zaprowa-
dził do redakcji *Ogońka* (było to wydawnictwo dla komso-
molskiej młodzieży), bo nie mogę jej znaleźć. Bardzo zmie-
szany zaprowadził mnie pod odpowiedni adres. Nazajutrz
miałam innego. Do poznania byli łatwi — niezależnie od
pory roku nosili tenisowe pantofle. Ja już swoje zmieniałam
na bardzo toporne półbuty. Jedna z „koleżanek” z Instytutu
Sowieckiego Prawa zjawiała się, żeby mnie „odwiedzić” w
ambasadzie. Zostawiałam jakieś bazgroły na biurku, wychodzi-
łam na parę minut pod jakimś pretekstem i zawsze zastawa-
łam ją z nosem w moich papierach.

Tymczasem jednak atmosfera przy stole ambasadora
zmieniła się radykalnie. Nowy radca po placówce w Paryżu
został przydzielony do Moskwy, nie wiem za jakie grzechy,
bo to nie był awans. Ambasador wyjechał na urlop, radca
przyjechał z żoną (dziw nad dziwami). Pani radczyni mnie
nie polubiła, zwłaszcza odkąd naiwnie poleciłam jej jakąś fryz-
jerkę w Metropolu, która mnie strzygła bardzo dobrze. Wró-
ciła z włosami pięknej fioletowej barwy. Pani J. ciągle pole-
cała mi to i owo albo miała coś za złe. Mój komсомolski
wygląd widocznie zmylił ją do tego stopnia, że polecała mi
ustalenie lepszego menu, bo przy tych nudach w ambasadzie
mogłabym przynajmniej zadbać o lepszą kuchnię. Moi kole-
dzy przysłuchiwali się tym uwagom i czekali co z tego wyni-
knie. Mąż-radca był ciągle zastrachany i siedział cicho.
Widząc, że nikt mi nie pomoże, palnęłam: „Nie jestem gos-
podynią ambasady, kuchnia nic mnie nie obchodzi, a co do
nudów, to jakeśmy tu byli tylko w naszym męskim towarzy-
stwie, tośmy się świetnie bawili”. Chóralny wybuch śmiechu
o tyle mi pomógł, że odtąd dama mnie ignorowała, co
wolałam.

Tymczasem jednak upłynęły trzy miesiące i pomimo
listów od Mistrza i propozycji ambasadora, żebym została
dłużej i w ten sposób zdobyła sobie poparcie dla wejścia do
służby dyplomatycznej, a z drugiej strony nagłące do po-
wrotu listy od męża i matki, postanowiłam wrócić tak jak

obiecałam. Ale chciałam sobie jeszcze pojeździć. Wykorzystując więc precedens, że już raz posłano mnie jako kuriera dyplomatycznego (pomimo oficjalnych dyrektyw, że kurier ma być płci męskiej) naprosiłam się na wyjazd do Kijowa. Tygodniowy pobyt w tym pięknie położonym i jakimś pomimo wszystko swojskim mieście byłby o wiele bardziej interesujący, gdyby nie tamtejszy radca Karaszo-Siedlewski, który stanowczo zakazał mi wszelkich samotnych wypraw po mieście i albo sam mnie woził, albo posyłał mnie samochodem z szoferem, co odebrało mi wszelki smak do zwiedzania. Zaproponowałam, żebyśmy poszli do teatru. Następnego wieczoru zabrał mnie do cyrku. Kiedy nazajutrz rano powiedziałam, że cyrk to jednak nie to, co miałam na myśli, łagodnie powiedział: „Moje dziecko, przecież to był bardzo dobry cyrk”. „Oho, najnowsze dziecko pana radcy”, rzekła dramatycznym szeptem jedna z sekretarek. Pozostało mi chodzenie po księgarniach (z szoferem) i czekanie, aż przygotują pocztę do Moskwy. Nie wiedziałam, że p. radca miał opinię uwodziciela. Kiedy oznajmił, że pojedzie ze mną do Moskwy, nawet byłam zadowolona, bo w drodze do Kijowa przypadł mi za towarzysza podróży jakiś, bardzo zresztą poprawny, sowiecki oficer. Sekretarki miały rację, a ja wojowniczą noc.

W Moskwie zabrałam się do dawnych zajęć. Praktykę w konsulacie skończyłam przed Kijowem — znowu więc zaczęłam bieganie po księgarniach itp.

Czas mijał, listy z domu były coraz bardziej nagłace, nie mogłam się ruszyć z ambasady, żeby jakiś coraz to inny przystojniak w brudnych tenisówkach nie pomykał za mną. Niespodzianie przyszedł telegram od naszego wicekonsula w Leningradzie z prośbą o przysłanie kuriera i wymieniający mnie. Pojechałam z zadowoleniem. Jak zwykle odprowadzali mnie wszyscy na nocny pociąg. Między innymi Antoni Kałuski, trzeci sekretarz ambasady, z którym się przyjaźniłam i wojowałam o różne sprawy, polityczne i prywatne. Stał oparty o wagon, wybiły już trzy rytualne dzwonki oznaczające odjazd, powiedziałam: „Ostrożnie, pociąg zaraz ruszy”. Tak został mi w pamięci, blady i już jakby nieobecny.

Po trzech dniach pobytu w Leningradzie, gdzie dość było roboty, bo prawie cały czas niewielki zresztą personel był na urlopie, a korespondencji ubierało się dużo, siedziałam przy maszynie, odcyfrowując jakieś pismo. Wicekonsul Karnicki wszedł do biura i bez słowa podał mi telegram do przeczytania. „Ciężko ranny w katastrofie samochodowej Ka-

łuski zmarł dziś rano. Wyprowadzenie zwłok do kraju poju-trze”. I podpis pierwszego sekretarza ambasady, H. Sokol-nickiego. Patrzyłam na ten papier także bez słowa. Była to pierwsza śmierć kogoś, kogo blisko znałam w moim krótkim życiu. Pierwszy tragiczny wypadek samochodowy.

Przez długi czas nie mogłam się z tym pogodzić. Okoli-czności były tak groteskowe. W biały dzień na jezdnię wyszło dwóch pijanych robotników. Szofer ambasady usiłując ich wyminąć zderzył się z jakąś ciężarówką jadącą naprzeciw. Antoni Kałuski śmiertelnie ranny, Sokolnicki ze złamaną ręką.

Zacząłam się bać. Cztery miesiące upłynęły, prof. Sukiennicki był jak najbardziej przeciwny memu powrotowi, ambasador wołał żebym została dłużej, prof. Wielhorski, jak zawsze bardzo ludzki, zgodził się na mój powrót. Odprowa-dzono mnie gremialnie na dworzec Białoruski. Wojciech Rychlewicz, ostatni za mego pobytu kurier, towarzyszył mi w drodze. Wysiadłam na stacji w Horodzieju, przystanku specjalnie stworzonym dla potrzeb ks. Radziwiłła z Nie-świeża. O 3 km leżało Zarzecze. Poprzednio, na rewizji cel-nej na sowieckiej granicy, skonfiskowano mi całość dzieł Dostojewskiego, które z niemałym wysiłkiem zdobyłam dla mego przyjaciela, Dorka Bujnickiego. W tym czasie Dosto-jewski był w ZSSR zakazany. Zdobyłam te książki dzięki zaprzyjaźnionemu staremu księgarzowi w Moskwie, który mnie zaopatrywał we wszystkie bieżące arcydzieła ówczesnej literatury. Tak mi był spieszenie, żeby je Bujnickiemu dorę-czyć, że zamiast wysłać je pocztą dyplomatyczną, wsadziłam je do walizki. Na nic zdały się moje perswazje, że demorali-zowanie Polaków nie powinno władz celnych obchodzić. Na szczęście poezje Pasternaka, które wiozłam dla Miłosza, jeszcze nie były źle widziane.

Po jednodniowym pobycie w Zarzeczu ruszyłam dalej do Słonima, gdzie mój mąż był dyrektorem gimnazjum. Na sta-cji czekała na mnie rodzina w towarzystwie dwóch policjan-tów, którzy zaczęli mnie wypytywać, co robiłam w Moskwie. Pokazałam paszport, wypytywano mnie dalej. Mąż stał cicho jak trusia, ja zrobiłam awanturę. W końcu zdecydowano że jednak rzeczywiście jestem tym, za kogo się podaję. Zniena-widziłam Słonim na wieki. Było to zresztą naprawdę okrop-ne, plotkarskie miasteczko. Pierwszy rok pobytu przeszedł jako tako. Musiałam skończyć pracę dyplomową i zdać dyplo-mowy egzamin przy Komisji Egzaminacyjnej SNP. Miałam kil-

ka odczytów. Profesor S. miał żal, że go zawiodłam, wracając tak wcześniej, kiedy miałam wszelkie warunki na pozostanie dłużej. Egzamin zdałam „celująco”, choć Mistrz powiedział, że się temu sprzeciwił, bo mogłabym zdać jeszcze lepiej.

Teżą mojej pracy dyplomowej była „Polityka narodowościowa ZSSR”. Piszac ją, po wykorzystaniu materiałów do których miałam dostęp w bibliotece im. Lenina w Moskwie, doszłam do przekonania, że zasada „narodowościowa w formie, socjalistyczna w treści”, podkreślana do nieskończoności, sprowadza się do dawnego szowinistycznego imperializmu, odzianego w bardzo przejrzyste szaty.

Mieszkając teraz w domu w Słonimie, szukałam jakiegoś zajęcia. Przez kilka miesięcy pracowałam na nocnych dyżurach w miejscowej centrali telefonicznej, aż się rozchorowałam, bo po powrocie do domu po 12-godzinnych dyżurze zastałam dom zamknięty na trzy spusty. Mama poszła z dziećmi na mszę, a mąż w owym czasie stał się nałogowym graczem w pokera i przestał dostarczać środków na utrzymanie domu. Żyło się z emerytury mojej matki. Przesiedziałam godzinę na mrozie, a po wyzdrowieniu już nie mogłam wrócić do tej pracy, bo opinia publiczna orzekła, że p. dyrektora chleb biednym odbiera. Ta sama opinia jakoś nie dotknęła mego męża, który będąc dyrektorem i wychowawcą młodzieży przesiadywał w klubie „Myśliwskim” od sobotniego popołudnia do poniedziałkowego ranka i wracał do domu tylko po to, żeby się ogolić i przebrać, zgrany do ostatniej złotówki. A tu tymczasem mój mały syn, zapytany co by chciał dostać na gwiazdkę, powiedział: „Raz wreszcie nowe buty”, bo wiecznie donaszał po siostrze. Zaczęłam dawać korepetycje z historii i polskiego z nieczystym sumieniem, że nie tyle chodzi o naukę, bo i tak ci uczniowie dość umieli, ile o podlizanie się dyrektorowi. Może zresztą nie miałam racji, bo na ogół uczniowie mnie lubili. Zrobiłam cykl wykładów z historii i literatury polskiej dla podoficerów zawodowych 80 pułku piechoty, stacjonowanego w Słonimie. Rok czy dwa lata później spotkałam w pociągu młodego oficera, który patrzył na mnie jak sroka w kość, a później zapytał: „Czy pani mnie nie poznaje?” „Nie, odpowiedziałam szczerze, ale ja mam notorycznie złą pamięć do twarzy, niech mi pan przypomni”. „Po pani wykładach postanowiłem zdać maturę, żeby nie tkwić całe życie jako podoficer, no i udało mi się, więc pani to zawdzięczam”. Nieczęsto spotykały mnie tego rodzaju satysfakcje. Na co przyszło potem te-

mu chłopcu? Śmierć na polu chwały, niewola, Katyń?

Po dwóch latach słonimskiego bagna miałam dosyć. Po raz pierwszy w życiu poznałam smak prowincjonalnego polskiego miasteczka. Wychowana na kresach pomiędzy radziwiłłowskim Nieświeżem i wiejskimi tradycjami, wydana za mąż za młodo, właściwie nigdy nie zetknęłam się z potęgą plotki. Mój sensacyjny przyjazd do Słonima z policją czekającą na mnie na stacji dał piękny początek dla miejscowych języków. Czym to nie mogłam być! Zapewne jakąś fordanserką, a nie żadną studentką w ambasadzie. Każdy oficer, który ze mną zatańczył, był oczywiście moim kochankiem. Każda moja wyprawa kajakiem po miejscowej Szczarze, chociaż samotna, powodowała komentarze, że nawet na targ chodzę tylko w kąpielówkach. Szczytem wszystkich spekulacji była pogłoska, że dzieci wcale nie są moje, bo i kiedy bym je mogła mieć? Moja córka wręcz spytała, czym jest dzieckiem, bo jej koleżanki ze szkoły SS. Urszulanek stwierdziły, że nie mogę być jej matką. Postanowiłam wyrwać się z tego bagna. Zaczęłam starać się na wszystkie strony o jakąś pracę w Wilnie czy Warszawie. Ale to wcale nie było proste. „Mistrz” umył ode mnie ręce. „Zawiodła mnie pani, powiedział, nie mam żadnej pewności, że znowu pani nie bryknie do rodziny i do domu na zawołanie”. I tu znowu zacny dyrektor Wielhorski mnie wyzwolił. Dzięki jego wpływom dostałam do opracowania dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych studium o osadnictwie wojskowym na Wileńszczyźnie. Po roku 1920, na skutek częściowo przeprowadzonej reformy rolnej, dość wiele rozparcelowanych majątków ziemiańskich zostało przydzielonych zasłużonym żołnierzom — ochotnikom. Działki wynosiły od 30 do 45 ha. Ale po 15 latach okazało się że to był wielki niewypał. Nikt nie rozumiał dlaczego. Miałam zbadać na miejscu, co w tym wszystkim nie gra. Ponieważ moja znajomość gospodarki rolnej ograniczała się do Zarzecza, pochodziłam trochę na seminarium agronomiczne USB. Tak poduczona, pojechałam do Starej Wilejki, skąd miałam zacząć badanie i opisywanie tego, co w tamtym powiecie zobaczę.

Pożegnana na stacji w Wilnie przez dawnych kolegów i przyjaciół, wyruszyłam w nieznane. Nie było powrotu do dawnych, szczęśliwych lat, jak się później okazało, najlepszych lat mojego życia. Na moim miejscu w seminarium sowietoznawczym był ktoś inny. Pozostawiłam w Wilnie, jedynym mieście, które w życiu kochałam, moją młodość i radość życia, Mistrza, kolegów, bliskich przyjaciół. Trzech by-

ło wówczas w Wilnie młodych i obiecujących poetów, Miłosz, Bujnicki, Zagórski. Przyjaźniłam się bardzo z Dorciem Bujnickim i Miłoszem. Zagórski, który zdołał napisać parę pięknych wierszy, był człowiekiem o paskudnym charakterze, zawistnym patologicznie, nielojalnym w każdej sytuacji. Nigdy prawdziwym poetą nie został, miał w sobie za dużo jadu. Dorek został zabity na początku okupacji sowieckiej przez „nieznanych sprawców”. Zawsze lewicowy, zaangażował się do ówczesnej prokomunistycznej prasy. Młodo bardzo założył rodzinę i obawy o jej los zaważyły na jego pozycji. Krzywdy nikomu nie zrobił, napisał parę tomików poezji. „Ostatni bard Litewskiego Księstwa” miał 32 lata, gdy zginął. Pozostał Miłosz, i właściwie nigdy nie miałam od początku żadnych wątpliwości, kto z tej trójki był poetą z Bożej Łaski. Że dostanie nagrodę Nobla, nie myślałam, ani on zapewne wtedy też nie, bo uważał, że „sława przejdzie obok”. Ale nie przeszła. Jako młody człowiek był bardzo piękny i równy w przyjaźni. Nawet Zagórskiego tolerował najdłużej, kiedy ja i inni już dawno znieść nie mogli jego i jego strasznej żony Maryny.

Nasza korespondencja z Miłoszem przetrwała bardzo długie lata, aż wiek, nieszczęścia i sposób życia sprawiły, że już nic nikomu nie mogłam napisać ciekawego. Przyjaźniłam się też bardzo z „Draugasem”, Frankiem Ancewiczem, seniorem naszego seminarium. Ten wielki i pozornie jowialny Litwin, źródło wszelkiej wiedzy, po wojnie popełnił samobójstwo w Kanadzie. Fizyczna „krzepa” nie chodziła w parze z wytrzymałością nerwową. W czasie naszej współpracy stale poprawiałam styl jego prac seminaryjnych, bo miał niesłychanie ciężkie pióro i zdanie zaczęte na pierwszej stronicy zwykł kończyć na trzeciej. Mściłam się na nim za te moje wysiłki dokuczając mu złośliwymi żartami, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi. Posapywał tylko zwykle burcząc: „Nu, Nika, nu już ty nie zaczynaj, ja bardzo ciebie proszę”. Wymyślałam na jego rachunek niestworzone historie, pozornie oparte na jego opowiadaniach. Ponieważ kiedyś mi opowiedział, że w czasie pobytu w Berlinie należał do klubu nudystów, oznajmiłam kolegom, że Franas ma świetną ideę, żeby nasze seminarium połączyć z założonym przez niego klubem nudystów. Innym razem, gdy cmoknął mnie w policzek na pożegnanie po jakiejś zabawie, zwierzyłam się, że omal mnie nie zgwałcił, tylko że nie pamięta, bo był zalany. Nic więc dziwnego, że biedny Draugas, kiedy go niesławnej

pamięci wileński wojewoda Bociański wysiedlił z Wilna jako „niepewny element”, wpadł w przerażenie, kiedy spotkałam go na dworcu w Warszawie i zaprowadziłam do Baru „Pod Setką” dla dodania mu animuszu i zamówiłam dla nas dwa „międzynarodowe ekspresy”. Franek jęknął: „Już ty nie zaczynaj”. Warszawiacy wiedzieli, że tam się zamawia „podmiejski”, „dalekobieżny” albo „ekspres”. Sama wprawdzie byłam warszawianką dopiero od paru miesięcy, ale tego się już nauczyłam. Zanim jednak dotarłam do Warszawy, utknęłam w Wilejce Powiatowej, o 100 km od Wilna. Znalazłam mały pokój mieszkalny. Dowódca KOP-u (Korpusu Ochrony Pogranicza) płk Gaładyk zaprosił mnie na posiłki do miejscowego kasyna oficerskiego.

Po paru dniach pobytu, kiedy się zorganizowałam, spotkałam Witolda Zahorskiego, który bardzo wiele zaważył nie tylko na moim, ale i na moich dzieci życiu. Był tam wówczas inspektorem Oświaty Pozaszkolnej i znał cały powiat doskonale. Dał mi więc nie tylko adresy i sposoby docierania do działek osadników, ale i ostrzegł, że spotkam się zawsze z jednym z dwu ustosunkowań: albo będą liczyli, że jestem ważną osobą i że na wszystko potrafię znaleźć radę, byle tylko do mnie zręcznie podejść — albo będą podejrzewali o jakieś knowania przeciwko nim ze strony urzędu podatkowego. W każdym wypadku będą się starali przedstawić sytuację o wiele gorszą niż w rzeczywistości, choć naprawdę dobra nie była.

Synteza sytuacji była dość prosta i pesymistyczna. Nadano te ziemie ludziom, którzy okazali się dzielnymi żołnierzami, ale nie mieli pojęcia o pracy na roli i sami musieli odkrywać tę Amerykę. Sąsiedzi, białoruscy chłopci, nie mieli najmniejszej ochoty, żeby im pomagać. Sami siedząc nieraz na 10 ha, zmagali się z trudnościami, jak mogli. *My męczym się, to niech i oni pomoczą się*, mając więcej ziemi. Nie dano im żadnych fachowych doradców. Jedni żyli jako tako: jeśli pochodzili z drobnej szlachty przedwojennej, mieli pojęcie o roli. Większość biedowała. Co mógł dzielny szewc z Warszawy wiedzieć o tym co to płodozmian, albo inspekty, czy sztuczne nawozy? Powinni wszyscy być samowystarczalni, ale nie byli. Zrobiłam z tych wiadomości szczegółowe studium, sprawdziłam każdą działkę włączając się „furmankami” z jednej osady do drugiej, przeważnie lokowana na noc w świątecznej izbie, gdzie wśród wielkich, czysto powleczonych poduch pożerały mnie w nocy pluskwy. Parę razy wy-

blażałam pozwolenie o przespanie się w stodole na sianie, ale wiedziałam, że robię im despekt. Po trzech miesiącach (na tyle opiewał mój kontrakt) zawiozłam sprawozdanie do MSW do Warszawy. Przyjął je radca Orsini-Rosenberg, który mnie zganił za ogłoszenie paru artykułów w prasie wileńskiej. Ponieważ żadnej dyskrecji przy podpisywaniu umowy ode mnie nie wymagano, nie uważałam że popełniłam coś niestosownego. W każdym razie sprawozdanie zostało ocenione pozytywnie z obietnicą kontraktu na czele ekipy na Wołyń. Tylko że to już była jesień 1938 roku. W międzyczasie Witek Zahorski przeniósł się do Warszawy jako referent prasowy Ministerstwa. Obrotny i popularny, wkrótce mnie tam ściągnął. Zaczęłam pracować w nowo założonym Funduszu Pracy, także jako referent prasowy. Do moich obowiązków należały wyjazdy na tereny robót prowadzonych przez Fundusz Pracy, w Centralnym Okręgu Przemysłowym (COP) i na Śląsku. Co widziałam, to opisywałam. Nie zawsze oceniano mnie pozytywnie, ale jednak po trzymiesięcznym okresie próbnym i kilku utarczkach z niektórymi dygnitarzami i dziennikarzami, dano mi awans i podwyższono skromne zresztą uposażenie.

Nika KŁOSOWSKA

Walentyna NAJDUS-SMOLAROWA

LWÓW OBECNIE

Karnet, w który artykuł ten wkładałam, to pamiątka ze Lwowa upolowana we wrześniu br. w drodze z miejscowego archiwum (*Lwivskij Oblasnyj Derżawnyj Archiw*) do udostępnionego nareszcie *specfonda* zatrzymanej we Lwowie znacznej części księgozbioru „Ossolineum”, połączonej z biblioteką b. Naukowego Towarzystwa im. Szewczenki, przechrzczonej na Naukową Bibliotekę im. Wasyla Stefanyka (sympatyczny skądinąd patron z nauką niewiele miał wspólnego). Okazało się, że utajniono w *specfondzie* (obecnie *Otdiel Riedkich Knig*) *Diło*, lecz również wydawany przez „Dniestr” *Asekuracyjnij Wistnyk*, statut „Proswity”, statut Towarzystwa Gimnastycznego

„Sokił” (odpowiednik polskiego „Sokoła”). Sądząc po katalogu *specfonda*, ofiarą nadgorliwości i maniakalnej podejrzliwości częściej padały we Lwowie wydawnictwa ukraińskie niż polskie.

Nabyte przeze mnie karnety opuściły drukarnię przed „trzęsieniem ziemi”, które wywróciło sowieckie pomniki, oszczędzając pomniki Mickiewicza i Kilińskiego. Na Wąłach Hetmańskich zamiast Lenina ustawiono bliżej śródmieścia pomnik Tarasa Szewczenki. Sam posąg barda „Samostyjnej Ukrainy” wykonany został w niezmiennym od XIX w. naturalistycznym stylu, lecz udana obudowa, pomysłowo ułożone płyty dobrze wpisują się w otoczenie. Przemianowano 225 ulic. Niektórym przywrócono tradycyjne nazwy, lecz w ukraińskim brzmieniu, jak np. Gorodočka (Gródecka), Kaste-liwka (czyżby Kasztelańska?), Klepariwska, Łyczakiwska, Parkowa, Pasiczna, Szewska, Zołota (Złota) itd. Dowartościowując ukraińskich pisarzy, polityków, społeczników i dowódców wojskowych przydzielono im place i ulice. Wśród odznaczonych w ten sposób znalazł się Semen Petlura, podobno także Stepan Bandera, lecz w nabytym przeze mnie wykazie przemianowanych ulic on nie figuruje. Źle ułożony Chmielnicki musiał ustąpić z placu św. Jura. Prawdopodobnie szacunek jakim otoczono pamięć metropolity Andrzeja spowodował, że przywrócono ulicę Szeptyckich. Własną ulicą uczczono Oskara Kolberga, przywrócono ulicę Fredry, natomiast stracił ulicę Kiliński (władcy z nadania Kremla jej nie przemianowali). Większość polskich nazw od dawna starto z mapy m. Lwowa. Uczczono Rosjanina Sacharowa, przypomniano Nestora Litopyścia. Na terenie byłego getta przywrócono ulicę Szołom Ałejchema, Starozakonną, pod zmienioną nazwą Starojewrejska. Dodano Mejera Bałabana i Jakowa Rapaporta (za udział w walce zbrojnej po ukraińskiej stronie). W sierpniu br. odsłonięto nowoczesny pomnik poświęcony wymordowanym mieszkańcom getta. Projektodawczyni — rzeźbiarka mieszka w Izraelu, koszt pomnika pokryło lwowskie ziomkostwo. Na kamieniach i odłamkach zburzonych murów stoi wychudzony ranny starzec. Twarz i dłonie wznosi ku niebu. Przypomni mi pomnik w Rotterdamie — symbol zbombardowanego miasta: rozdarta ludzka postać. Podobieństwo nie w postaci, a jej rozpaczliwym geście, w niemym wołaniu o ratunek, lecz już nie dla siebie.

Zaskoczyło mnie, że w przeciwieństwie do ostatniego pobytu we Lwowie w styczniu-lutym 1968 r. (wróciłam wów-

czas do kraju na wieść o wydarzeniach 8 marca w Warszawie), tym razem nie słyszałam na ulicach polskiej mowy, nawet w niedzielę na cmentarzu Łyczakowskim rozmawiano wyłącznie po ukraińsku, a przecież funkcjonuje jeszcze polska szkoła (zdaje się tylko jedna). Nie wiedziałam, czy tak mało pozostało rodaków, że spotkać ich można tylko przypadkowo, lub wołać nie afiszować się polskością? Jaki jest więc stosunek otoczenia do języka polskiego? Postanowiłam sprawdzić. Z rana w parku (przed wojną im. Kościuszki, dziś imienia Iwana Franka) spytałam o drogę studentów podążających w kierunku uniwersytetu. Gdy zwróciłam się do nich po rosyjsku, nikt się nie zatrzymał. Powtórzyłam, lecz w języku polskim, mijający mnie studenci zatrzymali się, uprzejmie i wyczerpująco poinformowali w języku ukraińskim.

Młodzież na ogół nie zna języka polskiego. Pamięta go, jak się nieraz przekonałam, starsze pokolenie. Miałam wykład na uniwersytecie dla studentów III-go i IV-go roku studiów. Zapytałam, czy mam referować po polsku, czy też po rosyjsku, a może wołać wysłuchać wykładu wygłoszonego po niemiecku lub francusku — dodałam (znajomość języków obcych jest rzadkością na terenie byłego Związku Sowieckiego). Skwitowali śmiechem i stanowczą decyzją: po polsku. Zadałam więc następne pytanie: — Kto spośród was zna język polski? Zgłosiła się mniejszość. Dziekan szepnął: — Antyrosyjska demonstracja. Większość nie zna polskiego. Oczywiście miał rację, ale nie chciałam zlekceważyć życzenia zebranych. Zaczęłam więc w języku polskim, przeszłam niepostrzeżenie na rosyjski i *vice versa*, miejscami streszczałam.

Terminologii na szczęście galicyjscy Ukraińcy używają polskiej. Zadano charakterystyczne, łatwe do przewidzenia pytania: dlaczego Polacy sprzeciwiali się założeniu we Lwowie ukraińskiego uniwersytetu, przecież w Pradze współistniał czeski i niemiecki? Jak obecnie Polacy ustosunkowują się do Ukraińców, do ich odzyskanej państwowości? Jeśli neguję właściwość ustalania narodowości na podstawie pochodzenia od matki Ukrainki (stosowany w całym byłym Związku Sowieckim), jakie czynniki uznają za decydujące? Odpowiedziałam, że w Polsce w żadnym dokumencie nie ma rubryki stwierdzającej narodowość jego właściciela, dla władz państwowych istotne jest obywatelstwo. Nie sposób narzucić poczucia więzi narodowej. Rozstrzygającą rolę w rozwoju świadomości narodowej odgrywa język ojczysty, obyczajowość, świadomość wspólnego losu, świadomość wspólnego kul-

turowego dziedzictwa. Wspólnota wyznaniowa może odgrywać istotną rolę, zwłaszcza jeżeli w państwach ościennych przeważa inne wyznanie. Podobnie pewną rolę może odgrywać przeświadczenie o wspólnym, chociażby mitycznym pochodzeniu. Gdyby decydował tylko ten ostatni czynnik asymilacja byłaby niemożliwa. W takim wypadku musielibyśmy odstąpić Kopernika Niemcom (ojciec Polak, matka pochodziła z miejscowej rodziny niemieckiej), Chopina — Francuzom, wy zaś powinniście nam oddać chociażby polskiego szlachcica Chmielnickiego, wątpię jednak, czy zostałby u nas zaaprobowany. „Wspólnota krwi” zawodzi, gdy próbuje się określić przynależność narodową mieszkańców pogranicza. Wreszcie do tradycji słowiańskiej należy określenie pochodzenia według ojca. O tym świadczy chociażby zachowane na Ukrainie *otczestwo*. Podczas wojny Stalin wobec licznych dzieci nieślubnych — wyniku żołnierskich „igraszek”, a nieraz masowych gwałtów — wprowadził pojęcie „samotna matka”. Uwolnił jej partnera, jeśli w ogóle udało się go odnaleźć, od groźby dochodzenia ojcostwa, wypłaty alimentów. Ciężar wychowania niechcianego przeważnie dziecka przerzucono na matkę. Jej narodowość wpisywano do metryki noworodka. Każdy mieszkaniec wschodniego imperium od urodzenia był przydzielony do określonej narodowości. Lecz jak poszufladkować metropolitę Andrzeja Szepetyckiego i jego polską (spolszczoną?) rodzinę, lub przywódcę Ukraińskiej Socjalno-Demokratycznej Partii, Mykołę Hankewycza i jego najbliższych krewnych Hankiewiczów, noblistę Polaka Czesława Miłosza i jego stryja Oskara Miłosza, reprezentującego państwo litewskie w Paryżu, trzech warszawskich profesorów Manteufflów, wybitnych polskich naukowców i niemiecko-inflanckie odgałęzienie tego samego rodu? Tylko oni sami mieli prawo decydować o swej przynależności narodowej. Nikt nie ma prawa kwestionować przynależności do narodowości polskiej literaturoznawcy, Wacława Lednickiego, syna wybitnego adwokata i polityka Aleksandra Lednickiego na tej tylko podstawie, że jego matka pochodziła z rosyjskiej rodziny.

Odniosłam wrażenie, że moi słuchacze nie ufają państwu ościennym z tą istotną różnicą, że o stosunku II Rzeczypospolitej do ludności ukraińskiej dowiedzieli się z relacji starszych członków rodziny, nauczycieli, z podręczników i czasopism, są więc ciekawi, co mają o tym do powiedzenia Polacy, natomiast imperialną politykę władz rosyjsko-

sowieckich mieli możliwość poznać sami. Kto w rzeczywistości rządził we Lwowie, świadczyły niedawno dopiero zmienione nazwy ulic: „30 roków peremogi”, 60-riczczja SRSR, wulica Konstytucyi Radjańskiej i wul. Radjaśka, wul. Ateistów, Czekistów, Pawłyka Morozowa, który wydał własnego ojca w ręce katów, Prospekt Lenina, wul. Lenina, Lenina boczna, Marii Uljanowej, Nadzieży Krupskiej, Prospekt Lenińskoho Komсомола itp.

Zaskoczyła mnie wiadomość, że po rozpadzie Komсомола studenci lwowscy nie stworzyli żadnej organizacji, chociażby samopomocy. Zastanawiająca bierność. Przecież w latach 1870-1939 galicyjscy Ukraińcy ujawnili imponującą aktywność organizacyjną. Wystarczyło minionego półwiecza, by zdolność tę przytłumić. Sądzę, że nie tylko terror tu zadziałał. Przecież podczas okupacji niemieckiej nie zdołał zdławić zdolności do samoorganizowania się społeczeństwa polskiego. Skutecznie izolowały współobywateli terror zespolony z chorobliwą wręcz podejrzliwością, wzajemną nieufnością, podsycaniem przez Stalina konfliktów narodowościowych, perfidną polityką masowych wysiedleń i kolonizacji, groźne były słowa-wytrychy: kułak, obszarnik, burżuj i najgroźniejszy w konsekwencji termin: agent.

W tych warunkach wszelkie poczynania organizacyjne paraliżowały strach i nienawiść.

Wobec tego wybrałam temat „Ewolucja więzów organizacyjnych w społeczeństwie galicyjskim 1850-1914”. Stowarzyszenia kulturalno-oświatowe, samopomocowe, gospodarcze, a mianowicie: spółdzielnie różnego typu i spółki z ograniczoną odpowiedzialnością o niskich udziałach i masowym członkostwie. Twórczość amatorska jako istotny czynnik organizacyjny. A ponieważ w archiwum nie dostrzegałam studentów ani kandydatów na stopień kandydata nauk, ani doktorantów, ponadto przygodne konsultacje zaniepokoiły ogólnikowością niektórych tematów, poradziłam słuchaczom wziąć na warsztat stowarzyszenia ukraińskie w Galicji Wschodniej, porównać z polskimi towarzystwami zbliżonego typu. Zapytałam, czy nie myślą o organizacji, powiedzmy samopomocowej tu i teraz. Przydałaby się w trudnym, zwłaszcza dla młodzieży, okresie przejściowym do gospodarki wolnorynkowej.

Zaimponowała mi lwowska młodzież swym zachowaniem. Nie słyszałam, by posługiwała się „łaciną”. Nie złorzeczyli pijani. Nie widziałam zataczających się osobników. Nie zrywano rozkładu jazdy na przystankach. Nie pisano na murach.

Nie ociągano się z ustąpieniem miejsca w tramwaju. Przyznaję ze skrucą, że czasem brak mi było warszawskiej zadziornej przekory, gdy pomysłowy dowcip dzieli od połajanki jeden tylko krok lub ściślej jedno tylko niebacznie rzucone słowo.

Obserwowany we wrześniowe deszczowe dni dzisiejszy Lwów robił przynębiające wrażenie. Szare mury dawno nie remontowanych kamieniczek, szare zabłocone chodniki o zniszczonej nawierzchni, szaro ubrany, zmęczony tłum. Milczą stojący w kolejkach. Nie przerzucają się dowcipami i złośliwościami, przeważnie pod adresem kolejnego rządu, jak to ma miejsce w Warszawie, gdy zdarza się, że jakieś wydarzenie polityczne zbulwersuje mieszkańców. Być może jest to wpływ pogody, niewykluczone, że to dobrze przyswojona lekcja z czasów stalinizmu: „dowcipnisie Biełomor-Kanał zbudowali”. W podcieniach domu, tuż przy cerkwi, dwóch młodych ludzi rozłożyło książeczki o treści religijnej i patriotycznej. Mija nas trzech deputowanych prawosławnych w luźnym obleczeniu i o niesamowicie szerokich brodach. Przemknęła milcząca zakonnica. Nowe to zjawiska. Przypominają, że Lwów już nie jest *radziański*. Zwracają także uwagę tętniące życiem bazy. Natomiast sklepy źle zaopatrzone, za to ofiarują towar po niższych cenach. Lwowianki informują się nawzajem, dokąd „podrzucano” twaróg, żółty ser lub cukier na kartki. (Opłat telefonicznych za miejscowe rozmowy jeszcze nie podniesiono). Brak towarów powoduje zamknięcie niektórych sklepów. Zwraca uwagę, że obszerne lokale sklepowe zamieniono na pracownie krawieckie i warsztaty reperacji obuwia. Pomieszczenie, w którym zmieścić się mógł sklep wielobranżowy, zajęli zegarmistrze. Informują, że reperują także budziki. Cenna to usługa, zegarek stał się towarem deficytowym, budzików od dawna już nie sposób nabyć we Lwowie, bo produkcję skoncentrowano w Moskwie („Zaria”) i w Mińsku („Łucz”), a stosunki handlowe z Rosją i Białorusią jeszcze nie uregulowane. Wchodzę do sklepu pod obiecującym szyldem: Wszystko dla gospodarstwa domowego. Proszę o mały rondel lub kwaterkę. Brak. Więc może kubek fajansowy lub chociażby plastikowy? Brak. Zamiast kubka proponują mikser. Sprawdzam — oczywiście miejscowej produkcji. Lecz mikserem nie zdołam zaczerpnąć wody z wiadra lub miednicy. Wodociąg zbudowany w 1901 r. obliczony został na zaspokojenie potrzeb ćwierćmilionowego miasta. Do 1970 r. liczba mieszkańców podwoiła się, powstały

liczne zakłady przemysłowe. Wody nie wystarczało. Dostarczano ją ludności od 20-ej wieczorem do 8-ej rano. Dotkliwy brak wody odczuwali lokatorzy mieszkań na trzecim i czwartym piętrze. W dzień musiano korzystać z wody nagromadzonej w wiadrach, miednicach i w wannie. Trzeba było rozwiązać tylko problem: czym ją czerpać. W archiwum w toalecie stała olbrzymia beczka. Wodę z niej czerpano wiadrem. Z rana nie było to trudne, lecz wieczorem, gdy poziom wody obniżał się, wydobyć pełnego wiadra zaliczałam do najtrudniejszych ćwiczeń gimnastycznych.

Na placach i ulicach brak pojemników na śmiecie. Zaopatrzone są w pojemniki szkoły, szpitale, instytucje itp. Powiadamia się lokatorów, kiedy przyjedzie ciężarówka z taboru oczyszczania miasta, lecz o tej porze muszą być w pracy, lub zająć miejsce w kolejce. Próbuja chyłkiem wrzucić swoje śmiecie do pojemnika pobliskiej szkoły, lecz szkoła broni dostępu do śmietnika przed agresywnymi sąsiadami. Zamyka bramę. Pozostaje jedno tylko wyjście: idąc do pracy wysypać śmieci tam, gdzie zatrzymuje się samochód-śmieciarka. W duże worki nylonowe trudno się zaopatrzyć, śmiecie leżą więc luzem, wiatr niesie wzdłuż ulicy łupiny, papierki i obierki. Być może zimą, gdy mróz skuje odpadki, a litościwy śnieg je przyprószy, mogą spokojnie doczekać się wywózki. Lecz zimą administracja stanie przed problemem oczyszczania ze śniegu jezdni i chodników. Próbą bezradności służb miejskich stało się dla mnie drzewo obalone na chodnik wiodący do Ossolineum. Do mego wyjazdu jeszcze go nie usunięto. W tydzień po wicherze poszłam na cmentarz Łyczakowski. Wyglądał jak pobojuwisko: obalone drzewa, potrzaskane gałęzie, zerwane zwieńczenia zbyt kruchych nagrobków, na niektórych mogiłach przesunięte płyty. Wichura na ogół nie uszkodziła starych masywnych nagrobków, raczej współczesne. Nowi gospodarze Lwowa zmienili bowiem cmentarz Łyczakowski w komunalny. Chowano wzdłuż alejek i pod murem. Podejrzewam, że przy tej okazji zniszczono biedniejsze zaniedbane groby. Gdy prawo pochówku na zabytkowym cmentarzu ograniczono do osób zasłużonych, liczba takowych niesamowicie wzrosła. Cmentarz więc definitywnie zamknięto. Poznałam młodego kustosa, czuwającego nad tym zabytkiem. Urzekła mnie jego nienaganna polszczyzna, znajomość sztuki cmentarnej i dawnych zwyczajów pogrzebowych.

Starych mieszkańców Lwowa spotykam raczej w Krakowie i Wrocławiu niż na byłej Akademickiej, lecz czuwa *genius*

loci. Bibliotekarka uznała, że zbyt długo siedzę nad książkami. Wyciąga na herbatę. W *specfondzie* ośmioletnia dziewczynka po szkole zajrzała do mamy. Odebrała ode mnie olbrzymi tom *Dła* za drugie półrocze 1918 r. i z ogromnym wysiłkiem zaniósła dyżurnej, dumna ze swej sprawności i uczynności. W archiwum otrzymuję materiały, choć do oficjalnego otwarcia czytelnicy co najmniej dwie godziny. Wieczorem przez oszczędnościowo źle oświetlony plac kolega archiwista odprowadza do przystanku tramwajowego. W mrocznym zaułku, gdy wracam na skróty, młoda nieznajoma kobieta ujmuje mnie pod ramię. Ponoć są bandyci. Być może. Nie spotkałam.

Jeszcze wrócę, na pewno wrócę do Lwowa, może ujrzę znowu u stóp romantycznego pomnika skromną wiązaną kwiatów, by przekonać się, że Mickiewicz nie jest we Lwowie samotny.

Może wówczas w Warszawie i we Lwowie będzie się pamiętać, że pochowano w tym mieście nie tylko polskie orlęta walczące „o wiecznie wierny” Lwów dla Niepodległej, lecz także ich ukraińskich rówieśników walczących o Lwów dla Samostyjnej, i nie ich wina, że LWÓW i LWIW były tym samym miastem na tej samej ziemi.

Walentyna NAJDUS-SMOLAROWA

RECENZJE

Bogusław BAKUŁA

W OCZACH HISTORYKÓW

Lwowskie wydawnictwo „Feniks” opublikowało książkę o stosunkach ukraińsko-polskich, jedną z pierwszych jakie ukazały się na Ukrainie po upadku ZSSR*. Książka jest zbiorem dokumentów, wypowiedzi, a również artykułów analitycznych, które powstały wcześniej w różnych czasach i miejscach, łączy je wszakże kilka tematów, z których najważniejsze to historia ukraińskiej mniejszości w Polsce, los cerkwi greckokatolickiej, historyczne i współczesne wymiary polsko-ukraińskiego współistnienia. Ze strony ukraińskiej mamy autorów zarówno krajowych jak i emigracyjnych, a także Ukraińców żyjących w Polsce. To samo można powiedzieć o grupie Polaków. Są tu autorzy krajowi i emigracyjni, zabrakło jednakże głosu Polaka żyjącego obecnie na Ukrainie, co wydaje się pewną nierównowagą i nie ujawnia wszystkich kwestii jakie istnieją między naszymi narodami. Jako dyskutanci, świadkowie, badacze, występują m.in.: greckokatolicki duchowny o. Wasyl Hrynyk; historyk z Warszawy pochodzenia ukraińskiego E. Miśiło; literaturoznawca z Krakowa, również pochodzenia ukraińskiego W. Mokry; lwowscy historycy: J. Daszkewycz, S. Łyłyk; emigrant I. Łysiak-Rudnyckij, eseista z Kijowa J. Swierstiuik i inni. Stronę polską reprezentowali: prof. A. Sulima Kamiński z Waszyngtonu i T. Olszański z Warszawy. Spoza „kadru” dobiegają cytowane głosy historycznych postaci, np. metropolity A. Szeptyckiego.

* *Ukraina i Polscza miż mynulym i majbutnim*. Redaktor i uporządkownik A. Pawłyszyn, Wydawniczyj centr „Feniks”, Lwiv, 1991, s. 247, nlb. 3.

Książka została podzielona na trzy części. Pierwsza zawiera dokumenty i refleksje historyków dotyczące akcji „Wisła” oraz bulwersującej oba społeczeństwa sprawy Ossolineum. Część druga wprowadza czytelnika w losy międzywojenne i powojenne cerkwi greckokatolickiej na Ukrainie Zachodniej, a rozpoczyna się wypowiedzią metropolity A. Szeptyckiego. Wreszcie część trzecia dotyczy stosunków ukraińsko-polskich w szerszym wymiarze, z przewagą głosów ukraińskich, co wywołuje jednak wrażenie nierównowagi i pewnego nieusatisfakcjonowania. Mogłoby z niej wynikać błędne, moim zdaniem, przekonanie o istnieniu zasadniczej linii polityki polskiej w całym historycznym przebiegu naszych stosunków, która jest linią skrajnie antyukraińską. Taką opinię podziela wiele politycznych ukraińskich ośrodków emigracyjnych i niektóre na Ukrainie. Niemniej jednak nie jest to, zwłaszcza w obecnych warunkach politycznych, najszczęśliwsza opcja historyczna i polityczna.

Na czoło części historycznej wysuwają się prace warszawskiego historyka średniego pokolenia Eugeniusza Misiły o genezie akcji „Wisła”, obozie koncentracyjnym dla Ukraińców w Jaworznie i o historii sporów wokół spuścizny Ossolineum oraz powojennych losach w Polsce ukraińskiej cerkwi greckokatolickiej. Artykuł E. Misiły pt. „Ukraińcy w Polsce (1944-1947): geneza akcji 'Wisła'” jest bodaj najrzetelniejszą ze znanych mi prac opartych na materiale dokumentalnym, wydobytym z niedostępnych do tej pory archiwów polskiego MSW, a więc depeuszach, szyfrogramach, decyzjach, tajnych opracowaniach. Mniej udokumentowane wydają się prace T. Olszańskiego z Warszawy i Myrosława Truchana, ukraińskiego publicysty i historyka, żyjącego w Polsce — także o akcji „W”.

Bardzo wartościowy i odsłaniający nieznane fakty jest blok artykułów dotyczących historii cerkwi greckokatolickiej w Polsce powojennej. Mamy tu wspomnienie księdza Wasyla Hrynyka, generalnego wikariusza dla grekokatolików w Polsce, świadka polityki polskiego kościoła katolickiego wobec braci obrządku greckiego; artykuł Misiły „Cerkiew greckokatolicka w Polsce (1944-1947)” oraz spis ukraińskich cerkwi unickich i prawosławnych zrujnowanych w powojennej Polsce. Z tego szczupłego, lecz sugestywnego materiału wyłania się obraz przerażający. Niemal współpracy większości hierarchii katolickiej z władzami komunistycznymi w dziele zniszczenia kościoła unickiego. A przynajmniej nie przeszkadzania w tym dziele dokonywanym przez UB i NKWD. Spis zniszczonych cerkwi obejmuje wiele zabytków klasy światowej, dziś już nieodwracalnie straconych. Autor opracowania na ten temat R. Brykowski, którego cytuje twórca przedstawionego w omawianej publikacji spisu pisze, iż

w 1945 roku na terytorium eparchii przemyskiej było 514 cerkwi. W czasie wojny z UPA zniszczeniu uległo 6 cerkwi. W latach 1946-56 zniszczono ich 158 i była to świadoma polityka władz cywilnych, której kościół katolicki nie chciał się przeciwstawić, chociaż miał ku temu urzędowy i moralny obowiązek, a także pewne możliwości. Wśród bezpowrotnie utraconych zabytków, których substancja niegdyś tętniła życiem oraz, z drugiej strony, czyniła Polskę sensacyjnym muzeum dla badaczy folkloru, architektury sakralnej, religioznawców, antropologów i innych specjalistów, były cerkwie z XVI (w Lesku), XVII i XVIII wieku. Łącznie spis obejmuje 101 zniszczonych zabytków nierzadko światowej klasy, 57 innych cerkwi przejął kościół katolicki, 34 zamieniono na magazyny, 13 znalazło się pod opieką wiernych. Los 246 pozostałych jest nieznany.

Jarosław Daszkewycz, historyk ze Lwowa, poddał ocenie polską doktrynę polityczną. Píše on w artykule „Dla kogo droga do nikąd?” że: „Polska doktryna polityczna (i w znacznej mierze państwowa) należy do najbardziej konserwatywnych i, w rezultacie, do najbardziej reakcyjnych na świecie. Jej podstawowy zrąb ukształtował się jeszcze w XVI-XVII stuleciu, sztucznie przetrwała w XVIII-XX w. i praktycznie dotrwała do dnia dzisiejszego. Ta polityczna doktryna powstała w warunkach imperialistycznych zdobyczy Polski na Wschodzie i Północy; (...) w sytuacji kiedy dla panującej magnaterii została opracowana — na charakterystycznej dla epoki feudalnej genealogicznej płaszczyźnie — teoria wyjątkowych rasowych praw polskiej szlachty. Polska ze swoją ideologią XVI-XVII w. na tle innych państw imperialistycznych tamtego okresu nie była jakimś osobliwym zjawiskiem — każde imperium opracowywało swoje agresywno-usprawiedliwiające doktryny, ale Polska jako państwo i jako naród zdaje się jako jedyna kurczowo trzymała się i trzyma swojego skostniałego światopoglądowego anachronizmu. Oto trzy jego najważniejsze składowe” (s. 219). I Daszkewycz wymienia: 1) Nigdy nie zrealizowana koncepcja Polski „od morza do morza”; 2) Specyficzny polski model katolicyzmu, który realizuje się w idei *Antemurale*, przedmurza świata cywilizowanego i chrześcijańskiego, odrzucający chrześcijaństwo prawosławnych, a nawet katolicyzm unitów; 3) Oryginalny polski rasizm, wynaleziony na użytek warstwy magnacko-szlacheckiej, a znany pod nazwą sarmatyzmu — píše Daszkewycz. Nawet polski model komunizmu — powiada Daszkewycz — nie był wolny od wpływu tej doktryny i „... jak na razie nie widać katalizatora, który dopomógłby polskiemu społeczeństwu w przyspieszonym tempie przezwyciężyć swoje prawie 400-letnie ideologiczne opóźnienie, po to by mogło znaleźć się ono w europejskim otoczeniu na prze-

łomie XX-XXI stulecia" (s.222). Te uproszczenia wywołują zdumienie i warto by taki tekst ukazał się w tłumaczeniu polskim. Ujawni on słabości dzisiejszej ukraińskiej historiografii i może sprowokuje do dyskusji. Ale tak nas widzą inni. Nawet jeśli jest to widzenie uprzedzonym okiem, to owa nieobiektywność obiektywizuje się jako fakt wypowiedziany, opublikowany, a może i typowy dla wielu ludzi za wschodnią granicą. Daszkewycz swoją wypowiedź kończy wołaniem o uczciwy dialog i wyobraża go sobie inaczej niż większość Polaków. Chce oskarżać i domaga się zadośćuczynienia. Jak większość publicystów ukraińskich „czasu przełomu” reaguje emocjonalnie. Każdy ukraiński badacz tej sprawy, publicysta, powinien jednak uwzględnić obowiązek wysłuchania argumentów strony przeciwnej, jeśli to oczywiście ma kiedyś być dialog. Musi też odrzucić obsesję polskiego spisku przeciwko Ukrainie i obsesję polskiej hegemonii, którą wyczytuje w każdej polskiej inicjatywie politycznej. A więc po prostu obu stronom potrzeba więcej trzeźwości w ocenach i odporności na emocje. O tym pisał Jewhen Swierstiuk w liście do Adama Michnika: „Musimy dać naszym dzieciom dokładną głęboką analizę choroby, jakąśmy przeszli”.

Książka pod redakcją Pawłyszyna uświadamia jak uboga jest, zwłaszcza na Ukrainie, ale i w Polsce także, uczciwa historiografia dotycząca zwłaszcza stosunków zachodzących po roku 1939. Uczciwa to znaczy również i taka, która unikając z góry przyjętych założeń politycznych potrafi również spojrzeć na samą siebie i odnieść się krytycznie do własnych stereotypów i wewnętrznych uzależnień. Są tu ogromne luki. Kilka tekstów w prezentowanej tu książce ujawnia tę niechęć do oddzielania historii od emocji. Niemniej warto by pomyśleć o szerszym uprzystępnieniu tej niewielkiej edycji w Polsce, po to by została ona poddana ocenie czytelnika polskiego, przecież dotyczy go w nie mniejszym stopniu niż ukraińskiego.

Bolesław BAKUŁA

O DYPLMACJI II RZECZYPOSPOLITEJ

W setnym numerze *Zeszytów Historycznych* recenzowałem cenną pracę prof. Henryka Batowskiego pt. *Polska dyplomacja na obczyźnie*. Obecnie chciałbym zasygnalizować książkę tematycznie bliską poprzedniej, z tym, że obejmie ona lata międzywojenne. Chodzi tu o dzieło Piotra Łossowskiego *Dyplomacja Drugiej Rzeczypospolitej: z dziejów polskiej służby zagranicznej* (Wyd. Sejmowe, Warszawa 1992). Starannie wydany tom z dużą ilością dobrych zdjęć dyplomatów oraz wybranych dokumentów, służących jako ilustracja praktyki dyplomatycznej, jest doskonałym opracowaniem, głównie o charakterze informacyjnym. Tytuły poszczególnych rozdziałów mogą w jakimś stopniu dać pojęcie o zawartości książki: a więc: Początki odrodzonej dyplomacji polskiej, (II) Dyplomacja czasów demokracji parlamentarnej, (III) *attachés* wojskowi, (IV) Na Wierzbowej po maju, (V) Warunki i formy działania, (VI) Obcy korpus dyplomatyczny i konsularny w Polsce, (VII) Ministerium Józefa Becka, (VIII) W obliczu wojny.

Tom Łossowskiego jest istną kopalnią informacji, opartych głównie na archiwach MSZ, które autor od lat pilnie studiuje. Dowiadujemy się z niej o sprawach protokolarnych i warunkach pracy na placówkach i centrali, o formach organizacyjnych, zarobkach, życiu towarzyskim, a wreszcie o samych dyplomatach, poczynając od ministrów, a kończąc na personelu urzędniczym.

Autor oparł się pokusie przytaczania licznych anegdot i plotek, które ożywiłyby może miejscami narrację, ale też mogłyby dać skrzywiony obraz. Dbano o *fair play*, o możliwie wyważone opinie, nieuleganie sympatiom czy antypatiom do poszczególnych osób, są bardzo charakterystyczne dla tej książki. Nawet przytaczając krytyki, Łossowski stara się przedstawić też okoliczności łagodzące czy też drugą stronę medalu. W sumie otrzymaliśmy pracę wartościową, dającą dobry pogląd na międzywojenny MSZ i jego prace oraz interesującą charakterystykę osób.

A teraz kilka uwag i refleksji na marginesie książki, której nie należy odczytywać jako krytyki czy zastrzeżeń. Tom liczący 277 stron samego tekstu nie mógł rzecz jasna poruszyć wszystkich spraw i wyczerpać tematu. Pomyślany jako popularyzacja wy-

sokiej rangi, rolę tę bardzo dobrze spełnia. Pozwolę sobie dorzucić jednak trochę „pieprzu” do wyważonych charakterystyk poszczególnych osób. A więc Wacław Grzybowski, którego miałem okazję znać podczas wojny, był może bardziej markantną postacią niżby to z lekury książki można wnosić. Dyplomata o nienagannej prezencji i sposobie bycia (inna rzecz, że wywiózłszy całą garderobę z Moskwy, odbijał wyglądem od większości uchodźców w Grenoble), chwilami nieco celebrujący, był niewątpliwie człowiekiem o dużej kulturze i wyrobieniu. Kajetan Dzierżykraj-Morawski, to w opinii Edwarda Raczyńskiego, wypowiedzianej wobec mnie — chyba w odpowiedzi na pytania o kolegów dyplomatów — najwybitniejszy polski dyplomata okresu międzywojennego. Z innej wypowiedzi wywnioskowałem, że Raczyński nie cenił tak wysoko Konstantego Skirmunta, który według innych opinii miał wyjątkową pozycję w Londynie. Podobną pozycję wyrobił sobie Władysław Neuman w Oslo, pozostający w zażyłych stosunkach z królem norweskim. Znający dobrze Neumana mój ojciec tak jak i Wacław Jędrzejewicz wyrażali się o nim w superlatywach.

Prof. Łossowski bardzo pozytywnie charakteryzuje posła w Pradze Mariana Chodackiego. Nie kwestionując tej opinii, mogę jedynie przytoczyć fragment mojej rozmowy z Chodackim w Nowym Jorku, chyba w latach 50-tych. Zapamiętałem jego uwagę, że miał dwie pasje w życiu — kult Piłsudskiego i psy myśliwskie; pamiętam też samokrytyczne wspomnienie z jednej z rozmów z Benešem. Chodziło o sprawę ewentualnej wymiany ludności czeskiej z Wołynia na polską z Zaolzia. Beneš zdawał się sondować teren i spotkał się z repliką Chodackiego, iż jest posłem, a nie handlarzem żywym towarem. Oczywiście zdarza się, że po latach pamięć bywa selektywna i jest możliwe, że epizod ten został nieco przejaśkrawiony. Chodacki przytaczał go zresztą, krytykując nominacje młodych i nieco buńczucznych oficerów na placówki.

Łossowski nie szafuje zbyt opiniami zagranicznych mężów stanu i dyplomatów odnośnie polskich kolegów. Poza względami wydawniczymi (zbyt obszerny tom byłby bardzo kosztowny, a może i nie tak poręczny) gra tu też może rolę wrodzona ostrożność autora. Ostre choć niesprawiedliwe sądy pamięta się często lepiej niż wyważone opinie. Ale kilka można by dorzucić. Dosadne *cochon*, wypowiedziane przez François-Poncet o Lipskim po podpisaniu deklaracji o nieagresji, nie zmieniło skądinąd dobrej opinii, jaką francuski ambasador w Berlinie miał o swym polskim koledze. Inna rzecz, że młody wiek Lipskiego drażnił starej daty Francuzów i według p. Lipskiej, o jej mężu mówiono *bébé l'ambassadeur*.

Autor wykorzystał w pełni ankietę o międzywojennym MSZ, przeprowadzoną w 1976 r. w *Zeszytach Historycznych*. Natomiast

zignorował o wiele bardziej plotkarską notatkę, sporządzoną zapewne przez amerykańskiego *chargé d'affaires* w Warszawie Johna Wileya, a ogłoszoną w polskim przekładzie w *Zeszytach* w 1986 r. Czytelnik jej zauważyłby, jak ważnym atrybutem ówczesnego dyplomaty były talenty brydżowe. Przy prawie każdym nazwisku figuruje uwaga na ten temat. Na liście Wileya mamy trzydzieści kilka osób, z których wiele nie zostało wzmiankowanych w książce Łossowskiego. Ale jak już powiedziałem, autor musiał wybierać i ograniczać się w swej i tak wnikliwej prezentacji MSZ i jego filarów. Winniśmy mu wdzięczność, jak zresztą za wiele innych dzieł, czy to z dziedziny stosunków Polski z krajami bałtyckimi, czy to za wydaną w 1990 r. syntezę *Polska w Europie i świecie 1918-1939*.

Piotr WANDYCZ

Wojciech KRZYŻANOWSKI

ŹRÓDŁOWA PRACA O ŻOŁNIERZACH POLSKICH W RUMUNII

Mam dla czytelników *Zeszytów* dobrą nowinę: w Kraju ukażała się niedawno książka-dokument o żołnierzach polskich internowanych w latach 1939-1940*. Jest to owoc benedyktyńskiej pracy autora, wybitnego historyka nowego pokolenia. O jego wysiłku świadczy olbrzymi materiał źródłowy — ponad 300 (!) pozycji — obejmujący archiwa i druki, jak i wydane w formie książek wspomnienia i pamiątki. Relacja spokojna i rzeczowa, bez emocjonalnych wykrzykników. Jak na historyka, a nie kronikarza, przystało, Dubicki szeroko odmalował stosunki polsko-rumuńskie w przededniu wybuchu wojny, jak i grę polityczną pomiędzy rządami zainteresowanymi pozytywnie i negatywnie (Niemcy) losami żołnierza polskiego.

Szczegółowo przedstawione jest dramatyczne przekroczenie granicy rumuńskiej przez władze Rzeczypospolitej i jednostki wojskowe oraz trudne położenie Rumunów, którzy znaleźli się między

* Dr Tadeusz Dubicki: „Żołnierze polscy internowani w Rumunii w latach 1939-1941”. Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1990. Stron 442. Cena zł. 14.000.

młotem i kowadłem: chęcią dotrzymania warunków z układów przedwojennych pozwalających Polakom na tranzytowy przejazd przez Rumunię — a bezwzględnymi żądaniami niemieckimi, domagającymi się internowania polskich władz naczelnych i wojska. W rezultacie Rumuni dosyć zręcznie przeszli od początkowej ostentacyjnej życzliwości do stopniowego internowania Polaków. (Przy tej sposobności zaznaczamy, że i autor potyka się na pisowni nazwiska rumuńskiego pełnomocnika do przejęcia polskich władz, della Scala, Bukowińczynka włoskiego pochodzenia.) *Gros* uwagi autora koncentruje się naturalnie na internowaniu polskich sił zbrojnych. Czytelnik znajdzie dokładne, nawet drobiazgowo informacje o rozmieszczeniu jednostek, o warunkach internowania (wyżywienie, życie kulturalne, opieka duszpasterska), nawet o pomocy finansowej, względnie znacznej dla oficerów a bardzo skromnej dla szeregowych, wzorowanej na stawkach rumuńskich.

Druga część książki to niezmiernie sumienne omówienie akcji ewakuacyjnej, żaden obóz nie jest pominięty. Akcja ewakuacyjna, oficjalnie przez Rumunów surowo zabroniona, mogła być jednak przeprowadzona w wielkich rozmiarach, bowiem zakazy rumuńskie nie wytrzymały próby czasu; kwaterowanie i wyżywienie ogromnych rzesz (ponad 20.000) był zbyt wielkim obciążeniem dla ubogiego kraju. Udało się wyewakuować do Francji ponad 16.000 wojskowych, ale i po jej upadku ewakuacja trwała nadal, chociaż w skromniejszych rozmiarach. Na początku 1941 r. pozostało w obozach 1.600 oficerów i szeregowych, których — po zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Polską — władze rumuńskie wydały Niemcom. Pobytowi i ucieczce Rydza-Śmigłego poświęcił autor osobny, obszerny rozdział. Mimo rzeczowego, nawet suchego przedstawienia wydarzeń, nie można go czytać bez emocji.

Na zakończenie podkreślmy troskę autora o dokładność, nawet w sprawach mniejszej wagi. Trudna ortografia rumuńska jest ściśle przestrzegana, nawet jej niezwykle znaki diakrytyczne są zawsze pedantycznie poprawnie podane: uznania godny wyjątek wśród podobnych opracowań. Czego mi brakuje, to skorowidza nazwisk i osób i nazw obozów, ale wiem z własnego doświadczenia (wydałem trzy książki), jak niezwykle pracochłonna jest taka praca.

Na zakończenie przyczynek osobisty. Piszący te słowa był w latach 1939 i 1940 sekretarzem ambasady R.P. w Bukareszcie i osobiście brał udział w akcji ewakuacyjnej grupy lotników przez port Balcic.

Mimo trudności, z jakimi musiał Tadeusz Dubicki walczyć przy wydaniu tej książki życzę mu dalszej owocnej pracy.

Wojciech KRZYŻANOWSKI

„OBRZĄDEK SŁOWIAŃSKI W DAWNEJ POLSCIE” CZYLI KRZYŻOWANIE HISTORII

Długo zastanawiałem się nad powodami powstania dzieła Zbigniewa Dobrzyńskiego *Obrządek słowiański w dawnej Polsce*. Warszawska Metropolia Prawosławna 1989. Nakład: 3 000 egz. — a i dziś wyjaśnienie byłoby niepełne. Zapewne ta książka, 500 stron druku, musiała zostać napisana.

Trudno o ciekawszy temat dla publicysty zajmującego się historią: przesunięcie daty chrztu połowy państwa mieniącego się od wieków ostoją katolicyzmu o blisko sto lat jednych może zainteresować, innych niepokoić czy wręcz jątrzyć. To samo odnosi się do obrządku, do Kościoła — który zjawił się jako pierwszy na ziemiach dzisiejszej Polski: klasyczny obrządek łaciński Kościoła rzymskokatolickiego, zachodni obrządek słowiański przyniesiony przez uczniów Cyryla i Metodego a może sporadycznie, np. w ówczesnym Krakowie czy w Wiślicy, pojawiała się liturgia bizantyjska?

Zbigniew Dobrzyński za nic mając bezstronność, uczciwość badacza historii, wierność faktom i zachowanym źródłom opowiada się jednoznacznie za obrządkiem słowiańskim. Południowa Polska została ochrzczona przez wielkomorawskiego Świętopełka w roku 875, zrozumiała liturgia słowiańskojęzyczna błyskawicznie rozprzestrzeniła się na podbite państwo Wiślan i dalej — na Mazowsze i władztwo Piastów, którzy przyjęli ją jako swoją. Zaś Kościół rzymskokatolicki, krok po kroku wykorzystując wpływy niemieckie, odsuwał książąt Polski od bliższej im i ludowi liturgii słowiańskiej odnosząc pełne zwycięstwo za panowania Bolesława Krzywoustego.

Takie drobiazgi jak to, że Świętopełk nie sprzyjał cyrylometodiałizmowi u siebie, w Wielkiej Morawie (dlaczego miałby go popierać w kraju podbitym?), jak pewna płynność obrządków zasadniczych (liturgię bizantyjską skodyfikowano ostatecznie dopiero w XIV–XVII wieku) stawiająca pod znakiem zapytania wykrystalizowanie się obrządku słowiańskiego już na przełomie IX/X wieku, nie mają znaczenia. Autor konsekwentnie tworzy swoją wizję narodowego Kościoła Słowian zamieszkujących tereny dzisiejszej Polski wykorzystując wszelkie luki, niejasności jakich sporo we wczesnośredniowiecznej historii naszego kraju,

na swoją korzyść. Można powiedzieć, że p. Dobrzyńskiemu wszystko kojarzy się z obrządkiem słowiańskim i wszystko jego istnienie potwierdza. Mamy więc słowiański chrzest Mieszka I i słowiańskich, tzn. należących do Kościoła cyrylometodiańskiego, władców: przemilczanego przez kronikarzy Bolesława II — syna Mieszka II, o którym na dobrą sprawę wiemy tylko, że istniał; Mieszka III — jak by to powiedzieć: hipotetycznego, drugiego syna Mieszka II, którego autor kojarzy z Masławem, władcą Mazowsza. Historyczny dowód na istnienie „Mieszki-Masława” jest kuriozalny: Mieszko II „z biologicznego punktu widzenia mógł mieć w okresie lat 1008–1013 jeszcze jednego syna”, więc go miał i tyle! Czeski Wratysław II, z naszego punktu widzenia najeźdźca i okupant, u Dobrzyńskiego występuje w glorii słowiańskiego króla Czech i Polski, zaś Kazimierz Odnowiciel, który skleił na powrót królestwo rozorane przez swoich i obcych, jest tylko nieudacznikiem o pogardliwym imieniu Kaźmir. Oczywiście pogański zryw, który wstrząsnął państwem w roku 1030, jest dowodem na istnienie i upominanie się o swoje prawa Kościoła słowiańskiego, natomiast podobne wydarzenie na Węgrzech (rok 1046) sklasyfikowane zostaje jako „powstanie pogańskie”.

Podobnie olśniewające odkrycia występują we wczesnośredniowiecznej historii polskiego Kościoła: zanim powstała łacińska archidiecezja w Gnieźnie, Kraków miał już swoją słowiańską. Tylko z siedzibami biskupów słowiańskich występują kłopoty: raz p. Dobrzyński wymienia Wrocław, Sandomierz, Przemyśl i Wiślicę, gdzie indziej dopisuje Kruszwicę, Łęczycę, Kalisz, Sieradz i Zawichost. Biskup Stanisław Szczepanowski ginie jako obrońca liturgii słowiańskiej, dopiero później łacinnicy drogą zafałszowań uznają go za swego i kanonizują. W ogóle Kościół polski winien jest popełnienia licznych zafałszowań, w wyniku których nasza historia miejscami przypomina zapis dogmatów a nie obiektywny rejestr dziejów. Padają oczywiście dowody historiograficzne, mamy zestawienia cytatów z kronik, wyniki badań archeologicznych, tyle że... wszystko to służy ogacaniu lansowanej w zaparte tezy autora a nie historycznej prawdzie. I tu wszelkie niejasności wynikłe z braku źródeł, dowodów historycznych, archeologicznych lub ze szczątkowego ich zachowania pozwalającego na wieloznaczną interpretację, oceniane są na własną korzyść.

Na panu Dobrzyńskim zupełnie nie robi wrażenia fakt, że występujące u nas rotundy z jedną apsydą mają analogie z „okrągłymi kościołami bizantyjskimi, jak z ich odpowiednikami na terenie Italii”, że czworolistne czy budowane na planie „oktogonalu krzyżowego o genezie antycznej” świątynie (u nas na

Ostrowie Lednickiem), występowały w Azji Mniejszej, w Armenii ale i w Alzacji, nad Jeziorem Bodeńskim, w Niemczech czy we Francji (Paderborn, Krukenburg, Villeneuve d'Aveyron). Jego interesuje twardy, słowiański czy też orientalistyczny kurs i daje temu świadectwo na każdej stronie swego dzieła.

Rozczarowania nie są w stanie osłodzić rzadkie rodzynki prawdy czy rzetelnie udokumentowane hipotezy jak np. o pochodzeniu biskupa Jordana lub genezie *Bogurodzicy*.

Adam KULIK

Andrzej SUCHCITZ

W CIENIU KAPITOLU

Wśród książek o polskich stosunkach zagranicznych lat międzywojennych wydanych w ostatnich latach na uwagę zasługuje praca doktora Bogusława Winida pt. „W cieniu kapitolu. Dyplomacja polska wobec Stanów Zjednoczonych 1918–1939*”.

Całość jest podzielona chronologicznie na osiem rozdziałów i daje jasne spojrzenie na rozwój stosunków polsko-amerykańskich. Autor słusznie zwraca uwagę, że stosunków tych nie można sprowadzać do kwestii politycznych. Należy uwzględnić sprawy gospodarcze i społeczne, te drugie związane z istnieniem dużej Polonii w Ameryce i stosunkiem niepodległego państwa polskiego do rodaków za oceanem.

Poszczególne rozdziały autor podzielił następująco: Amerykański etap polskiej drogi do niepodległości; Stany Zjednoczone w koncepcjach politycznych Warszawy (1919); Waszyngtońskie echa walk o granice państwa (1920–1921); Regres i próba jego przezwyciężenia (1921–1924); W dobie stabilizacji (1924–1929); Dyplomacja lat kryzysu (1929–1935); Poszukiwania dróg zbliżenia (1935–1938) i W obliczu wojny (1938–1939).

Autor uważa, że okres największego rozkwitu wzajemnych

* Bogusław W. Winid, *W cieniu kapitolu. Dyplomacja polska wobec Stanów Zjednoczonych Ameryki 1918–1939*. Warszawa, Wyd. PoMOST, 1991, ss. 268.

stosunków przypadł na lata 1924 do 1929, zapoczątkowany przez ministra spraw zagranicznych Aleksandra Skrzyńskiego i trwający do wyjazdu posła RP Jana Ciechanowskiego (w latach 1941–1945 ambasador RP w Waszyngtonie). Okres ten autor określa jako okres „dyplomacji stabilizacyjnej”. Rządy obozu sanacyjnego miały zapatrywanie bardziej pesymistyczne odnośnie stosunków z Ameryką. Chyba słusznie autor stwierdza, że Marszałek Piłsudski traktował stosunki ze Stanami „bez większego przekonania, jako ewentualne zaplecze finansowe”. Bilans dyplomacji lat kryzysu, tj. 1929–1935, wypadł już negatywnie dla Polski. Wzajemne stosunki były chłodne, czynniki rządowe w Waszyngtonie po raz pierwszy publicznie sugerowały możliwość zmian terytorialnych w Europie i podobnie jak inne państwa Europy Polskę objęto blokadą kredytową mimo regularnego spłacania długów. Autor zaznacza, że w tym okresie „wartość wzajemnej wymiany handlowej spadła do poziomu z początków lat dwudziestych”. Ambasador Patek nie był wysoko ceniony i Waszyngton odebrał jego nominację jako dowód braku zainteresowania Ameryką i „pełnego pomijania jej w kalkulacjach politycznych Warszawy”. W dwuletnim okresie po śmierci Piłsudskiego ponownie próbowano zbliżenia, lecz właściwie bez większych skutków. Stany zbliżyły się bardziej do Moskwy, a wobec Berlina kierowały się zasadą tzw. *appeasement*. Natomiast ambasador RP Józef Potocki uważał, że okres ten, a szczególnie 1937 rok, przyniósł znaczne zbliżenie i wzrost „rozumienia dla spraw polskich”. Autor podkreśla, jak fatalnie odbił się brak zrozumienia MSZ dla zmian w założeniach amerykańskiej polityki zagranicznej. Okres do 1939 niewiele poprawił sytuację. Amerykanie mieli możliwość przekonania się o słabej orientacji ambasadora Potockiego, oceniając jego wiarygodność „w najlepszym wypadku jako wątpliwą”. Warszawa również nie skorzystała z zaproszenia do złożenia oficjalnej wizyty w Stanach przez ministra spraw zagranicznych jak i z możliwości zaciągnięcia nawet skromnej pożyczki.

Mimo wszystko autor wynosi konkluzję, że w okresie dwudziestolecia niepodległości polska dyplomacja potrafiła przekonać „Amerykanów, iż państwo polskie jest trwałym i niezbędnym elementem ładu międzynarodowego”.

Książka jest oparta na bogatych źródłach dokumentalnych i wyborze drukowanej literatury. Autor spenetrował nie tylko archiwa w Polsce (Archiwum Akt Nowych, Biblioteka Narodowa, Biblioteka SGPiS, Biblioteka Jagiellońska, Biblioteka Ossolineum, Gdańskie Wojewódzkie Archiwum Państwowe) ale i archiwa polskie za granicą (Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku) oraz archiwa angielskie i amerykańskie.

Niestety książka została wydana w bardzo małym nakładzie przez wydawnictwo PoMOST ze słabą oprawą, skutkiem czego przy pierwszym czytaniu strony wypadają. Należy mieć nadzieję, że ewentualne kolejne wydanie książki znajdzie solidniejszego introligatora.

Książka Bogusława Winida przedstawiająca syntezę całości kształtu stosunków polsko-amerykańskich w latach 1918-1939 stanowi ważny element w historiografii tychże stosunków i będzie stanowiła jedną z podstawowych lektur dla nowych badaczy tego zagadnienia.

Andrzej SUCHCITZ

Tadeusz WYRWA

SŁOWNIK BIOGRAFICZNY KOBIET, KTÓRE POLEGŁY W WALCE O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI W OKRESIE OKUPACJI NIEMIECKIEJ*

Słabym stosunkowo echem odbiła się dotychczas jedna z najbardziej wartościowych publikacji, jakie ukazały się w Polsce z okresu okupacji niemieckiej. Powodem tego było i jest może to, że wyszła z druku w 1988 roku, kiedy walił się dawny ustrój, a w nowym układzie politycznym i nieładzie społecznym ciągle nie widać rzetelniejszego zainteresowania tysiącami bezimiennie poległych bohaterów i bohaterek walk z lat 1939-1945. Stanowi to tym większy paradoks, że jednocześnie odbywa się orgia wznoszenia pomników, wmurowywania tablic pamiątkowych i paradowania ze sztandarami, co wszystko razem robi wrażenie, że Polska staje się wielkim mauzoleum ku chwale niezbyt równomiernie rozłożonej, ze szkodą dla wielu ofiar, których nazwiska i czyny coraz bardziej zacierają się w pamięci.

Tak też często dzieje się, gdy chodzi o udział kobiet w

* Hanna Michalska, Maria Stopień, Bożenna Tazbir-Tomaszewska, Wanda Turkowska, Wacława Zastocka, *Słownik uczestniczek walki o niepodległość Polski 1939-1945. Poległe i zmarłe w okresie okupacji niemieckiej*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988, str. 614.

drugiej wojnie światowej. Bardzo cennym przeto świadectwem ich czynów i zarazem hołdem jest *Słownik*, o którym mowa w tytule. Dokumentację zebrała i wydała drukiem kilkusobowa grupa uczestniczek walk, które bezinteresownie i bez oparcia organizacyjnego zapoczątkowały opracowanie materiału. Z czasem zebrana dokumentacja przerosła możliwości małego grona, które zwróciło się o pomoc do Towarzystwa Miłośników Historii w Warszawie, przy którym powstała w lutym 1970 roku Komisja Historii Kobiet w Walce o Niepodległość. Dziełem tej Komisji, wspomaganej współpracą kobiet z różnych części Polski, jest *Słownik*, rezultat wieloletniej żmudnej pracy.

W zwięzłym wstępie Komisja zwraca uwagę, że historia XIX-wiecznych powstań uwieczniła nazwiska nielicznych uczestniczek walk. Podczas pierwszej wojny światowej kobiety występowały w kilku formacjach Legionów, ale liczba ich nigdy nie została ustalona. Współdziałanie kobiet z wojskiem na szeroką skalę widoczne było w kampanii wrześniowej 1939 roku, do czego przyczyniła się rozbudowana w dwudziestoleciu Polski niepodległej akcja przysposobienia wojskowego, która przygotowywała kobiety do obrony kraju i była prowadzona przez różne stowarzyszenia społeczne. W marcu 1939 roku akcję tę powierzono utworzonej przez Ministerstwo Spraw Wojskowych Organizacji Przysposobienia Wojskowego Kobiet. Z tych szeregów ogromna większość kobiet przeszła później do konspiracji.

Masowy udział Polek, niespotykany w żadnym innym kraju, nastąpił w podziemnej walce z okupantem, na co wpłynął totalny charakter wojny. Komisja przypomina, że do konspiracji szły młode dziewczyny i starsze kobiety, z różnych warstw społecznych, z miast i ze wsi. Stawały się żołnierzami na wszystkich odcinkach walki: w partyzantce, dywersji, sabotażu, wywiadzie, jako łączniczki, sanitariuszki, kurierki, kolporterki prasy, a w Powstaniu Warszawskim były nadto przewodniczkami kanałowymi. Zachowane dokumenty dotyczące poległych i zamordowanych kobiet potwierdzają ich wielką odwagę, ofiarność, determinację, poczucie godności osobistej i narodowej oraz ogromną odporność psychiczną. Bez poświęcenia kobiet walka z okupantem nigdy nie przybrałaby takich rozmiarów i nie ogarnęłaby całego społeczeństwa we wspólnej walce o wolność naszego kraju. *Słownik* zawiera 4.430 biogramów, podanych w układzie alfabetycznym oraz w Aneksie 510 krótkich informacji, niewystarczających do opracowania haseł. Podstawowym warunkiem w doborze biogramów był bezpośredni udział w akcjach bojowych lub działalność, za którą okupant stosował przeważnie karę śmierci. Najliczniejsze są biogramy kobiet poległych w Powstaniu Warszawskim, co jest zrozumiałe z uwagi na liczbę ofiar;

wśród innych najczęściej ginęło w obozach koncentracyjnych. Komisja pragnęła objąć również kobiety, które służyły w formacjach Wojska Polskiego na Wschodzie i Zachodzie i brały udział w walkach frontowych. Biogramy tych kobiet nie są liczne.

W zbieraniu materiałów Komisja korzystała z wszelkich dostępnych źródeł: relacji, wspomnień, korespondencji, rozpraw naukowych, archiwów oraz różnych publikacji, artykułów i książek, których wykaz zamieszczono na końcu książki. Jeśli chodzi o te ostatnie, to w bardzo małym stopniu korzystano z publikacji emigracyjnych, co można chyba tłumaczyć tym, że *Słownik* został opracowany w „minionym okresie”, kiedy publikacje te trudniej docierały do Kraju. Poza tym w bibliografii figurują pozycje, które w następnym wydaniu winny być usunięte, gdyż zawierają fałszywie przedstawione fakty przez autorów piszących zgodnie z obowiązującą dawniej doktryną. Przy niektórych biogramach zostały zamieszczone zdjęcia kobiet, które Komisja zdobyła oraz kilka fotografii grupowych i dokumentów.

Nadto zostały opracowane, z dużym pożytkiem dla czytelników, organizacje kobiece w służbie wojskowej w okresie okupacji, z naszkicowaniem sytuacji sprzed 1939 roku. W dalszej kolejności wymieniane są, z krótkim opisem, ważniejsze więzienia i areszty Gestapo, po czym następuje objaśnienie nazw i kryptonimów oraz gwary okupacyjnej. Książka kończy się indeksem pseudonimów i nazw geograficznych. Całość bardzo starannie opracowana.

Komisja zdaje sobie sprawę z usterek *Słownika*, zwłaszcza z faktu, że nie obejmuje wszystkich poległych w walce kobiet. Prosi o nadsyłanie informacji i uzupełnień dotyczących nie tylko okupacji niemieckiej, ale i innych okresów, gdyż jest zaplanowane opracowanie kilkutomowego słownika biograficznego. Jak czytamy we wstępie, chodzi o „utrwalenie w naszym społeczeństwie pamięci o uczestniczkach polskich walk niepodległościowych”. Następny projektowany tom ma obejmować biogramy uczestniczek zmarłych po 1945 roku, z najtragiczniejszych lat w dziejach Polski. Wszelkie dane należy wysłać na adres: Towarzystwo Miłośników Historii (dla Komisji Historii Kobiet w Walce o Niepodległość), Rynek Starego Miasta 29/31, 00-272 Warszawa.

Inicjatorcom opublikowanego teraz *Słownika* chodziło o to, „by rola Polek w konspiracji i na frontach wojennych nie była w przyszłości przedstawiana jedynie jako romantyczna legenda, lecz jako możliwie najpełniejsza suma zbadanych i zweryfikowanych faktów”. Czytając obecne biogramy o bohaterskich czynach młodych dziewcząt i kobiet oraz — w większości wypadków — ich męczeńskiej śmierci, trudno powstrzymać się od wzru-

szenia i podziwu dla ich poświęcenia z myślą o wspólnym wówczas celu. Można mieć nadzieję, że *Słownik* nie będzie potraktowany jako jeszcze jeden przyczynek do bogoojczyźnianej martyrologii. Jest to bowiem pomnik zbudowany nie z kamienia — jak wiele wznoszonych w Polsce i służących do pompacyjnych uroczystości — ale pomnik z sercem opracowany i zawierający tysiące przykładów ofiarności i solidarnej postawy wobec potrzeb kraju, czego tak bardzo brak w dzisiejszej Polsce. Żadne opisy wódzów i staczanych przez nich bitew nie są tak wymowne i pouczające, jak lektura biogramów samotnie przeważnie poległych kobiet. Komisji *Słownika* należą się szczere wyrazy uznania i wdzięczności.

Tadeusz WYRWA

OKRUCHY HISTORII

Andrzej CHWALBA

WYKŁADY HISTORYCZNE JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Józef Piłsudski (Komendant i Pierwszy Marszałek) zasługuje na naszą uwagę nie tylko jako autor odczytów na tematy wojskowe i polityczne, nie tylko jako autor tekstów pisanych, broszur, książek i esejów historycznych, lecz także jako wykładowca prezentujący problematykę dotyczącą dziejów wojen, bowiem poważną część jego dorobku stanowią prelekcje, wykłady i odczyty właśnie na tematy historyczne.

Przygotowania merytoryczne do takich wykładów rozpoczął na dobre w roku 1908 w związku z osiedleniem się w Galicji i rozpoczęciem „agitacji militarnej” oraz podjęciem przygotowań do akcji wojskowych. Wykłady były świadectwem potrzeb, ale także dowodem możliwości Piłsudskiego jako historyka, dowodem świadczącym o tym, iż poważnie i rzetelnie zabrał się do gromadzenia danych źródłowych. W latach 1908-1911 jeszcze nie myślał o wykorzystywaniu zebranych danych do książek czy do dłuższych cykli wykładowych. Ponieważ jednak zarówno ilość jak i jakość tego co zebrał znacznie przewyższała jego potrzeby jako wykładowcy, pojawiła się możliwość a później wręcz konieczność wykorzystania tego wszystkiego w pracach innego rodzaju, niż dotychczasowe wykłady popularne oraz powiedzenia czegoś więcej i inaczej o badanych dziejach, zwłaszcza o roku 1863 w Polsce.

Część wykładów i prelekcji była stenografowana (z inicjatywy autora, organizatorów, przyjaciół), aczkolwiek niektóre ze względu na jakość pozostawiają wiele do życzenia. Są pewne niedokładności i sprzeczności, zawierają w połowie urwane zdania. Wydawcy pism zbiorowych Piłsudskiego musieli się sporo natrudzić, by przygotować teksty, które najpełniej oddawałyby jego poglądy i myśli. Nieraz zresztą mieli wątpliwości, czy zamieszczone w poszczególnych tomach pism wykłady naprawdę i w takiej postaci zostały wygłoszone. Nie posiadali bowiem zbyt wielu sposobów weryfikacji; niestety taśma magnetofonowa jako pomoc techniczna jeszcze wówczas nie była stosowana. W tej sytuacji autentyczność przynajmniej jakiejś części wykładów i odczytów jest przesądzona. „Również brak sprostowań ze strony autora nie świadczy o zaaprobowaniu danego tekstu. Piłsudski bowiem nigdy żadnego sprostowania tekstu swoich przemówień nie ogłosił” — podkreślili wydawcy pism.

Tylko niektóre ze stenografowanych wykładów doczekały się rzeczowych poprawek autora. Kilka spośród nich dodatkowo otrzymało od autora wstęp (np. Rok 1863). Świadczyło to, że przywiązywał do nich szczególną wagę. Redakcję pozostałych przygotowywanych do druku, ale mniej dla niego istotnych, pozostawiał przyjaciołom i współpracownikom, zwłaszcza redakcję literacką i językową.

Pewna część wykładów została zrekonstruowana w oparciu o mniej czy bardziej dokładne streszczenia oraz sprawozdania świadków-słuchaczy¹. Szczególnie cenne okazały się te, które sporządzili dziennikarze w prasie codziennej, w tygodnikach i w miesięcznikach. Niestety niektórych tekstów wygłoszonych wobec publiczności, zwłaszcza przed wybuchem I wojny światowej, nie udało się odtworzyć, a tym samym później wydrukować. Najprawdopodobniej przepadły bezpowrotnie. Pozostały tylko po nich ślady pozwalające stwierdzić, czy dany wykład rzeczywiście został wygłoszony, ewentualnie notatki czy luźne uwagi mówiące o atmosferze panującej podczas wykładu czy też bardzo ogólnie o jego temacie.

Pierwszy wykład publiczny o tematyce historycznej Pił-

1. Szczególne zasługi miał Julian Stachiewicz, dzięki któremu ocalało co najmniej kilka wykładów. Jeszcze jako student, chcąc uzyskać możliwość szybkiego notowania wykładów uniwersyteckich nauczył się stenografii, która później przydała się m.in. do stenografowania wystąpień Piłsudskiego.

sudski wygłosił w Londynie w ostatnich tygodniach roku 1901 w klubie robotniczym PPS. Dotyczył powstania listopadowego. Jest zrozumiałe, że jako nielegalnik nie mógł ryzykować wygłoszenia tekstu w zaborze rosyjskim (o ile w ogóle wcześniej miał przygotowany, co mało prawdopodobne), a w Galicji nie czuł się jeszcze jak „u siebie”. Stąd Anglia, w której wówczas chwilowo przebywał, po ucieczce ze szpitala Mikołaja Cudotwórcy w Petersburgu. Dodajmy, że był to jedyny jego wykład dla polskich robotników podczas tego pobytu.

Ostatni odczyt, „O wodzu naczelnym i państwie”, miał miejsce 15 IV 1926 r. w Klubie Polityczno-Społecznym w Warszawie. Choć jego treść była podyktowana względami ściśle pragmatycznymi, ze względu na obfitość przykładów zaczerpniętych z historii (od dziejów Rzymu poprzez wojny napoleońskie, francusko-pruskie, rosyjsko-japońskie aż po I wojnę światową) zasługuje na naszą uwagę. W późniejszych terminach (lata 1926-1935) Piłsudski udzielał licznych wywiadów, pisał przemówienia i listy do instytucji, organizacji i osób prywatnych, lecz już nie wygłaszał wykładów na tematy historyczne.

Pewne teksty przygotowane w oparciu o poszukiwania źródłowe i literaturę historyczną, a zaprezentowane słuchaczom w latach 1900-1926, były jedynie pretekstem do rozmowy na tematy aktualne. Nie znaczyło to, by nie zawierały refleksji historycznych czy ustaleń faktograficznych, lecz zasadniczo historia pozostawała przede wszystkim w tytule, reszta niewiele miała z nią wspólnego. Inne wykłady zachowywały dystans wobec pytań współczesności, ich bohaterem była przeszłość.

Jednym z najważniejszych tematów wykładów i prelekcji Piłsudskiego była historia polskich powstań narodowych. Najczęściej i najpełniej prezentował dzieje ostatniego, styczniowego. Z tym, że w wygłoszonych po zakończeniu I wojny światowej tekstach — w porównaniu z okresem sprzed roku 1914 — dominowała już inna problematyka. Miejsce militarnej zajęła polityczna, z naczelnym zagadnieniem społeczeństwa cywilnego wobec powstania.

Do roku 1914 bardzo często wygłaszał odczyty o powstaniu kościuszkowskim i listopadowym. Zazwyczaj okazją do tego była ich kolejna rocznica bądź rocznice głośnych bitew (Racławice, Insurekcja Warszawska, Olszynka Grochowska). Właśnie owe okazje, a także fakt, iż problematyka powstań-

cza była niezłym pretekstem do rozmowy o sprawach bieżących powodowały, iż Piłsudski tak chętnie występował wobec słuchaczy z rokiem 1794 i 1831. Jednakże żaden z tych wykładów nie został później opublikowany, zapewne dlatego, że nie zachowały się w takim stopniu, by można było odtworzyć jego treść. Z punktu widzenia historii jako nauki zapewne niewiele one wносиły ze względu na to, że Piłsudski nie prowadził szerszych badań źródłowych ani o roku 1794 ani 1831. Michał Sokolnicki pisał, że powstania listopadowego nie lubił i najmniej się nim zajmował.

Fakt, że wiedza Piłsudskiego o obu tych powstaniach była mniej niż skromna miał i ten skutek, że — jak twierdzą świadkowie — podczas wykładu problemowi tytułowemu poświęcał zaledwie kilka chwil, czy to przypominając podstawowe o nim informacje, czy przywołując epizody. Resztę czasu zajmowały uwagi generalizujące i aktualizujące. Jednym słowem oba powstania, podczas spotkań ze słuchaczami, traktował przede wszystkim jako pretekst.

Piłsudski wykladał również o dziejach wojny rosyjsko-japońskiej 1904-1905. Niestety tak jak w przypadku powstania kościuszkowskiego i listopadowego, żadnego z wygłoszonych tekstów nie udało się odtworzyć. Wielka to szkoda, bowiem jego wiedza o tym konflikcie robiła wrażenie nie tylko na słuchaczach, ale także na historykach i zawodowych wojskowych.

Oprócz wykładów z dziedziny historii wojen i powstań narodowych Piłsudski coraz częściej wygłaszał kwestie, które można by nazwać problemowymi. Ustosunkowywał się w nich do określonych, a ważnych z jego punktu widzenia zagadnień: organizacja działań formacji improwizowanych, moment zaskoczenia na wojnie, modele organizacyjne poszczególnych armii europejskich w wieku XIX, kwestia zaplecza, dowodzenia, miejsce naczelnego wodza w strukturze armii, morale żołnierza — wszystkie w ujęciu historycznym. Źródłowe ich oparcie stanowiła dokumentacja pochodząca ze sztabów i dowództw oraz z pól bitewnych, głównie wieku XIX i początku XX. Jednocześnie dzięki temu wiemy, co sądził o wspomnianych powstaniach, kościuszkowskim, listopadowym oraz o wojnie rosyjsko-japońskiej.

Należy jeszcze wspomnieć o wykładach specjalistycznych, w których rozważał zagadnienia fachowe. Także one oparte były na badaniach źródłowych i historycznej literaturze wojskowej. Wygłaszał je dla słuchaczy szkół wojskowych i for-

macji strzeleckich. Tytułem przykładu można wspomnieć o kilku tematach: działania zastępcze wymienionej z nazwy dywizji japońskiej w roku 1905, akcje wybranego pułku francuskiego w wojnie roku 1870 czy czynności podejmowane przez improwizowane formacje wojskowych Burów podczas obrony regionów umocnionych w okresie wojny burskiej.

W roli wykładowcy najchętniej występował w obu galicyjskich miastach stołecznych, Krakowie i Lwowie, poza tym gościł z wykładami w Borysławiu, Nowym Sączu, Podgórzu, Wieliczce, Zakopanem oraz na Śląsku Cieszyńskim: w Stonawie i Lutyni Polskiej. Najbardziej pracowite były dla niego lata 1912-1913². Tylko o polskich powstaniach narodowych wygłosił wówczas 9 odczytów, z tego 5 w roku 1913³. Przy najmniej tyle, w oparciu o zachowane źródła, udało się ustalić. Rozumiemy, że lista może być niekompletna.

Wykłady Piłsudskiego urządzały takie organizacje i instytucje, jak komitety lokalne PPSD, sekcja krakowska PPS, towarzystwa oświatowe: Uniwersytet Ludowy im. Adama Mickiewicza oraz Towarzystwo Szkoły Ludowej (TSL), organizacje akademickie: Życie i Zjednoczenie, organizacje młodzieżowe: Zarzewie i Promień, stowarzyszenia skupiające poszczególne zawody: Ognisko Krajowe Związku Nauczycielstwa Polskiego we Lwowie, związek zawodowy górników Unia, organizacje o charakterze paramilitarnym: Związek Walki Czynnej (ZWC), Związek Strzelecki. Dla słuchaczy tych ostatnich z reguły nie wygłaszał pojedynczych tekstów, lecz całe cykle wykładów.

Najczęściej adresat jego wykładów i prelekcji był ściśle określony: robotnicy (drukarze, metalowcy), górnicy (węglowi, solni i naftowi), młodzież gimnazjalna i akademicka, rzemieślnicy, kolejarze, nauczyciele oraz wojskowi i członko-

2. Anonse o publicznych prelekcjach Komendanta ukazywały się m.in. w prasie. Przykładowo w *Głosie* nr 62 z 16 III 1912 czytamy: „odczyt o powstaniu 1863 r. wygłosi ob. Piłsudski w środę dn. 20 bm. staraniem Życia w sali towarzystwa. W ustaleniu liczby wykładów, poza prasą, korespondencją prywatną, danymi policyjnymi, także agenturalnymi pracowników carskiej ochrony w Krakowie i Lwowie (zob. m.in. WAP Kraków, St.Gr.Kr.Mat., t. 162) ważne były wspomnienie świadków — uczestników wykładów (m.in. M. Janika, Z. Zawisanki, Z. Zygmuntowicza, S. Siedleckiego, J. Stachiewicza, K. Trylowskiego).

3. Por. W. Jędrzejewicz, *Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935*, Londyn 1977, t. I 1867-1920, T. II 1921-1935. Autor *Kroniki* co prawda nie podaje liczby wykładów Piłsudskiego, pisze jedynie, że na początku 1912 r. wygłosił szereg odczytów.

wie organizacji paramilitarnych. Teksty prezentował w różnych miejscach: salach organizacji górników, metalowców, studentów, nauczycieli, restauracjach i kawiarniach, w tym hotelowych (m.in. krakowskiego hotelu Pod Różą), lokalach gazet (m.in. *Wieku Nowego*).

Bywało, iż wygłaszał odczyty w miejscu szczególnym, jak choćby w sali lwowskiego ratusza. Powodem były uroczystości związane z 50-tą rocznicą wybuchu powstania styczniowego. Dzienniki krakowskie i lwowskie podawały jej szczegółowy program, który zawierał przemówienie Józefa Piłsudskiego.

Zdarzało się, że gościny udzielały mu dyrekcje gimnazjów galicyjskich, a nawet profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego. W tym ostatnim przypadku zapraszającym był wybitny historyk Wacław Tokarz. Prowadził on wówczas pierwsze w dziejach nauki polskiej seminarium dotyczące powstania styczniowego. Bywali na nim nie tylko jego magistranci czy zainteresowani tym tematem studenci, ale w charakterze gości profesorowie a nawet osoby spoza uniwersytetu. Seminarium stawały się wówczas otwartymi zebraniem naukowymi.

W roku 1914 wobec takiego grona wystąpił Piłsudski. Wspominał o tym uczestnik seminarium historycznego Kazimierz Morawski: „Za głównym stołem usiadł w bluzie swej strzeleckiej Józef Piłsudski i wykladał nam o strategii Langiewicza; wprowadził go tu był Tokarz, a za nimi dwoma napłynęła pierwsza jakby kadra czy brygada historyczna; był stary Limanowski, był Studnicki, był Sokolnicki i Szpotański — stare seminarium trąciło tego wieczoru obozem”. O tym wydarzeniu zachowała się także relacja Tokarza. Według niej Piłsudskiego słuchano „z zapartym tchem, bowiem tego rodzaju tematów dawno nie rozważano w murach krakowskiego uniwersytetu”. Przysłuchiwał się bacznie także wiekowy już wówczas Bolesław Limanowski „zwinąwszy dłoń w trąbkę przy uchu. Zabrał później głos w dyskusji aby... bronić Langiewicza. Nie wolno — mówił — tak bezwzględnie odsądzać Langiewicza od wielkich zasług, gdyż bądź co bądź jego kampania, w tych desperackich warunkach, była szczytowym punktem powstania, zarówno wojskowo jak i politycznie. Ona przeciągnęła białych na stronę powstania a za granicą stworzyła nam przekonanie o sile ruchu⁴.”

4. Cyt. za A. Zahorski, Wacław Tokarz, w: *Historycy warszawscy*, Warszawa 1984, s. 204.

Nie tylko ten wykład, lecz także teksty pisane świadczyły, że Piłsudski patrzył i oceniał działalność Mariana Langiewicza w sposób krytyczny. Jego zdaniem nie wykorzystał on wielkiej szansy jaka przed nim stała: wygrania czasu. Zdania „w sprawie Langiewicza”, jak już świadczył głos B. Limanowskiego, były podzielone. Także dzisiejsza historiografia również nie jest w pełni zgodna w jego ocenie. Dla nas może najistotniejsze jest to, że dyskusja, jak przystało na uniwersyteckie seminarium, nie zeszła na tory luźnych dywagacji o czasie współczesnym (przykładowo przygotowań do wojny), lecz obracała się w kręgu historii roku 1863⁵.

Dodajmy, że Piłsudski jeszcze co najmniej trzykrotnie (w latach 1913-1914) miał okazję publicznie omawiać kampanię Langiewicza. Poza nim żaden z bohaterów roku 1863 nie stał się centralną postacią jego wykładów. O jednym z takich występów wspomina Roman Jabłonowski. Piłsudski po krótkim opisie przygotowań a następnie wyprawy do Kongresówki i pochodu na Małogoszcz oraz po wyjaśnieniu okoliczności szybkiego odwrotu do Galicji przeszedł do części refleksyjnej i uogólniającej. Przede wszystkim położył nacisk na chwiejność poczynań dyktatora, brak jednolitości w jego działaniu. Do tego wątku powracał kilkakrotnie w trakcie wykładu⁶.

Natomiast nie dane mu było zaprezentować powstańczej tematyki wobec liczniejszego grona studentów krakowskich. A było to możliwe, korzystały z niej bowiem osoby spoza Uniwersytetu. W wypadku Piłsudskiego nie wiemy, czy w ogóle zabiegał o prawo wygłoszenia otwartego wykładu. Takie wykłady prezentowane przez gości odbywały się w Collegium Novum, w sali, która m.in. była przeznaczona do tego typu wystąpień: Copernicum. Oczywiście nie były one płatne przez uczelnię, nie wiązały się z tym żadne akademickie honory, gratyfikacje czy posady, co najwyżej satysfakcja plus korzyści polityczne czy propagandowe.

Warto wspomnieć, że na początek roku 1914 planowany był publiczny wykład, właśnie we wspomnianej sali Copernicum, Romana Dmowskiego. Wprowadzającymi byli profesorowie, sympatycy narodowej demokracji, w tym m.in. ks. Kazimierz Zimmermann. Jednakże na wieść o tym młodzież lewicowo-niepodległościowa postanowiła gorąco zaprotestować... i wykład został odwołany.

5. *Przegląd Historyczny*, 1936, t. 34, s. 327, 428-429.

6. R. Jabłonowski, *Wspomnienia 1905-1928*, Warszawa 1962, s. 97.

Z kolei Piłsudskiemu zaproponowano wygłoszenie serii publicznych odczytów na uniwersytecie lwowskim na temat dziejów militarnych Polski w wieku XIX. Inicjatorem tego przedsięwzięcia najprawdopodobniej był Marian Kukiel, który do tego pomysłu miał przekonać ówczesnego profesora tego uniwersytetu Szymona Askenazego⁷. Jednakże wykłady nie doszły do skutku. Samą inicjatywę już w zarodku utraciły władze uniwersyteckie. Powodów tego możemy się jedynie domyślać, bowiem nie dysponujemy źródłami z „pierwszej ręki”. Być może jedni profesorowie, politycznie związani z obozem narodowym, kierowali się interesami swojej orientacji. Inni mogli uważać, iż w mury uniwersyteckie nie można wprowadzać polityki i towarzyszącej jej zazwyczaj ostrej polemiki na tematy odległe od tego, do czego powołana została uczelnia.

Skoro mówimy o wykładach adresowanych do środowisk akademickich, należałoby wspomnieć o jeszcze jednym, który został zaprezentowany przez Piłsudskiego profesorom, członkom Komisji Historycznej Akademii Umiejętności w jej krakowskim gmachu. Mówimy zaprezentowany, choć ani księga protokołów Komisji Historycznej ani materiały Wydziału Filozoficzno-Historycznego AU takiego faktu nie podają. Jako wykładowca został w nich odnotowany jedynie starszy brat — Bronisław⁸. Jednak fakt, że w oficjalnych materiałach AU wykład nie został zarejestrowany, jeszcze nie dowodzi, iż się nie odbył. O tym, że miał miejsce, mówią nam relacje dwóch osób, które nie miały żadnych powodów, by podawać nieścisłe dane: W. Tokarza oraz M. Kukieła. Stefan Pomeranski powołując się na opinie tego pierwszego pisał, że była to wspaniała prelekcja⁹. Ostatecznie wątpliwości zdaje się

7. *Niepodległość*, 1952, t.IV, s.161-162. W przekonaniu S. Askenazego i M. Kukieła uniwersyteckie wykłady stałyby się jednym ze środków propagandowego oddziaływania i kształtowania proniepodległościowych postaw inteligencji polskiej.

8. Archiwum Polskiej Akademii Nauk w Krakowie, WN-21, księga protokołów Komisji Historycznej AU w Krakowie (nr 2205, 597, 776, 469, 1084, 545, 485). Zob. też Księga Posiedzeń Wydziału Historycznego oraz Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego, protokoły posiedzeń Wydziału Prawa i Filozoficzno-Historycznego (do roku 1914).

9. *Przegląd Historyczny*, 1936, t.34, s.428-429. Tematem wystąpienia miał być M. Langiewicz w powstaniu 1863r. Tak przynajmniej utrzymuje M. Kukiel, *Kwartalnik Historyczny* 1937, t.51, s.372. Wykład ten doszedł do skutku zapewne dzięki pomocy będącego wówczas w dobrych kontaktach z AU S. Askenazego, a także niezłe już ustosun-

rozpraszać uwagę Tokarza, iż był to wykład poufny, zatem nie mógł być zarejestrowany w stosownych protokołach. Udział w seminarium W. Tokarza oraz wykład dla członków AU to nie były jedyne przykłady kontaktów Piłsudskiego ze środowiskami akademickimi. Na przełomie lat 1922/1923 zamierzał nawet na stałe związać się z uczelnią. Mianowicie podjął się próby założenia katedry historii powstania styczniowego na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie (choć nie wiemy jak to sobie wyobrażał i jak to się miało dokonać). Jak pisał Henryk Mościcki, Marszałek „na serio myślał o jej przez siebie na pewien czas objęciu” oraz związanym z tym obowiązkiem wygłaszania wykładów. Ten pomysł pojawił się dosyć nagle, kiedy zmęczony i znudzony polityką, w okresie silnej apatii wywołanej m.in. śmiercią Gabriela Narutowicza, postanowił robić coś zupełnie innego — uprawiać w sposób zawodowy historię.

Zatem pomysł zrodził się w określonej sytuacji psychologicznej Komendanta. Kiedy ona uległa zmianie, porzucił go wybierając Sulejówkę. Zatem nie skorzystał z okazji — zresztą przez siebie przygotowanej — zostania historykiem zawodowym (o ile byłoby to możliwe ze względu na istniejące przepisy prawne).

Na zakończenie tej sekwencji należałoby wspomnieć o kilku wykładach publicznych, wygłoszonych w roku 1914 w Europie zachodniej podczas podróży, którą można by nazwać inspekcyjną. Odnotujmy: 15 II 1914 Genewa. Wykład odbył się w Brasserie du Conservatoire. Poza Polakami z nowszej i starszej emigracji i polskimi studentami byli także Szwajcarzy i Rosjanie. „Dość długo czekaliśmy — wspominał Jerzy Śmigielski — na rozpoczęcie, bo przyjechał płk Miłkowski”. Tematem wystąpienia była wojskowa i cywilna administracja w powstaniu styczniowym. „Najbardziej nas wzięło — pisał dalej Śmigielski, jak po odczycie, stary pułkownik, weteran powstańczy, siedzący na wprost Komendanta, wstał i długo mu serdecznie dłoń ścisnął¹⁰”.

Kolejny wykład odbył się w Zurychu. Dotyczył dziejów spisków i powstań polskich poczynając od roku 1794, ze szczególnym uwzględnieniem ostatniego. O wrażeniach pisał

kowanych jego uczniów: M. Kukiela, M. Sokolnickiego, A. Skałkowskiego. Zob. też H. Barycz, *Na przełomie dwóch stuleci. Z dziejów polskiej humanistyki w dobie Młodej Polski*, Ossolineum 1977, s. 290 i nast.

10. *Niepodległość*, 1938, t. XVII, s. 282.

Adam Pragier (jeden z czołowych polskich socjalistów). Podkreślił dyscyplinę wypowiedzi Piłsudskiego i jego pragmatyzm w ujęciu tematu; 21 II 1914 wygłosił najbardziej znaną prelekcję, tym razem w Paryżu, w sali Towarzystwa Geograficznego¹¹. Znaną bynajmniej nie ze względu na jej walory historyczne, bowiem w tym tekście tak historia jak i literatura (Słowackiego „Grób Agamemnona”) stanowiły przede wszystkim ilustrację spraw całkiem aktualnych.

Drugi ważny okres w życiorysie Piłsudskiego jako wykładowcy przypadł na lata 1923-1926, czyli „czasy” Sulejówka. Wśród organizatorów prelekcji i wykładów przede wszystkim były instytucje wojskowe i kombatanckie: Towarzystwo Wiedzy Wojskowej, Towarzystwo Rodzin Wojskowych oraz organizacje skupiające legionistów i peowiaków. To pierwsza istotna różnica w porównaniu z etapem poprzednim.

Kolejna to miejsce wystąpień. Było ono stosowne do jego ówczesnej rangi i znaczenia w państwie. Zniknęły małe, nieraz nieopalone i nie zawsze przytulne salki, ustępując miejsca dużym, nowoczesnym salom kinowym (Colosseum warszawskie), teatralnym (teatr na Pohulance w Wilnie, Stary w Krakowie), Rad Miejskich (Lwów), restauracjom znanych hoteli (Bristol warszawski), czy wreszcie salom Oficerskich Kasyn Garnizonowych.

Trzecia różnica wiązała się z tematyką. Znikają lata 1794-1830, mniej było wykładów o wojnie rosyjsko-japońskiej czy burskiej. W ich miejsce pojawiły się wykłady problemowe, dowodów bądź ilustracji. Był to wynik nowych potrzeb, a także zainteresowań.

Czwarta różnica dotyczyła adresata. W latach dwudziestych przeważały sfery wojskowe i kombatanckie. Licznie też były reprezentowane środowiska inteligenckie, zwłaszcza uniwersyteckie oraz ziemiańskie. Wśród słuchaczy prawie nie było już robotników, rzemieślników czy młodzieży wiejskiej. Przede wszystkim rozmawiał wówczas z elitami, do nich kierował swoje posłanie i własną ocenę przeszłości. Wynikało to z przekonania poświadczanego osobistymi historycznymi doświadczeniami, że losy kraju i jego przyszłość zależą przede wszystkim od ich postaw i zachowań.

Na poszczególnych wykładach liczba słuchaczy była bardzo zróżnicowana w zależności od tematu, organizatora,

11. W. Jędrzejewicz, *Kronika...*, t. I, s. 261-262.

wielkości sali, wreszcie miejsca i czasu historycznego. Na spotkania z Piłsudskim przed rokiem 1914 z reguły nie przychodziło więcej niż sto osób. Najczęściej pojawiała się 30, 40, 60 uczestników. Tylko na wykłady dla wojskowych i członków organizacji paramilitarnych przychodziło więcej słuchaczy. No cóż, nie mógł jeszcze przyciągać tłumów, jego nazwisko niewielu cokolwiek mówiło. To, co pisała Janina Benedekówna, wydaje się charakterystyczne: „Nazwisko (Piłsudski!) to wówczas nic mi jeszcze nie powiedziało¹²”. Nie lepiej było z frekwencją podczas odczytów w Szwajcarii i we Francji. Przykładowo w Zurychu miało być 30, w Genewie 40 słuchaczy. Jedynie w Paryżu, zdaniem carskiego agenta, miało ich być około 500.

Po wojnie Piłsudski nie musiał się ani troszczyć ani martwić o frekwencję. Kłopot miał tylko organizator: jak i gdzie można by posadzić wszystkich chętnych do usłyszenia i zobaczenia Marszałka. Na podstawie danych, którymi dysponujemy, możemy stwierdzić, że na żadnym wykładzie, którego temat był zbudowany w oparciu o przebadane materiały historyczne, liczba słuchaczy nie była mniejsza niż 100 osób. Z reguły było ich kilkuset: 400, 600, 900. Bywały wykłady, którym przysłuchiwał się tłum liczący znacznie powyżej tysiąca, a w największej sali kinowej stolicy, Coloseum, liczba obecnych, zdaniem świadków, wynosiła kilka tysięcy osób! Powojenne wykłady Piłsudskiego miały obsługę prasową, co zwiększało zasięg ich oddziaływania. W ten sposób słowa, które wówczas wygłaszał, stawały się własnością publiczną, faktycznie tysiący. Wykład to był czas wyjątkowo dobrze sprzedawany, to rodzaj kapitału, który został nieźle ulokowany, dzięki czemu szybko mógł przynieść wymierne korzyści.

Czas trwania wykładu określali albo jego organizatorzy, zwłaszcza wtedy, gdy był on jednym z punktów programu danej uroczystości, bądź jego autor. Najkrótsze mieściły się w 30-tu minutach, najdłuższe w 90-ciu. Powojenne, z udziałem licznie zgromadzonych słuchaczy, z reguły były dłuższe, niż te sprzed roku 1914.

Sprawa ta była m.in. przedmiotem rozmowy Artura Śliwińskiego z Piłsudskim. „Pamiętam o tym — mówił — by odczyt ukończyć w oznaczonym czasie. Spoglądałam na zega-

12. *Wierna Służba. Wspomnienia uczestniczek walk o niepodległość*, red. m.in. A. Piłsudska, Warszawa 1927, s. 6.

rek, obliczam, ile minut mi jeszcze pozostało”. Śliwiński nie zadowolił się tą odpowiedzią i dalej dopytywał: „A jeśli się zdarzy, że jakiś punkt nie da się zmieścić w czasie przez Komendanta oznaczonym? — To zdarza się często — odpowiada Piłsudski. W takim wypadku «oszukuję» publiczność, bez najmniejszej ceremonii przechodzę do innego¹³”. Słowa te świadczyły, a nie mamy powodu by wątpić w ich szczerość, że potrafił prowadzić wykład z zegarkiem w ręku, kontrolując siebie i dyscyplinując.

Piłsudski przychodził na spotkanie ze słuchaczami albo bez żadnych notatek albo z notatkami, z których nie zawsze robił użytek. Sięgał do nich najczęściej wówczas, gdy podawał liczby czy inne szczegółowe informacje. Z reguły jednak mówił z pamięci. „Dla odczytów moich układam sobie «konstytucję» — wyznał we wspomnianej wyżej rozmowie z A. Śliwińskim. — Tak to nazywam — plan odczytu. Plan mój polega na tym, że to co chcę powiedzieć, notuję na papierze poszczególnymi punktami i dla każdego punktu wyznaczam pewną ilość czasu. Odczyt każdy obmyślam, układam nawet niektóre frazesy i to w różnych wersjach, ale nie obmyślam nic systematycznie. Nie mogłbym swego odczytu wyuczyć się na pamięć, a gdybym nawet tego dokonał, na pewno nie umiałbym go wygłosić tak, jak się wyuczyłem. Muszę improwizować”. Rzeczywiście, jak wielokrotnie twierdzili obecni, chętnie improwizował, choć widać było, iż czyni tak w oparciu o materiał z góry przygotowany i przemyślany.

A. Śliwiński dopytywał o szczegóły dotyczące przygotowań do wykładu i sposobu kontrolowania jego przebiegu. Nasz bohater wyjaśniał, iż w czasie prezentowania tekstu nie czuwał nad kolejnością poszczególnych zagadnień, lecz nad tym, by wywód był logiczny i zrozumiały. „Podczas odczytu myślę o wielu rzeczach, ale nigdy nie myślę o tym, by kolejno wyczerpywać to, co zamierzam powiedzieć. Kolejność tworzy się sama i ja nie zastanawiam się nad nią”. Wydaje się, iż Piłsudski nie był rygorystyczny wobec planu prelekcji przez siebie przygotowanej. Także dlatego, chcąc jak najlepiej wpływać na obecnych, musiał kontrolować reakcje, jakie wywoływały jego słowa. Stąd niezbędność korekty wobec wstępnego konceptu. „Gdy przemawiam publicznie — widzę całe audytorium, widzę wszystkie twarze, lecz wybieram sobie

13. *Niepodległość*, 1937, t. XVI, s. 71-73.

«kilka ofiar» w różnych punktach sali i przez cały czas śledzę wrażenia, jakie ofiary moje odnoszą¹⁴». Nie zawsze plan maksimum co do jakości przekazywanego tekstu mógł być — co rozumiałe — spełniony. Jak sam wyznał, najbardziej był zadowolony z odczytów przedstawionych w Wilnie na temat powstania styczniowego: „wyczerpałem wszystkie punkty, które obejmowała «konstytucja» i wszystkie zamknąłem w określonym czasie”.

Istotny wpływ na osiągnięcie stanu zadowolenia miało to, czy przed samym wystąpieniem posiadał czy też nie możliwość skoncentrowania się w samotności. Jeśli miał, jeśli dysponował spokojem i przestrzenią, by przemierzając ją szybkimi krokami móc jeszcze raz wszystko przemyśleć, wówczas wystąpienia zazwyczaj były udane.

Przygotowując odczyt tak pod względem kompozycyjnym jak i merytorycznym Piłsudski przede wszystkim brał pod uwagę adresata, w mniejszym stopniu czas trwania czy miejsce prezentacji. Przeto nieraz na ich wstępie składał rodzaj oświadczenia: ponieważ ci, do których kieruję niniejsze słowa (studenci, miłośnicy historii, nauczyciele, wojskowi) nieźle orientują się w temacie i w ogóle w historii, zatem zaoszczędzi im słuchania o rzeczach znanych a ogólnych i przejdzie do szczegółów, a następnie do uogólnień.

Ale bywały sytuacje odwrotne, gdy musiał mówić o kwestiach podstawowych w przekonaniu, że jego słuchacze nie dysponują jeszcze taką wiedzą, by być w stanie wszystko co chciałby im powiedzieć właściwie zrozumieć. Nieraz nad tym bolał, zwłaszcza wtedy, gdy w pełni nie mógł pokazać tematu w takim zakresie, na jaki w jego przekonaniu zasługiwał. O jednej z takich sytuacji pisał w liście do Aleksandry Szczerbińskiej: „Sam czuję, że mogłoby być lepsze, to znaczy bardziej gruntowne, ale cóż ja zrobię gdy czuję, że muszę tracić czas niekiedy na elementarne rzeczy, aby być zrozumianym dostatecznie przez audytorię, a naturalnie brak mi czasu na inne rzeczy, i tak za każdym razem nie dokończam tego, co chcę powiedzieć w danym wykładzie i boję się, że tych niedokończeń też uzbiera się wreszcie całych 2-3 wykłady, które trzeba będzie ścisnąć w jeden na końcu, albo prosić o danie jeszcze paru godzin”. Podobne uwagi zostawił w pracy o wojnie bałkańskiej, która była utrzymana w konwencji wykładu. Mianowicie z żalem przyznał, iż w tego rodzaju

14. *Tamże.* s. 72.

tekście przygotowanym dla popularnego pisma *Strzelec* trudno o „głębszy socjologiczno-historyczny podkład tego zjawiska” — tj. problem stanu moralnego wojsk tureckich.

Piłsudski miał świadomość, że odczyt czy wykład jako forma przekazu mają sporo mankamentów, niezależnie od tego, do kogo były wygłaszane. Zauważył, że „odczyt jako forma wypowiedzania myśli staje nieraz w sprzeczności z dokładnością i sumiennością w stosunku do treści”. Jeśli do tego dodamy problem czasu oraz konieczność przygotowania do takiego w sumie krótkiego wystąpienia stosownej konstrukcji, to okaże się, że trzeba nieraz poświęcić „ściśłość określeń... i jasność argumentów”.

Na temat wykładów i prelekcji najczęściej wypowiadali się sympatycy, znajomi i przyjaciele Piłsudskiego. Jest to zrozumiałe, gdyż osoby mu niechętne i nieprzyjazne (poza wyjątkami) na nich nie bywały.

Ale miało to ten skutek, iż zachowane oceny w olbrzymiej większości mogły być tylko pozytywne. Mówią nam o różnych stronach tego samego w istocie jednorodnego obrazu o Piłsudskim — wykładowcy. Jedyne kilka spośród nich jest innych. Informują nas o trudnych początkach. Taka jest choćby ocena Sokolnickiego o wystąpieniu Piłsudskiego w roku 1904 w zakopiańskiej Szkole Letniej na temat konieczności „agitacji militarnej” w społeczeństwie czy też Leona Wasilewskiego o wspomnianym wyżej odczycie w Londynie w roku 1901. „Co do odczytu na temat powstania listopadowego — pisał — to forma jego była dość niedołężna. Ustawiczne powtarzanie — i to kilkakrotnie — poszczególnych wyrazów i zdań działało na słuchaczy denerwująco. Nikt wówczas zapewne nie przypuszczał, że Piłsudski z czasem zostanie wybitnym i wspaniałym mówcą”. Zapewne taki mistrz słowa jak Gustaw Flaubert irytowałby się wielce, gdyby miał możliwość uczestniczenia w takim wykładzie, bowiem zawsze rygorystycznie pilnował, żeby te same słowa i zwroty nie powtarzały się przynajmniej na przestrzeni kilkunastu stron.

Wasilewski w dalszej części swej wypowiedzi próbował zastanawiać się nad powodami takiej słabej dyspozycji Piłsudskiego. Zauważył — nie bez racji — że warunki konspiracji, a co za tym idzie brak możliwości prezentowania publicznie swoich przemyśleń „zupełnie nie dawały pola, na którym mówcy mogliby się wyrabiać¹⁵”.

15. L. Wasilewski, *Józef Piłsudski jakim go znałem*, Warszawa 1935, s. 60.

Zresztą na temat owych powtórzeń opinie innych słuchaczy — autorów wspomnień — nieraz bywały zupełnie inne, niż Wasilewskiego.

Na przykład Tadeusz Szpotański: „skupiał się koło jednej myśli i co chwila rzucał ją przed słuchaczem, powtarzając wielokrotnie te same zdania, zwroty i słowa. Toteż wrażały się one dobitnie w pamięć i pozostawały w niej trwale¹⁶”. Jeszcze wyraźniej to uwypuklił Stanisław Siedlecki: „Mówił mianowicie w ten sposób, że zaczynając jakiś okres myślowy, składający się z jednego lub kilku zdań, wypowiadał pierwsze 2-3 słowa, przerywał i powtarzał te same słowa, tylko z większym przyciskiem, rozwijając już swobodnie zaczęte zdanie, lub też całą ich grupę”. Na potwierdzenie tej obserwacji i w celu jej lepszego zilustrowania przytoczył następujący przykład: „Brzmiało to tak: Organizacja Bojowa nie mogła... Organizacja Bojowa nie mogła być jakąś przyczepką do Wydziału Agitacyjnego... Te powtarzające się słowa wbijały się w świadomość słuchacza, jak gwoździe w twarde drzewo, które uprzednio nadwerężono świderkiem, jak kula karabinowa w mocną przeszkodę przeciwnika¹⁷”.

Jak wynika więc z tych wypowiedzi, powtórzenia wcale nie musiały świadczyć o słabym przygotowaniu wykładowcy czy braku panowania nad prezentowanym materiałem. Ale czy rzeczywiście wyrażone we wspomnieniach opinie w pełni pokrywały się z tymi, jakie ich autorzy wynieśli po wysłuchaniu wykładu Piłsudskiego? Dzisiaj niestety na to pytanie nie sposób odpowiedzieć. Możemy tylko domniemywać, iż przynajmniej niektórzy spośród nich po latach pisali inaczej, niż niegdyś uważali — a to zapewne w tym celu, aby Piłsudskiemu nie „psuć” miejsca w historii i nie dawać jego oponentom dogodnych argumentów. Jest to zrozumiałe, iż niełatwe było pisanie o bohaterze PPS i obozu niepodległościowego z 1918 r., wojny polsko-bolszewickiej czy roku 1926.

Po tych uwagach przejdźmy do szczegółowej prezentacji rozmaitych opinii i ocen świadków o Józefie Piłsudskim — i to zarówno sformułowanych przed jak i po zakończeniu I wojny światowej. Zatem ich zdaniem wykladał: „bez efektów krasomówczych, wstrzemięźliwie”, „niezmiennie treściwie, spokojnie”, „bez górnolotnych frazesów”, „unikął taniego fra-

16. Szpotański sporządził te notatki w związku z wysłuchanym wykładem o rewolucji 1905 r. w dniu 2 II 1912 r.

17. *Niepodległość*, 1938, t. XVII, s. 400-401.

zesu”, „przemawiał rzeczowo”, „rozważnie, bez żadnych efektów retorycznych”, „mówił powoli, dobitnie, wyraźnie, głośno”, „nie używał patosu i demagogii”, „mówił zawsze słowami prostymi i tylko wtedy, kiedy się zapalał, używał wyrazów trochę mocniejszych, bardziej odpowiadających wytworzonemu nastrojowi”, „mówił treściwie”, „szczegółowo”, „do przeciwników w dyskusji odnosił się kurtuazyjnie¹⁸”.

Prelekcjom Piłsudskiego trudno byłoby zarzucić nieprecyzyjność czy niejasność. Używał bowiem języka bezpośredniego, klarownego, komunikatywnego. Dbał o to, by jego teksty nie były przeciążone słownictwem specjalistycznym, historyczno-wojskowym. „Będę mówił — zwracał się do obecnych — popularnie, gdyż o rzeczach wojskowych zawsze mówię popularnie... ze względu na nieobycie społeczeństwa z tymi zagadnieniami”. W ten sposób osiągał przynajmniej to, iż między nim a słuchaczami dochodziło do współpracy, a wykłady w istocie przypominały dialog świadczący o zarysowującym się porozumieniu. Wyznał, iż podczas prelekcji myśli o „wywołanych wrażeniach, i o tym co powiedziałem i co za chwilę powiem”.

Wśród wielu opinii, które mogą razić czy to pewną sztucznością czy przekoloryzowaniem są również takie, które pozostawili wybitni i poważni historycy jak choćby Wacław Lipiński. O odczycie Piłsudskiego na temat powstania styczniowego pozwolił sobie na następującą uwagę: „tutaj polot myśli związany z romantycznym indywidualizmem, natchnienie i wizyjność, siła i głębia słowa wypowie się w słowach Piłsudskiego nutą najwyższej skali, tej skali, która pozwoli odnaleźć wielkość w dziejach roku 63¹⁹”.

Już bardziej przekonująco brzmi opinia Wacława Jędrzejewicza, świadka wykładu Piłsudskiego o powstaniu stycz-

18. Natomiast niewiele nam mówią o wykładach opinie ogólnikowe, aczkolwiek bardzo częste, w rodzaju „żelazna logika”, „jedność i jasność”, „pewność i klarowność”.

19. W. Lipiński, *Józef Piłsudski jako pisarz*, Warszawa 1939, s. 7. Podobnie oceniał Piłsudskiego jako wykładowcę Kazimierz Sosnkowski. W wywiadzie z 14 i 15 września 1935 r., a zatem w niewiele tygodni po śmierci Marszałka (co nie pozostawało bez wpływu na treść poniższej opinii) m.in. powiedział: „Duch Jego przemówień porywał mnie. Ich urok polegał na niezwyklej sugestyjności słowa i mowy Jego były wspaniałą improwizacją... Lata późniejsze potwierdziły moje pierwsze wrażenia”. Ta ostatnia uwaga pozostaje zresztą w dysonansie z opiniami M. Sokolnickiego i L. Wasilewskiego, K. Sosnkowski, *Materiały historyczne*, Londyn 1966, s. 567.

niowym z 1924 r. „Wrażenie spośród publiczności było olbrzymie. Słuchano Marszałka w zupełnej ciszy. Cytaty z Beniowskiego powiedział z pamięci. Po ostatnich słowach, bardzo mocno rzuconych, sala zamarła. „Idź i czyn”! Dopiero po dłuższej chwili rozległy się wstrząsające oklaski²⁰”. Dla dopełnienia obrazu przytoczmy słowa generała Kazimierza Sawickiego: „Komendant już od pierwszych słów panował nad uczuciami i mózgami zebranych... młodzież słuchała z zapartym tchem. Wielu kolegów i koleżanek pilnie notowało wypowiadane słowa²¹. Wśród podobnych opinii „klasowym” ujęciem charakteryzowała się zamieszczona w socjaldemokratycznym *Naprzódzie*: „Piłsudski wygłosił swoją «Rzecz o roku 1863» w porywający sposób kreśląc rolę powstania w kształtowaniu się świadomości narodu całego, a ostro i bezwzględnie piętnując sposób odnoszenia się klas posiadających do tej bohaterskiej walki²²”.

W naszych poszukiwaniach tego co stanowi o istocie wykładów historycznych Piłsudskiego niewiele zdają się wnosić, a tym samym pomagać oceny typu generalizującego. Dla porządku, choćby pokrótce, należałoby je jednak przywołać: „przemówienie wywarło ogromne wrażenie”, „wykład był wielkiego znaczenia pedagogicznego”, „referat był bardzo ciekawy”, „wykłady miały duży wpływ”, „słuchano z zapartym tchem”, „opracowany na bardzo wysokim poziomie”, „silne wrażenie pozostawiło na słuchaczach przemówienie J. Piłsudskiego”, „przygotowany bardzo starannie pod względem zebranego materiału”.

W sumie w oparciu o różnorodne opinie, rzeczowe i emocjonalne, wyważone i przesadzone możemy stwierdzić, iż stał się on z czasem mistrzem w wytwarzaniu stosownej atmosfery i dramatycznego napięcia, wydobywania tego, co w danym zagadnieniu jest najistotniejsze. O tej umiejętności naszego bohatera pisali m.in. W. Jędrzejewicz, Andrzej Garlicki, Bohdan Urbankowski.

Piłsudski w swoich tekstach nie zostawił uwag na temat tego, jak sam siebie ocenia jako wykładowcę. Dysponujemy tylko samooceną wykładów oraz opinii na temat reakcji obecnych podczas wystąpień i po ich zakończeniu. Pisał: „Zdaje mi się, że wykłady są dobre, przynajmniej tak inni

20. W. Jędrzejewicz, *Kronika...*, t. II, s. 129.

21. *Niepodległość*, 1972, t. VIII, s. 142.

22. *Naprzód*, 24, 26 I 1913.

mówią i ja sam to czuję”. W innym tekście: „Słuchacze słuchają o ile widzę pilnie i chętnie, tak, że przyjemnie jest wykladać”. I dalej: „Audytoryę mam najliczniejszą ze wszystkich wykładowców, co wzbudza nawet trochę zazdrości²³”. Wypowiedzi te są jednak nieco oderwane, zatem nie bardzo mogą nam służyć w próbach rekonstrukcji samooceny Piłsudskiego jako wykładowcy.

Czym Piłsudski przyciągał ludzi na swoje odczyty i wykłady? Jedni przychodzili ze względu na magię nazwiska (po roku 1922) inni ze względu na treść historyczną i zarazem polityczną, jeszcze inni byli urzeczeni kulturą osobistą wykładowcy i jakością przekazu, byli i tacy, których przyciągała poza wszystkim innym waga przemysłów opartych na poważnych badaniach źródłowych. Słuchacze powiadali, iż jego wykłady były „grube” w porównaniu do innych „chudych”.

We własnych „papierach” Piłsudski nie zostawił żadnych opinii na temat swoich „mistrzów” — wykładowców. Jedynie w liście do Stanisława Witkiewicza z 3 III 1911 roku pisząc o przygotowywanych i wygłaszanych prelekcjach przypominał adresatowi, iż z wielu jego rad i propozycji skorzystał, i jak wynika z tekstu także dykteryjek. Przypominam sobie — pisał — „mnóstwo uwag i porównań, które z taką łatwością, tak pięknie wychodziły z ust Wujaszka przy rozmowach”.

Na naszą szczególną uwagę zasługuje „Zarys historii militarnej powstania styczniowego”, czyli zestaw dziesięciu wykładów, które Piłsudski wygłosił między marcem a majem 1912 r. Dopiero w roku 1929 wykłady te — za zgodą autora — zostały wydrukowane w *Przeglądzie Historyczno-Wojakowym*, co utorowało im drogę do czytelników, w tym, co oczywiste, do historyków.

Pod względem objętości „Zarys” nie był dziełem rozległym, obejmował niewiele ponad 3,5 arkusza wydawniczego, tj. nieco ponad 70 stron maszynopisu. Niemniej — jak się później okazało — była to najpoważniejsza praca Piłsudskiego o powstaniu styczniowym, najpełniej prezentowała jego poglądy oraz dawała świadectwo stanu warsztatu historycznego. Następne teksty odnoszące się do tej tematyki dorzuca sporo szczegółów, poprzestawiają akcenty, zasadniczych zmian jednak nie wniosą. „Zarys” pozwolił mu też zaistnieć jako historykowi.

23. A. Piłsudska, *Wspomnienia*, Warszawa 1989, s. 156.

Wykłady te zostały wygłoszone w Szkole Nauk Społeczno-Politycznych w Krakowie w roku 1912 w znanej już wówczas i cenionej instytucji. Na gruncie polskim była to nowa placówka. Jej początki datujemy na rok 1910, kiedy to powstało stowarzyszenie z zamiarem założenia „obywatelskiej” szkoły nauk społeczno-politycznych, na wzór paryskiej wolnej szkoły nauk politycznych. Jej celem m.in. była popularyzacja osiągnięć ówczesnej nauki europejskiej.

W semestrze zimowym 1911/1912 zorganizowano szereg wykładów na poziomie uniwersyteckim z ćwiczeniami i dyskusjami ujętymi w dostępnej, popularnej formie. Wykłady były płatne. Im więcej godzin opłacał słuchacz, tym ich łączna cena była niższa²⁴. Jednym słowem obowiązywały zasady panujące na rynku. Wśród wykładowców byli profesorowie UJ oraz naukowcy spoza uczelni, z reguły z tytułem doktora. Kilku to znakomitości: Franciszek Bujak, Leopold Caro, Zofia Daszyńska-Golińska, Władysław Gumpłowicz, Adam Krzyżanowski, Ludwik Krzywicki, Wilhelm Feldman.

Wykłady Piłsudskiego, jednego z nielicznych bez studiów uniwersyteckich, zostały zgłoszone w sekcji pt. „Historia polityczna” i „Historia cywilizacji”. Oprócz niego wykładali tam m.in.: B. Limanowski, Feliks Perl, Marian Stępowski, Władysław Studnicki, Stanisław Szpotański. Ze wstępnych zapowiedzi wynikało, iż tematem prelekcji Piłsudskiego miała być „Historia militarna powstań polskich”, lecz jak sam mówił, był „to przedmiot tak obszerny, że objąć go nie byłbym w stanie. To z konieczności zmusiło mnie ograniczyć wykłady do pewnej tylko epoki²⁵. Temat rzeczywiście szeroki, zwłaszcza gdy uwzględni się fakt, iż władze szkoły przyznały Piłsudskiemu tylko 10 godzin na jego całkowite przedstawienie. Ale dodajmy, że dłuższych cykli wykładowych w ogóle nie przewidywano.

Nasz bohater wybrał ostatecznie rok 1863. Musiało to mieć miejsce jeszcze przed końcem 1911 r. O takim wyborze z jednej strony zadecydowały jego zainteresowanie i stopień zaawansowania badań, a z drugiej potrzeby ściśle z tym związane. Mógł uważać, że taka właśnie problematyka najlepiej będzie służyć przygotowaniu elity przyszłej armii pol-

24. Przykładowo za wysłuchanie jednego wykładu słuchacz płacił jedną koronę. Można też było płacić jednorazowo za serię wykładów oraz wpisowe (dwieście koron).

25. Zob. też W. Jędrzejewicz, *Kronika...*, T. I, s. 234.

skiej. „Poza tym zbliża się pięćdziesięciolecie (powstania styczniowego — A.Ch.) i chciałbym przyczynić się do uczczenia tej rocznicy — podkreślał. — Prócz tego do wszystkich powstań mamy wiele prac cennych, które ujmują stronę militarną w sposób wyczerpujący, podczas gdy tu pracy takiej właściwie nie ma. Przedmiot zatem nęcił mnie i chciałbym w ten sposób zapłacić lukę, jaka istnieje w historii tego powstania”. Zatem wśród motywów zainteresowania rokiem 1863 pomieścił obok siebie politykę i historię jako naukę. W późniejszych tekstach odnoszących się do tej samej problematyki już tego tak mocno i jednoznacznie nie podkreślał, niemniej w praktyce stale miał na uwadze obie podstawowe w jego historycznej twórczości racje, które decydowały o kierunku badań historycznych.

Po przygotowaniu szczegółowego planu dziesięciu wykładów Piłsudski doszedł do przekonania, że nie jest w stanie w ciągu przyznanego mu czasu przedstawić tak — jak się okazało — zarysowanego problemu. Potrzebne były zatem dalsze zmiany i ograniczenia. Dlatego miast „Historii militarnej powstania styczniowego” skończyło się na zarysie tej problematyki. „Kiedy zastanawiałem się — mówił — nad ogromem pracy, przyszedłem do przekonania, że ujęcie całości dziejów powstania styczniowego ze strony militarnej jest rzeczą niemożliwą ze względu na czas i na pewne braki w źródłach, o których jeszcze będę mówił... Wobec tego zatrzymam się na przedstawieniu ewolucji wojennej, jaka zaznaczyła się u bojowników 1863 roku oraz na jej rozwoju pod wpływem tych czy innych okoliczności”.

Cztery pierwsze wykłady odbyły się w lutym (13, 14, 15, 16) a po ponad dwumiesięcznej przerwie, w maju dalsze (3, 7, 10, 14, 15, 17). Słuchaczami byli uczestnicy kursów oficerskich „Strzelca” krakowskiego, dalej studenci UJ, uczniowie starszych klas gimnazjów krakowskich. Na sali były także kobiety, jak zwykle na jego wykładach w niemałej liczbie, przede wszystkim studentki, reprezentantki nowoczesnej formacji kobiet polskich, politycznie mocno zaangażowane w robocie niepodległościowej. Nie tylko przyciągała je tematyka, lecz — co nie bez znaczenia — osobisty urok Komendanta i jego kultura wypowiedzi.

Ranga wykładów, ich użyteczność dla przyszłych żołnierzy bijących się o Polskę, udział wśród wykładających tylu znanych osób, a także troska o prestiż osobisty spowodowały, iż Piłsudski pracował nad nimi w sposób sumienny i

rzetelny. Na kilka tygodni przed rozpoczęciem zajęć w liście do A. Szczerbińskiej pisał, że przygotowuje się do wykładów i myśli, że „wybrnie przyzwoicie i porządnie z zobowiązań wykładowych”. W korespondencji do wyżej wymienionej dzielił się wrażeniami na temat wygłoszonych wykładów i atmosfery, która na nich panowała. „Wykłady już rozpocząłem — pisał w maju... — Dzisiejszy nawet nieźle mi się udał²⁶”.

Mówiąc najogólniej „Zarys historii militarnej” był próbą zestawienia osiągnięć i niedociągnięć kierownictwa powstania oraz dowództw poszczególnych oddziałów powstańczych w pierwszych tygodniach jego trwania, w czasie gdy próbowano nadać działaniom kierunek jednolity. Dlatego taka a nie inna była ich wewnętrzna struktura i koncepcja tematyczna wykładów.

Pierwsze trzy wykłady poświęcił omówieniu zakresu i charakteru przygotowań wojskowych KCN (Komitet Centralny Narodowy) oraz wariantom planu powstańczego. W następnych pięciu w miarę szczegółowo przedstawił pierwsze dwa tygodnie walk zbrojnych. W wykładzie przedostatnim ogólnikowo i pobieżnie scharakteryzował działania partyzanckie wiosny i lata 1863, w ostatnim okresie schyłkowego oraz zamieścił uwagi podsumowujące. Widoczna dysproporcja w prezentowaniu poszczególnych faz powstania nie jest przypadkowa, bowiem w przekonaniu autora „Zarysu” jego los rozstrzygnął się w pierwszych tygodniach walk. Zima roku 63 zadecydowała o tym, że powstańcy nie zapewnili sobie lepszej pozycji do działań w kolejnych miesiącach. Stąd 80 % wykładu przeznaczył dla kilku tygodni przed i po 22 I 1863, a 20 % dla kilkunastomiesięcznej wojny partyzanckiej.

W okresie pierwszych kilku tygodni powstania walki trwały jedynie w Królestwie Polskim, bowiem na Litwie wybuchły dopiero w marcu, a na Rusi (na krótko) w maju. Stąd zupełnie zrozumiałe, że w swoich zainteresowaniach pomijał obszary na wschód od rzek Bug i Niemen. Wynikało to także z powodów zupełnie niehistorycznych. Mianowicie formowane w Galicji oddziały strzeleckie do walki z Rosją (przed rokiem 1914) miały wkroczyć na terytorium południowej Kongresówki. Zatem względy pragmatyczne przesądzi-

26. A. Piłsudska, *Wspomnienia*, s. 237. Przytoczone w artykule wypowiedzi Piłsudskiego pochodzą z: Józef Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, Warszawa 1937-1938.

ły o tym, iż Piłsudski, sam kresowiak, nie objął kresów swoimi zainteresowaniami naukowymi.

Trudno wykłady na temat historii militarnej roku 1863 czytać na wrywki, sięgać po nie dla sprawdzenia tego czy innego szczegółu, zwłaszcza, że niektóre nie wytrzymały próby czasu. Można oczywiście i w ten sposób, ale wrażenie wówczas będzie dużo mniejsze, przy tym łatwo po drodze zgubić to, co charakteryzuje piśmiennictwo Piłsudskiego. Z obecnej perspektywy wykłady te inaczej się prezentują, gdy uwagę skupimy nie na sprawdzaniu faktów, lecz na sposobie ich porządkowania, na prowadzeniu narracji, na warstwie refleksyjnej, wreszcie na umiejętności syntetyzowania i uogólniania.

Do słowa mówionego Piłsudski przywiązywał niemałą uwagę, a wykłady i prelekcje uważał za ważny środek przekazu, nie tylko poglądów na dzieje. „Co do mnie — pisał w liście do S. Witkiewicza — w swoich fachowych dociekanjach, staram się robić to co mogę, robię to za pomocą odczytów i wykładów”. Mówił chętnie, gdyż dobrze się czuł w bezpośrednim kontakcie ze słuchaczami. Poza tym był przekonany, iż jego osobisty urok, umiejętność wytwarzania stosownej atmosfery i poruszania wyobraźni podwoi skuteczność tego typu przekazu.

Andrzej CHWALBA

NOTA BIOGRAFICZNA

Andrzej Chwalba dr hab., historyk, zatrudniony w Instytucie Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Specjalizuje się w historii idei politycznych ruchów społecznych w XIX i XX w. Autor czterech książek. Ostatnia: „Sacrum i rewolucja”, Kraków 1992. Współautor przygotowanego dla wydawnictwa Znak „Słownika Historii Polski 1939–1948”. Opublikował przeszło 70 artykułów i recenzji naukowych. Obecnie prodziekan Wydziału Historycznego UJ.

PRZYCZYNNY DO „ROZRACHUNKÓW Z SANACJĄ”

Polska historiografia okresu drugiej wojny światowej przyjmuje za fakt, że rząd gen. Sikorskiego, znany ze swych antysanacyjnych nastrojów, niczego nie uczynił dla wydobycia z Rumunii internowanych dygnitarzy Polski przedwojennej. Dokumenty Foreign Office w Public Record Office w Londynie rzucają jednak nieco inne światło na tę sprawę.

Od chwili przejścia rządu do Rumunii ujawniła się różnica poglądów między Anglią i Francją co do jego roli w nowej sytuacji. Anglia była gotowa z nim współpracować i z FO szły instrukcje do Reginalda Hoare’a, ambasadora w Bukareszcie, by zabiegał o zgodę władz rumuńskich na przejazd rządu polskiego do Istambułu w drodze do Francji¹. Francja jednak postanowiła skorzystać z okazji, by zapewnić sobie bardziej posłuszną ekipę polską i przede wszystkim utracić Becka, znanego z głębokiej niechęci do Francji, tak niezwykle na tle tradycyjnych polskich ciągotek do „starszej siostrzycy”. Tę sytuację szybko rozeznał Eric Phipps, brytyjski ambasador w Paryżu, i doniósł do FO, że wrogość do Becka obejmuje również Weniawę jako „gwałtownie antyfrancuską kreaturę płk. Becka”, a przy tym „morfinię, pijaka i hazardzistę”, oraz że tym francuskim nastrojom basują Polacy w Paryżu, tacy jak hr. Zaleski, gen. Sikorski, hr. Szembek etc. twierdzący, że rząd mianowany przez takiego człowieka byłby afrontem dla Polski².

Tymczasem Anglia nalegała o jak najszybsze wyjaśnienie sytuacji, zanim w Polsce powstanie rząd marionetkowy³. 25 września brytyjski gabinet wojenny uznał, że „nasze zabiegi nie zdołały przekonać władz rumuńskich, by zezwoliły wyjechać rządowi polskiemu, a więc zastępczy (*substitute*) rząd winien powstać w Paryżu⁴”. Były i inne powody do pośpiechu,

1. FO 371/23151. C14067, C14084.

2. FO 371/23152. C15078.

3. *Ibid.*

4. FO 371/22949. C15019.

toteż FO nakazało Hoare'owi naciskać na swego polskiego kolegę Rogera Raczynskiego i innych „wpływowych Polaków” o jak najszybsze wyłonienie nowych władz, ponieważ „jest bardzo ważne porozumieć się z jakimś legalnie powołanym rządem polskim co do użycia polskich okrętów, polskich kredytów etc.”.

30 września powstał w Paryżu nowy rząd polski, który Anglia uznała 4 października, nie przestała jednak interesować się losem członków byłego rządu internowanych w Rumunii i Hoare nadal zabiegał dla nich o zezwolenie na wyjazd⁶. Jako rzeczoznawcę spraw polskich FO przydzieliło mu Roberta Hankeya, do wojny pierwszego sekretarza brytyjskiej ambasad w Warszawie.

Wśród członków byłego rządu szczególnym uznaniem Anglików cieszył się Beck, z tych samych powodów, z jakich był źle widziany we Francji. Gdy w czerwcu 1939 Howard Kennard, ambasador w Warszawie, nadesłał do FO doroczny spis wraz ze zwięzłą charakterystyką głównych polskich osobistości, podkreślił w nim, że Beck odznacza się „szczególnym szacunkiem dla Wielkiej Brytanii”, którą kilkakrotnie odwiedził, „i często wyraża podziw dla rzeczy, które widział podczas swego tam pobytu”, a przy tym jest człowiekiem praktycznym i realistą⁷. Teraz więc, gdy odpadły inne możliwości i Beck wyraził chęć wyjazdu do Anglii jako osoba prywatna, Hoare był gotów udzielić mu dyplomatycznej wizy⁸. Ale pozostała jedna przeszkoda: jak do tego wyjazdu doprowadzić.

Kennard z Bukaresztu podążył do Francji jako ambasador przy nowym rządzie polskim i 18 października spotkał się z ministrem spraw zagranicznych Augustem Zaleskim. W trakcie rozmowy „p. Zaleski sugerował, żeby Rząd JKM nacisnął władze rumuńskie o zezwolenie bez dalszej zwłoki p. Mościckiemu i innym członkom byłego rządu polskiego na wyjazd z Rumunii do jakiegoś neutralnego kraju” i dodał, że „jest nie do zniesienia, że teraz, gdy są osobami prywatnymi, nadal ich się zatrzymuje, prawie jak więźniów”.

Kwestia sprowadzenia Becka do Anglii ożyła wiosną 1940 i była dyskutowana przez dygnitarzy FO. Niektórzy

5. FO 371/23151. C14084.

6. FO 371/23152. C15713.

7. FO 371/23153. C10430.

8. FO 371/23152. C15412.

9. *Ibid.* C16834.

mieli zastrzeżenia, ponieważ, jak stwierdził Frank Roberts, „nasze stosunki z obecnym rządem polskim stały się bliższe, choć nie zawsze łatwiejsze”. Roger Makins uważał jednak, że jeśli Beckowi uda się uciec z Rumunii, to należy go wpuścić, bo „gdy rok temu ostatecznie zdecydował się działać, zagrał z nami w otwarte karty i zrobił co mógł dla przykrócenia głupoty niektórych członków polskiego rządu, np. ministra finansów. Nie rozumiem czemu mielibyśmy basować mściwości tych z Angers”. William Strang dodał, że polski ambasador „dawał mi do zrozumienia, że rząd polski nie ucieszy się z obecności Becka w Zjednoczonym Królestwie”, ale Orme Sargent poparł Makinsa i dodał, że obecny rząd polski jest efemerydą, której nienawiści i wendetty możemy bezpiecznie ignorować¹⁰”. W wyniku tej dyskusji 11 kwietnia Kennard i Hankey zostali powiadomieni, że Beck nadal może dostać wizę dyplomatyczną.

15 maja Hankey spotkał się z nim w Bukareszcie, dokąd Beck przyjechał do dentysty. Powiedział Hankeyowi, że jego swoboda ruchów jest ograniczona nie tylko wskutek niemieckich żądań, ale też nacisku ze strony rządu polskiego. Od siebie Hankey dodał, że to właśnie Polacy „z jakiegoś powodu, którego nie potrafię odgadnąć, niezwykle się zawzięli, żeby trzymać go tutaj... Oburza mnie ta wściekłość Polaków, która każe im wypychać swych rodaków do obozów koncentracyjnych¹¹”.

Tępienie piłsudczyków oburzało również Kennarda i innych Anglików, szczególnie dlatego, że odbywało się w czasie wymagającym jedności narodowej, i niejednokrotnie starali się przykrócić te wybryki. Objawów polowania na czarownice nie brakowało. 10 października 1940 Kennard donosił Halifaxowi, że Sikorski nie życzy sobie widzieć Sławoja Składkowskiego w Palestynie i uważa, że należy go osadzić z innymi uchodźcami na Cyprze. Kennard nalegał jednak: „wydaje mi się słuszne, żeby były premier polski otrzymał zezwolenie na wyjazd do Palestyny, gdzie również będzie łatwiej wypłacać mu pieniądze niż w Turcji. Gen. Sikorski odrzekł, że mierzi go myśl, żeby ktoś o znaczeniu gen. Sławoja Składkowskiego dostał się do Palestyny, gdzie stoi polska brygada. Ale gdy mu przypomniano, że polska brygada jest teraz w Aleksandrii, obiecał oznajmić wszystkim zainteresowanym, że w tych warunkach zgadza się na wyjazd generała do Palestyny.

10. FO 371/24474. C4195.

11. *Ibid.*

Spytałem gen. Sikorskiego i p. Zaleskiego, czy są wiadomości o członkach byłego rządu w Rumunii. Gen. Sikorski odrzekł, że już załatwiono przekazanie funduszków do polskiej ambasady w Bukareszcie na zorganizowanie ich ucieczki i że bardzo żałuje zwłoki w tej sprawie wynikłej z całej serii nieporozumień¹². Obiecał też, że Sławojowi i innym uchodźcom zapewni się utrzymanie w Palestynie na koszt rządu polskiego. Jednocześnie brytyjska ambasada w Bukareszcie badała możliwości urządzenia ucieczki Śmigłemu oraz byłym ministrom Kwiatkowskiemu i Romanowi¹².

20 grudnia Hoare doniósł o zniknięciu Śmigłego¹³. W lutym 1941 Sikorski kontaktował się w jego sprawie z FO i Anglicy badali możliwość przyjęcia go wraz ze żoną na Cyprze. 9 marca Sikorski potwierdził, że „choć marszałek nie jest w służbie czynnej, uzgodniono już dawniej, że otrzyma żołd generała na służbie w wojsku polskim, co z dodatkami wyniesie ok. £90 miesięcznie. Towarzyszący mu oficerowie dostaną żołd odpowiedni do swojej rangi¹⁴”.

W kwietniu FO powróciło do tej sprawy. Postanowiono, że o ile rosnący zamęt na Bałkanach nie przeszkodzi w dotarciu do Cypru, Śmigłego wyśle się na Mauritius, gdzie — jak zarządził Churchill — otrzyma mieszkanie i wygody odpowiednie dla oficera w randze pułkownika¹⁵.

Sprawę Becka ostatecznie przesądziła coraz groźniejsza sytuacja w Rumunii pod rządami Antonescu. W początkach 1941 r. na jej terenie stacjonowało 500 tys. wojsk niemieckich i 10 lutego Anglia zerwała z nią stosunki dyplomatyczne. 25 lutego pierwsza żona Becka przybyła do brytyjskiej ambasady w Waszyngtonie z prośbą o spowodowanie interwencji Roosevelta u Rumunów w jego sprawie. Omawiano to w FO i uznano, że jej pretensje pod adresem władz polskich nie są zupełnie słuszne, bo w obawie żeby były minister nie wpadł w ręce niemieckie, Polacy bardzo chcieliby mu pomóc. Roberts zanotował: „jak widać, my i rząd polski za późno zaczęliśmy interesować się losem płk. Becka. Mimo to wydaje się, że brak podstaw do kwestionowania szczerej chęci pomożenia mu ze strony rządu polskiego... Przypuszczam, że nasze własne plany urządzenia mu ucieczki są już nieaktualne”. Okazało się, że na prośbę władz polskich Anglicy

12. *Ibid.* C10865.

13. *Ibid.* C13722.

14. FO 371/26735. C1686, C1858, C2482.

15. *Ibid.* C3555.

kilkakrotnie starali się ułatwić mu ucieczkę¹⁶.

Teraz FO uznało, że amerykańska interwencja w Rumunii może się jednak przydać i poleciło swemu ambasadorowi w Waszyngtonie, by poparł wysiłki swego polskiego kolegi w tym kierunku. Ciechanowski jednak oświadczył, że nie może działać bez instrukcji swego rządu, do którego przed trzema tygodniami wysłał telegram i dotąd nie ma odpowiedzi¹⁷. Wydaje się, że na tym sprawa upadła.

Aktualna pani Beckowa szukała choćby współczucia u swego byłego męża, gen. Stanisława Burhardta. Jej list do niego z 19 lutego Hankey przekazał z Istambułu do FO, gdzie przed doręczeniem go adresatowi do „Rubensa” starannie go przetłumaczono i rozszyfrowano wymienione w nim osoby. „Dziuba” skarżyła się na złośliwe nękanie ich przez policję, zwłaszcza po nieudanej próbie ucieczki („to była pułapka zastawiona przez polskich łajdaków”) i nie przebieając w słowach oskarżała miejscowe polskie przedstawicielstwo, wskutek intryg którego „obecne sfery dyplomatyczne niewiele mogły zdziałać¹⁸”.

13 lutego Hankey, przed samym wyjazdem ambasady do Istambułu, odwiedził Becka i odbył z nim dłuższą rozmowę. Znaczna jej część dotyczyła nieudanych prób uwolnienia go i Beck uważał, że Anglicy mogli byli zrobić więcej. Przez całą jesień 1939 co dwa tygodnie zwracali się w tej sprawie do Rumunów i zadowalali się ich radami, żeby teraz nie naciskać, wypuści się go po Bożym Narodzeniu, a tymczasem rumuńscy dygnitarze donosili Beckowi, że nacisk aliantów jest bardzo słaby w porównaniu z niemieckim. Hankey dodaje: „nie chciałem mówić p. Beckowi o mych chytrych podejrzeniach, że rządowi francuskiemu i polskiemu zależało żeby go zatrzymano i nie robiły z tego tajemnicy wobec Rumunów”. Wiosną 1940 brytyjscy agenci szykowali Beckowi ucieczkę, ale rozkaz z centrali kazał im tego zaniechać, a we wrześniu było już za późno. Tak przynajmniej twierdził Beck, gdy Hankey wiedział, że w rzeczywistości było inaczej, a mianowicie „p. Beck nierozsądnie odrzucił propozycję dopomożenia mu we wrześniu. Biorąc pod uwagę, że miało to być zrobione bez wiedzy sprzymierzonego z nami rządu [polskiego], i to politycznie wrogiego p. Beckowi, postawione

16. FO371/26741. C1852.

17. *Ibid.* C3307.

18. FO 371/26735. C4423.

przez nas warunki były całkiem zrozumiałe. Niestety, z oczywistych powodów nie wyłożyliśmy sprawy dostatecznie przekonywująco samemu p. Beckowi, a tylko jego sekretarzowi”.

Na zakończenie Beck gorąco podziękował za wszystko, co brytyjska ambasada dla niego zrobiła wspierając go finansowo i udzielając paszportów z wizami. Taki był jego ostatni kontakt z wolnym światem¹⁹.

Hanna ŚWIDERSKA

19. FO 371/26741. C5030.

Andrzej FRISZKE

LISTY MACIEJA RATAJA DO ANIELI I STEFANA URBANOWICZÓW

Kilka krótkich listów Macieja Rataja otrzymałem przed kilku laty od pani Anieli Urbanowiczowej. Wydawały się wtedy — może niesłusznie — zbyt incydentalne, by podać je do druku. Obecnie, po opublikowaniu zasadniczej biografii Macieja Rataja opracowanej przez Arkadiusza Kołodziejczyka (Wydawnictwo Sejmowe 1991) kilka osobistych listów może dodatkowo przybliżyć obraz tej postaci.

Adresatami byli Aniela i Stefan Urbanowiczowie, blisko zaprzyjaźnieni z Ratajem. Stefan Urbanowicz (1891–1940) był działaczem Stronnictwa Ludowego, adwokatem, m.in. obrońcą w procesie brzeskim, o jego związkach politycznych z Ratajem można przeczytać m.in. we wspomnianej książce. Aresztowany przez gestapo zginął w Sachsenhausen. Aniela Urbanowiczowa (1899–1988) była po wojnie znaną działaczką ekumeniczną, współzałożycielką i wieloletnim członkiem Zarządu Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie. Jej sylwetkę i postawę w latach okupacji nakreślił Stefan Korboński w książce „Bohaterowie polskiego państwa podziemnego — jak ich znałem” (New York 1987).

Listy ukazują Macieja Rataja od strony prywatnej, nie politycznej. Pozwalają w jakimś stopniu poznać jego osobowość. Nie był człowiekiem koturnowym, zarozumiałym, miał pewien dystans wobec siebie, nieobca mu była skłonność do żartów. Dowiadujemy się również o jego kłopotach ze zdrowiem. Politycznie najciekawszy jest list ostatni — z 4 sierpnia 1939 r.

Andrzej FRISZKE

Kamienica, 3 czerwca 1937

Wielce Szanowny i Kochany Panie Mecenasiu,

Strasznie jestem Państwu wdzięczny za deportowanie mnie do Kamienicy. Byłbym bodajże do dziś jeszcze siedział w Warszawie niezdecydowany, gdzie jechać. Dawno już nie wypoczywałem tak solidnie i beztrosko jak tutaj. — „Wypoczywałem” właściwie nie oddaje faktycznego stanu rzeczy, bo co dzień wieczorem jestem jak zbity i połamany ze zmęczenia fizycznego, poluję bowiem na pstrągi namiętne i — bez przechwałek — z powodzeniem, i przeskoczyłem już Jędrusia, i rywalizuję z samym p. Głoskiem.

P. Głoskowa niechętnym trochę okiem patrzy na to moje uganianie się za pstrągami, bo wzięła sobie bardzo do serca, iż ma mnie odkarmić. Co dzień taksuje mnie troskliwym okiem, ile też przybyło mi żywej wagi i stwierdza, że nie przybyło. Ale czuję się doskonale. Zdołałem w każdym razie wydobyć się z błędnego koła tych samych ciągle myśli, trosk, kłopotów i tyle człek musi poświęcić uwagi temu, żeby nie wpaść do wody, skacząc z kamienia na kamień lub — co gorsze jeszcze — żeby nie spłoszyć pstrąga, który „bierze”, że na nic innego nie ma miejsca.

Niestety, kochani tutejsi ludowcy zamęcili mi „radość życia”, przypominając, że zbliża się termin wyjazdu. Była właśnie przed chwilą delegacja z zawiadomieniem, że na 13/VI zwołują do Kamienicy większe zbiegowisko, by mnie „uroczyście pożegnać”. Nie pozostaje więc nic innego jak gotować się do wyjazdu, jako że po „uroczystym pożegnaniu” nie wypada zbyt długo zostawać. Sądzę, że jakiegoś 17 czerwca będę już w Warszawie i zgłoszę się do Państwa, by podziękować serdecznie za „deportację”.

A może Państwo zrobicie wypad na kilka dni do Kamienicy? Trzeba, Mecenasiu Kochany, odetchnąć trochę od klientów,

trybunałów i poskakać po kamieniach za pstrągami! Pani uprzejmie donoszę, że krzak *boules de neige*ów zamienił się w jeden biały bukiet. Obawiam się wprawdzie, że do ewentualnego przyjazdu Państwa kwiaty opadną, ale gwarantuję, że zakwitną jaśminy, a może i lipy. Za dużo ponęt, żeby je sobie zlekceważyć! Jak Pan Mecenasek widzi, występuję niemal w roli gospodarza zapraszającego do swoich włości — świadczy to, jak się zżyłem z Kamienicą.

Łączę serdeczny uścisk dłoni, Pani zaś gorąco
ręce całuję

M. Rataj

Warszawa, 18 lipca 1938

Droży Państwo,

wiem, że jestem nieprzyzwoity. Na usprawiedliwienie przytoczyć mogę to tylko, że byłem nieprzyzwoity wobec wszystkich: do nikogo nie pisałem w ciągu 2-tygodniowego pobytu „w zapadłych Karpatach”, jak się wyraził jeden z dzienników warszawskich, chcąc wytłumaczyć moje przydługie milczenie wobec rewelacji Kozłowskiego¹.

Próbowałem zeszlórocznej metody kuracyjnej w Kamienicy... wyrwać się z kręgu myśli i odprężyć się! Jakoś w tym roku nie poszło. Może dlatego, że gnębiła mnie ciągle myśl, że mam przed sobą tylko 2 tygodnie i że lada chwila może być telefon wzywający mnie do Warszawy. Telefonu nie było, ale niepokój był. Toteż niewiele wywiozłem z Kamienicy poza zaczerwienionym od słońca nosem i — niestety — silnym podrażnieniem grubego jelita.

Z czerwonym nosem chodzić można, ale podrażnione jelito wymaga leżenia. Zamiast więc jechać do Truskawca, przywlokłem się w ubiegłą środę do Warszawy i leżę 6-ty już dzień, karmiąc się kleikiem i bismutem z belladonną. Na deser mam plotki polityczne, które mi znoszą przyjaciół, zwiedziawszy się, że jestem w Warszawie.

Jak długo jeszcze będę musiał się umartwiać, nie wiem. W każdym razie moje plany wakacyjne, w których mieścił się najazd na Juratę², uległy perturbacji. Liczę, że współczucie dla mojej niedoli pozwoli Państwu łatwiej rozgrzeszyć mnie za tak długie milczenie.

1. Chodzi o głośny artykuł L.K. (Leona Kozłowskiego) „Parę uwag o masonerii w Polsce” w *Polityce* nr 16 — 10 czerwca 1938.

2. W Juracie znajdował się letni dom Urbanowiczów.

Wiadome rozmowy polityczne utknęły na martwym punkcie. Ani naprzód ani w tył! Ostatnia historia masońska była jednym z dywersyjnych posunięć, zmierzających do tego, by utrudnić próby normalizacji stosunków.

Nie wiem, czy jest w Juracie lekarz, który pomoże odczytać moją bazgranię, toteż kończę ją, łącząc serdeczne wyrazy oddania i przyjaźni.

M. Rataj

Truskawiec, willa „Rejłowo”, 9 sierpnia 1938

Droży Państwo,

Przeleżałem w Warszawie całe 3 tygodnie. Od 4 dni jestem w Truskawcu, nie wiadomo po co. Poza „Naftusią”, która jest podobno niewrażliwa, zwłaszcza że — jak mówią złośliwi — jest obficie rozpuszczona zwykłą wodą, żadnych innych wód pić mi nie wolno; a dietę i rozmaite zabiegi mógłbym równie dobrze, choć z mniejszymi kłopotami, stosować w Warszawie, Milanówku czy Mińsku Mazowieckim.

Ale stało się! Trzeba odcierpieć ten Truskawiec, bo nijako tak od razu wyjeżdżać. Polepszyło mi się tu na tyle, że nie muszę leżeć. Robię już nawet wyprawy na odległy o kilka minut „deptak” — słusznie tak nazwany. Co to za ohyda ten „deptak”! Sądzę, że dłużej niż tydzień tu nie wytrzymam. Co potem — nie wiem. Zapewne do Warszawy do roboty. W każdym razie — wakacje, na które tak się cieszyłem jak uczniak, zmarnowane.

Nad morzem podobno pięknie, ale ciasno — i jak fama niesie — Sodoma z Gomorą. Dobrze, że nie pojechałem, uniknąłem pokus. Tu ich nie ma.

Łączę bardzo serdeczne wyrazy, Pani ręce całuję

M. Rataj

Kamienica k. Łącka, 13 czerwca 1939

Droga Pani,

Proszę mi nie brać za złe, że tak długo się nie odzywałem. Jakoś szczególnie ciężko było mi w tym roku zaaklimatyzować się w Kamienicy. Było trochę ze mną jak z tym młynarzem, co marzy o tym, żeby mu młyn choć na chwilę przestał turkać nad głową, a kiedy naprawdę przestanie, nie może znieść ciszy. A

ciszy w tym roku więcej jeszcze w Kamienicy niż zwykle, jako że p. Głowska z dziećmi mieszka w Nowym Sączu (sprawiedliwość każe mi stwierdzić, że rozciąga stamtąd troskliwą opiekę nade mną i co kilka dni żąda dokładnego sprawozdania o stanie mego zdrowia i apetytu). Z pstrągami się nie zadaję, nauczony zeszłorocznym doświadczeniem. Po prostu nic nie robię i widzę, że to nie lada sztuka.

Mimo wszystko postanowiłem sobie wytrwać tu do końca czerwca. Przyda się człowiekowi miejskiemu taka kwarantanna! Tem bardziej będę umiał ocenić wszystkie ponęty jurackie.

Czule Pani ręce całuję, p. Stefanowi
ściskam serdecznie dłoń

M. Rataj

Warszawa, 25 lipca 1939

Droży Państwo,

Przed chwilą wyprawilem córkę i zięcia do Bukowiny. Korzystam z pierwszej wolnej i spokojnej chwili, by raz jeszcze gorąco i serdecznie podziękować Państwu za gościnę. Wsiąłem gruntownie w dom Państwa i nie chcę ukrywać, że gdyby nie obawa przed nadużyciem Waszej przyjaźni i gościnności, byłbym nie wyjechał. Żałowałem w duszy, że najmilsza Ewa³ nie wykonała swojej pogroźki i nie schowała mi spodni, bo byłbym miał pretekst do pozostania. Ale przepadło!

W Warszawie ohydnie. Nie miałem jeszcze czasu i okazji zorientować się w tak zwanej sytuacji, wygląda jednak na to, że i z zewnątrz a tem bardziej wewnątrz nie grożą w najbliższym czasie żadne niespodzianki. Dzwoniłem do p. Kuncewicz⁴, by spełnić polecenie pani Anieli, ale nie ma go w Warszawie.

Do końca tygodnia zostaję w cieniu. Co dalej, jeszcze nie wiem. Może do Truskawca, może do Garbatki, a może po prostu powiem sobie, że już dość wałkonienia się i wygodnego życia? Zobaczę i napiszę. Myślami i sercem jestem jeszcze ciągle w domu na wydmach.

Pani Alieli czule ręce całuję, Panu Stefanowi ściskam mocno dłoń, Lusi⁵ — wrrr..., a dla Ewy dużo, dużo

M. Rataj

3. Ewa — córka pp. Urbanowiczów.

4. Kuncewicz Jerzy — adwokat, działacz SL.

5. Lusią — córka pp. Urbanowiczów.

Truskawiec, „Rejłowo”, 4 sierpnia 1939

Droży Państwo,

Gania mnie coś po Polsce — od Karpat do morza i od morza do Karpat. Od wczoraj jestem w Truskawcu, straciwszy w Warszawie sporo z tego, co zyskałem w Juracie. Musiałem napisać mnóstwo artykułów i odbyłem dużo rozmów.

O wojnie jakoś ciszej. W Kołach tak zwanych „miarodajnych” i „dobrze poinformowanych” raczej stawia się w tym roku na pokój: Wprawdzie w dzisiejszych pismach czytam o nowym naprężeniu, ale sądzę, że i tym razem rozejdzie się po kościach... — W „elicie” przygnębienie z powodu nikłego wyniku rokowań o pożyczkę. P. Kocowi dawano oględnie, ale bardzo wyraźnie do poznania, że wskazane by było „rozszerzenie podstaw” rządu polskiego⁶. Nie zanosì się na to, jest natomiast mocna tendencja, żeby zrobić z p. Kwiatkowskiego kozła ofiarnego, jako że podnoszono ze strony angielskiej także pewne zastrzeżenia w sprawie naszej polityki finansowej. Pozostanie zapewne wszystko po dawnemu.

U nas w Stronnictwie, podobno zresztą jak w innych ugrupowaniach, cisza i zastój. Tradycyjne „święto czynu” odwołane, bo nie ma na wsi rozpędu. Widziałem się z p. W[itosem]. Twierdzi, że Truskawiec dobrze mu zrobił, ale nie widać tego. Jest jak spłoszony, a trochę i speszony, bo widzi, że z bliska nie tak łatwo, jak się z daleka wydawało. Boli go także, że tak prędko powszednie dla chłopów. I — niestety — tak jest. Może właśnie dlatego szuka zbliżenia. I napisał komunikat, że odbyliście Konferencję, która wykazała „zgodność poglądów”. (Inspirował komunikat, że odbyliśmy Konferencję, która wykazała „zgodność poglądów”).

Truskawiec przepełniony. Po Juracie wydaje się jeszcze bardziej ohydny i nie pachnący, niż zwykle. Nie bardzo miało sens, że tu przyjechałem i zapewne niedługo będę tu popasać. Dużo znajomych, ale nikogo bliskiego ani ciekawego. Jeżeli dodam, że akuratnie tu, gdzie przyjechałem szukać leku na bóle głowy, boli mnie łeb od 24 godzin nieprzerwanie mimo licznych kogutków, to wszystko to razem składa się na niewesołą całość. Ale dobrze mi tak!

Łączę dużo serdecznych wyrazów dla wszystkich, Pani Anieli ręce całuję.

M. Rataj

6. Adam Koc był wtedy prezesem Banku Polskiego. Po trudnych rokowaniach uzyskał 2 sierpnia w Anglii kredyt w wysokości 8 mln. funtów szterlingów.

HISTORYCY

„Były to zresztą końcowe już miesiące istnienia Koła w jego dotychczasowym kształcie i klimacie ukształtowanych w tradycji lat międzywojennych. Szło bowiem «nowe», niechętnie im, podejrzliwe i wrogie apolitycznej jakoby atmosferze nauki i zabawy. Zresztą już wcześniej nad naszym historycznym firmamentem poczęły gromadzić się czarne chmury. Jeszcze w końcu października 1948 r., wskutek przedwczesnego przeniesienia w stan spoczynku profesora Konopczyńskiego, pozbawiono wielu z nas możliwości kontynuowania zajęć na prowadzonym przezeń seminarium”.

Cytat pochodzi ze „Wspomnień z Koła Historyków Studentów UJ w latach 1947–1950” prof. Wiesława Bienkowskiego, zamieszczonych w wydanej przez Uniwersytet Jagielloński w br. pod redakcją prof. Krzysztofa Baczkowskiego zbiorowej książce pt. „Dzieje Koła Naukowego Historyków Studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach 1892–1992. Wspomnienia seniorów”. Autor krótko i precyzyjnie przedstawił sytuację, w jakiej znalazła się nauka historii na uniwersytetach w Polsce w pierwszych latach tzw. „władzy ludowej”, której natrętna ingerencja we wszelkie przejawy życia duchowego narodu powodowała prawdziwe wstrząsy w środowiskach naukowych kraju. Sto lat Koła Naukowego Historyków Studentów UJ, które w swojej przeszłości gromadziło wokół siebie największe nazwiska polskiej historii, obchodzone bez żadnej sztucznej i reżyserowanej pompy, ale kameralnie i towarzysko, przypomniane zacytowaną publikacją, pozwalają wrócić wspomnieniami do tych pierwszych powojennych lat, kiedy rozpoczynała się jeszcze nie nachalna, później coraz bardziej gwałtowna walka przede wszystkim z przedwojenną, znakomitą kadrą profesorską; niejeden z jej grona miał okazję skorzystać z „opieki” niemieckiego okupanta, wciągającego podstępnie w pułapkę zaproszonych na zebranie do Collegium Novum profesorów w dniu 6 XI 1939 r. Któż z nich mógł przypuszczać, że będzie tępiony także i po wojnie?

Rozpoczynający studia historyczne w okresie względnej wprowadzie jeszcze swobody, chociaż już w atmosferze postępującego nacisku ideologicznego, mógł słuchać wykładów i uczestniczyć w seminariach wybitnych historyków, lekceważących narzucane zasady tzw. marksizmu-leninizmu podszytego stalinizmem. Świetny mediewista, ale i uczony poruszający się całkiem swobod-

nie także w historii najnowszej, wydając przed wojną u Trzaski, Everta i Michalskiego w serii „Wielkiej Historii Powszechnej” dwutomowe dzieło o pierwszej wojnie światowej, Jan Dąbrowski, wykladał w dalszym ciągu w dawnym stylu. Również podręcznikami były legendarne, przedwojenne „trojaczki”, trudno dostępne, przechodzące z rąk do rąk, bo oczywiście nie wznawiane „Dzieje Polski średniowiecznej” Dąbrowskiego, Grodeckiego i Zachorowskiego. Jeszcze w roku akademickim 1948/49 nie dostało się „szczęścia” sięgania po bzdury, których nie zdołano napisać i wydać, aczkolwiek w zakresie historii starożytnej wydawcy uwinęli się dość szybko, publikując w 1950 r. tłumaczoną na polski „Historię starożytnego Rzymu” N.A. Maszkina; mimo to jednak trudno było poważnie traktować wtedy sowieckie dzieło, gdyż jego autora tępił bezlitośnie Ludwik Piotrowicz, dla którego nazwisko Maszkina było przysłowiową czerwoną płachtą na byka. Dawał temu niejednokrotnie wyraz w trakcie swoich wykładów i proseminariów, znęcając się nad jego marksistowską wykładnią. Natomiast studentów obojętnie nadal jego „Dzieje rzymskie”, wydane również w serii „Wielkiej Historii Powszechnej”, do których dostęp też nie był łatwy z powodu skąpej ilości egzemplarzy. Iluż dzisiejszych seniorów pamięta wypowiedzi Piotrowicza, tak odważne i lekceważące w stosunku do panującej rzeczywistości i „demokracji ludowej”, że aż dziw bierze, że od razu go nie zwolniono, zawieszając tylko chwilowo w czynnościach w 1945 r., zarzucając rzekomą współpracę z okupantem. Zwolniono natomiast chlubę polskiej historii nowożytnej, Władysława Konopczyńskiego, i ledwo rozpoczął się rok akademicki 1948/49, profesora wysłano na wcześniejszą emeryturę. Pamiętam jego pożegnalny wykład w sali im. Józefa Szujskiego; żegnał się z Uniwersytetem przedwojennym wykładem o Szujskim, wydrukowanym w postaci broszury, którą następnie rozdał słuchaczom. „Ułomki wspomnień z lat 1949–1950” prof. Jana M. Małeckiego dotyczą także i tego smutnego dla wszystkich wydarzenia. Odwołanie musiało przyjść nagle i niespodziewanie, skoro jeszcze 17 października 1948 r. na zebraniu informacyjnym Koła dla studentów I roku był obecny Konopczyński, jako kurator Koła, a mówiąc o studiach, zachęcając do pracy w Kole i wskazując na tablicę, upamiętniającą aresztowanie przez Niemców profesorów powiedział: „Ale przy tym musicie zachować niepodległość ducha, tę niepodległość, za którą ginęli profesorowie UJ w Sachsenhausen, i musicie szukać prawdy, dążyć do prawdy. Nie wiercie, że jest jakaś prawda klasowa, są tylko grzechy klasowe, za które trzeba odpokutować. A prawda jest tylko jedna. Będą wam mówili o nowej metodzie, o *lux ex Oriente*. Oceńcie wartość dotychczasowej historiografii,

która ma za sobą setki tomów, a która rzekomo nie jest historią, i tę historiografię marksistowską, której jeszcze nie ma, a która dopiero ma być" (cytuje za Małeckim). Czy taka wypowiedź nie mogła spowodować natychmiastowego wysłania uczonego na emeryturę? Pismo, które profesor odczytał przed swoim ostatnim wykładem w dniu 29 X 1948 r., brzmiało mniej więcej tak: „Do Obywatela Władysława Konopczyńskiego, Z dniem 1 listopada przenoszę Obywatela w stan spoczynku z powodu przekroczenia granicy wieku”. „Tak dziękowano — pisze Małecki — jednemu z najwybitniejszych historyków polskich za przeszło 30-letnią pracę na katedrze uniwersyteckiej”. Były to lata bezwzględnej rozprawy z historią nie uznawaną przez reżim własny i sąsiadów, a to co rozpoczęto produkować było rozpaczliwe, podobnie jak wykłady bezdennie nudne i otepiające (pamiętam pierwsze obowiązkowe wykłady przybyłej z Moskwy Celiny Bobińskiej, która nawet nazwisko Victora Hugo wymawiała tak, jak się je pisze, wzbudzając wesołość, ale i politowanie).

Byli wśród członków Koła znakomici satyrycy, którzy w tym jeszcze nie całkowicie zniewolonym okresie organizowali wesołe szopki w gościnnych salach Seminarium Historii Starożytnej. W zachowanym przez Wiesława Bienkowskiego (znakomitego bibliografa i autora wielu prac) tekście „Szopki historyków Anno Domini 1948” osławiona Eugenia Krassowska, wiceminister oświaty przy Stanisławie Skrzyszewskim, śpiewała:

*Historię całutką podzielmy króciutko:
Na marksizm i dialektykę. Bo trzeba już raz
O walce tej klas, napisać choć jedną sztukę.*

Zaś w usta Konopczyńskiego, na melodię „O cześć wam panowie magnaci” włożono słowa:

*Ach któż z was ma taką dziś formę, że jak ja, pra-
cuje nad normę?
Wciąż dzieło mam nowe, do druku gotowe, choć
czasły nastały marksowe.*

Ale marksiści nie uznawali żartów, toteż w 1950 r. dopiero co powołany do życia Minister Szkół Wyższych i Nauki zlikwidował Koło, może i dlatego, że — jak pisze jego obecny kurator prof. Krzysztof Baczkowski — odgrywało zbyt wielką rolę w środowisku akademickim Krakowa i przyznano mu pierwsze miejsce wśród studenckich organizacji Uniwersytetu Jagiellońskiego. Reaktywowano je na fali krótkotrwałych przemian październikowych. W 1968 r. studenci Koła wystąpili publicznie przeciw antyinteligenckiej i antyżydowskiej nagonce, a w 1980 r.

włączyli się w akcje „Solidarności”. Po 1981 r. bojkotowano zajęcia z ekonomii i nauk politycznych.

W latach rozpoczynających się na uniwersytetach zmian za panowała moda na przenoszenie profesorów z miast i uniwersytetów macierzystych; tak stało się na pewien czas z Kazimierzem Piwarskim, którego z Krakowa przeniesiono do Poznania, zaś Henryka Barycza do Wrocławia. Żaden z nich oczywiście nie miał ochoty na zamieszkanie tam na stałe i opowiadano, że Piwarski, zamiast przyjąć mieszkanie, wołał sypiać w zakładzie uniwersyteckim.

Najgorszą zmorą było pisanie historii pod dyktando partii, stąd całe stosy książek i czasopism warte są dziś tylko jednego: przeznaczenia ich na makulaturę. W Krakowie m.in. opublikowano kilkanaście edycji „Historii Polski”, której szczególnie tom czwarty, prezentujący czasy najnowsze, jest smutnym dokumentem panującego w historii zakłamania. „Historia Polski 1864–1918” Henryka Wereszyckiego mogła ukazać się drukiem na Zachodzie.

W tych ostatnich, nie całkiem opanowanych przez marksizm latach wykładali m.in.: Roman Grodecki, Zofia Kozłowska-Budkowa, Henryk Mościcki, Marian Friedberg (autor wydanego już w 1946 r. dzieła „Kultura polska a niemiecka”), Krystyna Pieradzka, Józef Widajewicz i inni, w miarę upływu lat zastępowani przez nową kadrę profesorską, która nie zawsze gwarantowała, że prezentowana przez nią historia jest w pełni wiarygodna, aczkolwiek i tu były wyjątki (wśród tych ostatnich warto wspomnieć np. Janinę Bieniarzówną i nie żyjącego już Józefa Mitkowskiego). Śmiesz dziś, gdy niejeden z tych historyków w okresie ostatnich przemian społeczno-politycznych szybko się przefarbował, zapominając o tym, co nie tak dawno pisał, przeinaczając i fałszując fakty. Nawiasem mówiąc, powrót do tematyki w minionym okresie całkowicie im obcej nie zawsze odbywa się szczęśliwie, a drastyczne pomyłki i rażące opuszczenia wyraźnie dają znać o niedoskonałości warsztatu pod egidą przodującej historiografii *ex Oriente*.

Dziś wszystkie te zmory czterdzieści z górą lat trwającego zniewolenia przeminęły z wiatrem, a historia Polski i świata czeka na nowe opracowania, które na razie zastępują książki opublikowane wcześniej w języku polskim w Paryżu i Londynie. Może i wśród obecnych młodych, zgrupowanych wokół Koła-jubilata wyrosną historycy, którzy będą pisać wolną od błędów, zafałszowań i zakłamania historię.

w listopadzie '92

Józef DUŻYK

POLSKIE SŁUŻBY SPECJALNE A ORGANIZACJE EMIGRACYJNE NA ZACHODZIE

W Polsce ukazała się ostatnio książka Henryka Piecucha, byłego szefa ochrony gen. Jaruzelskiego, pt. „Byłem gorylem Jaruzelskiego”. Zamieszczamy kilka jej fragmentów.

— *Jakie jeszcze ośrodki zachodnie były celem zabiegów polskich służb specjalnych?*

— Rada do Spraw Rozgłośni Międzynarodowych, sprawująca nadzór nad Radiem Wolna Europa i Radia Swoboda. Był to niezwykle trudny teren dla wprowadzenia ludzi z zewnątrz. Przypuszczam, że w radzie nie było naszych agentów. Byli za to w RWE. Pożoga przeważnie miał tam kilka osób.

— *Ilu waszych agentów działało w RWE?*

— Nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Znałem natomiast co najmniej dwóch współpracowników RWE, będących naszymi informatorami.

— *W tym miejscu klania się sprawa redaktora Józefa Szaniawskiego. To wycieczka pod adresem WSW. Nie dosyć, że aresztowano i doprowadzono do skazania niewinnego człowieka, który odsiedział wiele lat w więzieniu, to jeszcze po jego wyjściu i pełnej rehabilitacji usiłowaliście go skompromitować, obciążając rzekomą współpracą z prześladowcami.*

— Nie znam tej sprawy.

— *Panie pułkowniku, elita z Rakowieckiej wręcz manifestacyjnie eksponowała miesięcznik „Kultura” czy „Zeszyty Historyczne”, bezcenne dla polskiej myśli niepodległościowej wydawnictwa Instytutu Literackiego, założonego i kierowanego przez legendarnego Jerzego Giedroycia.*

— Znam podchody naszych służb pod Instytut. Nigdy nikomu, żadnemu agentowi nie udało się dotrzeć do wewnątrz. O żadnym innym ośrodku nie mógłbym tego z taką odpo-

wiedzialnością powiedzieć. Instytut był hermetycznym kręgiem osobistości skupionych koło redaktora Giedroycia. Próbowano różnych sztuczek. Wszystkie spaliły na panewce. Jerzy Giedroyc to osobista klęska i czarna rozpacz wszystkich kolejnych ministrów z Rakowieckiej.

Co zaś do eksponowania wydawnictw Instytutu? Niech się pan nie łudzi, na Rakowieckiej nie czytało się tego typu literatury. Mam tu na myśli tych największych, najważniejszych facetów z najobszerniejszych gabinetów. Oni co najwyżej lubili szpanować, pokazywać jacy są inteligentni. Czy pan może sobie ich wyobrazić z „Kulturą” w ręce? Przecież nawet jeżeli jeden z drugim wziąłby pismo w rękę, to i tak by nie przeczytał. Jeżeli by już przeczytał, to i tak by nic nie zrozumiał. A jeżeli Pan Bóg by go na moment oświecił, to czym prędzej musiałby złożyć samokrytykę przed Kiszczakiem lub Jaruzelskim, aby uzyskać rozgrzeszenie.

Natomiast niżej czytano, oczywiście z zawodowego obowiązku, aby wiedzieć kogo należy niszczyć w pierwszej kolejności. Nie wykluczam również, że część średniego personelu Firmy czytała z zainteresowaniem, chcąc dowiedzieć się, jak naprawdę wyglądały niektóre wydarzenia. „Kultura” i „Zeszyty...” dawały taką możliwość. Nikt nie może powiedzieć, że te wydawnictwa kiedykolwiek czymkolwiek manipulowały, co nie przeszkadzało, aby na temat Instytutu zamawiać opracowania wśród różnych naukowców, służące do celów procesowych, za które płacono grube pieniądze ze środków operacyjnych.

— *Słowo drukowane na Zachodzie miało wielkie znaczenie dla kraju. Mimo pełnego szacunku dla Instytutu redaktora Giedroycia, nie był on osamotniony. Na kogo poza redaktorem wymierzone były główne ataki bezpieki?*

— Było sporo różnych wydawnictw, ośrodków. Główne z nich to londyński „Aneks” kierowany przez Eugeniusza Smolara, „Pomost”, „Kontakt” — miesięcznik wydawany w Paryżu przez Mirosława Chojeckiego. Ostro brano się za Niezależną Agencję Prasową z Lund w Szwecji, prowadzoną przez Józefa Lebenbauma. W „Kontakcie” i u Lebenbauma działali ludzie Pożogi. Nie wiem jak wyglądała sprawa z „Pomostem”. Kręcono się koło londyńskiego „Pulsu”, kierowanego przez Jana Chodakowskiego i „Poglądu” wydawanego w Berlinie Zachodnim.

— Co znaczy „*kręcono się*”?

— Usiłowano dotrzeć jak najbliżej tych ośrodków, które przesyłały swoje wydawnictwa do kraju. Do tego momentu sprawa leżała w jurysdykcji służby Pożogi. Jednak z chwilą przejścia wydawnictw w polskie ręce do działania wkraczał nasz departament. Odbiorcami bądź co bądź elitarnych wydawnictw zachodnich były zazwyczaj osoby z kręgów inteligenckich, tym zaś my deptaliśmy po piętach. Nie kontrwywiad.

— *A zagraniczne struktury Solidarności?*

— Moja wiedza z tego obszaru, z wyjątkiem Biura Koordynacyjnego NSZZ Solidarność w Brukseli i ośrodka Lebenbauma w Lund, jest szczątkowa.

— *Kanały przerzutowe kontrolowała w całości służba generała Pożogi?*

— Poza granicami — tak. W kraju znowu był styk z naszym departamentem. Cały kanał należał do kontrwywiadu, ale odbiorcy należeli do nas. Na szczeblu służb i dyrektorów departamentów trwała ostra rywalizacja, o czym już mówiliśmy. Niżej było ściśle współdziałanie. Nie dlatego że się kochaliśmy, ale dlatego, że sukcesy jednych były uzależnione od sukcesów drugih. Bez współdziałania nic byśmy nie zrobili.

KONFERENCJE W KARPACZU I WROCŁAWIU

W dniach 23 i 24 listopada 1992 r. odbyło się pod egidą rektora Uniwersytetu Wrocławskiego i dyrektora Instytutu Historycznego seminarium na temat „Polskie mity polityczne XIX i XX wieku”. W tym arcyciekawym spotkaniu uczestniczyli przedstawiciele siedmiu polskich i trzech amerykańskich uniwersytetów, nie licząc instytutów i innych ośrodków naukowych. W czterech następujących po sobie sesjach, którym przewodniczyli kolejno prof. prof. Marek Czapliński, Piotr Wandycz,

Roman Wapiński i rektor Wrzesiński, przedstawiono dwanaście referatów; w dyskusjach zanotowano sześćdziesiąt wypowiedzi. A oto tytuły referatów i referenci: „Polskie mity polityczne XIX i XX wieku” (Wojciech Wrzesiński), „Rola literatury pięknej w formowaniu polskich mitów politycznych” (Jacek Kolbuszewski), „Polskie malarstwo historyczne XIX wieku a narodziny mitów politycznych” (Waldemar Okoń), „Hitlerowska ocena Konrada Wallenroda” (Mieczysław Inglot) — referat ten zastąpił prezentację „Mit kresów wschodnich” którą miał przedstawić Daniel Beauvois, nieobecny z powodów zdrowotnych — „Mit Polak-katolik” (ks. Zygmunt Zieliński), „Mit Rzeczypospolitej” (Roman Wapiński), „Mit dobrego cesarza” (Zbigniew Frasz), „Mit Józefa Piłsudskiego w literaturze anglojęzycznej” (Anna Cienciąła), „Mit narodowej tęczy polskiego ludu” (Teresa Kulak), „Mit niemieckiego kolonisty w Polsce” (Przemysław Hauser), „Mit staroślawiański na przełomie epok 1939–1948” (Tadeusz Marczak) i „Mit 'Solidarności'” (Włodzimierz Suleja).

Dnia 25 listopada również pod auspicjami rektora i dyrektora Instytutu Historycznego odbyło się we Wrocławiu w Auli Leopoldyńskiej Uniwersytetu seminarium z okazji 125-tej rocznicy urodzin Józefa Piłsudskiego i 50-tej rocznicy powstania w Nowym Jorku Instytutu Piłsudskiego. Na seminarium składały się cztery referaty: Adolfa Juzwenki „Mit Józefa Piłsudskiego”, Johna Micgiela „Z badań nad genezą Instytutu Józefa Piłsudskiego”, Piotra Wandycza „Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku na tle polskich placówek naukowych na obczyźnie” oraz Janusza Ciska „Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Dzień dzisiejszy i przyszłość”. Po seminarium zebrani oraz zainteresowana publiczność mogli obejrzeć wystawę plakatu z okresu wojny bolszewickiej ze zbiorów Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku.

P.W.

LISTY DO REDAKCJI

Stockholm 24 grudnia 1993

Szanowny Panie Redaktorze,

W 102 nrze *Zeszytów Historycznych* pan Eryk M. Budzyński publikuje wspomnienia, związane z docieraniem w czasie II wojny światowej pieniędzy dla Armii Krajowej na Wileńszczyźnie („Poczta japońska”). Wspomnienia pana Budzyńskiego są tym ciekawsze, że uzupełniają nasze niekompletne wiadomości o tym, jak funkcjonowała łączność Naczelnego Dowództwa z Krajem, zwłaszcza z Wileńszczyzną.

Piszę to jednak nie tylko gwoli pochwały. Niepotrzebnie Autor wdał się w rozważania na temat historiografii, bowiem tu jego wiedza jest niepełna. W rezultacie czytelnik jeśli zawierzy Autorowi będzie wprowadzony w błąd.

Zacznijmy od tego, że „tajna wojna” w trójkącie Berlin-Stockholm-kraj była opisywana już kilkakrotnie. Pierwszeństwo chyba trzeba przyznać Stanisławowi Strumph-Wojtkiewiczowi, który już w latach sześćdziesiątych, w oparciu o relację (w chwili wybuchu wojny kapitana, później pułkownika) Michała Rybikowskiego napisał zbeletryzowaną historię owej „poczty japońskiej” (*Tiergarten*, wyd. 1 Warszawa 1966, wyd. 5 *ibid.* 1978, razem setki tysięcy nakładu!).

Do pisarstwa Strumph-Wojtkiewicza z natury rzeczy należy podchodzić z dużą ostrożnością, co jest określeniem łagodnym, a relacje płk. Rybikowskiego — jak każda relacja — też grzeszą jednostronnością. Nie sposób jednak książki tej ominąć. Choćby dlatego, że ów *tajemniczy Polak*, jak pisze p. Budzyński, w rękach którego zbierało się tyle nici, zwłaszcza japońskich, sprawiający nazistom tyle kłopotu to właśnie — dawno rozszyfrowany — Michał Rybikowski.

Na tym nie koniec. Warszawskie powiązania „japońskiej poczty” gęsto przewijają się we wspomnieniach Wacława Zagórskiego (*Wolność w niewoli*, wyd. 1, Londyn 1971), lektura książki rozwiązałaby niejedno nieporozumienie. Wysoce ceniąc skrupulatną pracę dr. Kliszewicza o *bazie Anna* w Stockholmie pozwolę sobie zwrócić uwagę, że pewne istotne aspekty jej działalności zostały opisane przeze mnie w monografii *The Swedish Contribution...* (Stockholm 1979).

No i na koniec, choć wcale nie najmniej, *Armia krajowa w dokumentach*, zwłaszcza t. 1 i 2.

Łączę wyrazy szacunku i życzliwości

Józef LEWANDOWSKI

WSzanowny Panie Redaktorze!

W 101-yim zeszycie *Zeszytów Historycznych* zostało zamieszczone opracowanie Zbigniewa S. Siemaszki „Problemy podziemia pod okupacją sowiecką 1939–1941”, w którym autor problemy te próbuje ująć na dziewięciu stronach tekstu. Jest to zmieniona wersja rozdziału z książki tego samego autora „W sowieckim osaczeniu”, zatytułowanego „Związek Walki Zbrojnej”, o podobnej objętości co artykuł w *Zeszytach Historycznych*. Oba opracowania dotyczą terenu całej okupacji sowieckiej od Małopolski Wschodniej po Wileńszczyznę. Oczywiście w takich wąskich ramach trudno jest wyczerpać temat; połowie tego tematu — historii konspiracji w Małopolsce Wschodniej pod okupacją sowiecką — poświęciłem ponad 300 stron w wydanej w r. 1991 przez Editions Spotkania pracy pod — dość zresztą niefortunnym, narzuconym przez wydawnictwo — tytułem „Lwów pod okupacją sowiecką 1939–1941”. Przedtem, w bardzo dużym skrócie, praca ta — w ramach referatu na konferencję na Uniwersytecie w Londynie w r. 1989 — została wydana w pracy zbiorowej pod redakcją dr K. Sworda „The Soviet Takeover of the Polish Eastern Provinces 1939–1941”, zresztą obok innego referatu Z.S. Siemaszki. Szkoda, że Z.S. Siemaszko nie zdołał zaznajomić się z moimi opracowaniami, gdyż mógłby był uniknąć błędów popełnionych zarówno w artykule w *Zeszytach Historycznych* jak i we wspomnianym rozdziale swej książki. Pragnę te błędy sprostować:

s. 24: Emisariusz ZWZ z Paryża, T. Strowski „Turzyma”, przybył do Lwowa między 10 a 19 grudnia (według różnych źródeł) 1939 r., przed mjr. Alfonsem Klocem, emisariuszem SZP (gen. Tokarzewskiego-Karaszewicza), który wysłany z Warszawy dotarł do Lwowa 22 lub 25 grudnia. Strowski zwrócił się do ppłk. Jana Sokołowskiego „Trzaski” i do mjr. Zygmunta Dobrowolskiego, kierującego utworzoną przez gen. Januszajtisa organizacją POWW (Polska Organizacja Walki o Wolność), którzy nie chcieli z nim rozmawiać, oraz do płk. Władysława Żebrowskiego „Żuka”, stojącego na czele oddziału POWW — Związku Obrońców Wolności Ojczyzny — ZOWO. Płk Żebrowski przyjął instrukcję przywiezioną z Paryża i nominację na komendanta Obszaru nr 3 oraz złożył na ręce Strowskiego przysięgę, a 24 grudnia zaprzysiągł pierwszych oficerów ZWZ — późniejszego ZWZ-1. Natomiast nic nie wiadomo, by mjr Kloc nawiązywał kontakt z płk. Żebrowskim, już wówczas komendantem Obszaru ZWZ, podczas gdy mjr Kloc z ppłk. Sokołowskim organizowali we Lwowie SZP — późniejsze ZWZ-2.

s. 25, wiersz 4 od góry: Nic nie wiadomo o powiązaniach politycznych ZWZ-1 mjr. Macielińskiego „Kornela” ze Stronnictwem Narodowym, choć był on stryjem dowojennego lwowskiego działacza tego Stronnictwa, Adama Macielińskiego.

s. 26, odsyłacz 6: Łączniczką, z którą mjr Kloc wyruszył w głąb ZSSR była Eleonora Wanda Ptaszkówna; jej fotografię zamieściłem w swej książce. O jej późniejszych losach krążyły różne wersje; zaangażowana w Wywiadzie Wschodnim AK mjr. Kłoca, została aresztowana przez Niemców w r. 1942.

s. 27, wiersz 15 od dołu: Ppłk Pstrokoński został jednocześnie z

ppłk. Macielińskim skazany na śmierć przez Sąd Kapturowy ZWZ w Warszawie, ale wyroku nie zatwierdził gen. Rowecki, nie czując się kompetentnym. Zrehabilitowano go dopiero pośmiertnie w r. 1959.

s. 28, wiersz 19 od góry: Mjr/ppłk Macieliński był dwukrotnie zatrzymywany przez NKWD. Pierwszy raz 17 IV 1940 r. na probostwie u ks. Cieńskiego; zwolniono go po wytłumaczeniu się, jak szereg innych osób, wśród których był ks. Tadeusz Fedorowicz, jego brat i siostra, oraz Aleksandra Dąbska. Drugi raz zatrzymany — jak mówił — „wymigał się szoferką”: pracował jako szofer sowieckiego profesora geologii.

s. 28, wiersz 15 (tekstu) do dołu: Włodzimierzowi Kordeckiemu, aresztowanemu we Lwowie i wysłanemu przez NKWD do Warszawy, gdy tam o swym aresztowaniu zameldował, nie uwierzono i pod zarzutem, że m.in. chciał uzyskać pomoc finansową, skazano na śmierć „za wprowadzenie organizacji w błąd i szantaż”. Wyrok — zupełnie niesprawiedliwy — wykonano.

s. 29, wiersz 7 od dołu: Nie można twierdzić, że pod okupacją sowiecką nie było regularnej prasy podziemnej. Z numeracji roczników i numerów wynika, że we Lwowie od r. 1939 lub 1940 regularnie wychodziły *Komunikat* organizacji „Wierni Polsce” ppłk. Sokołowskiego oraz *Wyrwamy* Konfederacji Ziem Kresowych, choć egzemplarze tych czasopism z lat 1940–1941 nie zachowały się.

s. 30, wiersz 11 od dołu: W Małopolsce Wschodniej wkraczające oddziały niemieckie witali chlebem i solą tylko Ukraińcy; oczywiście nie wiem, jak było na północnych Kresach.

s. 31, wiersz 3 od góry: O ile kpt. Metzger był rzeczywiście szefem wywiadu w organizacji ZWZ-1 ppłk. Macielińskiego, to por. Gola był szefem wywiadu ZWZ-2 mjr. Zygmunta Dobrowolskiego; obaj bezsprzecznie byli na usługach NKWD. Natomiast nie wymieniałbym „jednym tchem” z nimi ppłk. Macielińskiego, ponieważ jedyne konkretne zarzuty, jakoby wydał ppłk. Pstrokońskiego „Łozińskiego”, kpt. Kędzierskiego „Sosnę” i Kordeckiego „Marcyniuka” były bezpodstawne. Ppłk Pstrokoński był tropiony przez wywiad sowiecki od momentu wyjścia z Paryża; kpt. Kędzierski, który — jak się ostatnio okazało — przeżył więzienia sowieckie i zmarł w Polsce, nigdy o spowodowanie swego aresztowania nie oskarżał ppłk. Macielińskiego (zdaje się winił o to T. Strowskiego, który aresztowany załamał się), zaś Kordecki po przybyciu do Lwowa wpadł od razu w ręce por. Goli. Oskarżając we wrześniu 1941 r. ppłk. Macielińskiego o wydanie Kordeckiego, nie pamiętano, że w grudniu 1940 r. Kordecki został skazany na śmierć za zmyślenie faktu aresztowania. Za ppłk. Macielińskiego ręczyli tacy ludzie, jak prof. Edmund Bulanda („Krakowiak”), ks. Michał Rękas z Apostolstwa Chorych, dr Władysław Zych, a z żyjących po wojnie ludzi z nim stykających się wszyscy są (lub byli) przekonani o niesłuszności wyroku.

Z poważaniem

Jerzy WĘGIERSKI

SPIS TREŚCI

Mirosław Czech: <i>Kwestia ukraińska w III Rzeczypospolitej</i>	3
Andrzej Friszke: <i>Memoriał polityczny Adama Bienia (kwiecień 1944)</i>	36
Z.S. Siemaszko: <i>Ujawnione dokumenty katyńskie</i>	64
Jerzy Timoszewicz: <i>Z dziejów Teatru Wileńskiego. Parę uwag o latach 1832-1864</i>	80
Maria Turlejska: <i>Uwagi o tzw. „Wspomnieniach W. Gomułki”</i>	92

WOLNA TRYBUNA I POLEMIKI

Krzysztof Tarka: <i>Epigoni Wielkiego Księstwa Litewskiego — Krajowcy wileńscy 1939-1940</i>	101
Zbigniew Kończacki: <i>Lwowska Młodzież Społeczno-Demokratyczna 1937-1939</i>	120

DOKUMENTY

<i>Dezercje Żydów z Armii Polskiej na Wschodzie</i>	131
---	-----

WSPOMNIENIA

Dora Kacnelson: <i>Kustosz Władysław Abramowicz</i>	145
Nika Kłosowska: <i>Fragmenty wspomnień</i>	154
Walentyna Najdus-Smolarowa: <i>Lwów obecnie</i>	170

RECENZJE

Bogusław Bakula: <i>W oczach historyków</i>	178
Piotr Wandycz: <i>O dyplomacji II Rzeczypospolitej</i>	182
Wojciech Krzyżanowski: <i>Źródłowa praca o żołnierzach polskich w Rumunii</i>	184
Adam W. Kulik: „ <i>Obrządek słowiański w dawnej Polsce</i> ” czyli <i>krzyżowanie historii</i>	186
Andrzej Suchcitz: <i>W cieniu Kapitolu</i>	188
Tadeusz Wyrwa: <i>Słownik biograficzny kobiet, które poległy w walce o niepodległość w okresie okupacji niemieckiej</i>	190

OKRUCHY HISTORII

Andrzej Chwalba: <i>Wykłady historyczne Józefa Piłsudskiego</i>	194
Hanna Świdarska: <i>Przyczynki do „rozrachunków z sanacją”</i>	216
Andrzej Friszke: <i>Listy Macieja Rataja do Anieli i Stefana Urbanowiczów</i>	221
Józef Dużyk: <i>Historycy</i>	227
<i>Polskie służby specjalne a organizacje emigracyjne na Zachodzie</i>	231
<i>Konferencje w Karpaczu i Wrocławiu</i>	233

LISTY DO REDAKCJI

Józef Lewandowski: <i>Uzupełnienia do artykułu „Pocztą japońska” Eryka M. Budzyńskiego (Zeszyty Historyczne nr 102)</i>	235
Jerzy Węgierski: <i>Uwagi i poprawki do artykułu Z.S. Siemiaszki „Problemy podziemia pod okupacją sowiecką 1939–1941” (Zeszyty Historyczne nr 101)</i>	236

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. du Wagram
75008 PARIS

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 26 FÉVRIER 1993
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1993

N° d'imprimeur : 1239

PHOTOCOMPOSITION
AKTIS S.A.R.L.
42, AVENUE DE WAGRAM
75008 PARIS

F 90